

Leodan, syn Lwa

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz

Korekta: Maria Palichleb

Nota wydawcy rosyjskiego

Bogowie mogą wszystko. Tworzą i niszczą światy, władza ich jest bezgraniczna i niepodzielna. Ale tak bywa tylko wtedy, gdy ludzie pamiętają o bogach i czczą ich. Jeśli bogowie zostaną zapomniani przez śmiertelnych, muszą zejść z niebios na ziemię i prowadzić całkiem nieboskie życie. I co najgorsze – dawny wróg Zapomnianych Bogów przygotowuje się do podboju świata ludzi i zastępy demonów lada moment zniszczą wszystko, co kiedyś stworzyli ci bogowie. Co mogą, pozbawieni swej potęgi mieszkańcy niebios, przeciwstawić swemu nadprzyrodzonemu wrogowi? Tylko dwoje młodych ludzi, których losy złączyło dawne proroctwo: odważną i okrutną Kastę, kobietę – gladiatora i wyrastającego w niewoli, rozpieszczonego Leodana, który nigdy nie trzymał broni. Wszystko, co mogą zrobić Zapomniani Bogowie – to połączyć ich razem, oddać im do dyspozycji dawne magiczne Relikwie, a po tym, czekać na wynik zaczynającej się wielkiej bitwy, która zdecyduje nie tylko o losie świata, ale i o losie samych bogów. Pierwsza książka cyklu.

A. Astachow

LEODAN, SYN LWA

Dla moich przyjaciół, Julii i Walerija, którzy jeszcze raz udowodnili zwyczajną prawdę, że starzy przyjaciele – są niezawodni.

Gdy komuś chcesz okazać swą pogardę,
Przypomnij wówczas tę odwieczną prawdę:
Nie pojąć nam idei Dramaturga –
Ukryty cel ma sztuka Demiurga,
Z aktorów, bowiem każdy w swoim czasie
Na scenę musi trafić w pełnej krasie.
Czy prędzej to czy później, ale będzie,
A oceniając ich, miej to na względzie,
Że błazen na początku przedstawienia
W finale – mędrce będzie bez wątpienia,
Bohater dzielny zhańbi się żałośnie,
Kawaler z damą żeni się radośnie,
I ten, kto dla nas był żalonym psem,
W finale staje się potężnym lwem.

Pejre de Montier - „Łe, o pysze”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To było dobrze znane uczucie – przez trzy lata występów, doznawała go dziesiątki razy, przechodząc długim, ciemnym korytarzem, który cyrkowi wojownicy

nazywali Droga Beznadziejnych. By ją przemierzyć powolnym krokiem wojownika, przygotowującego się do bitwy, potrzeba paru minut – dość jednak czasu, by oddać się wspomnieniom i odczuć, jak wielką wartością jest życie, i jak ona postępuje nieroztropnie, poddając je śmiertelnemu ryzyku. Zwłaszcza teraz, kiedy nie jest już niewolnicą, cyrkowym mięsem przeznaczonym do krwawego widowiska. Ale Droga Beznadziejnych prowadziła ją niezmiennie do Bramy Losu – ogromnych dębowych wrót, za którymi było jaskrawe, dzienne światło i arena. Miejsce, które wabiło śmiałków, rodziło ich i odżywiało się ich krwią. Za wrotami, czekało zwycięstwo i sława – albo śmierć. Przed nią przychodzili tu liczni, i liczni przyjdą także po tym, gdy jej już nie będzie. Ale tymczasem, bohaterką dnia jest ona, Kasta - Wojownicza, Kasta - Amazonka, najlepszy wojownik Dużej areny Darnatu. Dzisiaj nadszedł czas, by jeszcze raz udowodnić, że jest godna sławy.

Przeciwnik już jest na arenie. Widzowie czekają, gdy się pojawi. Stary lanista Derak powiedział, że dzisiaj cyrk jest wypełniony do ostatniego miejsca – to znaczy, że starcie zobaczy powyżej siedemdziesięciu tysięcy ludzi. Siedemdziesiąt tysięcy par oczu będzie nieprzerwanie śledzić każde machnięcie broni, każdy ruch wojowników, oczekując krwawego rozwiązania pojedynku. Kilkadziesiąt tysięcy obywateli, błogosławionego przez bogów miasta Darnat, będzie robić zakłady, kto zwycięży w tej walce. Ktoś dzisiaj wyjdzie z cyrku bogaty, a ktoś straci wszystko, stawiając na zwyciężonego. Z areny dzisiaj wyjdzie żywy także tylko jeden. Taki jest warunek każdego pojedynku, na część bogów Darnatu, postawionego jej przez Szabaka, sekretarza Abnuna, właściciela Dużego Cyrku.

Doszła do końca korytarza, wyprostowała się, stanęła przed wrotami czekając, kiedy odzwierni, przebrani za demony śmierci, otworzą je. Jeszcze nie widziała areny, ale mogła słyszeć ryk wielotysięcznego tłumu na trybunach cyrku. Była spokojna. Przez trzy lata swojej kariery, uczestniczyła w stu trzydziestu pięciu pojedynkach i prawie zawsze bogowie ojców sprzyjali jej – tylko dwa razy odniosła poważne rany, zagrażające życiu. Brała udział w walkach parami i w grupowych: jej przeciwnikami byli lekcy i szybcy włócznieci-retarii i ciężkozbrojni miecznicy, walczący toporami i drągami, jeźdźcy i powożący rydwanami, ludzie, zwierzęta i złośliwe potwory, dostarczone do Darnatu z dalekich ziem przez odważnych myśliwych. Zabijała wszystkich. Dzisiaj jednak spotka się z niezwykle przeciwnikiem. Nigdy jeszcze, na arenie Dużego Cyrku, nie walczyli wręcz: człowiek i Ork.

Ogromne bębny, z przeraźliwym skrzypem nawijały na siebie potężne, żelazne łańcuchy, skrzydła zaczęły się rozchyłać i w twarz uderzyło jaskrawe, słoneczne światło, pożądane zwłaszcza po mroku kubikulów i korytarza, którym podążała. A potem, zobaczyła arenę – dziewiczo-czystą, śnieżnobiałą od pokrywającego ją najczystszej morskiego piasku. Ruszyła do środka sprężystym, lekkim krokiem i wtedy okryła ją fala zachwyconych okrzyków i oklasków. Uwielbiała te chwile – dla nich warto było ryzykować życiem. Zobaczyła oczy widzów; tysiące mężczyzn patrzyło na nią z pożądaniem, tysiące kobiet – z zawiścią. Od dawna była dla tych ludzi bohaterką, wcieleniem siły i odwagi. Tak było do dziś. Jej piękno, odwagę i okrucieństwo wysławiano w wierszach, a wysoko postawieni mężczyźni cesarstwa zabiegali o jej względy. Witają ją jak, nie witają na ulicach Darnatu samego szofieta – Cień Bogów na Ziemi, władcę tego miasta. Oderwawszy spojrzenie od przepelnionych trybun, zobaczyła w centrum areny swojego wroga.

Ork był ogromny. Wyższy od niej o łokieć i dwa razy masywniejszy. Gęsto porośnięta czarnymi włosami pierś grała żelaznymi mięśniami, krzywe nogi wyglądem i mocą przypominały dębowe konary, twarda grzywa sterczała. Kiedy

ruszyła w kierunku przeciwnika, jego oczy zapłonęły czerwonym blaskiem, a górna warga uniosła się w uśmiechu pogardy, odsłaniając ostre, żółte kły. Uzbrojony był w wielką, owalną tarczę i ciężki, obosieczny topór-łabrę, o rękojeści długiej na półtora sążnia, jednakże, w jego potężnych łapskach wyglądający na zabawkę.

- Cha, kobieta! – krzyknął ochryple. – Tulkan czekać, kiedy kobieta iść z nim walczyć. Tulkan szanować kobieta. Tulkan szybko zabijać kobieta. On pokazywać głowę kobieta swoje dzieci w święta! Piękny głowa, Tulkan długo jego przechowywać.

Nie zareagowała. Nie czuła potrzeby nawiązywania dialogu z tym potworem. Dziwne jednakże, że potwór w ogóle umie mówić. Stwierdziła z satysfakcją, że do tego pojedynku przygotowała odpowiednią broń. Derak proponował wybrać włócznię, ale zdecydowała wziąć wypróbowaną i na ludziach i na zwierzętach. Kiedyś sama wymyśliła, jak przekształcić zwykły, stalowy miecz piechura, w okrutny oręż; zostawiwszy jedno z ostrzy takim, jakim jest, przy pomocy cyrkowego kowala, przekształciła drugie - w najostrzejszą piłę, której uderzenie nieuchronnie wywoływało silny krwotok i szok. Uzębiona klinga, którą ochrzczono żywiorwaczem (sama Kasta nazywała ją Pieszczotą Szanty), natychmiast stała się modna wśród wojowników, czyniąc bitwy na arenie jeszcze bardziej krwawymi i okrutnymi, ale ona była pierwsza! Ten Ork, poczuje teraz na własnej skórze jak to jest – przeoczyć nawet przypadkowe uderzenie żywiorwaczem. Tym bardziej, że nie ma na sobie prawie żadnej zbroi, tylko szeroką spódnicę z wyprawianej skóry, chroniącą dół brzucha i biodra. Trochę tnących ciosów po rękach i nogach, i wynik walki będzie przesądzony.

Podniosła oczy na trybuny, gdzie siedział szofiet, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że władca dzisiaj nie raczył pojawić się w cyrku. To była niespodzianka, boski szofiet nigdy nie przepuszczał starcia z jej udziałem. Miejsce władcy zajmowała jego młoda żona, urocza Kuati, córka króla Saisy, Zurappy i najpiękniejsza kobieta Darnatu, obleczone w purpurę i bisior, iskrząca się klejnotami wielkiej wartości. Kaście zdawało się, że w szmaragdowych oczach ślicznotki zobaczyła coś więcej, niż zwykle zainteresowanie. Patrzyła na nią z zachwytem. Ale dlaczego Kuati dziś samotna? Bardzo dziwne, że sam władca opuszcza tak niezwykłą walkę. Boski Ras-Nawan, szofiet Darnatu jest wielkim amatorem wojennych zabaw, o tym wiedzą wszyscy. Być może, władca zasłabł? Czy też obojętność wobec pojedynku, ma być trwożnym sygnałem dla samej Kasty, znakiem monarszej niełaski?

- Kobieta się boi! – ryknął Ork, wyprowadzając Kastę z zadumy. – Wtedy Tulkan napadać pierwszy!

Powiedział – i skoczył, pod zgodny ryk trybun. Ciężka, ostro zakończona łabra zamigotała w powietrzu i Kasta, dosłownie w ostatnie chwili, zdążyła osłonić się tarczą. Nawet ślizgające się uderzenie łabry zmusiło ją do zachwiania się. Oprzytomniała momentalnie. W szybkim piruecie odskoczyła w prawo i przeciągnęła mieczem po ręce z toporem, ale nie obliczyła odległości. Ork wciągnął kosmatą głowę w ramiona, zaryczał i wyprowadził nowe uderzenie. Tym razem bez wysiłku uniknęła ciosu, zalotnie uśmiechnęła się do Orka –wiedząc, że to wyprowadzi z równowagi przeciwnika.

- No, dawaj, brzydal, czemu stoisz? – krzyknęła - czy już się zmachałeś?

Ork spróbował dosięgnąć dziewczynę bocznym, siecznym uderzeniem, ale ostrze łabry tylko zaczęło o brzeg tarczy i Kasta się uśmiechnęła. Jeśli bogowie nie pozwolą jej przeoczyć przypadkowego uderzenia, to ten pojedynek jest przesądzony na jej korzyść. Ork jest zbyt powolny, niezgrabny i prostolinijny, a i topór, to broń, którą niewygodnie walczyć z miecznikiem. Zaraz go połaskocze...

Tulkan przewidział atak przeciwniczki i sprawnie odskoczył w bok – zębate ostrze ze wstrętym zgrzytem drapnęło po tarczy. Potem, przez pewien czas, krążyli po arenie, świdrując się drapieżnymi spojrzeniami. Cyrk ucichł – wszyscy, wstrzymując oddechy, czekali na nowy atak, starali się nie przepuścić momentu, kiedy wreszcie się poleje pierwsza krew.

Kasta nie przestawała się uśmiechać. Po tym, jak Ork znów spróbował dosięgnąć ją zamaszystym, bocznym uderzeniem łabry, posłała mu powietrzny pocałunek, wywołując śmiech na trybunach. Ork zaatakował znów. Dziewczyna łatwo zrobiła unik, przebiegła koło Tulkana na palcach i stanęła, wystawiając przed sobą tarczę i odprowadzając rękę z żyworwaczem do tyłu, jak by zapraszając do ataku.

- Chcesz mnie? – krzyknęła. – Spróbuj przystojniaku. Będę kochać cię do śmierci.

Na trybunach rozległ się śmiech. Tulkan wyszczerzył kły i nagle skoczył do przodu. Tym razem nie rąbał, a po prostu uderzył rękojeścią, trafiając w środek tarczy. Kastę odrzuciło, jakby ją uderzono taranem. Ork ryknął, powtórzył atak, wzmocniwszy uderzenie w tarczę dziewczyny wściekłym skokiem. Trybuny ryknęły – najlepszy wojownik Darnatu, niezwyciężona amazonka, upadła na wznak i przeraźliwie krzyknęła. Wtedy Ork zrobił to, czego się nikt nie spodziewał. Z uniesionym toporem, odszedł na krok i zachrypiał:

- Wstawać, kobieta! Tulkan nie bić leżący!

Wypluwając piasek, podniosła się. Tysiące oczu, ze zdumieniem, patrzyły na nią, a ona - na przeciwnika. Tulkan stał spokojnie, z położoną na ramieniu łabrą i czekał, kiedy dziewczyna oprzytomnieje. Zobaczyła jego dziwne spojrzenie – w oczach nie było ani wściekłości, ani pragnienia krwi. Patrzył z zainteresowaniem, jakby starał się lepiej jej przyjrzeć.

- Cha! – krzyknął. – Wstawać, bić się! Ty piękna kobieta i Tulkan chce zabijać cię pięknie.

- Ale jest próżny - pomyślała skołowana. - Jest też szlachetny, niech go lichy – cyrk, to zupełnie nie to miejsce, gdzie należy przestrzegać kodeksu wojownika, ale widać, że respektuje reguły świętej walki, nawet tu. Jednakże, takich ciosów więcej nie wolno przepuszczać. Po uderzeniu toporem, lewa ręka omdlała, tarcza mocno pogięta, ale ran żadnych nie odniosła. Wydawało się, że na brzydkiej twarzy orka ukazała się triumfująca drwina. Widocznie uznał, że jest zaledwie słabą dziewczuchą, którą można przyklapnąć, jak natrętą muszkę. Najwyższy czas sprzątnąć tą drwinę z jego fizjonomii!

Rzuciła się do przodu. Refleks zazwyczaj miała dobry i ratował ją w pojedynku ze zwierzętami i monstrami. Tego, jak żyworwaczem rozpruła skórę orka, nie zobaczyła, a poczuła całym ciałem. Odskoczyła, zasłaniając się pogniecioną tarczą i ze złośliwą radością stwierdziła, że jego twarz zniekształcił ból, a piasek pod nogami, w oczach nasiąka ciemną krwią. Zębate ostrze, znalazło jednak żyłę na biodrze Tulkana.

- Nie, to ja ciebie zabiję pięknie - powiedziała złowrogo.

Tulkan oprzytomniał, ruszył do przodu. Natychmiast zauważyła, że jej przeciwnik wyraźnie utyka. Zaczął zadawać potężne, zamaszyste uderzenia toporem, rąbiąc jak rzeźnik, ale nie wszystkie trafiały celu – Kasta unikała ich z gracją, która wywołała na trybunach ryk zachwyty i burzę oklasków. Potem, wyczuwając moment, dziewczyna sama zaatakowała i znów żyworwaczem dosięgła celu. Tym razem uderzenie trafiło w bok, rozrywając skórę i mięśnie.

Trybuny zachłystywały się okrzykami zachwyty. Teraz mało kto wątpił, że zwycięstwo jest po stronie człowieka. Piasek na arenie pokrywały wciąż nowe,

purpurowe plamy. Przeciwnik razem z krwią tracił siły i nadzieję. Nawet tak wytrzymała i silna istota, nie będzie w stanie długo walczyć z takim krwotokiem. Zaprawdę, bogowie lubią Kastę – dzikuskę! Znowu zwyciężyła. Oto znów poszła do przodu, napiera, zadaje uderzenie za uderzeniem. Ejże, patrzcie, po raz trzeci zraniła tego brzydala! Chwała Kaście! Chwała Niezwyciężonej!

- Dobij! – donosiło się z trybun. – Dobij!

Ork z trudem odpierał wirtuozowskie ataki. Na jego rękach i nogach ukazało się jeszcze trochę szarpanych, krwawiących ran, twarz stała się całkiem szara, oddech – przerywany. Nie śpieszyła się; zwycięstwo od niej nigdzie nie ucieknie, lepiej uważać na siebie, by nie podstawić się niechcący pod uderzenie strasznej łabry, której jeden dokładny cios wystarczy, żeby zostało po niej mokre miejsce. Ork jest ranny, spływa krwią, ale oczy jego, po dawnemu, palą się bojowym blaskiem i siły ma jeszcze dosyć.

- Kobieta ciągnąć czas. Kobieta żałować - nagle zachrypiał. – Pora kończyć. Tulkan gotowy umierać.

Zrozumiała. Tulkan uznał porażkę i wszystko, czego teraz chce, to umrzeć szybko i godnie. Skinąwszy Orkowi, błyskawicznie skoczyła do przodu i uderzeniem tarczy zbiła przeciwnika z nóg. Ryk siedemdziesięciotysięcznego tłumu ogłuszył ją.

- Zabij! Zabij Orka! – krzyczeli ze wszystkich stron. – Wykończ tę padlinę! Kas-ta! Kas-ta!

Tulkan leżał bez ruchu i ciężko oddychał. Krwawa kałuża coraz bardziej rozlewała się pod nim, ale Kasta nagle zrozumiała, że Ork w starciu nie otrzymał ani jednej śmiertelnej rany. Krew była ciemna i wyciekała powoli, ale obficie – żyworwaczem nie przecięła ani jednej arterii. Tulkanowi się poszczęściło. Z takich ran się wylizują. Chociaż, o jakim szczęściu mowa, skoro odważnemu Orkowi pozostało zaledwie kilka chwil?

Zabij! – grzmiało w uszach dziewczyny. – Dobij!

Nagle przypomniała sobie o żonie szofieta, ślicznotce Kuati. Ciekawe, czy ona też żąda śmierci tego Orka? Podniosła oczy – Kuati nadal siedziała na rzeźbionej ławeczce i patrzyła na nią. W ogromnych, jasnych oczach czaił się wstręt, a bladej twarzy nie mogła skryć nawet warstwa maskującego pudru. Walka nie dostarczyła jej przyjemności, obfitość przelanej na arenie krwi wystraszyła ślicznotkę, a nadchodzący finał starcia wywoływał w niej tylko strach i obrzydzenie.

Kasta odwróciła oczy od trybuny szofieta i podniosła miecz. Tulkan skinął jej i odrzucił głowę, żeby odsłonić gardło.

- Kobieta zwyciężyć - powiedział ze zmęczeniem w głosie. – Zabić szybko.

- Nie! – Kasta dopiero po upływie pewnego czasu zrozumiała, że to ona mówi. – Chcecie jego śmierci? Przysięgam na Gawana, nigdy! Jestem wojownikiem, a nie rzeźnikiem. Jeśli ktoś chce, niech sam przyjdzie tu i dobije rannego. Walczył uczciwie i odważnie. Nie chcę zabijać!

Krzyki umilkły, nad ogromnym cyrkiem zawisła cisza. Jeszcze nigdy wojownik nie sprzeciwił się woli publiczności. Co więcej, łaska została darowana nie człowiekowi, ale drapieżnemu i brzydkiemu potworowi. Kasta nie patrzyła na tych ludzi, oczekujących widowiska śmierci, rozczarowanych niezrozumiałym i niespodziewanym rozwiązaniem. Znowu skierowała spojrzenie na królową Kuati i tylko jej decyzja mogła teraz uratować albo zgubić rannego.

Kuati powoli podniosła się z ławeczki. Oczy jej były zimne i puste. Ale wcześniej, zanim porzuciła trybunę, władczyni Darnatu zdjęła z palca pierścień i rzuciła na arenę, do nóg Kasty. Widzowie przyjęli ten królewski gest triumfalnym rykiem.

- Długo myśleć - powiedział Ork i w jego żółtych oczach mignęło zdziwienie.
- Zabijać!

- Nie - Kasta podniosła z piasku migocący purpurowym ognikiem pierścień i ukloniła się w tę stronę, w którą, z burzą owacji, oddalała się małżonka szofieta i jej świta. - Niech ktokolwiek inny wypuści ci jelita. Ja nie chcę.

- Zwariowałaś! – powiedział stary Derak, kiedy wyszła z Bramy Zwycięzców i mogła nareszcie napić się, i wytrzeć pot z twarzy. – Dlaczego nie zabiłaś tego potwora? Organizatorzy gry są bardzo niezadowoleni. Uważaj, byś tego nie żałowała!

- Grozisz mi, staruszkule? – spytała spokojnie, zaczerpnąwszy kubkiem nową porcję wody z wiadra.

- Ach, córeczko, nie chcesz posłuchać mojej dobrej rady! Orka specjalnie dostarczyli do cyrku, żeby zabić, czy tego nie rozumiesz? Wszyscy chcieli widzieć, jak odważna Kasta wykończy potwora. Przecież, to był tylko Ork. Tępy, okrutny drań. Mówią, że oni jedzą ludzkie mięso. Zawiodłaś ich nadzieje. Teraz publiczność odwróci się od ciebie. Twoja sława zgaśnie, córeczko i to z powodu głupiego, niezrozumiałego dla mnie współczucia.

- Głupiego? – zmrużyła oczy. – A widziałeś, jak na początku walki, kiedy straciłam równowagę i upadłam, ten potwór pozwolił mi stanąć na nogi? Ani jeden z tych psów, z którymi walczyłam na tej arenie, nie postąpił równie szlachetnie jak ten Ork. Niech lekarze szybko go opatrzą. Jeśli nie umrze z utraty krwi, to szybko wyzdrowieje i rozbije na arenie jeszcze niemało ludzkich głów, sprawiając radość temu krwiożerczemu bydlu.

Stary lanista nie odpowiedział i odszedł, smutno kiwając głową. Jednakże Kasta już o nim nie myślała, bo podszedł do niej pomocnik dysponenta gier Szabak, młody mężczyzna, w jedwabnej tunice i złotym naszyjniku.

- Rozklejasz się bohaterko - zaczął z pogardliwym uśmieszkiem. – Wcześniej zabijałaś nie zastanawiając się.

- Wcześniej byłam głupia, teraz zmadrzałam. Przyniosłeś pieniądze?

- Oto one - podał dziewczynie woreczek ze złotem. Kasta zajrzała do niego.

- Tylko dziesięć sakkarów - powiedziała groźnie, patrząc na Szabaka. – Umawialiśmy się na dwadzieścia pięć.

- Kiedy szlachetny Abnun zawierał z tobą umowę Seltonko, był przekonany, że zobaczy na arenie Kastę-Wojowniczkę, Kastę-Morderczynię. Ale ty dzisiaj zasłużyłaś na przezwisko Kasta-Beksa.

- Pewnie myślisz, że teraz się rzucę, by rozkwasić twoją ładniutką gębę? – powiedziała spokojnie dziewczyna, chociaż wewnętrznie wrzała. – Tak by było, draniu! Ale prawo broni takich małych brudasów jak ty i twój gospodarz. Poczekaj, nadejdzie dzień, kiedy sam przepętniesz do mnie i będziesz błagać, abym wystąpiła na tej po trzykroć zaszrannej arenie! Teraz zmiataj stąd, bo mogę zapomnieć o prawie.

- Głupia dziwka! – Szabak uśmiechnął się, ale w jego oczach czaił się strach. – Uważaj, aby twoich szalonych słów nie przekazano wyżej, do Domu Słońca.

- Dzisiaj Słońce, z Domu Słońca, była na przedstawieniu i w jej oczach wyczytałam prośbę o miłosierdzie - odpowiedziała - choć podobni tobie szakale żądali krwi tego biedaka. Wiem, do jakich bogów się modlić. Piętnaście sakkarów pozostaje u ciebie Szabak i tej brzuchatej ropuchy o imieniu Abnun. Pewnego dnia przyjdę, aby zażądać zwrotu.

- Przyjdiesz, a jakże! – Szabak wykonał obraźliwy gest w stronę Kasty. – Szybciej niebo upadnie na ziemię, albo pocałujesz swój barbarzyński tyłek. Droga do cyrku od dziś jest zamknięta dla ciebie, żalosna Seltonko. Na zawsze.

Wiele miast jest na tacy Wszechświata i każde z nich, na swój sposób, jest lubiane przez nieśmiertelnych bogów, ale nie ma bogatszego i piękniejszego, niż stolica Siedmiu Mórz. Święte miasto Igierabała, sławny Darnat.

Młody szofiet Ras-Nawan, Stróż Słońca, patrzył z balkonu swojego pałacu na ogromną zatokę Darnatu i serce jego przepełniała duma. Czyż jeszcze, gdziekolwiek, jest taki port? Chyże triremy i ogromne pięciopokładowe, handlowe gieptaresy, ze Złotej Góry wydają się zabawkami, zaciśniętymi w Dłoni Igierabała – tak darnatczycy nazywają swoją zatokę. Cała ta flota podlega jego władzy. Całe to miasto, gdzie świątynie, pałace i ogrody są tak wspaniałe, że nawet nieokrzesani barbarzyńcy zamierają z zachwytu, trafiając na ulice Darnatu. Na rozkazy szofieta czeka pięćdziesięciotysięczna armia najemników, z ogromną flotą, składającą się z tysiąca statków, gotowa zniszczyć każdego wroga. Dla szofieta nie ma niczego niemożliwego. Jedno słowo – i darnatcy kupcy rzucą do jego stóp niezliczone skarby, zgromadzone przez wiele pokoleń. Jedna aluzja i tajni mordercy uwolnią go od wroga, nawet, jeśli będą musieli udać się po jego głowę na krańce ziemi. Jedno wypowiedziane życzenie i nadworni magowie zdołają obudzić tajemne, nienazwane moce, żeby wykonać wolę szofieta. Zaprawdę, tylko wybrany najwyższymi siłami, w niespełna dwudziestu latach życia, może posiadać tak wielką władzę! Jednakże, dlaczego jego serce przygniała ciężar i dlaczego tak często nachodzą go smutne myśli? Czyż nie dlatego, że wszyscy bogowie są mu przychylni, i tylko jedna kapryśna bogini, skąpi mu swojej łaski?

Jedna-jedyna bogini. Wspaniała Kua, obdarowująca śmiertelnych miłością.

- Łukkar! – zawołał półgłosem.

Jeden z dwóch, wspaniałe wystrojonych dworzan, który wszedł do pokoju kilka chwil temu i niezdecydowanie zastygł za plecami władcy, drgnął, drobnymi i pośpiesznymi krokami zbliżył się do szofieta, upadł do jego nóg.

- Dostarczyłeś moje prezenty?

- Tak, o Promienny!

- Wspaniała Szemmier-Ta-Nat przyjęła je?

- Nie wyszła do mnie, o Promienny. Wręczyłem je majordomusowi Uzmaja i ten przysiągł, że wyjątkowa Szemmier-Ta-Nat jeszcze dzisiaj oceni ich bogactwo i piękno.

- Powiedziałeś o moim zaproszeniu?

- Oczywiście, o Promienny. Majordomus zapewnił mnie, że wszystko przekaże swojej pani.

- Dobrze, Łukkarze, jestem z ciebie zadowolony. Wyciągnął rękę do pocałunku i Łukkar natychmiast przylgnął do niej wargami.

- Chcesz coś powiedzieć, Gawaor? – nie odwracając się, zapytał drugiego dworzanina.

- Monarcho, przybył wasz wuj, naczelny kapłan Szat-Cebu. Mówi, że władca wyznaczył mu audiencję w południe.

- Słusznie, zupełnie o tym zapomniałem... Zaproś go tu, Gawaorze. Możecie obaj odejść.

Dworzanie, kłaniając się i zamiatając marmurową posadzkę swoimi szerokimi rękawami, wysłiznęli się z pokoju. Szofiet skierował znów spojrzenie na zatokę. Woda w słonecznym świetle wydawała się przejrzysto-zielona, po chwili ciemno-niebieska. Jego żona, Kuati, ma oczy zielone, a Szemmier – niebieskie. Ostatnio, z jakiegoś powodu, zaczynał preferować kolor niebieski.

Wizytę naczelnego kapłana, Ras-Nawan przyjął z zadowoleniem. Władca Aszran, jako jedyny związany z dworem, jeśli nie liczyć Łukkara i Gawaora, wie o

jego tajnej namiętności. Ku zdziwieniu szofiety, Aszran przyjął spowiedź młodego króla ze zrozumieniem. Być może dzisiaj Ras-Nawan usłyszy od zwierzchnika kapłańskiego kolegium Szat-Cebu rzeczową radę, jaką kochający wuj zawsze znajdzie dla ukochanego siostrzeńca.

Kapłan, wspaniale ubrany i roztaczający aromat drogich pachnidła, wszedł powolnym i dostojnym krokiem – jego władza w Darnacie jest prawie równa władzy szofiety, dlatego nie ma potrzeby w trakcie wizyt rodzinnych zamęczać siebie wzajemnie, niepotrzebnymi ceremoniami. Wymieniwszy pocałunki – jedyny punkt nadwornej etykiety, której władca Aszran zawsze przestrzegał – kapłan ostrożnie, żeby nie zagnieść fałd na swojej wspaniałej szacie, opuścił się na ławę. Ras-Nawan stał nadal.

- Tu, możemy mówić spokojnie – powiedział. – Nikt nam nie przeszkodzi.

- Rad jestem widzieć cię w dobrym zdrowiu, siostrzeńcze. Niektórych zdziwiło, że dzisiaj nie obserwowałeś walk. Taką nieuwagę, wobec cyrkowego przedstawienia, potraktowano nawet jako oznakę twojego niedomagania.

- Nie chciałem patrzeć na tę rzeźnię. Ale już, jeśli o tym wspomniałeś, to opowiedz, czy było dzisiaj na arenie coś godnego uwagi?

- Po pierwsze, było dużo krwi. Abnun nie zawiódł naszych oczekiwań. Zwierzęta były wspaniałe.

- A po drugie?

- Twoja ulubienica Kasta pokonała Orka, jednakże darowała mu życie, chociaż cały cyrk żądał, aby go zarżnąć.

- To podobne do Kasty – uśmiechnął się szofiet. – Jest jak dzika kotka, nie da się oswoić. Dlatego, dotychczas nie wziąłem jej do swojego domu. Uczynię z niej swoją nałożnicę, a ona mnie zarżnie, cha-cha-cha! Abnun podobno był wściekły?

- Jeszcze jak! Myślę, że grubas ze strachu, jeszcze teraz oblewa się krwawym potem. Przecież obiecał ci, że Kasta wykończy Orka.

- Nie mogę się gniewać na Kastę. Ma swoje zdanie, jak nieokiełznana kobyła, ale... piękna. Pięknej kobiecie, wiele się wybacza.

- Jeśli pozwolisz siostrzeńcze, taka samowola jest niedopuszczalna. Walki w cyrku nie są tylko widowiskiem, ale i składaniem ofiary bogom, powinny kończyć się śmiercią uczestników.

- Mało mnie to wszystko obchodzi. Myślę o czymś innym, wuju.

- O sprawach państwowych? Czy też o niebieskookiej dziewczycy ze świątynnego kwartału?

- Mam nadzieję, że zachowałeś w tajemnicy naszą rozmowę.

- Nie musisz się niepokoić, kapłani potrafią milczeć. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to nie powinienesz folgować swoim uczuciom. Twoja żona Kuati jest urocza i radziłbym ci zwracać większą uwagę na nią, a nie na córeczkę kupca.

- Wuju, to jest silniejsze ode mnie. Już drugi tydzień próbuję okiełznać swoją namiętność, która jednak rozpala się coraz mocniej.

- Dlatego, że jesteś młody. W twoim wieku miłość jest podobna do obłądu – pochłania nas całkowicie i zmusza do głupich i nierozważnych czynów. W końcu, jesteś szofietem, wcieleniem słońca na Ziemi. Możesz wziąć do swego łóżka każdą kobietę, jakiej sobie zażyczysz. Weź w takim razie Szemmier-Ta-Nat i nikt nie odważy się osądzać cię.

- A ojciec Kuati? Zapominasz wuju, że jestem żonaty od czterech miesięcy. Ten świat jest tak urządzony, że mojego związku z Szemmier-Ta-Nat nie ukryjemy przed oczami ludzi. Słuchy i plotki roznoszą się lotem błyskawicy. Król Zurappa

będzie obrażony, jeśli dowie się, że dzielę łożę nie tylko z jego córką. Wydaje mi się, że nie kocham Kuati i nigdy jej nie kochałem.

- Z racji stanu, powinienes zapłonąć do niej najgorętszą miłością, aby jak najszybciej urodziła ci spadkobiercę - poważnie powiedział kapłan.

- Wiem wuju, wiem! Jej ojciec oczekuje tego samego. Tak byłoby najlepiej i najrozsądniej. Jednakże bogini Kua znęca się nade mną. W moim sercu nie zostało miejsca dla żony.

- Bogowie czasami żartują ze śmiertelnymi - rzekł Aszran - dlatego przyjmuj to wszystko, jak żart. Niedługo święto morza i powinienes pomyśleć, czym ucieszyć morskiego władcę Igierabała. Przecież, właśnie ten bóg patronuje Darnatowi.

- I ty to mówisz, kapłan Szat-Cebu? Czegoś tu nie rozumiem, wuju.

- Zaraz zrozumiesz - Aszran złączył palce rąk, podniósł wzrok na malowany sufit, jakby tam zamierzał przeczytać to, co teraz opowie władcy. – Bóg Szat-Cebu jest zadowolony z ciebie, siostrzeńcze. Nasze sprawy przedstawiają się o wiele lepiej, niż za czasów twojego ojca i mojego umiłowanego brata, wieczny mu pokój! Saisa nie jest dla nas wrogiem - twoje małżeństwo ze wspaniałą Kuati uczyniło nas sojusznikami, a także na południu dzikie plemiona uspokoiły się. Miasta Pięciorzecza uznały twoją władzę, a przecież jeszcze rok temu, tam przechowywano buntowników. Prawda, na zachodzie teraz, po dawnemu, niespokojnie, a wszystko z powodu przekłętej Sabei. Ich piraci nadal napadają na nasze statki handlowe.

- No i co?

- A to, że powinniśmy wzmocnić naszą flotę. Oczywiście, flota Darnatu także teraz jest mocna i niezwyciężona, ale nic nie zaszkodzi dolać jeszcze oliwy do lampy, nawet, jeśli płomień jej jest jaskrawy.

- Kontynuuj. Na razie, nie mogę zrozumieć, do czego dążysz.

- Władca powinien zajmować się sprawami państwowymi - zagadkowo powiedział kapłan - a co może bardziej spodobać się bogom, niż ufortyfikowanie umiłowanego miasta? W dniu Morza zakomunikujesz Radzie Doświadczonych, że zamierzasz zbudować nowe statki, aby rozciągnąć naszą władzę nad całym morzem Zielonym. I zbudujesz je – potężną armadę, która rozprawi się z sabejskimi rozbójnikami i ich stolicą Gale, tym wrzodem na czole oceanu. Kiedyś twój ojciec chciał podbić Sabeję, ale śmiertelna choroba przeszkodziła mu. Ty, nie on, doprowadzisz wielki zamiar do końca. Zniszczysz legowisko sabejskich rozbójników i zasłużysz na łaskę bogów i wdzięczność swojego narodu.

- Zacząć wojnę z Sabeją? O ile pamiętam, zaczęliśmy rozmowę o czymś innym, wuju.

- Oczywiście, mówiliśmy o niebieskookiej ślicznotce. Jej ojciec jest jednym z najbogatszych kupców Darnatu. Czy wiedziałeś o tym?

- Ma się rozumieć, wuju, wiem, że jej ojciec Uzma jest bogaczem jakich mało. I co z tego?

- Do budowy nowych statków potrzebne są pieniądze.

- I proponujesz mi...

- Przecież zarządy gildii kupieckich Darnatu nie odmówią ci, jeśli zechcesz wziąć od nich pieniądze na budowanie nowej floty. Obaj wiemy, że Uzma, ojciec naszej ślicznotki Szemmier-Ta-Nat, posiada największe w Darnacie prywatne stocznie.

- Ale, co wspólnego z tym ma Szemmier-Ta-Nat?

- Uczynisz jej ojca nadwornym budowniczym okrętów, a to wysokie stanowisko. Co więcej, przecież nie przypadkowo prosiłem cię, żebyś pocieszył kapłanów Igierabała. Oni mogą, jeśli zechcą, darować nadwornemu budowniczemu

floty wysoki tytuł Syna Morza. Kiedyś, w dawnym Darnacie, Syn Morza był drugim człowiekiem po szofiecie.

- Proponujesz mi wywyżżyć jakiegoś nisko urodzonego kupca? Ale jaki w tym cel? Bogowie, nie nadążam za zmyślnym spletem twoich myśli, wuju!

- Otóż cała sprawa odnosi się do niskiego urodzenia. Możesz wziąć Szemmier-Ta-Nat do swego domu. Jesteś szofietem i tobie wszystko wolno. Ale dziewczyna jest zbyt niskiego pochodzenia i twoje obcowanie z nią będzie wyglądać w oczach króla Zurappy, jak przygoda z hulaszczą dziewczką. To źle. Ale wszystko zmieni się, kiedy jej ojciec będzie wywyższony. Jeśli Syn Morza liczy się według naszych dawnych praw, jako równy wyższym wielmożom, to dlaczego szofiet nie może wziąć do swego łóża jego córki?

- Przysięgam na oczy Kui, masz rację! – w spojrzeniu Ras-Nawana pojawił się błysk, młodzieniec rzucił się do kapłana i objął go. – Mój teść Zurappa osądzi mnie, jeśli wezmę po prostu nałożnicę, tym samym poniższy jego córkę, ale nie będzie w stanie kwestionować naszych obyczajów!

Zawrzesz ze wspaniałą Szemmier-Ta-Nat rytualne małżeństwo, które wcale nie wyklucza zmysłowych zbliżeń. Małe oszustwo, ale w jego wyniku otrzymasz jednocześnie trzy rzeczy, które uczynią cię jeszcze większym i szczęśliwszym; niebieskooką dziewicę, pieniądze kupców i nowe statki, które wzmocnią Darnat na zachodzie i przy tym zachowasz swoją twarz przed surowym teściem - podsumował Aszran. – Zagrożenie ze strony Sabei wszystko usprawiedliwi. Oto jak rządzą wielcy władcy, siostrzeńcze.

- Wuju, ty naprawdę jesteś skarbnicą mądrości! Jednakże święto Morza będzie już w następnym tygodniu. Mamy mało czasu.

- To oznacza, że już za tydzień zaczniesz się cieszyć wdziękami Szemmier-Ta-Nat i żadne zazdrosne żony i ich ojcowie nie przeszkodzą ci w tym. Zaufaj mi i przygotuj dwa dekryty – o budowie nowych statków i o powołaniu Uzmaja jako głównego, nadwornego budowniczego statków. To jest na twojej głowie. A kapłanów Igierabała biorę na siebie.

- Zrobię to jeszcze dziś! – Ras-Nawan dosłownie promieniował szczęściem. – Po spotkaniu z tobą, zbiorę Radę i ogłoszę decyzję o wzmocnieniu floty.

- I bogowie hojnie wynagrodzą cię - Aszran podniósł się z ławy, z powagą pocałował go w czoło. – Do następnego spotkania, siostrzeńcze. Niech Szat-Cebu pobłogosławi twoją rękę i twój rozum! Jestem szczęśliwy, że pomogłem ci podjąć słuszną decyzję, dla twojego dobra i dobra całego Darnatu!

- Do tego właśnie są potrzebni mądrzy doradcy, wuju!

- Nie każdy władca ich słucha - powiedział Aszran, kierując się do wyjścia. – Ale mnie bogowie obdarzyli rozumnym siostrzeńcem. Otrzymasz to, czego pragniesz całym sercem. Nigdy nie rzucam słów na wiatr. Ale najpierw chcę ci coś powiedzieć. Przyszedł czas porozmawiać o sprawach państwowych i sprawy te, mój drogi, są wielkiej wagi. Dwa dni temu, do mojej świątyni, przyszedł tajny przedstawiciel pewnego szezańskiego maga, który prosi o spotkanie. Zgodziłem się na nie.

- Szezański mag? – Ras-Nawan gwałtownie obrócił się na obcasach, zrobił krok w stronę kapłana. – Tu w Darnacie? Postanowiłeś się spotkać z nim? I tak spokojnie o tym mówisz?

- Tak, ponieważ zamierzam wyjaśnić, co zamyślił ten mag. Szezańscy szpiedzy wcześniej też przenikali na nasze ziemie, ale jeszcze nigdy posłaniec Kręgu Czaszy nie szukał spotkania z naczelnym kapłanem Darnatu. W tym jest coś niezwykłego. Postanowiłem spotkać się z nim i dowiedzieć się, czego chcą.

- Na Igierabala! Tajny poseł, śmiertelnego wroga naszego cesarstwa, szuka z tobą spotkania i jesteś taki spokojny?! Dobrze, że powiedziałeś mi o tym. Idź zatem i postaraj się poznać ich plany. Gdzie wyznaczono spotkanie?

- W Starym Mieście. Błagam cię, siostrzeńcze, nie trzeba żadnej straży i detektywów. Jeśli Szeranita cokolwiek będzie podejrzewał, przytrafi mi się nieszczęście. Tylko jednemu Szat-Cebu jest wiadome, jakimi sekretami czarnej magii włada ten mag. Dlatego zaufaj mi. Urządzą wszystko tak, jak trzeba. A po spotkaniu opowiem ci, czego chce od nas przeklęta królowa Erie-Dalora.

.....

W godzinę po spotkaniu z szofietem, naczelny kapłan Szat-Cebu, obleczony w prostą, ciemną szatę młodszych kapłanów, samotnie opuścił świątynię na Placu Bogów, minął święte ogrody Kui i zagłębiwszy się w dzielnicę biedoty Starego Miasta, dotarł do niepozornego domu na peryferiach Darnatu. Drzwi otworzył milczący sługa, z twarzą zakrytą przesiąkniętą dziegiem tkaniną tak, żeby były widoczne jedynie oczy.

- Prowadź do gospodarza - rozkazał. Służący wydał dziwny, nieartykułowany dźwięk, skinął głową i poprowadził kapłana w głąb domu długim korytarzem, oświetlonym tylko mętnymi, oliwnymi lampami. Aszran, ze strachem i wstrętem, obserwował swego przewodnika – domyślał się, kogo Kiris wykorzystuje w charakterze służącego. Chociaż, pewniejszych służących, niż szerańscy Milczący, trudno znaleźć. Dom był stary, zniszczony, rozchwieane deski okropnie skrzypiały pod nogami, odrapane ściany pokrywała gruba warstwa sadzy, pachniało myszami i pleśnią. Podążając za służącym, wszedł po schodach na pierwsze piętro i znalazł się w przestronnym, ale brudnym i skromnie urządzonym pokoju, gdzie już czekano na niego.

- Władco Aszranie! – szczupły, z ogoloną głową człowiek w ciemno-czerwonych szatach, stojący przy oknie, odwrócił się do gościa i oddał kapłanowi Szat-Cebu ceremonialny ukłon. – Przyszlście, uczyniliście mi honor!

- Mistrzu Kirisie - Aszran odpowiedział ukłonem.

- Przyszlście sami? – Kiris gestem odprawił służącego i zostali tylko we dwoje.

- Tak.

- Bardzo nieopatrzenie z waszej strony. Jestem po raz pierwszy w waszym mieście i nie spodobało mi się tu. Zbyt wielu ubogich i złodziei. Ta część miasta roi się od nich. Dla człowieka waszej godności i statusu, niebezpiecznie jest chodzić samotnie po biednych dzielnicach. Nie sprzeciwiałbym się, gdyby przy was była nieduża ochrona – troje-czworo ludzi.

- Chroni mnie moc Szat-Cebu - odpowiedział Aszran. – I jeszcze ta szata. Szacunek dla kapłanów w Darnacie jest bardzo wielki. Ani jeden rabuś nie ośmieli się podnieść ręki nawet na młodszego kapłana.

- Dobrze - mistrz Kiris wskazał gościowi jedną z ław, sam usiadł naprzeciw. Magowie długo milczeli patrząc na siebie. Było to ich pierwsze spotkanie. Dotychczas porozumiewali się przy pomocy szyfrowanych listów. Teraz Kiris zrobił to, czego władca Aszran nie oczekiwał z jego strony – przyjechał do Darnatu osobiście.

- Wina? – nagle spytał Kiris.

- Dziękuję, nie trzeba - Aszran zrozumiał, że czas przechodzić do sprawy. – Przeczytałem wasz ostatni list i zdecydowałem, że zasługuje na uwagę.

- Bardzo mi miło - z ironią w głosie odpowiedział mag. – Jestem rad, że znaleźliście czas na spotkanie ze mną.

- Mimo wszystko, dziwi mnie, że taki potężny człowiek, jak wy, zdecydowaliście się zatrzymać tu, w tych slumsach na przedmieściu.

- Nie miałem wyboru. Na pewno w Darnacie nie byłiby zachwyceni wizytą szerańskiego maga.

- Darnat i Szeran od dawna nie są wrogami - sprzeciwił się Aszran, dobrze rozumiejąc, że nie jest przekonujący. Kiris zaśmiał się.

- Ale i nie przyjaciółmi - zauważył. Naszego ambasadora nie ma na dworze waszego szofieta i na innych dworach też. Władanie mocą często stwarza dyskomfort, mój przyjacielu. Boją się nas – i mają rację. Mało kto rozumie nasze prawdziwe intencje. Czas Szeranu jeszcze nie nadszedł. Ale stanie się to niedługo. I dokonaliście właściwego wyboru, godząc się nam pomagać.

- Chcę...

- Oczywiście, chcecie rozkwitu i potęgi Darnatu. A to jest możliwe, jeśli władcą waszego miasta będzie godny człowiek, odważny mąż i prawdziwy czarodziej. Takim szofietem byłibyście wy, mistrzu Aszranie. Odnosnie szofieta – wyłożyliście nasz plan waszemu siostrzeńcowi?

- Tak i jest gotów go urzeczywistnić. Tylko skłania go do tego inny powód.

- Miłość! – Kiris uśmiechnął się, ale jego czarne, przenikliwe oczy pozostały zimne. – Cóż, otrzyma to, czego pragnie. I my wszyscy także, kiedy przyjdzie czas.

- Bądźmy szczerzy, jak dobrzy przyjaciele, mistrzu Kirisie. Mój siostrzeniec chce wziąć do swego łóża kobietę, w której jest zakochany, i dlatego gotowy zacząć wojnę z Sabeją. Chcę zostać władcą tego miasta i zrobić z niego ostoję Mocy nad brzegami morza. A czego wy chcecie?

- Na pewno chcesz wiedzieć o wszystkim, mistrzu Aszranie? Czasami niewiedza bywa lepsza od wiedzy. Wiedza przynosi boleść i trwogę.

- Nie ufacie mi?

- O nie! Przez dwa lata naszej zaocznej znajomości udowodniliście, że w zupełności zasługujecie na zaufanie. Po prostu, moja królowa wymogła na mnie zobowiązanie, zachowania w tajemnicy naszego ogólnego zamiaru. Magowie Czaszy także będą niezadowoleni, jeśli dowiedzą się, że opowiedziałem wam o naszych planach.

- Słowem, niczego mi nie powiecie.

- Przeciwnie - powiedział Kiris, zauważywszy przemykającą po twarzy władcy kapłanów Szat-Cebu obrazę. – Cenię was tak bardzo, że opowiem wszystko. Uważam was za swego przyjaciela i sojusznika, i nie chcę trzymać was w niewiedzy. Ale musicie uzbroić się w cierpliwość, aby wysłuchać całej prehistorii.

- Jestem na to gotowy - powiedział zniecierpliwiony. Kiris zaśmiał się.

- Co wiecie o Relikwiach Ojca Cieni, mistrzu Aszranie? – zapytał.

- Tylko to, co jest zapisane w świętych księgach.

- A właściwie?

- W świętych księgach zapisano, że dwadzieścia tysięcy lat temu, cały świat był pod władzą domu Nin i ludzie żyli tak długo, że trudno to teraz sobie wyobrazić. Król Ningirach Pierwszy, rządził pięć tysięcy pięćset lat, a jego syn Nin-Usztian siedem tysięcy trzysta. To był cudowny czas, kiedy moc i wiedza Nin przekształciły całą ziemię. Wtedy miasta budowało się ze złota i kryształu, a w ogrodach rosły rajskie owoce, podarowane przez bogów. Ludzie wtedy byli bardzo pobożni i czcili ich za ich opiekę. Trwało to do czasu, kiedy na tronie zasiadł wnuk Nin-Usztiana, Ajukka, który postanowił we wszystkim dorównać bogom – mówiąc wprost, zostać

nieśmiertelnym. Zwrócił się do Dziewięciu Wiecznych z prośbą o podarowanie mu nieśmiertelności, ale oni odmówili. Oto, co za pośrednictwem wyroczni powiedzieli Ajucce: „Człowiek – stworzenie boże i nie może być równy bogom. Wasze życie i tak trwa dostatecznie długo, że zdążycie dokonać wszystkiego, co jest ustalone dla was z góry. Żądasz niemożliwego”. Jednak Ajukka kontynuował poszukiwania nieśmiertelności i pewnego razu, do jego brylantowego pałacu w Atalu, przyszli kapłani Ojca Cieni, władcy Otchłani.

- Zgadza się - potwierdził Kiris. – Władca Ajukka przyjął od Władcy Cieni trzy dary, które razem przynosiły wielkie dobro – nieśmiertelność. Ojciec Cieni, za pośrednictwem swoich kapłanów, wręczył Ajucce Słowo Otchłani, Wieniec Otchłani i Płomień Otchłani. Dobrze znacie święte teksty, mistrzu Aszranie.

- Nasze święte teksty uczą, że wraz z Darami Ojca Cieni, spadły na ludzi wielkie nieszczęścia. Zaczęła się epoka Szu, czas panowania demonów Zacienionej Strony. Świat popadł w niekończące się przerażenie... A potem zaczął się potop, który zniszczył świat Pierwotnego Wieku. Od tamtej pory, ludzkie życie stało się o wiele krótsze i nekają nas trudy i choroby.

- Ale Dary Otchłani zostały w naszym świecie - powiedział Kiris.

- Jednak nikomu nie uda się ich odnaleźć. Ani jedna ze świętych ksiąg nie objaśnia, jakie Dary otrzymał od kapłanów Ojca Cieni głupi Ajukka.

- Szerafscy magowie to wiedzą.

- Naprawdę? – Aszran z ciekawością popatrzył na maga. – Chciałoby się poznać, co to za Dary?

- Mówiąc dokładniej, mamy opis każdego z tych Darów. Słowo Otchłani, to dwie tablice z pismami, złota i srebrna. Zawierają zaklęcia, które dają możliwość obudzenia sił dawnych władców Szu i kierowania nimi. Wieniec Otchłani jest czarodziejskim hełmem. Natomiast Płomień Otchłani - laską promieniującą światłem piekieł. Z trzech Darów, właśnie Płomień posiada największą moc.

- I co one dają?

- Trzy rzeczy, których szukał Ajukka: siłę, wieczną młodość i nieśmiertelność. To, co posiadali ludzie w epoce Nin i Szu.

- Mam rozumieć, że rozporządzacie tymi Darami?

- Na razie tylko jednym – Słowem Otchłani. Ale wiemy, gdzie szukać pozostałych dwóch i szybko będziemy mieli je w swoich rękach.

- I co to wam da?

- Czyż nie rozumiesz? – Kiris wznosił ręce do góry. – Człowiek szukał, od momentu stworzenia go przez bogów, nieśmiertelności. My, magowie Szeranu, przez długie wieki próbowaliśmy odgadnąć tajemnicę nieśmiertelności i dużo osiągnęliśmy, ale nie znaleźliśmy klucza do prawdziwie wiecznego życia. Wszystkie trzy Dary, zebrane razem, przywrócą świat do czasów Złotego Wieku Szu, kiedy Ziemia była pod władzą jednego władcy, nie było wojen i ludzie żyli wiecznie, nie bojąc się śmierci. I uczynimy to, my, magowie Czaszy.

- Władcą Ziemi będzie Wasza królowa?

- A dlaczego by nie? Jejmość Margiana, jest godna absolutnej władzy, jak nikt inny. Jeśli znacie godniejszego monarchę, proszę podać jego imię. Znacze takiego?

- Niezupełnie rozumiem, co z tym wspólnego ma Sabeja, mistrzu Kirisie - Aszran uniknął odpowiedzi, zmieniając temat. – Wyjaśnijcie mi, dlaczego tak konieczne jest rozpoczęcie z nią wojny.

- Z dwóch przyczyn. Sabeja jest dawnym wrogiem Darnatu i jeśli już walczyć, to najlepiej z nią. A druga przyczyna kryje się w wiadomości, którą posiadamy. W

jednej z Tablic Losu jest zapisane, że ukryty władca Sabei może zdobyć te Dary i zostać burzycielem świata.

- Ukryty władca? W Sabei rządzi teraz małaletnia córka króla Rajmona. O jakim władcy mowa?

- Proroctwo Chłodda, występujące jako ósme, w trzynastej Tablicy, poświęcone przyszłości, nazywa tego ukrytego władcę Synem Lwa.

- Nie przypominam sobie tego proroctwa w trzynastej Tablicy.

- Może po prostu o nim zapomnieliście.

- Być może - Aszran potarł palcem swój mięsisty nos. – Wszystko mi bardzo dobrze wyjaśniliście. A teraz porozmawiajmy o najważniejszym. Co otrzymam, jeśli wam pomogę?

- To, co chcecie – tron szofieta, piękną Kuati i poparcie Szeranu. A kiedy Dary Otchłani okażą swą cudowną moc, otrzymacie jeszcze i nieśmiertelność, i władzę nad stworzeniami Zacienionej Strony. Zostaniecie jednym z magów Czaszy, mistrzu Aszranie. My nie zapominamy o swoich przyjaciółach. A tymczasem, proszę przyjąć ten oto pierścień - Kiris zdjął z palca pierścień z cudownym, niebieskawym brylantem i podał go naczelnemu kapłanowi. – To prezent od mojej pani, królowej Margiany. Prosiła, abym przekazał go wam, na znak szacunku i przyjaźni. Proszę się nie niepokoić, nie jest zaczarowany. To zwykła ozdoba, która, jak mi się wydaje, jest was godna.

- Naprawdę? – Aszran przyjął pierścień; który nawet dla niego, niedoświadczonego w tej dziedzinie, był kamieniem o wielkiej wartości. – Jestem bardzo wdzięczny królowej. Proszę przekazać jej wysokości moją wdzięczność, za cudowny prezent.

- Królowa Margiana pokłada w was nadzieję. Bardzo chce, aby dawnej, bezsensownej wrogości, między naszymi państwami, położono kres. Idzie nowa epoka i bramy prowadzące do niej otworzymy my, magowie Darnatu i Szeranu. Podbój Sabei jest pierwszym krokiem na drodze prowadzącej do realizacji naszych planów. Mamy wspólnego wroga i wspólne cele. Trzeba korzystać z chwili i zapomnieć o przeszłości.

- Umiecie przekonywać ludzi, mistrzu Kirisie. – Aszran oddał Szeranowi ceremonialny ukłon. – Opuszczam was, pełen nadziei.

- Proszę zaczekać, to jeszcze nie wszystko. Jak rozumiem, wasz młody szofiet pragnie wojny z Sabeją. Jednakże Sabeja ma świetnych marynarzy, a ich stolica, Gale, jest mocno ufortyfikowana. Krew odważnych, darnackich legionistów, będzie lać się w tej bitwie strumieniami i na lądzie, i na morzu.

- Do czego zmierzacie, mistrzu Kirisie?

- Chcę powiedzieć, że wroga nie należy lekceważyć. Tak, Darnat posiada liczną armię i świetną flotę, ale to za mało. Sabeja może przeciwstawić wam podjazdową walkę na morzu; ich flota jest znacznie mniejsza od waszej, ale mają szybkie okręty i odważnych marynarzy. Dlatego chcę wam pomóc. Potrzebujecie broni, która szybko i efektywnie zburzy morską potęgę Sabei i ułatwi zdobycie twierdzy Gale.

- Macie na myśli szczególną, bojową magię?

- Niezupełnie w tym sensie, drogi przyjacielu. Bojowa magia jest rzeczą potężną, ale ma wielkie niedociągnięcia. Dobrego, walecznego maga, trzeba bardzo długo i dużym kosztem szkolić, nie mówiąc o tym, że nie każdy może nim zostać, a zabić go może każdy idiota, celnie wysyłając w niego strzałę wartości dwóch kawaszy. Musielibyście mieć dużo czasu, aby przygotować wielu magów-wojowników do wojny z Sabeją. Jest prostszy, szybszy i tańszy sposób – po prostu

trzeba wykorzystać cudze doświadczenia i spożytkować je dla zwycięstwa nad wspólnym wrogiem.

- Cóż to za doświadczenia?

- Patrzcie - Kiris wydobył z sakiewki przy pasie małą, szklaną buteleczkę napełnioną czerwonym, fosforyzującym płynem i wrzucił do kominka. Jaskrawy błysk oślepił Aszrana - wybuchł pomarańczowy, bezdymny płomień, o takiej temperaturze, że natychmiast cofnął się od ognia – nawet w odległości pięciu kroków, było niemożliwe wytrzymać ten żar.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział Kiris, uśmiechając się: jego pociągła twarz, w purpurowych odblaskach buchającego płomienia, była demoniczna. – Proszę połać płomień wodą z dzbanu – rozpali się jeszcze mocniej.

- Co to, w imię Szat-Cebu?

- Pirokollodium. Uzyskanie jego jest bardzo proste i wytworzenie wiadra pirokollodium będzie kosztować wasz skarb państwa taniej, niż skórzany napierśnik łuczника. Wystarczy napełnić ognistą cieczą dzban, wystrzelić go z katapulty i wrogi statek migiem przekształci się w pływające piekło. Zgaszenie palącego się pirokollodium jest niemożliwe... Prawie niemożliwe. Ten specyfik rzuci Sabeję na kolana.

- Wielcy bogowie! – Aszran zrobił gest, odzégnujący złe duchy, przeniósł zdumione spojrzenie z gasnącego płomienia na Kirisa. – Ale podczas wojny trzeba dużo tego specyliku. Wytwórzycie go dla nas?

- Po co? Przekażę wam recepturę. Dzięki niej, wasi magowie będą w stanie przygotować go pod dostatkiem, by przekształcić wszystkie statki sabejskiej floty w stertę pływających głów. Nie musicie nikomu mówić, że otrzymaliście recepturę ode mnie – możecie mówić, że znaleźliście ją w starych księgach. Wasz młody władca uwierzy wam, możecie być pewni.

- To zaprawdę wielki dzień dla Darnatu! Szofiet będzie zadowolony.

- Proszę uważać to za wkład mojego kraju w ogólne zwycięstwo.

- Jestem pod wrażeniem. Więc, gdzie ta receptura?

- Oto ona - Kiris podał naczelnemu kapłanowi lakierowany tubus ze zwitkiem.

– Proszę przeczytać go, a zrozumiecie, że tańszej i lepszej broni nigdzie nie znajdziecie.

- Jeszcze dziś zbiorę magów i dam rozkaz rozpoczęcia prac związanych z produkcją pirokollodium.

- Życzę sukcesów, mistrzu Aszranie. Informujcie mnie o postępie waszych poczynąń.

- Proszę wybaczyć, mistrzu Kiris.

- Do zobaczenia.

Magowie wymienili ceremonialne ukłony i władca Aszran opuścił pokój – jego twarz promieniała ze szczęścia. Szerański mag, po odejściu naczelnego kapłana pozostał w pokoju – usiadł w fotelu, czekał cierpliwie, kiedy wróci milczący sługa, ten sam, który przyprowadził go przed rozpoczęciem rozmowy. Gdy pojawił się, Kiris natychmiast wstał.

- Fu! – służący zerwał przesiąkniętą dziegiem opaskę, zasłaniającą twarz, ściągnął z rąk grube parciane rękawiczki, także wymoczone w dziegciu. – Omal się nie udusiłam.

- Waszej wysokości nie mógł skalać nawet strój Milczących. Rozkażę podać gorącej wody, abyście się mogli umyć.

- Zdążę - królowa Margiana łaskawie podała magowi rękę do pocałowania. – Dobra robota, Kiris. Prawdopodobnie, mag zdoła przekonać chłopaka i wojna gotowa.

- Nie wątpię w to, wasza wysokość.

- Otrzymamy to, co chcemy?

- Właśnie tak. Zrobię wszystko, aby po upadku Gale przeniknąć do podziemia Sabenamu. Nowy sojusznik nie odmówi mi takiej małej uprzejmości.

- Słyszałam waszą rozmowę z Aszranem i bardzo mnie zaciekała. Opowiedz mi o trzech Darach, Kiris. – Królowa rzuciła grubą chlamidę, została w ciemnej, wełnianej tunice, przepasanej w cienkiej talii wyszywanym złotem paskiem. Kiris, mimo woli, zachwycił się władczynią Szeranu: Margiana, nawet w tym prostym stroju, była urocza i szalenie powabna. – Chyba nie powiedziałaś temu barbarzyńcy prawdy, czyż nie tak?

- Ma się rozumieć, wasza wysokość. Magowie Czaszy nigdy nie wybaczyliby mi takiej gadatliwości.

- A jaką moc, tak naprawdę, posiadają Dary?

- Trzy Dary, to trzy poziomy panowania nad dawnymi siłami Szu. Słowo Otchłani wskazuje miejsce, gdzie znajduje się wejście do tajnego miasta Szu – tam spoczywa śpiąca armia Wejeł-Zabara, ostatniego króla Imperium Nieśmiertelnych. Wieniec Otchłani uczyni noszącego, głównodowodzącym armii Zacienionej Strony. Płomień Otchłani, da swojemu właścicielowi moc, równocześnie, dwóch Stron Istnienia. Ze wszystkich trzech Darów, najpotężniejszy jest Płomień Otchłani.

- I wiesz, gdzie one są?

- Po olśniewającym zwycięstwie waszych wojsk nad Orkami pod Miara, zdobyliśmy w końcu Słowo Otchłani. W nim jest źródło naszych tajemnych wiadomości. Nasza potęga będzie oparta na wykorzystaniu Słowa. Co zaś tyczy się Wieńca Otchłani, to pośrednie znaki wskazują na to, że jest ukryty gdzieś w podziemiach Sabenamu.

- Aha, to dlatego potrzebna jest wojna z Sabeją! – roześmiała się dźwięcznie i dziewczęco. – Ale wyjaśnij mi Kirisie, czy nie lepiej po prostu wykraść Wieniec z Gale? Czy tak bardzo potrzebujemy sojuszników?

- Wykraść można, moja królowo. Magowie Czaszy nawet zamierzali polecić to naszym agentom w Gale. Ale potem, arcy mistrz Chraor, przekonał wszystkich magów o konieczności wojny. Sabeja jest naszym wrogiem, podobnie jak Darnat. Co może być lepszego dla nas, niż wojna między naszymi wrogami? Czekają ich cierpienia i spustoszenie, a wszystkie owoce zwycięstwa dostaną się nam.

- A gdzie znajduje się Płomień Otchłani?

- Tego nie wie nikt. Tylko posiadanie pierwszych dwóch Darów, może doprowadzić do głównego skarbu – Płomienia Otchłani.

- Szalenie ciekawe! Pozwól, że zwrócę ci uwagę, Kirisie, postępujesz bardzo pochopnie. Nie należało powierzać barbarzyńcy sekretu ognistego preparatu.

- Wasza wysokość, wcześniej czy później, będzie znany wszystkim. Skład preparatu jest tak prosty, że pewnego dnia, początkujący alchemik stworzy go przypadkowo i magowie Czaszy o tym wiedzą. Do naszego zwycięstwa nad Sabeją i zawładnięcia Wieńcem Otchłani, można poświęcić taki nieznaczący, magiczny sekret. Będziemy obserwować teraz, jak Aszran rozporządzi moim prezentem. Mam nadzieję, że użyje go właściwie.

- Szkoda, że Szeran nie ma swojej floty. Co teraz, Kirisie?

- Możemy wracać do domu, do Erie-Dafor, jeśli wasza wysokość nie chce jeszcze zatrzymać się w Darnacie.

- Ja? Przysięgam na Ojca Cieni! Będę chciała zobaczyć to miasto, kiedy przekształci się w stertę popiołu i ruin. Teraz jest dla mnie odrażające. Tęsknię za Szeranem, jak nigdy dotąd. Dobrze popracowałeś, Kirisie. Pomyślę, jak wynagrodzić cię.

- Jestem zaledwie służącym waszej wysokości.

- Powiedziałabym, dobrym służącym. Niech twoi Milczący przygotowują się do odjazdu.

- Sam już chciałem zaproponować wam wyjazd z Darnatu, wasza wysokość. Przed spotkaniem z Aszranem, otrzymałem wiadomość z Erie-Dałor. Mistrz walki Rachus powiadomił mnie, że część najemników, których nasi werbownicy wynajęli w Dzikich Miastach, zgodziła się przyjąć eliksir i wasza gwardia Nieustraszonych powiększyła się jeszcze o setkę wojowników. Dobrze byłoby, aby wasza wysokość była obecna na ich pierwszym zgrupowaniu.

- Mądra uwaga, Kirisie. Zatem pośpieszmy się i niech Darnat zapadnie się pod ziemię. Mam nadzieję, że pewnego dnia postąpimy z tym miastem tak, jak na to zasługuje.

- To się zdarzy bardzo szybko, wasza wysokość.

- Mam nadzieję - w liliowych oczach Margiany ukazał się krwiożerczy błysk. – Nic nas przecież nie zatrzyma, Kirisie?

- Nic, wasza wysokość. Odszukamy wszystkie trzy Dary Otchłani. Cofnięcie ten niedoskonały świat do czasów Szu. Złączycie Ciało i Cień, zostaniecie nieśmiertelną władczynią całego wszechświata.

- Brzmi ponętnie. Dłużej nie zatrzymuję. Zbieraj się do drogi!

ROZDZIAŁ DRUGI

Kasta podniosła głowę. Tego wieczoru wypita więcej, niż zwykle, i teraz czuła nie tylko upojenie, ale nadzwyczaj silne zmęczenie. Dobrze powiedział ten przeklęty pies Szabak – rozkleja się. Wcześniej mogła pić całą noc i jeszcze potrafiła pójść do łóżka z dwoma-trzema mężczyznami i rano czuła się prawdziwą amazonką, a nie bezsilną starą szkapą. A teraz...

Rozejrzała się – „Złoty puchar” był pełen ludzi, chociaż zbliżał się czas drugiej straży. Przy szynkwasio zebrała się kompania marynarzy i portowych ładowaczy, a przy odległej ścianie, w rzęsiście oświetlonej części ogromnej sali, za sześciokątnymi stołami, zebrali się gracze w „czarne i białe” – ich okrzyki i stukanie fizek o blat stołu roznosiły się po całej tawernie. Wszystko, niby tak jak zwykle. „Złoty puchar” słynął na całe Święte Miasto ze swojej kuchni i rozrywki. Gospodarz tawerny, Urszad-zabijaka, kupił od Kancelarii Boga patent, zezwalający na trzymanie w swoim lokalu stołów do gry. Jednych zwabiły do tawerny Urszada wykwinne, zagraniczne wina i potrawy darnackiej kuchni, takie jak „szumbura” – gęsta polewka z różnych gatunków ryb i krewetek z cytryną i miętą, albo „bliźnięta” – smażone na różnie wieprzowe kotlety z majonezem, octem, pieprzem i szafranem - ale większość z gości przychodziła próbować szczęścia w grze. Od zmierzchu do poranka, w tawernie zbierali się gracze z całego Darnatu i można tu było spotkać najróżniejszych ludzi – oficerów Świętego Legionu, handlarzy i podejrzaną typki z rozbieranymi oczami, młodszych kapłanów, bogatych nierobów, marynarzy z portu i byłych niewolników. Z nastaniem wieczoru do Kasty już podchodziło niemało bywalców cyrku – wyrażając swój zachwyt jej urodą i wojskowym rzemiosłem, wyznając miłość i zapraszając do swojego domu. Kilkakrotnie zauważyła złośliwe spojrzenia nieznanych jej ludzi: na pewno to byli ci, którzy dzisiaj w cyrku stracili swoje

pieniądze z powodu kunsztu pierwszej wojowniczkii Darnatu. Ale dzisiaj, w lokalu Urszada, nie było cyrkowych wojowników, chociaż zazwyczaj spotykała tu kogoś ze współbraci w rzemiośle i to było dziwne.

- Hej, jeszcze wina! – krzyknęła ochryplym głosem.

Kelnerka przyniosła dzbanuszek z różowym sabejskim nektarem i przyjęła pieniądze. Była śliczniutka, wielkooka i pyzata, a w jej oczach czaił się strach. Nie mogła pojąć, jak Kasta może pić samotnie, nierozcieńczone wino, w otoczeniu mężczyzn. Zrozumiała jej wątpliwości, co znalazło odzwierciedlenie w wyrazie oczu wojowniczkii. Kelnerka odskoczyła od niej i postarała się zgubić w tłumie.

Ktoś położył rękę na jej ramieniu.

- Wiedziałem, że tu cię znajdę - powiedział Derak.

- A? – Kasta przeniosła spojrzenie z kelnerki na starego Ianistę. Derak usiadł naprzeciwko swej uczennicy, przywołał bojaźliwą dziewczynę i zażądał wina. Z lękiem spojrzała na Kastę i pośpieszyła po napój.

- Próbujesz się upić? – Derak obejrzał baterię pustych dzbanuszków na stole przed Kastą. – Niezłe zajęcie. Czasami wino pomaga zapomnieć o przykrościach. Chociaż pięknej dziewczynie nie wypada pić samotnie i jeszcze takie mocne wino.

- Po co przyszedłeś?

- Przyszedłem wypić. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Zaczynaj! – Nalała wina w puchar sobie i laniście, wypila delektując się. – Urszad ma dobre wino. Oszalamiające, przysięgam na wieczną piękność Beris! Pij, staruszk. Częstuję.

- Abnun był wściekły, kiedy wyszłaś z cyrku. Myślałem, że pięknie ze złości, jak przejrzały arbuz. Musiałabyś widzieć jego twarz! Zrobiła się fioletowa jak śliwka, a oczy po prostu wylażyły z orbit. Omal nie dostał wylewu krwi. Mocno go rozżłościłaś, córeczko. Powiedział, że od tego dnia nie dopuści cię w pobliże cyrku.

- Pluję na niego! Ta ropucha jest mi jeszcze winna pieniądze. Piętnaście sakkarów, by go dzuma dopadła! Nie dopłacił. Wrócę do cyrku, kiedy mi zapłaci wszystko, do ostatniej monетки. Blisko nie dopuści, mówisz? Sam przypelźnię błagać, żebym znów zaczęła występować. Mnie publiczność lubi. A on nie ma ani jednego wartościowego wojownika, tylko wątle wcześniaki, które na słowo „arena” popuszczają w spodnie.

- To twoje rozliczenia z Abnunem. Nie po to przyszedłem.

- A po co, jeśli można wiedzieć?

- Powinnaś być ostrożniejsza.

- Ostrożniejsza? Co masz na myśli, Deraku?

- Doszła do mnie plotka, że Abnun chce się na tobie zemścić.

- Co? – uśmiechnęła się ironicznie. – Ta świnia chce się na mnie zemścić? W jaki sposób, chciałabym wiedzieć? Przygniecie mnie swoim brzuchem? Czy napaskudzi pod moimi drzwiami?

- Nie wiem, córeczko. Ale nie można nie doceniać Abnuna. Oswoił liczne męty w Starym Mieście i ma rozległe powiązania. Dzisiaj śmiertelnie go obraziłaś – liczył, że zabijesz Orka, jak tego żądali organizatorzy walki. Ty wiesz, że w takich walkach obowiązuje zasada – nie zostawiać zwyciężonego wśród żywych. Wielu jest niezadowolonych z tego, co zrobiłaś.

- Wszystko mi jedno, staruszk. Zrobiłam, co zrobiłam.

- Czy ty myślisz, że Orkowi darują życie?

- Co powiedziałaś? – odstawiła niedopity puchar. – Co znaczą twoje słowa? Wyrażaj się jaśniej, by cię poraziła strzała Nekrian!

- Zaraz po twoim odejściu z cyrku, Szabak kazał dobić Orka.

- I oni... Zabili go?
- A jak myślisz?
- Przeklęte śwynie! – oczy Kasty gwałtownie zabłyśły. – Abnun mi zapłaci za to podle morderstwo, przysięgam!
- Nie denerwuj się. Przyszedłem nie po to, by ci powiedzieć o zamordowaniu Orka.
- W takim razie po co, Deraku?
- Ten Ork, o którym tak dużo mówimy – nie wiadomo dlaczego, poprosił mnie, abym cię odnalazł. Przysięgam na Igierabała, ani jeden Ork nie zasłużył na tyle uwagi. Nie mam pojęcia, dlaczego ty...
- Zamilcz, Deraku! – poczuła, że stan upojenia opuszcza ją z niesamowitą szybkością. – Wracaj do sprawy. Co ci powiedział?
- Ten Tulkan, wśród swoich współplemieńców, był kimś w rodzaju czarownika-szamana. Kiedy go wyniesiono do kubikulu, próbowałem się dowiedzieć dokąd poszłaś. W tym momencie, podbiegł do mnie jakiś mały ze świty Szabaka i poprosił, bym szedł za nim. Udałem się do Szabaka i przypadkowo usłyszałem, jak rozkazał swoim ludziom wykończyć Orka i pozbyć się ciała. Nie spodobało się mi to i, po rozmowie z Szabakiem, poszedłem szukać naszego lekarza – pomyślałem, że on przekonago, aby zostawić Orka przy życiu. Nie chciałem, aby twój szlachetny, chociaż głupi czyn, poszedł na marne.
- Mów, Deraku. Mów, w czym rzecz.
- Krótko mówiąc, zszedłem do kubikulu i zobaczyłem Orka – leżał na macie, a lekarz-niewolnik opatrywał ranną nogę i bok. Gdy zobaczył mnie, zapytał - gdzie jesteś. Powiedziałem, że nie wiem. Wydawało mi się, że Ork był bardzo roztrzęsiony. Wtedy powiedział, abym cię znalazł i oddał to - Derak podał dziewczynie dziwny amulet: na wyprawionym pasku ze skóry, wisiał okrągły, szary kamień z dziurką pośrodku. Bardzo chciał porozmawiać z tobą i prosił o znalezienie cię.
- Idę do cyrku - wstała z taboretu, ale w głowie zakręciło się i dziewczyna, żeby nie upaść, chwyciła brzeg stołu. Derak pokręcił głową.
- Zupełnie ci nie do twarzy z pijaństwem, córeczko - powiedział. A tym bardziej teraz, nie powinnaś tam iść.
- Być może mylisz się i Tulkan jeszcze żyje. Nie pozwolę go zabić, inaczej niech będę przeklęta.
- O, zupełnie zapomniałem powiedzieć - Ork kazał przekazać, abyś pokazała kamień jakiejś Dincze. Powiedział, że ona mieszka tu, w Świętym Mieście, niedaleko rynku. Więcej nic nie powiedział, tylko prosił, aby cię znaleźć. Myślę, że tobie powiedziałaby znacznie więcej.
- Dlatego powinnam pójść do cyrku i przekonać się, że Szabak i jego lizusy jeszcze nie zdążyli się z nim rozprawić.
- Na twoim miejscu, mimo wszystko, miałbym się na baczności.
- Od kiedy stałeś się tchórzem, Deraku? – spytała z goryczą.
- Od czasu, kiedy się postarzałem. Masz tylko dwadzieścia dwa lata. Jesteś silna i zdrowa, jak tygrysica, i nie masz pojęcia, jak starość znęca się nad nami. Każdego ranka dziękuję bogom, że moje ręce i nogi są mi jeszcze posłuszne i mózg nie wysechł, jak splunięcie w czasie skwaru. Dożyjesz moich lat – zrozumiesz. A tymczasem uprzedziłem cię. Jeszcze raz mówię ci – bądź ostrożna. Abnun jest niebezpieczny, a ty go rozżłościłaś.
- Dziękuję za radę - dziewczyna rzuciła na stół złote sakkara i skierowała się do wyjścia. Derak patrzył jak wychodzi i kręcił głową.

Wejście do Wielkiego Cyrku zamykano jeszcze przed północą, jeśli nie przeprowadzało się całodobowych walk, dlatego Kasta nie liczyła, że odźwierny specjalnie dla niej otworzy bramę. Nie zamierzała korzystać z głównego wejścia, lecz z tego, o którym wiedzieli tylko gladiatorzy i cyrkowa obsługa. Znajdowało się ono obok kanału. Właśnie tu, rozładowywano towarowe statki z zapasami i zwierzętami dla cyrku, skąd całe to dobro jest dostarczane do spiżarni i klatek pod areną. Nie miała wątpliwości, że uda jej się przejść –tak jak wszyscy elitarni gladiatorzy, miała klucz do służbowego wejścia, a stróżem był krajan-seltończyk. Poza tym, miała nadzieję, że Abnun albo przynajmniej Szabak, będą z jakiegoś powodu jeszcze w cyrku. Chciała z nimi porozmawiać.

Minąwszy wąskie i brudne ulice dzielnicy handlowej, wyszła na nabrzeże i poszła wzdłuż szerokiego kanału, przecinającego nadmorską dzielnicę, na dwie, prawie równe, części. Wielki Cyrk znajdował się na pagórku, w najbardziej na północ wysuniętej części, a dalej znajdowały się ogrody Igierabała i zespół świątyń. Szła i myślała, że tej nocy nieźle byłoby złożyć wizytę Abnunowi – gospodarz cyrku mieszkał w zespole świątynnym - i zapytać go o nieszczęsnego Orka. Sama nie mogła zrozumieć, dlaczego tak nagle zaczął ją interesować los Tulkana, przecież był to tylko Ork. Opowiadanie Deraka doprowadziło dziewczynę do wściekłości. Darowała mu życie, a te świny... Wcześniej też nie mogła ścierpieć Abnuna i jego lizusa Szabaka, którzy zbili ogromny majątek na ludzkiej krwi – i na niej. Nachodziły ją teraz krwiożercze myśli. Ale najpierw trzeba dostać się do cyrku.

Do przystani doszła w ciągu kwadransa. Księżyc skrył się za chmurami i ulice tonęły w gęstym mroku, sprzyjało to Kaście. Szybko minęła malutki plac z posągami bogini-matki, Mammu-Asztenet, pokonała kilka wąskich zaułków i znalazła się tuż przed przystanią.

W świetle pochodni, paru niewolników-ładowaczy składało przy ścianie skrzynki i worki, ale na nią nie zwrócili żadnej uwagi. Dziewczyna szybko prześliznęła się za bramę i poszła w górę brukowanej drogi, prowadzącej do cyrku.

Wielokondygnacyjny gmach piętrzył się nad nią, zasłaniając pół nieba. Niedaleko od wejścia zatrzymała się, wyjęła z torby przy pasie amulet Tulkana. Szary, niepozorny kamień z dziurką pośrodku nie posiadał żadnej wartości – to był po prostu kamień. Dlaczego Tulkan postanowił dać jej ten amulet? W tym jest coś niewytłumaczalnego. Ostatniej doby, wszystko, co się z nią dzieje jest zbyt dziwne. Zaczęło się od tego, że po samarytańsku zachowała się wobec Orka. Ona, ta sama Kasta-Amazonka, która bez litości zabijała na arenie młodych i pięknych mężczyzn, współczuła potworowi. Derak mówi prawdę – Orki, to tylko złośliwe potwory, drapieżne bestie, które nienawidzą ludzi. Gdyby w walce zwycięstwo odniósł Ork, chyba nie byłby tak wspaniałomyślny dla niej. A ona zlitowała się nad Tulkanem, co więcej, teraz próbuje dowiedzieć się o jego losie. Tak, Tulkan zachował się szlachetnie podczas ich pojedynku, ale czy tylko w tym cała sprawa? Wszystko to jest dziwne i niezrozumiałe.

Kastę od dawna nie interesowało, jak żyją ludzie wokół niej. Nawet na arenie, patrząc w oczy wroga, myślała tylko o jednym – by szybko skończyć z przeciwnikiem i usłyszeć zachwycony krzyk trybun. Ilu zabiła, ot tak sobie, dla aplauzu widzów? Początkowo prowadziła rachunek swoich zwycięstw, potem przestała. Zabici gladiatorzy, z czasem, przestali nawiedzać ją w snach i nawet ich twarze zaczęły się zacierać w pamięci. Już jej nie wzruszały przedśmiertne krzyki, agonie, spojrzenia,

pełne przerażenia. Tym bardziej niezrozumiałe było wszystko to, co przydarzyło się na arenie wczorajszego ranka.

Przestała odczuwać swój i cudzy ból dawno - cztery lata temu – od tego dnia, kiedy do jej rodzinnego miasta Cerunii przysłała dżuma. Choroba zaledwie w tydzień zniszczyła świat, w którym nazywano ją nie Kastą, a Lejdą. Świat jej dzieciństwa i młodości, gdzie była szczęśliwa, który, wydawało się, będzie trwać wiecznie. Najpierw umarła jej matka. Męczyła się niedługo i Kasta była przy niej do ostatniej minuty, chociaż kapłan Beris, kontynuujący, pomimo śmiertelnego niebezpieczeństwa, odwiedzanie umierających, ostrzegał ją. Nie zaraziła się, ale jednak „czarna śmierć” przysłała do jej domu – w dwa dni po pogrzebie matki, zachorował mąż i malutka, ośmiomiesięczna córeczka Elea. Ukochany Ajlor umarł piątego dnia choroby, przeżywszy ich córkę o jeden dzień. Kasta prawie nie pamięta, co wtedy czuła, kiedy sama obmyła ciała córki i męża, zawięła w czyste, grube płótna, położyła obok siebie na pościeli, a potem zamknęła i podpaliła chatę. Stała i patrzyła, jak płomień rozpala się i pożera jej dom i ciała ukochanych, a mieszkańcy okolicznych domów stali, przyglądając się jej z przerażeniem. Kasta wiedziała, że boją się, aby płomienie pożaru nie przerzuciły się na ich chałupy. Bali się też zarazy. Patrzyli na Kastę tak, jak na umarłą. Kiedy płonący dach zawalił się, odwróciła się i nie oglądając, poszła z Cerunii na południe, do Eponarii. Zaraza zlitowała się nad nią, przeżyła, chociaż marzyła o śmierci. W Eponarii, jakiś czas, zarabiała na życie polowaniem, sprzedając na targu mięso i skóry zabitych zwierząt. A potem, było spotkanie z tym dziwnym staruszką, Marcewusem. Kilkakrotnie kupował u niej towar, ale pewnego ranka podszedł do lady i powiedział:

- Jesteś naprawdę dobrym myśliwym, dziewczyno. Widzę, że z łukiem i nożem myśliwskim sprawiasz się lepiej, niż z robótkami ręcznymi. Kto cię tego nauczył?

- A tobie, co do tego?

- Po prostu zapytałem. Przypatruję się tobie i widzę, że jesteś szczególną dziewczyną, bardzo piękną, a przy tym nierozpieszczoną. Prawdopodobnie, zawsze miałaś gorącą głowę.

Wzruszyła tylko ramionami, bo czy wypada mówić staruszkowi, że ma rację?

Przecież od dziecięcych lat nie cierpiała lalek i zabaw z gałgankami, zawsze trzymała z chłopakami, na równi z nimi urządziła różne figle i w niczym nie ustępowała, czasami nawet potrzasała rówieśnikami. Strzelać z łuku nauczył ją Ajlor, jeszcze przed ślubem i całkiem dobrze jej to wychodziło. Tak dobrze, że stary Wirion, wuj Ajlora, podarował jej w prezencie ślubnym drogi, logaryjski, czarno-brązowy łuk i kołczan strzał. Wszystkich wtedy zdziwił ten weselny prezent, a Kasta była z niego bardzo zadowolona – może dlatego, że jej sukcesy w strzelaniu były zasługą Ajlora. Mąż powtarzał, że jest urodzoną łuczniczką.

- Gdybyś się urodziła mężczyzną, zostałabyś wojownikiem - powiedział pewnego razu Ajlor. Wydało się to śmieszne, ale z jakiegoś powodu pomyślała, że ukochany ma rację. Teraz staruszek na targu zauważył to, o czym wiedział Ajlor.

- Potrzebny jest mi człowiek do bardzo ważnej i odpowiedzialnej pracy - mówił starzec. - Wyczuwam w tobie nieznana siłę, ślicznotko, dlatego chciałbym, abyś zgodziła się na moją propozycję. Będę cię żywić, ubierać i płacić po dwa złote tulony, co miesiąc – to dobry zarobek. Pomyśl i dokonaj właściwego wyboru. Jeśli się zgodzisz, przyjdź do mojego domu przy ulicy Słońca i Księżycy. Będę czekać.

Dał jej zadatek – jednego złotego – i poszedł. Niedługo się zastanawiała. Jeszcze tego samego wieczoru przysłała do jego domu i wstąpiła do niego na służbę. Okazał się bogatym kupcem i potrzebni mu byli wojownicy do ochrony handlowych

karawan. W ten sposób, została ochroniarzem Marcewiusa. Wyposażył ją w broń, lekką skórzaną zbroję i polecił starszemu sierżantowi swojej ochrony, nauczyć dziewczynę fechtunku i walki wręcz. Starszy sierżant zaczął ją szkolić. Pozostali ochroniarze śmiali się z Kasty, ale minęło trochę czasu i przestali. Po sześciu miesiącach nauki, dziewczyna już tak pewnie i umiejętnie władała długim mieczem, że starszy sierżant, Tannik, pozwolił jej przystąpić do prawdziwego zajęcia, do którego kupiec ją wynajął – chronić karawany Marcewiusa przed rozbójnikami. Próbował nawet zabiegać o względy dziewczyny, ale Kasta okazała się niedostępna. Właśnie wtedy Tannik, po raz pierwszy, nazwał ją amazonką. Młody i gorący wojownik, nie na żarty zakochał się w tej dziwnej, trochę dzikiej, jasnowłosej Seltonce z iskrzącymi się zielonkawo-żółtymi oczyma i delikatną złocistą karnacją, kruchą i kobiecą, i taką niepodobną do poznanych wcześniej kobiet, wojowniczą i odważną, bezlitosną dla siebie i dla innych. Także Tannik dał jej to przezwisko – Kasta. Zapytała – co to znaczy. Poczzerwieniawszy, jak mały chłopak, odpowiedział, że w języku logaryjskim oznacza: „Jasnowłosa”. Wiedziała, że jest zakochany w niej, ale ona nie chciała kochać, ani Tannika, ani kogokolwiek innego. Żyła, nie myśląc o jutrzejszym dniu – całe jej życie zostało w przeszłości. Ze śmiercią Ajlora, córeczki i mamy, w niej samej także coś umarło. Żyła jak we śnie – szarym, bezcelowym i bezsensownym.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w rocznicę śmierci jej małej Elei, trafiła do niewoli. Zdarzyło się wszystko niespodziewanie. Na karawanę, którą ochraniał, napadła duża szajka koczowników - Faraków. Tannik i jeszcze trzech ochroniarze, zostali zabici w pierwszych minutach walki. Kasta zdążyła zabić wcześniej czterech napastników, nim sama została ogłuszona kościaną buławą. Ocknęła się w śmierzącym dole, pokryta ranami i brudem, związana skórzanymi pasami, w towarzystwie trzech innych jeńców. Próbowali się z nią porozumieć, ale ona milczała. Dlatego nie dowiedziała się, kim byli i jak trafili do niewoli. Tej samej nocy, zabrano ich do ołtarza przodków i tam złożono w ofierze. Przebywała w dole jeszcze dwa tygodnie: od czasu do czasu oprawcy wyciągali ją, obmywali z brudu, a potem gwałcili – po pięciu-siedmiu mężczyzn naraz. Ich żony przychodziły popatrzeć, jak mężowie gwałcą jasnowłosą brankę. Co wieczór, kiedy w obozowisku koczowników zapalały się ogniska, dzieci gromadziły się, aby pogapić na nią, ustawiały się dookoła dołu, naśmiewały, pluli i moczyły się na nią, rzucały grudami gliny, nawozu, śmieciami i zdechłymi szczurami. Nie zwracała na nie uwagi; znaczyły dla niej mniej, niż chmary much. W ranach pojawiały się poczwarki, więc wydłubywała je słomką. Pragnęła umrzeć jak najszybciej i spotkać się z Eleą, Ajlorem i matką. Ale Nekrian, bogini śmierci, nie przyszła po nią. Kiedy ostatecznie straciła rachubę czasu i zaczynał ogarniać ją obłęd, wywleczono ją nagle z dołu i wódz sprzedał przejeżdżającemu handlarzowi niewolników z Niegunu, a ten z kolei odsprzedał Kastę, na targu niewolników w Darnacie, za pięćdziesiąt sakkarów. Kupił ją lanista Derak – staruszek właściwie ocenił zewnętrzne cechy dziewczyny i jej charakter. I tak, w dziewiętnastym roku życia, została cyrkowym wojownikiem. Żądano od niej, aby na arenie zabijała swoich współtowarzyszy, więc zbijała, nie zadając pytań. Nigdy jeszcze Darnat nie widział na arenie cyrku kobiety-wojowniczk i na walki z udziałem Kasty, przychodziły tłumy widzów. Dobrze zapamiętała swoją pierwszą walkę; dali jej krzywy, brązowy sztylet, skórzaną tarczę i wysłali przeciwko czarnoskóremu afarystańcowi, nazywanego Mszai-Zwierzołów, uzbrojonego w długą, ciężką włócznię. Afarystaniec natychmiast rzucił się do przodu, krzycząc i przeklinając, wywracając nabiegłymi kwią, drapieżnymi oczyma, ale Kasta nie straciła zimnej krwi; odrzuciwszy tarczę, wywinęła się i chwyciła włócznię wroga za

drzewce, w następnej chwili, machnięciem sztyletu, przecięła czarnoskóremu gladiatorowi gardło. Trybuny milczały niezadowolone, kiedy odchodziła z areny przez Bramę Zwycięzców – wszystko skończyło się zbyt szybko. Po tym pojedynku, wezwał ją do siebie gospodarz cyrku Abnun i gniewnie objaśnił, że widz potrzebuje widowiska, a nie rzeźni, a potem znów wysłał milczącą Seltonkę na arenę, do walki z kolejnym wojownikiem. Tym razem nie rozczarowała widzów. Jej nowym przeciwnikiem był Farak i Kasta zapragnęła zabić go powoli, rozkoszując się przyjemnością patrzenia na jego śmierć. Wiedziała, że bez wysiłku poradzi z przeciwnikiem, ale długo i umiejętnie ganiała wroga po arenie, zanim od uderzenia buławy nie wypłynęło z niego życia razem z mózgiem. Tego dnia, trzy lata temu, zrozumiała, że jest urodzonym wojownikiem, chociaż przyszła na świat jako kobieta i ma teraz tylko jedną możliwość na pozostanie wśród żywych – zabijać innych. Więc zabijała spokojnie, z zimną krwią, bez miłosierdzia i wątpliwości, i tylko dzisiaj, w pojedynku z Orkiem, zdradziła ustanowione przez siebie reguły. Dlaczego? Czy pod wpływem, pełnego przerażenia, spojrzenia ślicznotki Kuati? A może to bogowie znowu, nieznanym i niepojętym sposobem, zdecydowali zmienić jej drogę?

Życie cyrkowych wojowników nie trwało długo. Nieliczni mogli się chełpić taką ilością zwycięstw, jak Kasta-Amazonka. Prawdopodobnie, siła, odwaga, zewnętrzny urok, umiejętne władanie bronią i nieprawdopodobne szczęście, pozwoliły Kaście z czasem przekształcić się z osobiwej dzikuski, nędznej niewolnicy, w idola całego Darnatu. Uwielbienie tłumu, kochającego morderców, i ich czyny, przyniosło jej wolność, bogactwo i sławę - bo była, podobnie jak tłum, okrutna. Teraz, prawie z przyjemnością, myślała o tym, że dzisiaj oszukała nadzieje tych krwiożerczych plebejuszy, zachowując Orka przy życiu. Tłum już miał przedsmak tego, jak przetnie pokonanemu Tulkanowi gardło, a ona nie uczyniła tego.

Za dużo myśli o tym Orku. Beris świadkiem! Derak, oczywiście, tchórz i drań, ale czasem ma rację. Została bez pracy. Zamiast pomyśleć, jak pogodzić się z Abnunem i przywrócić sobie reputację najlepszego wojownika Darnatu, idzie do cyrku po to, żeby jeszcze raz zobaczyć się z Tulkanem. Bogowie, jaka głupota! Zatrzymała się i rozwarła pięść, żeby jeszcze raz spojrzeć na amulet. Po prostu zwyczajny kamień, z dziurką pośrodku. A może, sedno sprawy tkwi nie w kamieniu?

Przez cztery lata, życie obchodziło się z nią okrutnie. Dzisiaj, dziki Ork mógł ją zabić, ale z jakiegoś powodu nie uczynił tego. Szlachetność i miłosierdzie Orka, mogłoby zdumieć każdego. Po walce, pożałowała, że nie zapytała Tulkana, dlaczego tak postąpił. Jeśli jeszcze żyje, obowiązkowo zada mu to pytanie. Może dziki Ork, jako pierwszy, dostrzegł, że jest przede wszystkim – kobietą?!

Wejście do służbowych pomieszczeń znajdowało się tuż przed nią – szeroka, na wysokość trzech mężczyzn, brama w kamiennym murze, ozdobiona dwoma krzakami kwitnącej magnolii. Weszła do środka i znalazła się na przytulnym podwórku z fontanną i posągami Mammu-Asztenet w centrum. Tu, przychodzili gladiatorzy, żeby uczcić Boginię-matkę i na ofiarnym kamieniu, u stóp posągu, leżały ich wzruszające dary: miseczka z prosem, owoce, w grubej glinianej misce, skrawki kolorowej tkaniny, girlandy kwiatów, miedziane monetki. Przeszła obok i zagłębiła się w długą galerię, wiodącą do koszar gladiatorów i zwierzyńca. Było tu ciemno i wilgotno, unosił się ostry zapach moczu i psiny. Dochodziła do końca galerii, kiedy przy wyjściu zamajaczył jakiś cień; przygarbiony, starszy człowiek, w szarej odzieży byłego niewolnika, wszedł w krąg światła od pochodni, zamrugał niedowidzącymi oczami, usiłując odróżnić w półmroku twarz nocnego gościa.

Kasta, to ty? – staruszek w końcu poznał mistrzynię Darnatu. – Przysięgam na kędziory Szanty, jaka bezmyślność sprowadziła ciebie tu?

- Przyszedłam dowiedzieć, co stało się z Orkiem - odpowiedziała. – Derak powiedział, że Szabak kazał go zabić.

- Naprawdę, jesteś obłąkana! – Staruszek dotknął węzłowatym palcem ramienia dziewczyny. – Czy nie wiesz, że Szabak stanowczo zakazał wpuszczania cię do cyrku? Wszyscy mamy surowy rozkaz przeszkodzić ci, jeśli zechcesz wejść.

- Wykonasz ten rozkaz, Elriku? – kpiąco przymrużyła oczy. – Będziesz ze mną walczyć?

- A mogę? – w głosie starego Seltończyka zabrzmiała gorycz. – Na próżno przyszedłam, jasnowłosa. Jego już tu nie ma. Zgodnie z rozkazem Szabaka, wywieziono go do Rowów Zadżumionych.

- Czy on umarł?

- Nie wiem. Słyszałem, jak starszy sierżant gladiatorów kazał dwóm uczniom załadować go na furmankę i wywieźć do Rowów. Wiem jedno: wieczorem twój Ork jeszcze żył. Nie zdziwię się, jeśli Szabak rozkazał rzucić jeszcze żywego Tulkana do rowu.

- Łotr! – z wściekłością zacisnęła pięści. – Kiedy go wywieźli?

- Niedawno, jeszcze przed rozpoczęciem drugiej straży. Pośpiesz się, to może znajdziesz jego ciało. Chociaż, na twoim miejscu nie ryzykowałbym chodzenia w to przeklęte miejsce, po nastaniu ciemności. Tam, gospodarzą teraz hieny i wampiry.

- A Szabak jest tu?

- Wyszedł jeszcze przed zmierzchem. Posłuchaj córko, coś słyszałem i chcę cię uprzedzić. Szabak coś wykombinował. Widziałem, jak dawał pieniądze Łysemu Chuszni i coś mówił. Zdawało mi się, że w rozmowie wymieniał twoje imię. Strzeż się miła, darnackie psy, podobno zaczęły na ciebie obławę.

- Obławę, mówisz? To i dobrze. Jeszcze jeden powód do połamania Szabakowi kości. Dziękuję Elriku. Bardzo mi pomogłeś.

- Powiedz, jeśli łaska, dziewczyno, na co ci potrzebny był ten Ork? Powiem szczerze: dzisiaj zaskoczyłaś mnie. Twoje miłosierdzie było... - staruszek zaciął się, szukając odpowiedniego słowa - niezrozumiałe. Dlaczego, nagle zlitowałaś się nad tym potworem?

- Sama nie wiem, Elriku. Prawdopodobnie, to ingerencja bogów. A może, zgłupiałam? Wszyscy popełniamy błędy.

- Masz rację, zgłupiałaś! – Elrik wyjął chusteczkę, wytarł łzawiące oczy. – Zniszczyłaś swoją karierę. Co teraz będziesz robić, jak żyć?

- Na początek pójdę do Rowów Zadżumionych.

Szmer kroków za plecami, przypomniał Kaście o niebezpieczeństwie. Nawet się nie zdziwiła, kiedy zobaczyła cyrkowego trenera, ogromnego, z ogoloną głową Szuretczyka Chuszni i z nim jeszcze pięciu drabów – najprawdopodobniej, zauważyli ją jeszcze w podwórku i skrycie szli za nią. Chuszni zrobił krok w kierunku dziewczyny i zatrzymał się w kręgu światła, palącej się pod sklepieniem galerii pochodni: na jego tępej, pokrytej bliznami fizjonomii, pojawił się złośliwy grymas, imitujący uśmiech.

- Przyszedłaś, seltońska suko? – zapytał, zacierając dłonie. – Na Igierabała, sama włożyłaś w pułapkę. Dziękuję, że uwolniłaś nas od trudu poszukiwania cię w mieście.

- Przyszedłam w konkretnej sprawie, Chuszni i mam mało czasu. Czego chcesz?

- A nie domyślasz się, Seltonko? Bardzo rozczarowałaś gospodarza. Bardzo. Gospodarz nie lubi, kiedy go rozczarowują. On kazał Chuszni, porozmawiać z tobą.

- Mów szybciej. Czego chcesz?

- Gospodarz dobrze zapłacił Chuszni - olbrzym zrobił jeszcze krok naprzód i jego kompani uczynili to samo. – Gospodarz powiedział Chuszni, że głupie ścierwo musi otrzymać porządną nauczkę. Chuszni wykona wolę gospodarza.

- Chcesz się bić? – Kasta skrzyżowała ręce na piersi, oczy jej gniewnie zabłyśły. – Pomyśl dobrze, przyjacielu. Masz szansę uratować swój tłusty tyłek od wielkich przykrości. Jestem Kasta. Ze mną nie ma żartów!

- Oczywiście, jesteś Kasta, ale sama, i nie masz broni - znów złowieszczo się uśmiechnął i pomachał wielką pięścią przed twarzą dziewczyny. – A nas jest sześciu. Wykorzystamy cię na wszystkie sposoby, a potem, wytnę twoje narządy, żebyś się nie rozmnożyła seltońskimi kundlami. Nie boisz się?

- Ciebie? Brak ci męskości. Jesteś żałosny. Wiem, że przez całe swoje życie nie miałeś ani jednej kobiety, dlatego, że jesteś śmierdzącym sodomitą. Ciebie mogą obawiać się tylko pluskwy, które rozgniatasz we śnie - powiedziała i niespodzianie dla Szuretczyka, uderzyła pięścią w twarz.

- Zyskała na tym zaledwie chwilę: mordercy, zmieszani bezczelnością dziewczyny, ośmielając się samotnie im przeciwstawić, szybko oprzytomnieli i rzucili się na nią, wymachując pięściami, nożami i ciężkimi pałkami. Kasta odepchnęła starego Elrika i rzuciła się w górę po schodach, ciągnąc za sobą napastników. Minawszy trzeci zakręt, zatrzymała się, odwróciła twarzą do napastników i wydając przenikliwy krzyk, uderzyła nogą w pierś znajdującego się najbliżej wojownika, prawie pokonującego zakręt. Ten stracił równowagę i z krzykiem poleciał w dół, zbijając z nóg jeszcze jednego współtowarzysza. Korzystając z powstałego zamieszania, dobiegła do końca schodów i zatrzymała się, łapiąc oddech. Było tu najwygodniejsze miejsce do obrony i gdyby miała jakąkolwiek broń, nie martwiłaby się o swoją przyszłość. Ale, wychodząc z tawerny Urszada, nie pomyślała o niej, lekkomyślnie weszła do cyrku nieuzbrojona. Tymczasem prześladowcy, z krzykiem i wyzwiskami wbiegali po schodach. Na czele pędził sam Chuszni, groźnie rycząc i potrząsając ogromnymi pięściami.

W zasięgu wzroku Kasty znalazła się ciężka, drewniana ława, stojąca przy wejściu na korytarz. Dziewczyna, niewiele myśląc, podniosła ją i zamachnąwszy się, rzuciła w Szuretczyka. Ten zdążył się schylić, ława, przelatując nad jego głową, ugodziła biegnących za swoim prowodyrem najemników. Odgłos uderzenia, okrzyki bólu i wściekłości zabrzmiały dla Kasty niczym muzyka. Jednakże na zachwyty, z powodu udanego rzutu, nie było czasu. Chuszni był już obok i z rykiem rzucił się na Seltonkę. Uchyliła się od zabójczego uderzenia, skierowanego w jej twarz, z obrotu dosięgła go uderzeniem prawej nogi. Szuretczyk zachwiał się, zaryczał z wściekłości, rzucił się do przodu. Uderzyła go pod kolano i po chwili opuściła swą pięść na ogoloną czaszkę trenera. Poczula, jakby uderzyła o głaz: prawą kiść przeniknął ostry ból i Kasta cofnęła się, zaklinając wszystkich seltońskich bogów, aby nie dopuścili do tego, że znajdzie się w tej rozgrywce ze złamaną ręką.

Chuszni szybko zorientował się w sytuacji, jego oczka radośnie zamigotały. Wznosząc pięści, rzucił się na nią. Jednakże nie dostrzegł, jak za plecami jego pobratymców ukazał się Elrik. Staruszek zawołał Kastę i dziewczyna zobaczyła, że w świetle pochodni zamigotała stal. Był to rzucony przez Elrika długi, krzywy kindżał-kutuba, który opisał w powietrzu szeroki łuk i upadł jej do nóg. Reszta była sprawą sekundy, lewą ręką pochwyciła broń, i prostując się, zadała precyzyjne uderzenie, o mgnienie oka wyprzedzając trenera. Krew ciemnym strumieniem chlusnęła jej w twarz i zaplamiła ścianę. Chuszni chwycił się rękoma za rozcięte gardło, wytrzeszczył oczy, zachrypiał i upadł na plecy, wierzgając nogami. Z krzykiem przeskoczyła

umierającego, kolejnym uderzeniem rozcięła ramię jednemu ze zbójów i powrotnym ruchem klingi dosięgła trzeciego wroga – ten z krzykiem cofnął się, zaciskając głęboką ranę w boku. Po tym wszystkim, cała zgraja rzuciła się do ucieczki, łomocząc podkutymi sandałami na stopniach schodów. Kasta wytarła z twarzy krew, wyrównała oddech. Kiedy tupot, przekleństwa i krzyki w końcu ucichły, podeszła do pokonanego Szuretczyka. Ten przestał rzeźić, tylko drgawki nadal wstrząsały jego ogromnym ciałem. Starając się nie wdepnąć, w rozlewającą się po schodach, krwawą kałużę, zeszła na dół.

Elrik siedział na posadzce korytarza, oparłszy się plecami o ścianę, spryskaną jego krwią. Głowę miał rozbitą – uciekający, zdążyli jednak zemścić się na starym Seltończyku. Sprawdziła tętno Elrika i pokręciła głową.

- Dziękuję ci, Elriku - szepnęła i pocałowała staruszka w głowę. – Uratowałeś mi życie. Niech pochodnia Nekrian, jasno oświecili twoją drogę do krainy przodków!

Pod schodami, w izdebce Elrika, znalazła trochę wody w dzbanie i łapczywie wypila. Kawałkiem zgrzebnej tkaniny wytarła klingę kutuby. W oczy jej wpadł stary ręcznik, wyszywany w kwiaty, jedyna coś-niecoś warta rzecz w izdebce. Kasta wzięła go, wyszła z izdebki, nakryła nim twarz zabitego staruszka, po czym pośpiesznie opuściła cyrk.

Gorączka walki minęła, pozostał przejmujący ból w przetrąconej ręce i niewesołe myśli. Współtowarzysze Chuszni zbiegli, a to znaczy, że nad ranem cały Darnat będzie wiedział o tym, co się wydarzyło. Zabicie wolnego obywatela jest poważnym przestępstwem, za które nieuchronnie będą ją sądzić. Nie udowodni, że została napadnięta: Elrik jest martwy, innych świadków nie ma. Pięciu ocalałych łotrów, będzie twierdzić, że to Kasta napadła pierwsza, zabiła Chuszni i zraniła dwóch spośród nich. Sędziowie uwierzą im, a nie jej. Abnun z Szabakiem ich przekupią. Kiepska sytuacja. Pozostaje tylko jedno – jeszcze przed świtem spróbować ucieczki z Darnatu.

.....

Tuż przed północą, Kasta wróciła do swego domu przy ulicy Zbrojmistrzów. Kupiła ten dom wkrótce po tym, jak została gwiazdą areny i otrzymała od samego szofieta wolność i status obywatelki. Dom był nieduży: ze służby utrzymywała tylko ogrodnika, pokojówkę i kucharkę – dała im wolne jeszcze rano, kiedy wróciła do domu po starciu z Tulkanem. Nie potrzebowała wielu ludzi, aby utrzymywać w porządku pięć pokoi, kuchnię, spiżarnię i arsenał. Właśnie do tego pomieszczenia skierowała się po wejściu do domu.

Zgromadzono tu tak dużo broni, kupionej i zdobycznej, że można byłoby nią uzbroić niedużą armię. Ale Kasta szybko dokonała wyboru. Najpierw zrzuciła zakurzoną, przesiąkniętą potem i zakrwawioną odzież i założyła swoją bojową zbroję. Rok temu, dała za nią półtora tysiąca sakkarów, kowalowi Sawałowi, najlepszemu rusznikarzowi w Darnacie. Chodziły słuchy, że stary Sawał, uczył się swojego rzemiosła u demonów ognia i metalu, dlatego jego zbroje i broń były niedoścignionej jakości. Przez pół roku oszczędzała pieniądze, żeby zamówić u Sawała uzbrojenie. Sama narysowała, na kawałku papirusu, jak powinno ono wyglądać - pewnego razu zobaczyła we śnie boginię wojny Natanję właśnie w takiej zbroi i od tamtej pory marzyła, aby mieć podobną. Kiedy Sawał dostarczył jej gotową zbroję i Kasta przymierzyła ją, staremu kowalowi wyrwało się westchnienie zachwytu. Tego dnia, Sawał powiedział jej, że nigdy nie widział piękniejszej wojowniczkii i zrozumiała, że zbrojmistrz mówi to z czystego serca. Nad wyborem broni, zastanawiała się dłużej -

miecza i łuku ze strzałami nie mogła wziąć, bo były zbyt ciężkie. Z bólem serca, wybrała seltoński półtorowy miecz i opuściła arsenał.

W sypialni otworzyła szkatułę, w której przechowywała wszystkie swoje skarby - pierścień z topazem, dwa - z ametystami, trochę złotych łańcuszków i bransolet, pierścień z dużym szmaragdem, prezent jednego zakochanego w niej bogacza, dwa złote amulety z łańcuszkami - też dary od wielbicieli i pięćdziesiąt sakkarów w skórzanym woreczku. Jeśli dodać do tych błyskotek cudowny pierścień z rubinem, który otrzymała dzisiaj od królowej Kuati, to wszystko razem osiągnie wartość co najmniej dwóch tysięcy sakkarów – wystarczająca suma, żeby zacząć nowe i beztrudne życie w każdym mieście świata. Jeden z amuletów pocałowała i powiesiła na szyi: był w nim kosmyk włosów jej niezapomnianej, małej Elei, czyli wszystko, co zdołała zachować z tego życia, kiedy była Lejdą z Cerunii, a nie Kastą-Amazonką. Po raz pierwszy, w ciągu ostatnich trzech lat, jej serce ścisnęła tęsknota i zachciało jej się płakać. Odrzuciwszy pustą szkatułę, zeszła do kuchni, wypila kubek zimnej wody, pośpiesznie przekąsiła chlebem z wędzonym mięsem, włożyła do worka niewielkie zapasy na drogę i narzuciwszy na zbroję szeroki, czarny płaszcz z kapturem, porzuciła dom. Czekają ją teraz najtrudniejsze zadanie - niepostrzeżenie wydostać się z Darnatu. Ale najpierw musi znaleźć Tulkana i spróbować go uratować, jeśli biedny Ork jeszcze żyje.

Przyszła jej do głowy niezła myśl. Kilka miesięcy temu, pożyczyła dużą sumę jednemu seltończykowi, Nirranowi, obdarzonemu wolnością. Niedaleko portu prowadził on niedużą knajpkę pod nazwą „Wnętrze wieloryba”. Z pewnością nie odmówi jej pomocy. Pomyślała, że na pewno ma znajomych marynarzy, i jeśli się poszczęści, będzie mogła domówić się z jakimś kapitanem i odpłynąć z Darnatu, na jednej z cudzoziemskich galer. Pieniądze ma, więc będzie można spróbować. Okrywszy się szczelnie płaszczem, zarzuciła swój worek na ramię i szybkim krokiem ruszyła w dół ulicy, w stronę portu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zgodnie z przewidywaniem Kasty, Nirran zgodził się jej pomóc. Zostawiła u niego worek z rzeczami i natychmiast udała się do Rowów Zadżumionych. Miała jeszcze nadzieję, na odnalezienie żywego Tulkana.

Rowy Zadżumionych znajdowały się za północną bramą Darnatu i musiała przejść przez całe miasto, żeby dotrzeć do celu. Nocny spacer nie dostarczył żadnych przykrości - po północy, ulice Starego miasta pustoszały, a rzadkie patrole straży nie zwracały uwagi na śpieszącą kobietę w czarnej szacie. Żołnierzom, z obywatelskiej gwardii Darnatu, nawet nie przychodziło do głowy, że nieznajoma, tak starannie skrywająca swą twarz pod kapturem - to gwiazda areny, bezlitosna i krwiożercza Kasta-Amazonka. Ich obojętność, uratowała im życie: postanowiła, że w razie czego, nie oszczędzi ich. Na szczęście, nie musiała przelewać krwi. Straż, przy północnej bramie, wzięła ją za żonę porzuconego w Rowach Zadżumionych przestępcy i przepuściła, ograniczając się do kilku złośliwych i nieprzyzwoitych uwag.

Zanim opuściła granice miasta, poczuła odrażający smród, ciągnący od tego przeklętego miejsca, które było położone za bramą, z prawej strony i ciągnęło się kilkaset kroków wzdłuż ściany, aż do przysadzistej kamiennej wieży, w której znajdował się cech grabarzy. Kiedyś, w tych rowach palono trupy umierających od morowych chorób, ale potem wrzucano ciała straconych przestępców, niewolników i włóczęgów. Niektórych z nich, grabarze, za niedużą opłatą, zakopywali w ogólnych

grobach, ale większość rzuconych tu nieboszczyków pozostawiała w rowach, zakażając powietrze odorem śmierci i odżywiając chmary much, stada szczurów, wędrownych psów i szakali. Aby odpędzić padlinożerców, i chociaż trochę zlikwidować ostry smród rozkładu, grabarze zapalali, rozmieszczone w rowach, naftowe kałuże, jednakże czarny, tłusty dym, jeszcze bardziej zatruewał powietrze, osiadał czarną sadzą na ścianach rowów, czyniąc to straszne miejsce jeszcze bardziej złowieszczy.

Jedna z nich płonęła na drodze Kasty. Przekonawszy się, że dostatecznie daleko odeszła od bramy, zapaliła od tańczącego na powierzchni kałuży, czerwonego, kopącego płomienia, przypasaną pochodnię. Owinęła twarz pasem materii przesyconej dziegciem, którą zabrała z knajpy Nirrana, po czym wyciągnęła z pochwy miecz i zaczęła schodzić do rowu. To, co ją otaczało, mogło przerazić najodważniejszego człowieka. Na dnie dołu, pokrytego popiołem i sadzą, przesyconego tłuszczem spalonych ciał, były rozrzucone zwęglone kości i czaszki. Gdzieś, złowieszcze zwłoki były zebrane w sterty, w których słyszało się rwetes i ryk. Obok, wznosiły się, przygotowane do nowych kremacji, stosy wiązek słomy, polanych naftą. Potem zobaczyła ciała. Część z nich leżała tu od dawna i była w całkowitym rozkładzie, inne, krótko, ale wszystkie były okaleczone przez padlinożerców. Gdzieś, zupełnie blisko, rozlegały się wycia szakali i upiorny śmiech hien: kilkakrotnie, przy jej zbliżaniu się, jakieś czarne cienie odskakiwały w bok. Dusząc się od smrodu i szepcząc ochronne modlitwy, szła dalej, przekraczając ciała uszkodzone przed zwierzęta i rozkład, próbując dostrzec wśród nich Tulkana. Nadzieje na odnalezienie go żywego, malały z każdą minutą.

- Tulkan! - krzyknęła, po kilkudziesięciu krokach. - Tulkan! – powtórzyła.

Jakiś ptak przeleciał tuż obok jej głowy i wzbił się w ciemność, wydając płaczliwy krzyk. W ciemnościach, za stertami kości, rozległ się złowieszczy ryk i zapaliły się zielone ogniki - oczy nieznanych stworzeń, zaniepokojonych jej pojawieniem się. Stała nieruchomo i czekała. Wreszcie, ryk umilkł, zamienił się w chrzęst i mlaskanie. Wznosząc pochodnię, poszła dalej. Od ciężkiego zapachu śmierci, zakręciło się jej w głowie, mdłości ścisnęły żołądek. Wydawało się, że rojące się na zwłokach robaki, zaczynają pełzać po niej. Pod butami coś chrzęściło, chlupało, podeszwy ślizgały się i omal nie upadła na gnijącą masę, będącą kiedyś ludźmi. Tłumiąc szalone pragnienie, aby uciec jak najdalej z tego piekła, dotarła do środka rowu, do drugiej naftowej kałuży i podpaliła ją. Nafta zapaliła się z głośnym kłasnieniem i wokół zrobiło się jaśniej.

Nagle usłyszała cichy jęk. Serce podskoczyło z radości, pobiegła do przodu, lawirując między stertami zwęglonych kości i poniewierających się ciał. Bardzo szybko znalazła się w dalekim końcu, gdzie rzucono ciała straconych niewolników. Karę śmierci, wykonywano na nich tuż obok Rowów Zadżumionych - niedaleko ściany twierdzy. Znów dał się słyszeć jęk, tym razem zupełnie blisko.

- Tulkan!

Natychmiast dwie hieny rzuciły się na nią z ciemności. Kasta zapiszczała, zamachnęła się na zwierzęta jaskrawo palącą się pochodnią - w jej świetle mogła widzieć wyszczerzone, z zadartym nosem mordy drapieżników, ich szalone oczy, pełne zwierzęcej złości. Jedna z nich cofnęła się, natomiast druga, z ochrypłym szczekaniem, rzuciła się naprzód. Dziewczyna pchnęła ostrzem miecza bezpośrednio w zakrwawioną mordę hieny i trafiła w oko, a potem uderzyła mieczem od dołu do góry tak, że zwierzę wzbiło się w powietrze i opadło na stertę zwłok. Druga odbiegła na kilkadziesiąt kroków, ale potem rzuciła się w jej kierunku wielkimi, niezgrabnymi skokami. Uderzenie miecza odrzuciło ją, odcinając przednią łapę, a

drugim uderzeniem przygwoździła ranną hienę do ziemi. Po tym, już nie śpiesząc się, dobiła pierwszą z nich, próbującą podnieść się i znów rzucić się do ataku. Rozprawiwszy się z drapieżnikami, pośpieszyła tam, skąd, jak się wydawało, dochodziły jęki. Po chwili zobaczyła Tulkana.

Leżał na stosie oszpeconych ciał, w kącie rowu. Kasta wzdrygnęła się: prawa noga orka była pokryta szarpanymi ranami, a w miejscu lewej stopy były bezkształtne, krwawe łachmany. Hieny zdążyły dotrzeć przed nią. Ale Tulkan był jeszcze żywy: przypadłszy uchem do potężnej piersi, wyczuła słabe, przerywane bicie serca. Tulkan cicho westchnął.

- Tulkan! - szepnęła, wzięwszy rękę Orka w swoją.

Ten poruszył się, wydał ochryply, bulgoczący dźwięk. Dziewczyna zobaczyła, że otworzył oczy.

- Tulkan, to ja! - powiedziała, nachyliwszy się nad umierającym. - To ja, Kasta!

- Tulkan nie widzieć! - zachrypiał. - Oczy noc. Kobieta?

- Tulkan, to ja - Kaście zadrżały wargi. - Wybacz mi, Tulkan!

- Tulkan umierać – Ork wypuścił powietrze. - Umierać dobrze. Ból kończyć się.

Po co kobieta tu?

- Chciałeś mnie widzieć.

- Dincze! - Chodzić do Dincze. Ona powiedzieć. Kamień Ajwary. *Szenaj-eszgan-roch-ammar-denna!*

- Co?

- Teraz kobieta odchodzić. Tulkan umierać spokojnie.

- Powiedz, że mi wybaczasz.

- Tulkan nie złościć się. Kobieta żyć spokojnie. Tulkan umierać spokojnie.

- Tulkan! - niespodzianie dla siebie samej załapała się łzami. – Pomszczę cię, przysięgam!

- Chodzić do Dincze - ledwie słyszalnie wypuścił powietrze i lekko zadrżał, zachrypiał. Kasta krzyknęła, ale tego Tulkan już nie słyszał.

Dziewczyna popadła w dziwne odrętwienie i stała obok martwego Orka, trzymając jego rękę, słuchając, jak grasujące obok rowów szakale porozumiewają się krzykami, podobnymi do dziecięcego płaczu. Potem zrozumiała, że tylko traci czas. Kończy się noc, a ona jeszcze powinna zdążyć zrobić to, o co prosił ją Tulkan i zatroszczyć się o to, by hieny nigdy więcej nie niepokoiły nieszczęsnego Orka.

Drzwi do wieży otworzył siwy człowiek, chudy i wyniszczony, przypominający obciążony skórą szkielet. Zdumiony popatrzył na Kastę, jej zapłakane oczy i wszystko zrozumiał.

- Wchodź - powiedział.

Weszła do środka i bez sił upadła na glinianą posadzkę, pokrytą brudnymi matami. Wszystko płynęło przed jej oczyma. Potem poczuła lekkie dotknięcie. Gospodarz stał obok i podawał filiżankę z wodą.

- Wypij.

Zerwała z twarzy szmatę przesiąkniętą dziegciem, podniosła filiżankę do ust, ale szarpały ją spazmy i woda wylała się na piersi. Człowiek pokiwał głową ze zrozumieniem, podstawiał dziewczynie brudny, drewniany ceber. Zrobił to w ostatniej chwili: po sekundzie zaczęła wymiotować.

- Głupia kobieta – powiedział spokojnie. - Kto tu chodzi nocą? Miałas szczęście, że hieny i szakale nie rozerwały cię na kawałki!

- Kim ty jesteś? - wytarła brzegiem płaszcza mokre usta.

- Przewodnikiem. Opiekuję się tymi, którzy okazali się nikomu niepotrzebni.

- Jesteś grabarzem?
- Przełożonym grabarzy - staruszek znów nappełnił filiżankę wodą z dzbana. – Jest tam ktoś z twoich bliskich?
- Mój przyjaciel. To... Ork.
- Podwójnie głupia kobieta, jeśli przyjaźnisz się z kanibalami-Orkami. Chociaż nie ma na świecie istoty straszniejszej od człowieka.
- Możesz go pogrzebać?
- To będzie kosztować jednego sakkara.
- Mam dwa sakkary dla ciebie - drżącymi rękami otworzyła woreczek, rzuciła staruszkowi złote monety. - Proszę... Bardzo cię proszę.
- Olan! - zawołał staruszek, chowając pieniądze w fałdach fartucha.

Z sąsiedniego pokoju przyszedł chudziutki nastolatek: w jego obojętnych oczach zapaliła się ciekawość, kiedy Kasta zrzuciła płaszcz i nastolatek zobaczył jej lśniąco, pokryte artystycznym tłoczeniem stalowe zbroje i długi miecz z rękojeścią, wyłożoną macią perłową, przypięty do pasa.

- Olan może oczyścić twoją odzież specjalnym preparatem, który neutralizuje trującą truciznę i likwiduje zapach śmierci - powiedział staruszek. - To będzie kosztować jeszcze jednego sakkara.
- Niech oczyści.
- Rozbieraj się - rozkazał staruszek i wyszedł z wieży.

Dziewczyna rzuciła chłopcu swój płaszcz, drżąc z obrzydzenia, zdjęła brudne buty, potem rozpięła pasy ochronnej spódnicy i półpancerza. Było jej wszystko jedno, że została naga i chłopak patrzy na nią. Ale Olan okazał się delikatniejszy, niż myślała: opuściwszy oczy, pochwycił jej rzeczy i zabrał ze sobą. Po minucie wrócił z miednicą gorącej wody i gąbką. Woda w miednicy była ciemna i mocno pachniała jakimiś ziołami.

- Proszę się umyć, pani - powiedział i uśmiechnął się.

Kasta chwyciła gąbkę, zanurzyła ją w wodzie i zaczęła trzeć się z wściekłością szaleńca, przekonanego, że jego skóra jest pokryta niewidocznymi dla pozostałych pasożytami. Płyn pienił się na skórze i wywoływał silne pieczenie, ale wydawało się, że nareszcie oswobodziła się od wsiąkającego w jej ciało okropnego zapachu i strachu, którego doznała tej nocy. Mdłości ustąpiły, drżenie w nogach stopniowo zaczynało ustępować. Nadal nacierała ciało mokrą gąbką, rozchlapując wonną wodę i rozkoszując się myciem. Przestała, gdy poczuła pieczenie i swędzenie, jak po chłości pokrzywami, a okropny zapach definitywnie zniknął. Potem zjawił się Olan i przyniósł jej płaszcz i zbroję.

- Weź - hojnie sygnęła złoto w rękę chłopca. Olan pokręcił głową.
- Nie-nie, pani, to zbyt dużo!
- Nie za dużo. Bierz! Za taką pomoc należałoby obsypać cię sakkarami od stóp do głów.
- Jak pani rozkaże - Olan uklonił się. - Pomóc pani się ubrać?
- Dam sobie radę. Idź, nie gap się na mnie.
- Jak pani rozkaże.

Gdy skończyła ubierać się, wrócił staruszek.

- Zaopiekowałem się twoim przyjacielem - powiedział. - Jest już w drodze do świata swoich przodków.
- Jakie masz imię, staruszk?
- Po co ci moje imię?
- Po prostu chcę wiedzieć, kto dzisiaj pomógł mi znów uwierzyć w ludzi.
- Jesteś bardzo dobra, Wojowniczo. Ale odtąd nie rób podobnych głupstw.

- Poznałeś mnie?
- Ciebie pozna każdy, kto choć raz widział na arenie.
- Dziękuję ci, ojczu.
- Ja tylko wykonałem swoją pracę.
- Niech bogowie pobłogosławią cię. Jesteś dobrym człowiekiem.
- Dziadku, to była ona? - spytał staruszką, kiedy Kasta opuściła wieżę grabarzy. - To przecież była Kasta-Morderczyni, tak?
- Zapamiętaj, Olanie, tej nocy nie widziałeś nikogo - powiedział, zamykając drzwi na zasuwę. - Nie było tu nikogo. To był po prostu sen. Zrozumiałeś mnie? Ani słowa nikomu, nawet naszym współbraciom cechowym.
- Zrozumiałem, dziadku. Ona mi dała pięć sakkarów.
- To dobrze. Schowaj je dobrze i nikomu nigdy o nich nie mów. Być może, przyjdzie dzień, gdy te pieniądze pomogą ci wyrwać się z piekła, w którym żyjemy... A teraz idź spać. Niedługo poranek i będziemy mieli dużo pracy. Dopóki w Darnacie są sędziowie i kaci, nie zostaniemy bez kawałka chleba.

Drzwi do domu Kuwłada otworzył nie znany, zaspany i wystraszony odźwierny-niewolnik. Kasta nie wyjaśniła, dlaczego przyszła tak późno - odepchnąwszy niewolnika, weszła do przestronnego westybulu, jasno oświetlonego mnóstwem palących się lamp. W końcu, gospodarz tego domu jest jej kochankiem, dlatego nie musi oczekiwać przy drzwiach, aż będą raczyli ją przyjąć.

Nie od razu zdecydowała się złożyć wizytę Kuwładowi. Myśl ta przyszła jej do głowy w drodze do portu - początkowo zamierzała zatrzymać się na noc w tawernie Nirrana. Rozmyślała się, kiedy Nirran zakomunikował jej, że po rozmowie z kapitanem z Saisy znalazło się miejsce dla Kasty na jego galerze, opuszczającej Darnat o świcie. Pomyślała o Kuwładzie i zdecydowała się z nim pożegnać. Młody Darnaczyc był jej oficjalnym kochankiem. Ich związek trwał już trzy miesiące - Kuwład, arystokrata i jeden z najbogatszych ludzi Darnatu, bardzo długo zabiegał o jej względy. Oglądał wszystkie jej walki w cyrku, przysyłał jej drogie prezenty, których nie przyjmowała - bała się po prostu zakochać w Kuwładzie, stracić dla niego głowę, ponieważ naprawdę jej się spodobał. W odróżnieniu od większości jej wielbicieli, Kuwład był młody i piękny - wysoki, smagły, z marzycielskimi czarnymi oczyma, wytworny i dobrze wychowany. Jednak ten chłód nie odstraszył go, był natrętny i Kasta w końcu poddała się. W długim szeregu jej kochanków, Kuwład był pierwszym mężczyzną, do którego była przywiązana. W Darnacie dużo plotkowano o ich związku, ale ona nie zwracała na to uwagi. Był jej potrzebny choćby po to, żeby czasami czuć się kobietą. Ich związek, to coś mniej niż miłość, ale więcej niż sympatia. Doskonale rozumiała, że nigdy nie będą w stanie się pobrać – na podobne małżeństwo nie pozwalało darnackie prawo - a być po prostu nałożnicą, nie chciała. Jego także zadawała takie przelotne spotkania. Zabiegał o miłość amazonki i zdobył ją, poza tym nic nie miało znaczenia. Tej nocy, kiedy miała na zawsze porzucić Darnat, chciała jeszcze raz zobaczyć młodego człowieka. Może dlatego, że nikogo bliższego nie było w tym mieście. Zabrawszy od Nirrana rzeczy, udała się do arystokraty.

Po chwili w westybulu ukazał się pan domu, poprawiając fałdy chlamidy. Z jego zaspanej twarzy mogła wyczytać całą gamę targających nim uczuć - zaskopowanie, zdumienie, zdziwienie, radość.

- Bogowie Darnatu! - wykrzyknął, tuląc dziewczynę i mocno całując. - Moja bogini przyszła odwiedzić swojego niewolnika. Dlaczego nie uprzedziłaś o swojej wizycie? Przygotowałbym wspaniałe przyjęcie dla mojej pięknej gwiazdy.

- Wybacz, miły - zabrała z twarzy włosy, ze skrucłą uśmiechnęła się do Kuwłada. - Obudziłam cię.

- I bardzo dobrze! Resztę nocy spędzimy czuwając, przecież wiesz, jak cenię czas spędzony z tobą, moja wojowniczo. - Nagle zmarszczył nos. - Bogowie, co za woń! Czuję zapach, jak od balsamisty! Dlaczego jesteś w zbroi, z bronią i rzeczami?

- Długo by wyjaśniać, miły. Powiem tylko, że nie chciałabym przeżyć jeszcze jednej takiej nocy.

- Co się zdarzyło? – z jego twarzy znikł uśmiech.

- Mam przykrości. Pozwolisz mi wejść?

- Oczywiście! Zaraz każę niewolnikom przygotować gorącą kąpiel. Rozgość się, mój dom jest do twojej dyspozycji.

Służba okazała się roztropniejsza, niż oczekiwała. Po kwadransie, rozkoszowała się już gorącą kąpielą, z wonnościami. Potem przyszedł Kuwład w towarzystwie niewolników - jeden niósł srebrny dzban z czerwonym kaestańskim winem, inni tace z owocami i słodyczami.

- Pozwolisz przyłączyć się? - uśmiechnął się zalotnie, zdejmując tunikę.

- Nie teraz, miły – powiedziała sennym głosem: ciepło wanny napełniło ciało długo oczekiwanym spokojem. Pieszczoty zburzyłyby ten spokój i w ogóle, teraz nie myślała o miłości. – Może, trochę później.

- Dobrze - usiadł na brzegu wanny, wziął rękę dziewczyny w swoje dłonie. – Nie musisz niczego wyjaśniać, moje słoneczko. Wiem, co zdarzyło się dzisiaj w cyrku. Widziałem walkę. Cały Darnat tylko o niej mówi. Wszyscy są tobą zachwyceni. Postąpiłaś słusznie. Ten Ork znajdował się w twojej władzy. Jak ja - nachylił się do Kasty i spróbował pocałować, ale dziewczyna nie pozwoliła na to.

- Błagam, Kuwładzie, tylko nie teraz.

- Już nie lubisz mnie?

- Gdybym nie lubiła, nie przyszedłabym.

- To, w czym problem?

- Zabiłam człowieka, Kuwładzie.

- Cha, wielkie coś! Przecież cały czas to robisz, czyż nie mam racji?

- Zabiłam wolnego obywatela, miły.

- O! - uśmiechał się, ale jego twarz pobiadła. – Jak do tego doszło?

- Napadli na mnie. - Nie otwierając oczu, zaczęła opowiadać o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Słuchał, kiwał głową i coraz bardziej posępniał. Wreszcie, dziewczyna zamilkła i z westchnieniem wyszła z wanny. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na Kuwłada, zauważyła, że patrzy nie na nią, a gdzieś w bok.

- Mam się ubrać? - zapytała.

- Co? - otrząsnął się, podniósł na nią oczy. Jego uśmiech wydał się Kaście naciągany i nieszczerzy. – Oczywiście, że nie! Tak dawno nie widziałem cię nagiej. Jesteś urocza. Nawet boska Kua nie może równać się z tobą, moja perło! W Darnacie nie ma ani jednej kobiety z taką skórą i z takim ciałem, jak twoje, przysięgam na promienny dysk In-Nubasa! Blizny tylko dodają ci wdzięku.

- Kuwładzie, od twoich słów moje serce zaczyna topnieć - potrząsnęła głową, obryzgując kochanka deszczem ciepłych, pachnących kropli, przytuliła się do jego piersi. - Obejmij mnie mocniej. Już mi się sprzykrzyło być Kastą-morderczynią. Chcę poczuć się małą, słabą i kochaną. Chcę, żebyś ogrzał moje serce w swoich dłoniach,

żeby twój oddech wysuszył moje łzy, żeby moje ciało stopniało od twoich pocałunków i pieszczot. Jest mi teraz bardzo źle.

- Nie myśl o tym, co się wydarzyło - dotknął wargami jej warg, potem pieszczotliwie poprowadził palcami po jej piersi. - Jestem Kuwład, człowiek o niemałych wpływach w tym mieście. Wstawię się za tobą w Domu Prawa i zostawię cię w spokoju.

- Naprawdę będziesz w stanie to zrobić?

- Oczywiście, tylko, potrzebne nam są dowody, że broniłaś się. Masz świadków?

- Nie. Był tam jeden stary gladiator, ale te psy zabiły go.

- Wielka szkoda - nagle wesoło i beztrudnie się roześmiał. - Zresztą, wszystko to drobiazgi. Już nie myśl o złym, moja promienna. Czekaj na nas moja sypialnia i reszta nocy, którą powinniśmy wykorzystać na przyjemniejsze rzeczy, niż rozmowa o nieszczęściach. Przecież, nudziłaś się bez moich pieszczot, przyznaj się.

- Teraz dopiero zrozumiałam, jaki jesteś mi bliski.

- Udowodnij to! - wziął dziewczynę na ręce i zaniósł do salonu, a stamtąd do wspaniałej sypialni, w której już paliły się aromatyczne, odurzające wonności.

Marzyła, by zapomnieć o wszystkim, co musiała przeżyć tego wieczoru i jej marzenie prawie się spełniło. Kuwład był delikatny, jego ręce miękko ślizgały się po jej ciele i ogarnęła ją prawdziwa namiętność. Dzisiaj starała się być pokorna i podporządkowana swojemu kochankowi - kiedyś, w żartach, z wyrzutem powiedział, że zachowuje się w pościeli jak mężczyzna. Tej nocy, bardzo chciała być słaba i bezbronna. Niech pieści ją, kocha, broni, posiada. Chce, by ich ostatnia noc, pozostała w jej pamięci na długo. Niech noc miłości zmusi ją, by zapomniała o tym, co zobaczyła w Rowach Zadżumionych...

- Nie, miły, nie tak - szepnęła, kiedy zorientowała się, że zamierza wejść w nią od tyłu. - Chcę widzieć twoje oczy.

Podporządkował się i znów znaleźli się twarzą w twarz. Widziała teraz jego oczy, ale dziwne – jakby to był inny Kuwład, nie ten, którego знаła przez wszystkie miesiące. W spojrzeniu młodzieńca było nie tylko pożądanie. Wydało się, że jest zmieszany, że czegoś się boi. Pomimo czułości i delikatności, jego oczy były puste.

- No, zaczynaj! - szeptała, pociągając kochanka na siebie. - Czy się zmęczyłeś? Przysięgam na Szante, widzę, że w żaden sposób nie możesz podnieść swojej kopii, żeby porazić cel!

- Nie, ja załedwie...

- Drobiazg, miły. Chcesz, pomogę ci? - koniuszkami palców czule musnęła opadającą męskość.

- To z powodu wina - nagle przetoczył się po pościeli, wstał, narzucił haftowany szlafrok. - Przebac, miła. Wypiłem dzisiaj zbyt dużo wina.

- Mamy jeszcze dużo czasu - zalotnie uśmiechnęła się, potrząsnęła swoją puszystą, jasną czupryną i poklepała dłonią miejsce obok siebie. - Wszystko można naprawić.

- Wybacz. Powinienem cię zostawić... na chwilę. Zaraz wrócę....

- Jak chcesz, mój ukochany.

Zniknął za ciężką draperią, ukrywającą drzwi do pokoju wypoczynkowego. Odchyliła się na poduszki, zamknęła oczy. Niezaspokojone ciało żądało spełnienia, dół brzucha napęłnił się męczącym ciężarem. Westchnąwszy, położyła dłoń na brzuch, potem niżej, na krocze, poczuła, jak po ciele przebiegł dreszcz, ale natychmiast zabrała rękę - sama myśl o tym, że rozładuje napięcie takim sposobem tu, w pościeli Kuwłada, wydała się jej upokarzająca. Lepiej poczekać, być może jej

gospodarz wróci, uświadomiwszy sobie, że obraża ją i mimo wszystko dostarczy niezbędnej satysfakcji. Trochę poczekać, rozluźnić się. Nawet można się przespać. Miała tak ciężki dzień, że krótki sen jest niezbędny. Godzina albo dwie ... Jeszcze dość czasu, galera odpływa o świcie. Kuwład obudzi ją, kiedy wróci i mimo wszystko otrzyma od niego satysfakcję.

A może już jej nie lubi?

Potrząsnęła głową. Ogniki lamp zaczęły wypuszczać długie świetlne nici, powieki same się kleiły. Chciała doczekać powrotu Kuwłada, ale była bardzo śpiąca... Kiedy wreszcie wróci, ten chłopak? Nie w porę pił to wino, zupełnie nie w porę. Oczekiwała zupełnie innej nocy. Nie - to nie, w jej życiu bywały już wielkie rozczarowania. Po co się złościć na Kuwłada, lepiej pospać. Chociaż trochę.

Tulkan stał, odwrócony do niej plecami. Mogła słyszeć jego chrapliwy oddech i wydało się dziwne, że Ork jeszcze żyje. Przecież tam, w rowach, umarł – widziała to. Stary grabarz pogrzebał go. Dlaczego przyszedł do niej?

- Kobieta dużo spać - powiedział, nie odwracając się. - Nie wolno spać. Wróg blisko. Znaleźć Dincze.

- Po co mi Dincze? - zapytała.

- Po to, że kobieta mówić z Dincze. Bardzo ważne. Kobieta powinien wiedzieć.

- Co wiedzieć?

- Kamień Ajwary. Kobieta chodzić do Dincze. Dincze powiedzieć, co robić.

- Nie rozumiem cię, Tulkan.

- Głupi kobieta! - Ork zaśmiał się szczekającym śmiechem. - Moja umierać. Nikt nie pomagać kobieta. Kamień Ajwary. Szenaj-eszgan-roch-ammar-dienna!

- Co to znaczy?

- To znaczy: „Ty kobieta z duszą wojownika”. Dincze objaśnić. Ale już późno. Twoja nie trafić do Dincze.

- Dlaczego?

- Twoja teraz budzić się.

- Tulkan?

- Kasta!

Otworzyła oczy. Obok pościeli stali dwaj strażnicy w pozłacanych zbrojach z emblematem Świętego Legionu. Starszy, trzymał w ręce zwitek papirusu i laskę z kości słoniowej. Nieco młodszy, z widoczną przyjemnością przyglądał się obnażonej Kaście. Jeszcze dwóch wojowników stało przy wejściu do sypialni i też bezceremonialnie gapili się na nią.

- Jesteś Kasta, Seltonka z Cerunii, była niewolnica i własność lanisty Deraka, którą jeszcze nazywają Kastą-Amazonką, wojowniczką z cyrku - powiedział starszy i dotknął jej ramienia swoją laską. - Ubieraj się, pójdziesz z nami.

- Dokąd? - naciągnęła na siebie prześcieradło, żeby okryć się przed natrętnymi spojrzeniami legionistów.

- Do Domu Prawa. Dokonałaś morderstwa wolnego obywatela i za to staniesz przed sądem.

- Broniałam się! - krzyknęła, doskonale wiedząc, że legionieści nie wierzą ani jednemu jej słowu.

- To nieważne. Idź za nami i pamiętaj, że za opór straży boga, czeka cię śmierć.

Sprzeciwiać się, walczyć ze strażą - pomyślała z goryczą - czym? Ze wszystkich rzeczy, został przy niej tylko amulet z kosmykiem włosów Elei. Ach, Kuwładzie, Kuwładzie! To dlatego miałeś takie spojrzenie nocą, to dlatego nie byłeś mężczyzną!

- Mężczyzną? Kuwład jest mężczyzną?!

Zaśmiała się. Starszy legionista nachmurzył się, zapytał, dlaczego się śmieje.

- Czterech uzbrojonych wojowników przyszło aresztować gołą dziewczynę, czy to nie jest śmieszne? – dalej będziecie na mnie wytrzeszczać oczy, czy pozwolicie się ubrać?

Na znak dany przez starszego, jeden z legionistów rzucił do jej nóg jasnozieloną, jedwabną tunikę i sandały. Rozpoznała odzież ze swojego worka. To znaczy, że drań Kuwład już oddał jej dobytek straży.

- A gdzie gospodarz domu? -zapytała naczelnika strażników.

- Nie życzył sobie iść z nami. To jego prawo.

- Szkoda - powiedziała, zawiązując rzemyki prawego sandała. - Kiedyś uważałam go za swego ukochanego. Chciałabym powiedzieć mu na pożegnanie, kim jest.

- Będzie mógł odwiedzić cię w Wieży Milczenia.

- Nie musi. - Wstała, narzuciła na siebie tunikę, popatrzyła starszemu strażnikowi prosto w oczy. - Czasami przyjemniej oglądać szczury i robaki, niż tych, którzy byli ci kiedyś drodzy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Słońce nad Darnatem podniosło się już wysoko, kiedy Samiedjar zastukał do bramy wspaniałej willi kupca Uzmaja w dzielnicy Świątynnej. Otworzył niewolnik-odźwierny i natychmiast poprowadził go do ogromnego, cienistego ogrodu, gdzie gospodarz po południowym posiłku relaksował się w basenie.

W ogrodzie, dwóch niewolników wyszło na spotkanie, obmyli mu nogi i zaproponowali przebranie się w świeżą tunikę z cienkiej białej bawełny, a także skropili gościa wonnościami. Po wędrownie zakurzonymi i dusznymi ulicami Darnatu, przebranie się w czystą odzież, było prawdziwą przyjemnością. Po doprowadzeniu się do porządku, ścieżką brukowaną marmurowymi płytami, skierował się do basenu. Uzmaj powoli pływał na plecach, wystawiwszy z najczystszej niebieskawej wody swój ogromny, owłosiony brzuch. Dwie młodziutkie niewolnice-afarystanki, przyodziane tylko w wążutkie przepaski na biodra, stały na brzegu basenu, oczekując, kiedy ich gospodarz wyjdzie z wody, żeby podać mu ręcznik i kielich z sorbetem. Samiedjar prześliznął się spojrzeniem po afarystankach, ocenił ich nienagannie kuszące kształty i spojrzał na gospodarza, który w tym momencie zauważył gościa.

- Mój przyjacielu! - pomachał młodemu człowiekowi ręką. - Witaj w moim skromnym domu. Odśwież się, jeśli masz życzenie.

- Dziękuję, ale lepiej poczekam tu na pana.

- Ależ dzisiaj gorąco! - Uzmaj zanurkował, wypłynął, wypuszczając powietrze i prychając, niczym wieloryb. - Nie wyłaziłbym z basenu, przysięgam na piersi Kui! Przynosisz mi dobre wieści, mój przyjacielu?

- Więcej niż dobre, panie.

- Na lgierabała! - kilkoma zamachami rąk dopłynął do marmurowych schodów, wy dostał się z basenu. Wytarł ręcznikiem twarz, skinieniem ręki nakazał niewolnicom oddalić się. - Opowiadaj!

- Rozmawiałem z samym władcą Aszranem, przyjął pieniądze i zakomunikował, że szofiet jest gotów przyjąć jego plan.

- Naprawdę?

- Dokładnie tak, panie. Aszran nie posunie się do kłamstwa. Boski szofiet jest tak zakochany w waszej córce, że gotowy zrobić wszystko, by zdobyć jej życzliwość.

- I rzeczywiście zostanę Synem Morza?

- W najbliższym czasie, panie.

- Niech będą dzięki Igierabałowi! Gdyby mój ojciec i matka wiedzieli, że pewnego dnia ich syn zajdzie tak wysoko! - podniósł spojrzenie do nieba. - A zamówienie na budowę nowych statków?

- Jest już prawie gotowe. Aszran przekonał monarchę, żeby wziął kredyt u bogatych kupców Darnatu i szofiet zgodził się.

- Powtórz jeszcze raz! O, twoje słowa dźwięczą jak najpiękniejsza muzyka dla moich uszu! Ile jednostek zamierza zamówić najjaśniejszy szofiet?

- Na razie, nie wiadomo. Ale dowiedziałem się coś-niecoś od nadwornych. Za niewielkie wynagrodzenie, powiedzieli, w wielkim sekrecie, że planowana jest wojna z sabejskimi piratami. A to znaczy, że najjaśniejszy szofiet będzie potrzebował wielu statków, o wartości tysięcy sakkarów.

- Jakie wspaniałe wieści przyniosłeś dzisiaj! Zaprawdę, jesteś po prostu zwiastunem sukcesu. Każę hojnie cię wynagrodzić.

- Staralem się, nie dla nagrody.

- Wiem, jesteś najlepszym moim przyjacielem, Samiedjarze. Jestem tobie bardzo wdzięczny. - Pieszczotliwie poklepał młodego człowieka po ramieniu. - Czasami odnoszę się do ciebie, jak do syna. To honor dla mnie - mieć takiego przyjaciela.

- W pana mocy, jest możliwość uczynienia mnie czymś więcej, niż synem. Mogę zostać pana zięciem.

- Ach, mój przyjacielu! - skrzywił się. - Ty znowu o tym! Wiesz przecież, że sam szofiet...

- Szofiet nie będzie w stanie ożenić się ze wspaniałą Szemmier-Ta-Nat. Jego namiętność przeminie. A ja, jestem gotów ożenić się, choćby jutro.

- Z radością pobłogosławiłbym wam, Samiedjarze. Ale Szemmier-Ta-Nat nie zgodzi się wyjść za ciebie za mąż. Przecież rozmawiałeś z nią, czyż nie tak?

- Rozmawiałem.

- No i co?

- Odmówiła.

- No widzisz! - Zasmucony Uzmał pokręcił głową, pocmokał grubymi wargami. - Moja córka nie lubi ciebie.

- Ma pan rację. Ona nikogo nie lubi, oprócz tego obrzydliwego niewolnika Leodana.

- Co mogę na to poradzić? Moja córka bardzo go ceni, a ja nie jestem w stanie czegokolwiek odmówić mojej dziewczynce. Ten ładniutki, niezdatny do niczego chłopak, także mi jest kością w gardle. Ale nic nie mogę uczynić. Córeczka nigdy nie zgodzi się rozstać z tym synem świni i osła. Od czasu, gdy umarła moja żona - niech srebrnooki Szesz ukoi jej jasną duszę! - Szemmier-Ta-Nat ani na dzień nie rozstaje się z Leodanem. Ten zniewieściał czocho* jest jej droższy od wszystkich narzeczonych Darnatu, razem wziętych. Nieraz przecież próbowałem namówić ją, ale nawet nie chciała słuchać, rozpieszczona dziewczyna! Przez ostatnie dwa lata, nawet na targ nie mogę wysłać tego przeklętego Doryjczyka, bez jej pozwolenia.

- Teraz, kiedy sam szofiet zwrócił swoje jasne oko na waszą córkę, mamy możliwość uwolnienia się od tego niegodnego niewolnika.

- Nie - zdecydowanie powiedział Uzmaj, któremu już zaczęła ciążyć ta rozmowa. - Szemmier-Ta-Nat, ma charakter podobny do mojego, uparta jak muł. Łatwiej jej rozstać się ze mną, z tym domem, ze wszystkimi skarbami które posiada, niż z tym synem niepogrzebanego ojca. Ona, nawet do pałacu szofieta weźmie go ze sobą. Mały tak podpada na eunucha, że jego nawet nie trzeba kastrować. A szofiet, sądząc po tym, co jest mi znane, jest tak zakochany w mojej córce, że nie odmówi jej tej zachcianki. Przysięgam na twarz i dłonie Kui, że nie rozumiem w czym tkwi sekret. Może, to czarna magia?

- W takim razie trzeba porozmawiać z kapłanami: może, ten zniewieściał Doryjczyk, tak naprawdę...

- A ty co, masz dynię zamiast głowy? Na nas zostało zwrócone najjaśniejsze spojrzenie Słońca z Domu Słońca: Sama Kua wpoila młodemu szofietowi miłość do mojej córki. Wyobrażasz sobie, co będzie, jeśli rozniosą się plotki o wróżbie? Monarcha natychmiast ostygnie w afekcie do Szemmier-Ta-Nat. A ja popadnę w niełaskę. W domu Uzmaja magia! Niczego gorszego nie można było wymyśleć. Nie, ten pomysł jest do niczego. Trzeba wymyślić coś innego.

- Doryjczyk może po prostu zniknąć.

- W jaki sposób? Wsadzić go na statek i wysłać gdzieś daleko? Córka nie będzie chciała mnie znać.

- On może umrzeć. Wszyscy przecież jesteśmy śmiertelni. A Szemmier-Ta-Nat pomartwi się trochę i pogodzi z tym.

- Zabić niewolnika? - Uzmaj z zainteresowaniem popatrzył na Samiedjara. - Już postanowiłeś poderżnąć mu gardło?

- Po co? Istnieje przecież dobre prawo. Na przykład, prawo o niewolniku, który okradł swego pana.

- Rozśmieszasz mnie, Samiedjarze. Leodan nie jest w stanie czegokolwiek ukraść. Żyje w tym domu od urodzenia i przez wszystkie lata, nawet jabłka bez pytania o zgodę nie zerwał z drzewa.

- Kradzież można ukartować. A potem niech ktoś spróbuje udowodnić, że niewolnik jest niewinny.

- To jest myśl! - uważnie popatrzył na młodego człowieka. - Z ciebie niełichy łajdak, Samiedjarze. Taka podłość nie przysłaby mi do głowy.

- Zaledwie, nieszczęśliwie zakochany, który rozpaczliwie próbuje wymyślić jakikolwiek sposób, by osiągnąć upragniony cel. A poza tym chcę, aby łaska szofieta nie odwróciła się od waszej córki.

- Co masz na myśli?

- Powiedzieliście, że Szemmier-Ta-Nat zechce wziąć Leodana ze sobą do pałacu. Oczywiście, ten żalosny niewolnik jest tak śmieszny i nedorzeczny, że nikomu nie przyjdzie do głowy dopatrywać się między nim i waszą córką jakiegoś tajnego związku. Jednakże nasz młody monarcha jest także zazdrosny...

Uzmaj drgnął. Zrozumiał, że to jest ostrzeżenie. Samiedjara już zmęczyło oczekiwanie i był gotowy podjąć każde działanie, aby tylko dostać jego córkę za żonę. O jego miłości do córki, kupiec wiedział od dawna, przecież chłopak zjawił się w jego domu, jako jeden z licznych zalotników ślicznotki Szemmier-Ta-Nat. I oto już od roku przychodzi tu prawie każdego dnia. Służalczy i uprzejmy do cikliwości - słodszy od chałwy. Uzmaj doskonale wiedział, że młody oficer Świętego Legionu przyjaźni się z nim wyłącznie z powodu córki. Jednakże to wcale nie krępowało go - bo był, nawet według darnackich miar, bardzo bogaty, a nic tak nie przełamuje

wszelkich barier, jak pieniądze. Ale najważniejsze, że ten młodzieniec jest szalenie zakochany i to zakochany w jego córce. Dlatego, bez skrępowania, wykorzystywał go w swoich interesach. Samiedjar nieraz wykonywał ważne dla niego usługi. Skąd dowiadywałby się o tym, co dzieje się w pałacu Władcy Morza, gdyby nie on? Właśnie w głowie Samiediara powstał plan wykorzystania niespodziewanego zainteresowania szofieta kupiecką córką, do podniesienia prestiżu Uzmaja. Być zazdrosnym o szofieta? Nie ma o kogo. Szofiet jest sobowtorem Słońca na ziemi i ożenić się z kupiecką córeczką nigdy nie będzie w stanie. A Samiedjar będzie mógł i ożeni się, kiedy szofietowi znudzi się nowa kochanka. Może, po zaznajomieniu się z sypialnią monarchy, dziewczyna stanie się bardziej skłonna do zamążpójścia? Samiedjar, ma się rozumieć, działał we własnym interesie, ale kupiec docenił rozum, chytrość i bezceremonialność chłopaka. Jeśli ten plan powiedzie się, wszyscy będą zadowoleni - Uzmaj zostanie bardzo ważnym wielmożą i powiększy bogactwo o tysiące sakkarów, Samiedjar ożeni się z ukochaną kobietą i zostanie zięciem samego Syna Morza. Dla prostego setnika Legionu, otworzą się po prostu niewyobrażalne perspektywy. Tylko szofiet nie otrzyma nic, oprócz przelotnej przyjemności, do której tak dąży - zresztą, on więcej niczego nie pragnie. Miłość, czasami, bywa bezinteresowna. Teraz słowa młodego człowieka, zaniepokoiły kupca. Wszystkie jego misterne plany mogą leć w gruzy, z powodu niezrozumiałego przywiązania córki do doryjskiego niewolnika - zniewieściałego, głupiego i leniwego.

- Jak zamierzasz wykonać ten plan? - zainteresował się Uzmaj. - Szemmier-Ta-Nat cały czas trzyma Leodana przy sobie. Dziewczyna wbiła sobie do głowy, że ten śliczny chłopak – to jej żywy talizman. Nigdy nie uwierzy, że Leodan cokolwiek jej ukradł. I po co w ogóle miałby kraść? On i tak, dzięki mojej córce, żyje w królewskim przepychu, chociaż, gdyby to zależało ode mnie, dawno sprzedałbym go któremukolwiek amatorowi pięknych chłopców. – Przyznasz, że Leodan jest piękny i dobrze wychowany. Za niego zapłaciliby duże pieniądze.

- Mógłby ukraść cokolwiek wam, panie. Na pewno uwielbia drogie świecidełka.

- Co, mianowicie?

- Coś bardzo cennego, rzecz, która może go przyciągnąć. Rzadki klejnot, na przykład. Taki, który bardzo łatwo rozpoznać. Wszystko biorę na siebie.

- Chcesz to podrzucić mu? - Uzmaj zaczął skubać farbowaną henną brodę. - A jeśli córeczka nam nie uwierzy?

- Najważniejsze, aby sędzia uwierzył. Zgodzi się, pan?

- Uczciwie mówiąc, ten niewolnik bardzo dużo mnie kosztuje. Córka traci masę pieniędzy na niego - popatrzył spode łba na rozmówcę. - Chyba, warto spróbować. Zgodnie z sumieniem, trochę żal mi chłopaka, chociaż pożytku z niego żadnego. Nieźle śpiewa i gra na cytrze - to wszystko, co umie. Toleruję go, ponieważ moja zmarła żona lubiła go i córka uważa, że jest on przysłany do naszego domu przez bogów... Ale tak okrutnie z nim postąpić? Z drugiej strony, masz rację, nie mogę pozwolić, aby nieprzydatny niewolnik zniweczył moje i twoje szczęście, a także szczęście mojej córeczki. Ale bogowie są świadkami, że mi żal tego chłopczyny. Żona odwróciłaby się ode mnie, gdybym uczynił mu co złego. Jednak, zgadzam się na twoją propozycję, Samiedjarze, ale na Igierabała, czyń wszystko sam!

- „Kłam dalej, stary obłudniku, ja i tak wiem, dlaczego dotychczas nie oswobodziłeś się od tego doryjskiego szczeniaka - pomyślał Samiedjar, patrząc na usprawiedliwiającego się Uzmaja. – Idę o zakład, że doryjski piękniś dogadza tobie w pościeli i robi to już nie jeden rok! Kogo chcesz oszukać, Uzmaju? Ty sam nie chcesz pozbywać się go, przysięgam na jasne oblicze Szesza!”

- Zgadzacie się, panie? - dodał głośno.

- Dam ci jedną rzecz, którą kiedyś podarowałem swojej żonie. Reszta, to już twoje zmartwienie. Jednakże pamiętaj, że moją córkę nie tak łatwo będzie przekonać o winie Leodana.

- Ale mogę mieć nadzieję, że w przypadku sukcesu, zgodzicie się oddać mi wspaniałą Szemmier-Ta-Nat za żonę?

- Słowo Uzmaja.

- O, panie! - Samiedjar upadł przed kupcem na kolana, przytulił się wargami do jego pulchnej ręki. - Nie pożałujecie waszej wspaniałomyślności. Nawet pies nie będzie wam tak oddany, jak ja.

- Wiem, wiem! Przyjdź do mnie dzisiaj wieczorem na kolację, wówczas omówimy, jak i co robić. A teraz zostaw mnie. Jeszcze powinienem przejrzeć rachunki z tego tygodnia.

- Na pewno przyjdę, panie. Niech Igierabał obsypie ciebie i twój dom swoimi łaskami!

- Idź już. I nie zapominaj powiadamiać mnie o wszystkim, czego się dowiesz w Domu Boga.

- Pamiętam, komu służę. Do wieczora, panie!

- Do wieczora - odczekał, aż młody człowiek zniknie za drzewami ogrodu, potem rozczapierzoną łapą podrapał swój ogromny brzuch i podszedł do marmurowego stolika koło basenu, który afarystańskie niewolnice już zastawiały wszystkim, co kucharz przygotował dla gospodarza na podwieczorek.

Nowy prezent od szofieta był po prostu cudowny - nigdy w życiu Szemmier-Ta-Nat nie widziała niczego podobnego, chociaż w domu kupca Uzmaja było pod dostatkiem drogich osobliwości. Złote jabłko granatu, było wykonane tak realistycznie, że chciałoby się je rozciąć i zjeść. Kiedy Szemmier-Ta-Nat niechcący nacisnęła ukrytą w szypułce sprężynę, jabłko z melodyjnym dzwonieniem otworzyło się na sześć części i zachwycona dziewczyna zobaczyła mnóstwo skrytych wewnątrz rubinowych ziarenek, iskrzących się czerwonymi ognikami. Wraz z zadziwiającym jabłkiem, szofiet przysłał jeszcze sznur wspaniałych pereł, ale na nie Szemmier-Ta-Nat nawet nie zwróciła uwagi.

- Bogowie, jakież to piękne! - krzyknęła, klasnąwszy w dłonie.

- I wytworne - dodał Leodan. Siedział na poduszkach obok swojej pani i polerował do połysku, brązową piłeczką paznokcie na lewej ręce. - Słońce z Domu Słońca zawsze robi ci wykwintne prezenty.

- Jest zakochany we mnie.

- Ciebie to dziwi?

- Jest to dla mnie zaskakujące i niezrozumiałe - pogłaskała dłonią swoje czarne, skręcone w drobne loki włosy. - Żona szofieta jest wyjątkową ślicznotką. Nie mogę z nią rywalizować.

- Głupstwa opowiadasz! - Leodan dmuchnął na pilniczek, uważnie obejrzał paznokcie, uśmiechnął się zadowolony. - Jesteś wspaniała. Królowa Kuati też jest piękna, ale jej brak twojej kobiecości. Ona promieniuje zimnym pięknem, wywołującym tylko zachwyt, nic więcej. W tobie natomiast, pali się płomień Kui, twoje piękno budzi w mężczyznach szalone pożądanie. Nasz szofiet nie może o tym nie wiedzieć.

- Czasami boję się przyszłości, Leodanie - powiedziała, wodząc paluszkami po wargach, żeby rozetrzeć grudki szminki. - Miłość szofieta mnie przeraża. Oczywiście, to wielki honor, kiedy Syn Słońca zwraca na dziewczynę swoje przychylnie

spojrzenie, ale... Królowa nie wybaczy mi tej miłości, rozumiesz? A odtrącić tak po prostu szofietę nie mogę, nawet boję się wyobrazić, czym to może się skończyć.

- To tylko drobiazgi! Szofiet jest tak zakochany w tobie, że przebaczy ci każdy kaprys.

- Mimo wszystko, nie jestem gotowa na przyjęcie jego zalotów. To może rozgniewać go, czyż nie tak?

- Szofiet, jest tylko mężczyzną. A mężczyźni, zaledwie ujrzą cię, zapominają o wszystkim na świecie.

- Tak często mówisz mi to Leodanie, że zaczynam sama w to wierzyć - powiedziała, bardzo zadowolona ze słów młodzieńca. - I nie zaprzeczaj, że pod wieloma względami pomagasz mi być piękną. Masz perfekcyjny smak. Nikt nie może równać się z tobą w umiejętności wybierania dla kobiety stroju albo ozdoby tak, żeby idealnie podkreślały jej piękno. Bardzo to cenię.

- Jesteś bardzo dobra do mnie - Leodan złożył umalowane wargi do znużonego uśmiechu. - Tak bardzo cię lubię! Szkoda, że w tym grubiańskim i niedoskonałym świecie jest zbyt mało ludzi podobnych do ciebie! Dokładniej mówiąc, w ogóle ich nie ma. Piękno, czyni cię podobną do bóstwa.

- I ja ciebie lubię - podniosła się z poduszek, podeszła do Leodana, objęła go i pocałowała. - Chociaż jesteś mężczyzną, to jednak rozumiesz duszę dziewczyny lepiej od niejednej kobiety.

- Mówiłaś mi już o tym dzisiaj. - Uważnie przyjrzał się dziewczynie. - Włożyłaś berylowe kolczyki? Szafirowe bardziej pasują do twoich niebieskich oczu i smagłej skóry. Włóż je, proszę.

- Tak? - chwyciła lustro i spojrzała krytycznie na swe odbicie. - Chyba, masz rację. Po prostu to nowe kolczyki. Prezent od Samiedjara.

- Tfu! - skrzywił się w grymasie obrzydzenia, z teatralnym przerażeniem otworzył podmalowane oczy. - Jednak przyjmujesz od niego prezenty?

- Dlaczego nie? On jest bardzo miłym młodzieńcem.

- Miłym? Brzydko pachnie mu z ust. Paskudnie się ubiera. Włożyć pomarańczowo-złotą chlamidę razem z sandałami z zielonej skóry - o, bogowie! On w ogóle nie ma smaku. I jego prezenty, są ubogie. Zaledwie berylowe kolczyki! Jest skąpcem. Mógłby podarować ozdobę nieco droższą i bardziej wyszukaną. A ostatnio ofiarował ci tę obrzydliwą małpę. Cały tydzień w pokojach śmierdziało moczem!

- On ma piękne oczy - powiedziała, oglądając się w lustrze. - I jest we mnie zakochany. Nie może robić mi drogich prezentów, ponieważ nie ma tak dużo pieniędzy. Ale masz rację, Leodanie, te kolczyki mi nie pasują. Posłucham cię i włożę szafirowe.

- Nie trzeba mu dawać nadziei. - Nigdy nie zostanie twoim mężem. Przyzwyczaiłaś się do przepychu, a w domu Samiedjara go nie znajdziesz. Jest zaledwie oficerem, chociaż służy w gwardii samego szofietę. Jesteś godna tego, by twój mąż obsypał cię złotem, jak ołtarz Szat-Cebu... Posłuchałaś mojej rady, a teraz potrzebna mi jest twoja rada. Jakim lakierem mam pokryć paznokcie? Przedwczoraj wybrałam perłowy. Dzisiaj chciałbym czegoś nowego, świątecznego.

- Kolor królewskiej purpury. Przecież podoba ci się ten kolor, czyż nie tak?... Oho, zaskoczono nas!

Okrzyk Szemmier-Ta-Nat zmusił Leodana do oderwania się od szkatuły z toaletowymi przyborami i odwrócenia się. W drzwiach pokoju stał zarządca domu Szebtar, pełen powagi, ważny i wystrojony, jak na święto.

- Podejdź tu, Doryjczyku! - rozkazał, wzmocniwszy swoje słowa władczym gestem. - Mam zadanie dla ciebie. Gospodarz powierza ci ważną sprawę.

- Jakąż to? - Leodan z widoczną niechęcią podniósł się z haftowanych poduszek.

- W sobotę gospodarz ma zamiar przyjąć bardzo ważnych gości. Potrzebne nowe draperie do refektarza. Udasz się na targowisko miejskie i wybierzesz odpowiednie tkaniny. Pieniądze otrzymasz ode mnie.

- Powinienem iść natychmiast? – popatrzył pytająco na Szebtara, potem na Szemmier-Ta-Nat.

- Oczywiście. Czy myślisz, że gospodarz będzie czekać, aż raczysz podnieść swój wypieszczony, doryjski tyłek i wykonać to, co każe?

- Dobieraj słowa, Szebtar! - nachmurzyła się dziewczyna. - Leodan należy do mnie i tylko ja mogę dawać mu polecenia.

- Wybacz pani, ale sprawa jest pilna, a lepiej od twojego niewolnika nikt zadania gospodarza nie wypełni. Jeśli ty sama...

- No już dobrze! - Przeniosła spojrzenie na Leodana. - Tobie chyba nie będzie trudno wykonać polecenie ojca?

- Oczywiście, że nie. Sam także chciałbym trochę przejść się po sklepach i obejrzeć nowości.

- Bardzo dobrze - podeszła do niskiej komody z rzeźbionego drewna, otworzyła stojącą szkatułę i wyjęła z niej trochę złotych monet. - Weź, kup sobie prezent. Spraw sobie przyjemność. A potem, razem obejrzymy twoje zakupy.

- Świetna myśl! - twarz młodzieńca rozpromieniła się. - Jesteś bardzo dobra dla mnie, kochana Szemmier.

- Bo ty jesteś dla mnie najdroższy - dziewczyna pocałowała Leodana. - Idź i wracaj szybko. Będę tęsknić za tobą.

Dzień był upalny i duszny, targowisko pełne ludzi i Leodan, idąc między rzędami kupieckich sklepików, z tęsknotą wspominał przyjemny chłód pokoi Szemmier-Ta-Nat. Jego wyszywana odzież z bisioru przemokła od potu, na zębach chrząścił piasek. Zdawało mu się, że makijaż zaczyna rozpływać po twarzy. Chłodząc się wachlarzem, szedł przez targowisko, w duchu przeklinając upał, Uzmaja z jego zadaniem i śmierzących plebejuszy, otaczających go. Handlarze brali go za znaczącego obywatela i patrzyli z ciekawością. Leodan zaś, rzucał obojętne spojrzenia na sterty różnokolorowych, aromatycznych owoców, warzyw i przypraw korzennych, na gliniane, miedziane i szklane naczynia, zatrzymując się tylko przy sklepikach z tkaninami, obuwem i odzieżą, ale niczego wartościowego nie zobaczył. Chodząc po targowisku, doszedł do jego wschodniej części, tam, gdzie znajdowały się najdroższe sklepy, oferujące zagraniczne towary.

Tkaninę na draperie kupił natychmiast, bo chciał szybko wykonać zadanie zlecone przez Uzmaja i spodobała mu się. Towarzyszący niewolnik skwapliwie przyjął kupione sztuki materiału i Leodan dał mu znak, aby wracał do domu. Był teraz wolny i mógł wybrać prezent dla siebie.

Jubilerskich sklepików na targowisku było dużo, Leodan obszedł wszystkie. Oglądał złote i srebrne świecidełka, przymierzał, przeglądając się w lustrach. Handlarze, obserwując go, skrywali uśmiechy. W sklepie dziobatego Tumiego, kupił srebrny naszyjnik z dużymi nefrytami – cacko było wyszukane i nad podziw niedrogie. Rozliczając się, nawet nie zwrócił uwagi na chudego, ubranego w łachmany człowieka, który wszedł i zatrzymał się z prawej strony, przy ladzie, czyniąc wrażenie, że przegląda wyłożone na niej brązowe i miedziane ozdoby. W

rzeczywistości, oberwaniec cały czas obserwował młodego niewolnika. Podbiegł, kiedy młodzieniec zamierzał wyjść ze sklepika.

- Ajwan**! - wyszeptał, patrząc w oczy Doryjczyka spojrzeniem pełnym psiego oddania. - Dobry ajwanie, wspaniały, jak promienny In-Nubas! Zlituj się nad biednym męczennikiem, obdarz go swoją łaską!

- Czego chcesz? - z obrzydzeniem odsunął się od oberwańca: od chudego mocno pachniało starym potem i psiną.

- Ajwanie, cierpię z głodu i poniżenia. Żona i moje dzieci chorują. Tylko jedną monetę...

- Weź - Leodan rzucił żebrakowi miedzianego kawsza, z wydanej przez Tumiego reszty. - Pozwól przejść.

- O, ajwanie! - zawył ubogi. - Niech cię pobłogosławi Igierabał. Widzę, że jesteś prawdziwym ojcem dobroci i znawcą piękna. Twoja dusza jest tak samo wspaniała, jak i twoja twarz. Nie mogę niczym ci się odwdziżyć, ale jeden z moich przyjaciół zamierza dziś sprzedać wspaniałą rzecz, która nie ma równych sobie.

- Jaka to rzecz? - z ciekawością popatrzył na żebraka: z wyglądu istny niedorajda, a pochlebia i plecie nie gorzej od nadwornych poetów.

- Pierścień z szafirem, o ajwanie. Wspaniały, jak księżyc i słońce. Podobnego pierścienia nie ma w całym Darnacie, przysięgam na głowę! Takiemu dobremu ajwanowi, mój przyjaciel odsprzeda pierścień niedrogo - jeśli poproszę...

- Kłamiesz! - nieufnie nachmurzył poczernione brwi. - Skąd tacy oberwańcy jak ty mogą mieć drogocenny pierścień? Chyba, że jest kradziony, ale kradzionych rzeczy nie potrzebuję.

- Ajwan jest niesprawiedliwy! - żebrak uderzył się pięścią w pierś. - Bogowie wiedzą, że w całym swoim życiu nie ukradłem nawet skórki ze stołu w karczmie. Mój przyjaciel wygrał ten pierścień w kości od jednego bogatego młodzieńca. Takim biedakom, jak my, do niczego się nie przyda, ale za to pieniądze... Masz pieniądze?

- Mam. Trzy sakkary.

- Przysięgam na Igierabała, mój przyjaciel sprzeda ci pierścień za dwa. Chodź ze mną, ajwanie.

Leodan podejrzliwie popatrzył na żebraka. Chudy nie był podobny do bandyty, ale mimo wszystko... A jeśli to jakaś chytra pułapka? Trzeba być ostrożnym.

- Dwa sakkary za drogocenny pierścień? - zapytał, umiejętnie pozorując nieufność. - Twój pierścień, to po prostu podróbka.

- O nie, ajwanie! - wyszeptał - kiedyś, wiele lat temu, byłem u złotnika czeladnikiem, póki nie zachorowałem i nie straciłem sił. Przysięgam, że szafir w pierścieniu jest najprawdziwszy.

- To, dlaczego twój przyjaciel postanowił sprzedać go tak tanio?

- Szafiru nie zjesz, jak kawałek chleba, ajwanie.

Leodan pomyślał o szafirowych kolczykach, tych, co podarował Szemmier-Ta-Nat władca. Jeśli ubogi nie kłamie i w pierścieniu rzeczywiście dobry szafir... W końcu, teraz jest dzień, dookoła dużo ludzi; chyba nie spróbują go obrabować przy wszystkich. Znacznie prościej byłoby podkraść się do niego w targowym tłoku i cichutko odciąć portmonetkę od pasa. Wyszedł ze sklepika i podążając za żebrakiem, znalazł się przy wschodniej bramie targowiska - tam, gdzie odbywał się drobny handel żywym towarem.

Przyjaciel chudego siedział w kucki pod wielkim platanem - tak samo brudny, wyczerpany, śmierzdzący, obdarty i jeszcze zezowaty. Do dobrego gracza w kości był tak podobny, jak osioł do bojowego ogiera i Leodan znowu zaczął podejrzewać

podstęp. W tym momencie zezowaty zobaczył ich i zaczął wrzeszczeć piskliwym głosem:

- Kto to taki, Muszki? Kogo ciążniesz, Muszki? Jesteś zupełnym durniem, Muszki?

- Nie krzycz! - Szeptał chudy. - To dobry ajwan. On dał mi pieniądze i chce kupić pierścień.

- Kupić pierścień? Kto tobie powiedział, brudny synu, że chcę go sprzedać?

- Przecież sam mówiłeś...

- Tfu na was! - Leodan koniuszkami palców poprawił na piersi swoją liliową chlamidę i poszedł w kierunku bramy. Jednakże zezowaty, nagle rzucił się w ślad za nim, chwycił za połę chlamidy i zatrajkotał:

- Dobry ajwanie, nie gniewaj się na głupca, niewiedzącego co czyni, nie odwracaj się od niegodnego, ubliżającego tobie w swojej głupiej niewiedzy... Ty naprawdę chcesz kupić pierścień, o którym mówił Muszki?

- Puść mnie - nie ukrywając obrzydzeniu odpowiedział Leodan. - Twój przyjaciel coś mówił o pierścieniu z szafirem. Ale widzę, że nie chcesz go sprzedawać. Poza tym, nie wierzę, że takie brudne bydło, może mieć prawdziwy szafir. Dlatego zabieraj się stąd do demonów.

- O-o-o-o, ajwanie, poczekaj, zostań! Ja, tak naprawdę, nie chciałem sprzedawać tego pierścienia, ale teraz widzę, że mogę ci zaufać. Jesteśmy biedni, nie znamy złodziei i oszustów, i dlatego nie ma nas kto obronić. Do nikogo nie mamy zaufania, do żadnego człowieka... Ale ty, dobry ajwan, w twoich oczach migocze płomień wielkiej Kui. Powiedz mi, ile dasz za ten drogocenny pierścień?

- Najpierw muszę go zobaczyć.

- Złote słowa! - Zezowaty w jednej chwili odwinął brudną szmatę, w którą była owinięta jego lewa dłoń i Leodan nie był w stanie powstrzymać westchnienia zachwyty. Pierścień był wspaniały - z jasnego złota, z wielkim kwadratowym szafirem, otoczonym małymi brylantami. A do tego jeszcze, szafir w pierścieniu był w tym samym odcieniu, co i kamienie w kolczykach Szemmier-Ta-Nat. Jego miła gospodyni będzie zachwycona prezentem. Sami bogowie dają mu możliwość odwdzińczyć się Szemmier-Ta-Nat za jej dobroć.

- Podróbka - powiedział, doskonale rozumiejąc, że kamień jest prawdziwy. – Dam jednego sakkara.

- Ajwan po prostu chce mnie ograbić! – z płaczem mówił zezowaty. - Ten pierścień był zastawiony w grze przeciwko stu sakkarom. Kamień jest prawdziwy, przysięgam na lędźwie mego ojca i łono matki!

- Ile chcesz?

- Dwa sakkary. Tylko dwa sakkary za ten cud jubilerskiego rzemiosła.

- Muszę pomyśleć - z trudem przełamał w sobie życzenie natychmiastowego otwarcia portmonetki. - Mówisz, że pierścień nie jest kradziony?

- Jak można, ajwanie. Nie jestem złodziejem, jestem uczciwym graczem.

- Dobrze, dawaj pierścień.

Oberwaniec zręcznie ściągnął pierścień z palca i z ukłonem wręczył młodzieńcowi. Wsunął otrzymane od Leodana dwa złote pieniądze w usta i natychmiast zniknął w tłumie, kotłującym się przy bramie. Leodan westchnął, jeszcze raz spojrzął na pierścień. Kamień był po prostu wspaniały. Oczywiście, przekłety zezowaty szachraj zełgał - pierścień na pewno pochodzi z kradzieży. Ale kto o tym będzie wiedzieć? Wyobraził sobie oczy Szemmier-Ta-Nat, kiedy zobaczy prezent i na duszy zrobiło mu się przyjemnie i lekko. Nie na próżno znosił smród, kurz i upał na targowisku. Można wracać do domu ze spokojną duszą.

Doszedł prawie do bramy, kiedy podeszli dwaj wojownicy z miejskiej straży i dobrze ubrany młody człowiek, z kpiącym spojrzeniem.

- Jesteś Leodan, niewolnik szanownego pana Uzmaja? - spytał młody człowiek. Leodana zastanowiło – nieznajomy, a doskonale wie, kto przed nim stoi.

- Tak, jestem Leodan. Czego chcesz, panie?

- Pokaż, co nosisz na palcu lewej ręki.

- Ja.... - zakrztusił się, jakby wylano na niego kubeł lodowatej wody. Wszystko popłynęło przed oczyma, nogi zrobiły się jak z waty. Niby we śnie, obserwował, jak nieznajomy chwycił go za rękę i z triumfalnym okrzykiem ściągnął z palca przekłętą szafir.

- To ten! - krzyknął, zwracając się do strażników. - Ten sam szafir, o którym mówił szanowny Uzmaj.

- Obrzydliwy psie! - powiedział jeden z wojowników. - Jak śmiałeś okraść swojego pana? Wiesz, co cię czeka za to?

- Ja... ja nie kradłem! - patrzył błagalnym wzrokiem na młodego człowieka, na detektywów. - Kupiłem go od żebraka, tu, na rynku... - nagle zamilkł, ponieważ zrozumiał, jak bezsensownie i nieprzekonująco brzmią jego słowa.

- Pójdiesz z nami, łotrze - oświadczył strażnik. - Wyjaśnisz naszemu mądrymu sędziemu, jak i dlaczego drogocenny pierścień znalazł się na twojej brudnej łapie. Pierścień zabieram, jako dowód materialny.

- Idziemy, piękniś! - zachichotał drugi strażnik, pchnął Leodana w bok ręką i zaczął go bić.

Dorywczy, powłócząc nogami, powłókł się za stróżami porządku. Młody człowiek, który odebrał pierścień, odprowadził spojrzeniem strażników i ich zdobycz, potem skierował się do niedużego dukanu, gdzie, pod daszkiem, siedział z kieliszkiem wina w ręce człowiek, który wymyślił i opłacił całe to przedstawienie.

- Strażnicy zabrali pierścień, szlachetny Samiedjarze - powiedział, podszedłszy bliżej do siedzącego.

- To nie twoje zmartwienie. - wręczył młodzieńcowi dziesięć sakkarów umownej płacy. - Podziękuj swoim przyjaciołom-aktorom. Niezastąpieni ludzie, przysięgam na Kui.

- Mógłby pan dodać parę monet dla nich.

- Wystarczy tego. A teraz odejdź i pamiętaj - zaczniesz gadać, osiodłasz najwyższy pal obok Rowów Zadżumionych.

- Wszystko rozumiem, panie. Jestem niemy, jak urwiska portowe.

- Idź już.

Najemnik uklonił się i wtopił w tłum, który zebrał się obok dukanu. Samiedjar drobnymi łykami dopił wino, rzucił na stół miedzianego kawsza i wyszedł na zewnątrz. Upał zelżał, dzień zbliżał się ku zachodowi. Zadanie zostało wykonane. Pozostało jedynie - zdążyć przed zmrokiem do Wieży Milczenia i zabrać pierścień żony Uzmaja, zanim któryś z sędziów nie położy na nim swojej łapy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wieża Milczenia, niegdyś najwyższa budowla w Darnacie, była zikkuratem Boga Szesza. Zbudowana jeszcze za rządów króla Aszebgardana, przez długi czas uchodziła za jeden z cudów Darnatu. Jednakże po tym, gdy w epoce Południowego Imperium, kult Szesza został zakazany, znaleziono dla niej inne zastosowanie – urządzono więzienie miejskie. Marmurowe i granitowe płyty oblicowania wieży rozwleczono do innych budów, święty ogród u podnóża wyrąbano, uzyskany plac

przekształcono w miejsce kaźni przestępców, a wyposażenie przeniesiono do świątyń, poświęconych innym bogom. Pozbawiona dawnej wspaniałości wieża, otrzymała od pospólstwa nową nazwę - Wieża Złodziei - przy czym nie bardzo było wiadome, kogo miała na myśli ludowa pogłoska: tych, których wsadzali do wieży, czy też tych, co nie uszanowali świętego niegdyś miejsca.

Kastę nie od razu odprowadzono do wieży: początkowo aresztujący ją legioniści przyprowadzili dziewczynę do Domu Prawa - niskiego kamiennego budynku, po prawej stronie od wejścia do więzienia, gdzie zajęli się nią więzienni urzędnicy. Spisali rzeczy Kasty i złożyli je w wielkim kufrze, po czym jeden ze strażników więziennych, starszy człowiek o żółtej twarzy i mętnych oczach, kazał dziewczynie rozebrać się do naga. Splunąwszy pod nogi, ściągnęła tunikę i rzuciła ją do nóg żółtolicy. Stojący za plecami dziewczyny strażnik więzienny, w tym momencie uderzył ją biczem po plecach. Z gniewnym krzykiem obróciła się do sprawcy, zamachnęła się pięścią i natychmiast otrzymała kolejne uderzenie od drugiego, tym razem tępym końcem lancy w brzuch. Zaparło jej dech, ból zmusił do zgięcia się wóół. Trzecie uderzenie, drzewcem po plecach, zbiło ją z nóg i upadła twarzą na zimną, glinianą posadzkę.

- Bez wygłupów, dziwko - spokojnie powiedział żółtolicy - tu nie arena. Nauczmy cię szanować prawo i jego wykonawców.

Obejrzel ją, jak zwierzę przeznaczone dla sprzedaży, zajrzeli do ust, rozsunęli nogi, zerwali z szyi złoty amulet z kosmykiem włosów Elei i kamień Tulkana. Żółtolicy otworzył amulet, z obrzydzeniem wyciągnął z niego koniuszkami palców, miękkie, jasne lok.

- Do tego jeszcze jesteś wiedźmą! - wrzasnął.

- To... włosy moje... córeczki - zachrypięła Kasta. - Oddaj...

Żółtolicy rzucił jej lok, amulet wsunął do swojej sakwy przy pasie. Po czym, poobracał w palcach kamień, który Kasta otrzymała od Tulkana i rzucił dziewczynie. Drugi urzędnik, podał tunikę z twardej, zgrzebnej tkaniny i parę sandałów, zrobionych z grubych powrozów.

- Ubieraj się - rozkazał.

Do wieży odprowadził ją żółtolicy z dwoma strażnikami - aglamitami, krępyimi, długorękiimi i porośniętymi rudą sierścią, jak małpy. Po jaskrawym, słonecznym świetle na ulicy, mrok wieży oślepił Kastę. Żółdek podszedł do gardła z powodu panującego w wieży smrodu. Zatrzymała się, próbując opanować odruch wymiotny.

- Ruszaj się dziwko! - Żółtolicy pchnął ją w plecy.

Wchodzili długo kręconymi, kamiennymi schodami, oświetlonymi skąpo przyćmionymi, olejowymi lampami. Potem zobaczyła cele, zamykane drzwiami z kutego żelaza. Mieszkańcy przywitali ją zachwyconym wyciem, cmokaniem i nieprzyzwoitymi dowcipami.

- Hej, patrzcie, dziewczucha!

- Przysięgam na krew - baba! Hej, naczelniku, dokąd ją prowadzisz? Posadź do nas, chociaż na jeden dzionek! Chociaż na godzinkę, naczelniku!

- Jaka baba! Hej, dziewczyno, już ciebie chcę! Chociaż popatrz na mnie!

- Oj, braciszku, zaraz mi jaja pękną! Bogowie, jak ona pachnie! Stąd czuję zapach jej kici.

- Proszę, dajcie popatrzeć! Ach, jak ja bym teraz jej...

- Naczelniku, dawaj tę dziwkę tu! Szybko wychowamy ją na nowo, przysięgam na tyłek Igierabała!

- Nóżki, jakie nóżki! Zaraz umrę...

Kasta szła ze spuszczoną głową. Mdłości ustąpiły nieznacznie, ale teraz chwyciły ją dreszcze, zupełnie jak przed walką. Chciało jej się wyć z bezsilności. Gdyby mogła, to gołymi rękoma rozerwałaby wszystkich tych nikczemników, wydusiłaby pełne pożądania oczy, powydzierałaby ze smrodliwych ust brudne języki. Ale za plecami dyszeli dwaj aglamici, uzbrojeni w ciężkie lance i Kasta nie chciała wypróbować ich ostrości na sobie. Musisz być rozsądna. Wszystko jedno wydostanie się z tego dołu na pomyje. A potem policzy się z Kuwładem za uczynione dzisiaj poniżenie. Myśl o tym, co robi mu, wywołała krwiożerczy uśmiech.

Przyprowadzono ją do otwartej celi i żółtolicy strażnik więzienny pchnął ją do środka.

- Szanowny sędzia dzisiaj zajęty, więc odbędzie się jutro - oświadczył. - Noc spędzisz tu. Jeśli zaczniesz urządzać histerie, zapoznasz się z kajdanami. Albo udasz się do tych zwierząt, które widziałaś idąc tu.

Obejrzała się. Wszystko przypominało koszmarny sen i nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Cella była przestronna, ale wilgotna i zimna, i Kasta znów dostała dreszczy - kamienie ścian zabierały ciepło jej ciała. Żółtolicy zatrzasnął ciężkie, metalowe drzwi, zgrzytnęła zasuwa. Stała chwilę i słuchała, jak strażnik więzienny i ochrona oddalają się korytarzem, tupiąc nogami obutymi w ciężkie, podkute brązem sandały. Wreszcie zostawiono ją samą.

Na kamiennej podłodze, obok naręcza słomy, która służyła za posłanie, stał dzban z wodą. Podniosła go, powąchała - woda była świeża. Łapczywie wypila do ostatniej kropli, nie myśląc o tym, że nie ma więcej. Zawroty głowy i mdłości nieco ustąpiły. Zaspokoiwszy pragnienie, położyła się, zwinęła w kłębek na słomie, przysłuchując się gorączkowemu biciu serca. Potem przypomniała o loku Elei. Przez cały czas jedwabisty kosmyk włosów córeczki, był zaciśnięty w lewej pięści. Rozwarła pięść, spojrzała na lok i łzy strumieniem popłynęły z oczu. Już drugi raz w ciągu ostatnich dni płakała niepohamowanie, w głos, prawdziwie po kobiecemu. Coś takiego nie zdarzało się już parę lat. Kiedy burza w duszy ucichła i łzy wyschły, pocałowała kosmyk włosów i zawiązała dookoła lewego nadgarstka, owinęła z góry paskiem materiału oderwanego od tuniki, na wzór opaski. Teraz była spokojna.

Nie jest tak źle - powiedziała do siebie. Obowiązkowo wydostanie się stąd, nawet, jeśli będzie musiała walczyć z całym Darnatem. Nie boi się śmierci. Przez trzy lata walczyła na arenie i wielka Nekrian, bogini nieskończonego spokoju, cały czas była obok niej. Tylko trzeba oszczędzać siły. Trzeba się przespać. Zbyt dużo miała przeżyć w ostatnich dniach.

Zamknęła oczy i zapadła w mrok.

- Hej ty, seltońska dziwko! - Oświetlona płomieniem pochodni brzydka twarz ochroniarza-aglamity wydała się przedłużeniem tych koszmarów, które męczyły ją we śnie. – Ktoś przyszedł do ciebie!

Obok ochroniarza stała mała, szczupła postać, otulona w ciemne okrycie. Jakaś kobieta. Podniosła się ze swego żałosnego łoża, zrobiła krok w kierunku żelaznych drzwi.

- Nie chcę nikogo widzieć - powiedziała, patrząc na nią.

- To ja ciebie, chciałam widzieć - kobieta oswobodziła spod okrycia rękę i coś podała strażnikowi. - Idź, mój przyjacielu, daj nam porozmawiać na osobności.

- Czego chcesz? - spytała Kasta, kiedy ochroniarz poszedł. – Kim jesteś?

- Jestem Dincze - powiedziała kobieta, w czystej, seltońskiej mowie. Kasta drgnęła.

- Mówisz po seltońsku?

- Mówię. Przestań się niepokoić, nikt nam nie przeszkodzi. Dałam ochroniarzowi srebrną minę, za taką płacę, pozwoli nam rozmawiać choćby całą noc.

- Tulkan chciał, żebym znalazła ciebie.

- I nie posłuchałaś go. Ja musiałam cię znaleźć. Cieszę się, że zdążyłam. Dziękuję ci za to, że szlachetnie obeszłaś się z moim synem.

- Synem?

- Tulkan był moim synem.

- Ork – twoim synem?

- W połowie. Rasowym Orkiem był jego ojciec Ebresz Ajchcho, kuzyn króla Orków Udaja.

- Poczęłaś dziecko z Orkiem?

- Kochałam go. Tak, był Orkiem, ale z czystym, szlachetnym i odważnym sercem. On mnie także kochał. To długa historia i nie będę jej teraz opowiadać. Po urodzeniu syna, Ebresz zabrał go do siebie: chciał zrobić z Tulkana prawdziwego wojownika, bał się, że ludzka natura może przeważać w naszym dziecku. Nie sprzeciwiałam się.

- Oddałaś swojego syna?

- Musiałam. Ale tęskniłam za nim przez wszystkie te lata. Tulkan szedł do Darnatu, by spotkać się ze mną. Ale nie zdążył. Po drodze, podstępem pochwycili go handlarze niewolników i sprzedali Abnunowi. Byłaś wspaniałomyślna dla mojego syna, chociaż nie byłaś w stanie go uratować.

- Walczyłam z nim na arenie.

- To nie był twój wybór.

- Wybacz mi. Rzeczywiście nie mogłam go uratować. - Kasta zdjęła z szyi amulet Tulkana, podała kobiecie. - Weź, ta rzecz należała do twojego syna.

- Nie - Dincze delikatnie odsunęła wyciągniętą rękę Seltonki. - On należy do ciebie. To kamień Ajwary, jedna z dziewięciu relikwii, pozostawionych światu przez Zapomnianych Bogów, do niedawna będąca w posiadaniu Orków. Mój syn uczynił to, co powinien był uczynić. Teraz nastał twój czas, Kasto. Musisz odnaleźć wszystkie pozostałe relikwie, żeby wypełnić swoje przeznaczenie.

- Nie mam żadnego przeznaczenia. Jutro mnie będą sądzić i najprawdopodobniej skazą na śmierć. Dlatego znajdź inną głupią i jej opowiadaj swoje bajki.

- Żadnego sądu nie będzie. Rano opuścisz więzienie i Darnat. Rozpoczniesz nowe życie - życie Wojowniczką Zapomnianych Bogów.

- Wyjdę z tej klatki? - zaśmiała się nieufnie. - Ty mnie uwolnisz?

- Nieważne, kto to robi. Wiedz, że taka jest wola Zapomnianych Bogów.

- O jakich Zapomnianych Bogach mówisz?

- Kiedyś rządili światem. Potem przyszło Zło i zburzyło wszystko, co stworzyli ci bogowie. A potem był wielki potop, oczyszczający świat z paskudztwa i nadszedł czas innych bogów, i ludzie nie mają pojęcia, że nowi idole, których czczą, są zaledwie bladymi cieniami prawdziwych twórców tego świata. Nawet prawdziwe imiona Zapomnianych, dzisiaj pamiętają tylko nieliczni wtajemniczeni. Ale oni nie porzucili tego świata, istnieją nadal pośród nas, ponieważ ich odwieczny wróg nie jest jeszcze ostatecznie zwyciężony. Dawna konfrontacja zaczyna się od nowa. Daleko, na południu, na ziemiach Szeranu, magowie Czaszy przygotowują się na powrót do

naszego świata odwiecznego wroga Zapomnianych - tego, który zniszczył złoty wiek i skazał ludzi na cierpienia i śmierć. Samego Ojca Cieni.

- Skąd o tym wiesz?

- Nieważne? - powiedzmy, że Zapomniani Bogowie powiedzieli mi o tym.

- Jesteś po prostu obłąkaną staruchą.

- Nie wiesz o niczym, Kasto. Czy mam nazywać cię Lejdą?

- Skąd znasz moje imię? - chwyciła za żelazną kratę drzwi, przypadła twarzą do prętów, chcąc dostrzec dziwnego gościa.

- Twoje imię wyjawiał mi kosmyk włosów, ukryty pod opaską na twojej ręce - odpowiedziała Dincze.

- Przysięgam na Beris! Nie próbuj się nade mną znęcać!

- Mówię prawdę. Wiesz, dlaczego Tulkan nie zabił cię? Do ziemi Orków zbliża się teraz wielka wojna. Tulkan miał polecenie przybyć tu, do tego miasta, żeby przekazać kamień Ajwary ludziom. Właśnie stąd, z Darnatu, powinien zacząć się marsz przeciwko powrotowi dawnego Zła. Tulkan był wtajemniczonym. Zobaczył twoją skrytą przed wszystkimi duszę. Poznał nie tylko twoją siłę, ale i twoje miłosierdzie. Zrozumiał, że właśnie twoim przeznaczeniem jest stanąć w obronie Zapomnianych, w wojnie przeciwko demonicznemu siłom Szu. Jak to on ciebie nazwał? *Szenaj-eszgan-roch-ammardien*.

- Jesteś po prostu wiedźmą, oby cię zabrała Nekrian!

- Wiedźmą - zaśmiała się. - Albo jedną z ostatnich służących bogini Ajwary. Albo sama Zapomniana Bogini. Nazywaj mnie, jak chcesz.

- Jakiego diabła chcesz od mnie?

- Bardzo długo trzeba by opowiadać. Ale coś niecoś powinnaś wiedzieć. Wyobraź sobie, Kasto, że bogom też potrzebni obrońcy. Prości, śmiertelni ludzie, są wybierani spośród wielu, w imię swoich celów. Znaleźć godnego obrońcę niełatwo. Przecież, jeśli oni zaczną sami walczyć ze sobą, świat przestanie istnieć. Będzie zniszczony ogniem i wodą, burzami i mrozem. Zginą wszyscy - prawi i nieprawi, dobrzy i źli. Po co to bogom? Oni kochają ludzi, choć ludzie o nich zapomnieli.

- Nie chcę być obrończynią.

- Nie tobie o tym decydować. Jesteś szczególną kobietą i twoja droga była z góry ustalona, od dawna, w momencie twojego urodzenia. Nazwij to losem, albo wolą bogów - różnicy nie ma. W tobie żyje dusza wojownika. Masz ciało kobiety i duszę wojownika, Eleo Lejda, nazywana Kastą. Bogowie wybrali dla ciebie drogę bohatera. I podążałaś nią przez wszystkie minione lata.

- Bogowie? - Kasta skurczyła się w kłębek, niczym rozwścieczona kotka. - Śmiesz mówić mi o bogach? Zabrali mi wszystko, co kochałam. Zmusili do poznania niewoli i poddaństwa. Przekształcili ze szczęśliwej żony, matki kochającej córkę, w morderczynię. Bito mnie, gwałcono, sprzedawano na targu, jak rzecz, posyłano na arenę zabijać takich samych jak ja niewolników. Droga bohatera, o której mówisz, to droga krwi i cierpienia. Wiesz, jak to jest - zabić człowieka? Wbić w niego miecz, roztrzaskać mu czaszkę siekierą albo buławą? Zajmuję się tym już trzy lata. Trzy lata, wychodzę z areny z rękami lepkimi od ludzkiej krwi. Przyzwyczaiłam się do jej zapachu podobnie, jak inna kobieta przyzwyczaja się do zapachu swoich pachnidła. Taka była wola bogów, Dincze? Skrzywdzić szczęśliwego człowieka tak, żeby ten zaczął zabijać? Żeby marzył o śmierci? Nie chcę!

- Rozumiem cię, córeczko. Przez wszystkie te lata ciebie otaczały mrok i krew. Ale to tylko początek twojej długiej drogi. Nie gań Bogów - oni robią to, co muszą. Im jest potrzebna twoja pomoc. Nadchodzą ciężkie czasy - czasy ognia i żelaza, czarnej magii i władzy demonów. Dawne zło Szu, lada moment zawróci świat do tych

przeklętych wieków, kiedy nim rządziły przyjmujące ludzkie ciało demony Zacienionej Strony. Przez wiele dziesięcioleci Orkowie, zasiedlający płaskowyż Orsiany, samotnie powstrzymywali nacisk szerańskich zastępów. Ale nie tak dawno zdarzyło się to, co nie powinno było się zdarzyć - Szezańscy zdobyli święte miasto Orków, Miare. Do łap szerańskich czarnych magów dostało się Słowo Otchłani i teraz oni wiedzą, jak obudzić niewyciężoną potęgę Szu.

- To wszystko mnie nie dotyczy.

- Trudno mi o tym mówić, Kasto, ale muszę. Chcesz, żeby Ojciec Cieni znów zyskał władzę nad światem i twoi ukochani, Elea i Ajlor wrócili do ciebie - teraz jednak, jako krwiożercze wampiry, jako złośliwe istoty?

- Nie waż się! - z wściekłością uderzyła dłonią w żelazne drzwi. Gdyby mogła dosięgnąć gardła Dincze, bez wahania zadusiłaby staruchę. - Nie wymawiaj imion, których nie wolno ci poniżać!

- Rozumiem twój gniew. Ale wszystko, co teraz mówię, jest czystą prawdą. Rozumiem, że słysząc to, odczuwasz ból. Ale powinnaś wiedzieć, co czeka ciebie, mnie, wszystkich nas, jeśli szerańscy czarnoksiężnicy doprowadzą do końca swój bezbożny zamiar. Wróci czas Szu, era pełnego panowania demonicznych sił na ziemi. Tulkan szedł do Darnatu także dlatego, że wodzowie Orków próbują dzisiaj znaleźć sojuszników. Ludzie nie mają pojęcia, że długie lata, właśnie dzięki nim, mogli spać spokojnie. Ale dzisiaj wszystko się zmieniło. Ta pomoc, którą okazywaliśmy Orkom my, kiedyś kierujący światami i zapomniani, jest teraz niewystarczająca. Samotnie, nie będą w stanie dać rady Szezańcom. Jednakże ludzie nienawidzą Orków, uważają ich za złośliwe potwory, nieczyste i drapieżne. Powierzchność, niestety, często bywa złudna.

- Dobrze, więc co powinnam zrobić? Służyć ci?

- Nie, po prostu idź swoją drogą. Ta droga, już się zaczęła.

- Słowa, słowa. Puste, nic nieznaczące. Jak mogę bronić bogów, jeśli nie mogę obronić nawet siebie? Nie mam nic, oprócz tego kamienia i kosmyka włosów mojej córeczki.

- A czy to mało? Po tym, jak Tulkan przekazał ci relikwię Zapomnianych, na tobie spoczywa błogosławieństwo bogini Ajwary. Wybór został dokonany. Za sprawa mojego syna, Zapomniani dostali wojownika. Teraz twoje miejsce, w zbliżającej się wojnie, zostało określone. Co zaś tyczy się włosów... Pamięć o tych, których kochałaś, dotychczas nie pozwoliła ci zostać okrutną i bezlitosną morderczynią, chociaż rozlałaś немало krwi. Wytrzymałaś ostatnią próbę - próbę złości. Przez trzy lata na arenie cyrku okrutnie mściłaś się za wszystkie nieszczęścia, które spadły na ciebie. Ale zlitowałaś się nad Tulkanem i Zapomniani widzieli to.

- Zmęczyłam się - chwyciła się dłońmi za skronie, pokręciła głową. - Odejdź, matulu. Nie chcę więcej rozmawiać.

- Dobrze. Tylko jeszcze parę słów na zakończenie. Twój los, jest nierozdzielnie związany z losem jednego młodzieńca, którego spotkasz bardzo szybko. To będzie zupełnie normalny sojusz, ale on pozwoli ci dokonać tego, czego oczekują od ciebie Zapomniani. A teraz żegnaj. Chroń kamień, nieraz odpłaci się tobie dobrą służbą. Posiada wielką moc uzdrawiania ran, chorób i neutralizowania trucizn. I jeszcze, przyjmij od mnie ten pierścień. Nie zwracaj uwagi na jego prostotę. To druga relikwia Zapomnianych. Pierścień Mommeka, Boga Mądrości. Nazywają go także Pierścieniem Języków. Pomoże ci znajdować drogę do serca tego, kogo spotkasz na swojej drodze.

- Dincze! Ajwara! - krzyknęła, ale za drzwiami jej celi już nikogo nie było, zniknęła w ciemności korytarza. Ze zdumieniem popatrzyła na swoją prawą rękę –

wytarty, miedziany pierścioneł niepojętym sposobem znalazł się na serdecznym palcu. A potem, zdjęła z szyi amulet i zobaczyła, że niepozorny kamień Tulkana zmienil się. Teraz, był to polerowany kawałek bursztynu, który posiadał nienaganną, sześciokątną formę komórek pszczelich plastrów.

- O Beris! - westchnęła. - Co się dzieje?

Jednak nie była w stanie odpowiedzieć na to pytanie.

Najczcigodniejszy Ris-Szawchun, naczelny sędzia Darnatu, spojrział najpierw na zwitek, który leżał przed nim, potem na człowieka, który służalczo patrzył na niego, oczekując, kiedy będzie raczył odpowiedzieć. Wymagało to jednak koncentracji, a najczcigodniejszy w żaden sposób nie mógł skupić się. Pragnął tylko ciszy i spokoju. Wczorajsza uczta dotychczas przypominała o sobie tęym bólem głowy. Powieki się kleiły, kiedy próbował czytać zapiski spraw, wymagających rozpatrzenia. Marzył o domu, chłodzie, pościeli. A tu jeszcze ten, petent...

- Pomyślę - powiedział, nie podnosząc wzroku. - Najpierw trzeba przesłuchać oskarżoną.

- Oczywiście, oczywiście, światło prawdy. Ale szanowny pan Abnun prosił o... Szczegółne podejście do sprawy. Przecież zabity został poważany człowiek, podstępnie, na oczach licznych świadków.

- Pomyślę.

- Dobry pan Abnun prosił was, światło prawdy, przyspieszyć wydanie wyroku.

- Z czego wynika taki pośpiech? - Ris-Szawchun zdołał podnieść oczy na petenta. - Sądownictwo, to zajęcie złożone.

- Oskarżona - to tylko brudna niewolnica.

- Obdarzona wolnością - poprawił sędzia - która trzy lata była idolem ludu. Ale nie musisz mówić o tym, Szabak. Jeśli nie masz mi nic innego do powiedzenia...

- O, zupełnie zapomniałem! - sekretarz właściciela Wielkiego Cyrku, z dobrze zagranym uśmiechem winowajcy, ściągnął z palca pierścień, z pięknym, niebieskawej barwy diamentem i z ukłonem położył go na stole przed sędzią. - Pan Abnun z uniżeniem prosił o przyjęcie tego, na znak szacunku i uwielbienia.

- Już drugi - powiedział sędzia.

- Co drugi? - nie zrozumiał Szabak.

- Jesteś drugi, który próbuje dzisiaj wcisnąć mi łapówkę. Z rana był jeden... Czego chce twój gospodarz? Żebyś skazał dziewczuchę na śmierć? Jej tak i tak nie uda się uniknąć szafotu.

- Słusznie pozwoliliście zauważyć, że przeklęta Seltonka trzy lata była sławna. Może mieć wpływowych obrońców.

- I co z tego?

- Słyszałem, że nadszedł czas wyekwipować „statek śmierci” - przeszedłszy na szept, powiedział Szabak.

- Aha, ty o tym! - pokiwał głową. - Myślałem, że twój gospodarz chce popatrzeć na to, jak kat będzie patroszyć dziewczuchę na Placu Westchnień.

- Jestem szczęśliwy, że zrozumieliście mnie, czcigodny panie.

- Zgoda - wziął zwitek i niby niechcący, zręcznie zsunął nim pierścień ze stołu, sobie na kolana. - Wydam odpowiednie zarządzenie wobec dziewczuchy. Przekaż Abnunowi moje pozdrowienia i życzenia zdrowia.

- Hej, kobieto!

Kasta podniosła głowę. Zgrzytnęła zasuwę i wysoki człowiek w czerni wszedł do celi.

- Wstać! – Rozkazał niezbyt głośno.

Kasta podporządkowała się. Człowiek stanął tak, żeby światło z malutkiego okienka celi padało na jej twarz. Ona natomiast, nie mogła widzieć jego fizjonomii - nieznajomy był bez pochodni.

- Przyszedłem zakomunikować ci, kobieto, że wysoki sąd rozpatrzył twoją sprawę. Jesteś skazana na śmierć - powiedział.

- Rozpatrzył moją sprawę? - odgarnęła z twarzy brudne, lepiące się włosy. - Nawet nie wysłuchawszy mnie? Zaprawdę, to szczyt sprawiedliwości!

- Twoje słowa są obraźliwe. Ale teraz, to nie jest już ważne. Jutro o wschodzie słońca będziesz publicznie ścięta na Placu Westchnień.

- „Czarny kruk, zwiastun śmierci, chce nastraszać mnie” - zaśpiewała i pogardliwie się uśmiechnęła. - Myślisz, że się boję? Mylisz się.

- Według prawa, wieczorem przed egzekucją przysługuje ci kąpiel i kolacja na rachunek skarbu państwa, o wartości nieprzewyższającej ośmiu kawaszy. Po tym, umieszczą cię w innej celi, gdzie spędzisz noc, do poranka.

- Bardzo dobry obyczaj - przełknęła grudę, która utknęła w gardle. - A nie przysługuje mi mężczyzna na rachunek skarbu państwa? Coś, nie bardzo się chce ostatnią noc życia spędzać w samotności.

- Brudna dziwka! - zasyczał czarny i opuścił celę.

Położyła się na słomie. Ślepe przerażenie, które ogarnęło Kastę, gdy usłyszała o wyroku, nieznacznie ustąpiło, pozostała tylko niezdolna słabość w nogach i uczucie beznadziejności. Jutro czeka ją egzekucja. Dincze oszukała. Żadnego uwolnienia nie będzie. Cóż, musi być silna. W końcu, jej męki, jutro się skończą. A potem... Potem spotka swoją Eleę. I Ajlora. I mamę. Ponad trzy lata ciągle myślała o tym spotkaniu. Został już niedługi czas oczekiwania.

Trwała w odrętwieniu do chwili, póki znów nie weszli do jej celi - tym razem znany jej, żółtolicy strażnik więzienny wraz z dwoma ochroniarzami. Podnieśli ją okrzykiem i kazał podążać za nimi. Przyprowadzili na sam dół wieży, do piwnicy. Tu na nią czekała beczka z gorącą wodą i nakryty stół.

Nawet na krótko przed śmiercią, człowiek może być szczęśliwy, myślała, z rozkoszą zmywając z siebie lepki, więzienny brud. Co więcej, właśnie w takiej chwili, życie wydaje się wspaniałe. Myła się, rozchlapując wodę, jęcząc i postępując z rozkoszy, nie zwracając najmniejszej uwagi na ochroniarzy, którzy obserwowali ją. Było jej wszystko jedno, że na nią patrzą. Niech gapią się - może, choć raz w życiu zobaczą piękną kobietę. W jakimś sensie kaci zlitowali się nad nią: jutro na szafocie nie będzie wyglądać jak brudna świnia. Może to wątpliwe, ale jednak pocieszenie. A potem ubrała się i usiadła za stołem. Zaproponowane wino było kwaśne, mięso – niedosmażone, chleb zakalcowaty, a owoce z lekka nadgniłe, ale nawet ta uboga kolacja, wydała się jej niezwykle smaczna. Jadła z apetytem, póki potrawy nie skończyły się. A potem ogarnęła ją niepokonana senność. Chciała powiedzieć strażnikowi więziennemu, żeby ją odprowadzono do celi, ale język odmówił posłuszeństwa. Jeszcze chwila i zvaliła się wprost na stół, rozlewając resztki wina.

- No, już po wszystkim - powiedział żółtolicy strażnik więzienny. - Weźcie ją i zanieście na furmankę. Odwieziecie pierwszą partię do portu i szybko wracajcie po następnych.

- Szkoda, że nakarmią nią ryby - powiedział jeden z ochroniarzy, patrząc na Kastę. – Chętnie popatrzyłbym, jak kat odrąbuje jej głowę.

- Trzymaj swoje niezdrowe fantazje przy sobie – przerwał mu żółtolicy. – Co za idiota wymyślił to prawo o skazańcach? Kąp taką swołocz, karm... Gdyby ode mnie zależało, wszystkich wywieszałbym bez żadnych formalności. Ruszajcie się szybciej, mamy jeszcze dużo pracy. Zostało jeszcze sześciu nikczemników, a nie zamierzam sterczeć tu całą noc.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

A jednak bogowie lubią mnie, pomyślał Wisław. Tylko nieliczni mogą pochwalić się takim zdrowiem i wytrzymałością, jak Wis Fartowny. Nie zaliczam się już co prawda do ludzi młodych, ale na tym statku-widmie jestem pierwszy, który wrócił do przytomności. Pozostali śpią w ładowni kamiennym snem, nawet nie uświadamiając sobie tego, co się z nimi stało.

Położenie istotnie było nieciekawe. Jeszcze miesiąc temu myślał, że wszelkie opowiadania o statkach śmierci, albo statkach-widmach, jak je nazywano w Darnacie, to tylko złodziejski folklor. Wśród fartownych dzieci w Darnacie, mówiono o nich często, ale on w te bajania nie wierzył. Okazało się jednak, że to prawda. A najbardziej przykre jest to, że sam jest teraz przymusowym pasażerem.

Po ciemnej, śmierdzącej ładowni, znaleźć się na pokładzie, było w dwójnasób przyjemnie. Zimny oddech morza szybko odpędził słabość i ociężałość, wywołaną działaniem ziół nasennych, którymi w przeddzień upojono go w więzieniu. Z rozkoszą wystawiał twarz na podmuchy morskiego wiatru. Na pewno położenie jego jest beznadziejne, ale nawet w nim są plusy. Przynajmniej teraz, nie umrze w smrodliwej celi ani na krzyżu do ćwiartowania, przy podnieconych krzykach tępych gapiów, oblewając się krwią i rżąc w agonii. Na razie jest wolny. Może czuć na twarzy wiatr, wdychać cudowny, słony morski zapach, który przypomina ojczyznę. I jeszcze - z nim - na statku skazańców znalazła się sama Kasta.

Dziewczynę rozpoznał od razu - wielokrotnie widział ją w cyrku i jego zdziwienie było ogromne. W pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom, ale potem, przyjrawszy się śpiącej, zrozumiał, że to właśnie ona. Na krągłym, opalonym ramieniu dziewczyny, prezentował się pięknie, misternie zrobiony tatuaż, którym znaczone gladiatorów darnackiego cyrku - czarny smok, otoczony językami ognia, na znak, że wojownik jest poświęcony Giesztanowi, bogu wojny i rozlewu krwi. Ale jak i dlaczego, groźna Seltonka, ukochana przez wszystkich mistrzyni Darnatu, znalazła się na tej łajbie dla skazańców na śmierć? Zazwyczaj, załogę statku-widma stanowią różni złoczyńcy, ale oddać na ofiarę morzu samą Kastę-Amazonkę?! Na pewno, w Darnacie zdarzyło się coś nieprawdopodobnego. Czy też, może jednak się myli i ta dziewczyna, to tylko sobowtór słynnej gwiazdy areny?

- Ej! - leciutko poklepał dziewczynę po policzkach. - Hej!

Kasta - albo dziewczyna, zdumiewająco podobna do słynnej amazonki – nadal mocno spała. Od momentu, gdy statek wyprowadzono z darnackiej zatoki i zostawiono na pastwę wiatru i prądów morskich, minęło już sporo czasu, ale środki nasenne, którymi nafaszerowano więźniów, przed wysłaniem na statek, nadal działały. Zarzucił dziewczynę na ramię i ostrożnie wylazł z ładowni, najpierw na pokład wioślarski, przystawiwszy do krawędzi wjazdu znaną grubą deskę, a potem na górny pokład. Po chwilowym odpoczynku, jeszcze raz spróbował rozbudzić Kastę, ale bez skutku.

- No cóż, śpij ślicznotko! - burknął. - Może świeży, morski wiatr, obudzi cię szybciej niż ja?

W tym momencie pomyślał o śpiących w ładowni współtowarzyszach niedoli. Wcześniej czy później obudzą się i wtedy można oczekiwać wszystkiego. Na statku nie ma ani jedzenia, ani wody, ster nie działa, maszt został zrąbany. Dokoła otwarte morze i chociaż na niebie czasami pojawiają się mewy, jednak jest zbyt daleko do brzegu, aby można było dotrzeć do niego wpław. A i w którą stronę płynąć - jeden Cwir to wie! W ładowni jest jeszcze siedmiu ludzi - sądząc po gębach i tatuażach, to skończeni mordercy, rozbójnicy i gwałciciele. U jednego z nich dostrzegł na piersi tatuaż wilczej głowy; tak w darnackich więzieniach znaczone tych, którzy choć raz skosztowali ludzkiego mięsa. Pozostali nie byli lepsi, takie same towarzystwo. Dziewczyna, jeśli rzeczywiście jest Kastą, bez broni, może nie sprostać przeciwnikom. Trzeba pomyśleć o własnym bezpieczeństwie i wymyślić cokolwiek. W ładowni jest dużo różnych śmieci. Trzeba zejść i popatrzeć, może coś z tych rupieci nada się do ochrony i samoobrony?

Na wioślarskim pokładzie było stosunkowo widno - promienie światła padały z góry, przesączały się przez dziury w burtach i dulki od wiosł. Za to niżej, wykorzystał zakłęcie Nocnego Podróżnika, którego nauczył się, będąc jeszcze studentem. Miękkie, różowe światło, pozwoliło dostrzec ładownię, a przy okazji spłoszyło parę szczurów, urządzających sobie spacer. Na dnie, i w leżących stertach balastu, przemieszanego z ciałami śpiących, poniewierały się odłamki beczek, kawałki na pół gnijących konopi i lin, rozbita ceramika, zniszczone skrzynki, jakieś szmaty. Ze źle uszczelnionych burt sączyła się woda, zbierając się w mętne kałuże między wręgami. Zrozumiał, że jego poszukiwania są daremne. Niczego wartościowego tu nie ma. A potem, wyraźnie usłyszał czyjeś łkanie. Poprowadził promień w najdalszą część ładowni. Zobaczył jeszcze jedną dziewczynę: ukryta w kącie, patrzyła na niego rozszereżonymi ze strachu oczyma.

Uśmiechnął się, zrobił krok w jej stronę. Nagle zrozumiał, że się pomylił. To nie dziewczyna - chłopak. Tylko jakiś dziwny. Jasne włosy zbyt gęste i długie jeszcze nosiły ślady umiejętnej ondulacji i gdzieś tam pobłyskiwały w nich ziarenka złotego pudru. Na rzęsach ślady farby, na powiekach resztki cieni. Skóra na nogach, rękach i piersi gładka, bez jedyne włoska, jedwabista od depilacji. A paznokcie - o wielcy bogowie! Nie inaczej, chłopak homik i trafił tu z jakiegoś ekskluzywnego lupanaru.

- Witaj, piękniś! Gratuluję przebudzenia. Pewnie próbujesz przypomnieć sobie, jak tu trafiłeś?

W odpowiedzi wydał jakiś dziwny szlochający dźwięk, jeszcze głębiej schował się w kąt. Podszedł do niego, wyciągnął rękę.

- Ktoś zrobił ci paskudny dowcip, piękniś - powiedział. - Chyba, bardzo mocno podpadłeś swoim klientom.

- Gdzie ja jestem? - spytał, szcękając zębami z chłodu, czy też ze strachu. - Kim ty jesteś?

- Najpierw odpowiem na drugie pytanie. Jestem Wisław. Fartowni ludzie najczęściej nazywają mnie Wis Fartowny. Tylko tym razem, nie poszczęściło mi się, podobnie jak i tobie, maluchu. A teraz, odpowiem na twoje pierwsze pytanie. Jesteśmy na statku-widmie. Słyszałeś o takim?

- N-nie, n-nigdy.

- Widzisz, władze Darnatu czasami chcą ustrzelić od razu dwa zajęcia - zaoszczędzić pieniądze na utrzymanie więźniów i dogodzić bogom. I to im się udaje, obaj jesteśmy tego mimowolnymi świadkami. Nie potrzeba do tego zbytniego rozumu - po prostu bierze się stary, niepotrzebny statek, obsadza się załogą składającą się z upojonych ziołami nasennymi więźniów i wysyła w morze. I władze zyskują, i morski bóg jest zadowolony. Wcześniej myślałem, że to tylko pogłoski, teraz widzę, że

myliłem się. Właśnie na takim teraz płyniemy. Mówiąc, zgodnie z sumieniem, stoimy na straconej pozycji.

- Ja...Ja w niczym nie jestem winien! - zajęczał chłopak, rozmazując łzy i brud po twarzy. – Ja tylko kupiłem... pierścień. Chciałem... podarować. A tu szczu-u-ry-y!

- Co, boisz się szczurów?

- Boję się! - dziwny chłopak zapłakał zupełnie jak panienka, schowawszy twarz w dłoniach. Był śmieszny i zarazem żałosny.

- Nie jest tak całkiem źle, maluchu - pieszczotliwie potrząsał chłopaka po włosach. - Jeśli są szczury, znaczy, będzie co zeżreć. Przynajmniej na początku.

- Jeść... szczury? - popatrzył na Wisława z przerażeniem. - Fuuuj!

- Trzeba będzie. Polewki z baraniną i świeżej chałwy nam nie podadzą... Podnoś swój tyłek, nie ma po co tu siedzieć.

Chłopak nadal popłakiwał. Wisław wyciągnął do niego rękę, żeby pomóc wstać, ale młodzieniec odepchnął ją.

- Diabli z tobą! - burknął. - Chcesz siedzieć w tym gnieździe szczurów, siedz. Idę na górę. Tu śmierdzi, jak w tyłku trolla.

Zaczął wspinać się po desce na pokład, usłyszał za plecami szmer. Chłopak szedł za nim.

- No widzisz, a stawaleś okoniem! – Jak masz na imię?

- Leodan. Jestem ukochanym niewolnikiem wspaniałej Szemmier-Ta-Nat.

- Widać z tego, że twoja pani nie bardzo lubi cię, skoro się tu znalazłeś... Niewolnik, mówisz? Jesteś zbyt zadbany jak na niewolnika.

- Przecież powiedziałem, jestem ukochanym niewolnikiem.

- Niewolnik do miłości? - Wisław chrząknął. - I kto ciebie częściej kocha, gospodyni czy gospodarz?

- Nie rozumiem, panie, ale twoje słowa wydają mi się obraźliwe.

- Ach, wybacz! W takim razie, czym zajmuje się ukochany niewolnik?

- Pomagam gospodyni iść śladem piękna. Ona ceni mój smak i poczucie piękna. Jestem bardzo obeznany z odpowiednim wyborem strojów i charakterystyki, ze sztuką noszenia ozdób. Jeszcze mogę śpiewać, deklamować wiersze, grać na cytrze i fujarce.

- Mój przyjacielu, te talenty nieprędko ci się przydadzą, jeśli w ogóle się przydadzą. Muszę się przyznać, pomyślałem patrząc na ciebie, że jesteś po prostu pedzio z lupanaru.

- Co?

- A, tak - nic takiego... Nazywaj mnie Wisławem. Albo Wisem. Teraz już nie masz ani pana, ani pani. Jesteś wolnym człowiekiem, Leodanie. Tylko, że twoja wolność okaże się niezbyt długa.

- Mój pan na pewno dowie się, że jestem tu i zrobi wszystko, abym wrócił znów do domu.

- Nie jestem pewien, czy się dowie. A jeśli nawet, to do tego czasu, nas obu będzie mieć już w swym żołądku lgierabał.

- Wydaje ci się to śmieszne?

- Wcale nie. Chodź za mną.

Kasta w żaden sposób nie mogła zrozumieć, gdzie się znajduje. Szum w uszach i mdłości nie pozwalały skoncentrować się, serce biło jak oszalone, nogi i ręce bolały nieznośnie. W pierwszej chwili pomyślała, że wiozą ją miarowo kołyszącym się wozem. Prawdopodobnie na Plac Westchnień, do miejsca egzekucji. Odwróciła

głowę, żeby spojrzeć na woźnicę, ale zobaczyła tylko granatowe, bezdenne niebo. Z jakiegoś powodu pachniało morzem. Potem do świadomości wdarły się głosy.

- O, oprzytomniała! – przysłonił ją jakiś cień i zobaczyła pochylającą się nad nią brzydką twarz, z głęboko osadzonymi małpimi oczkami i krzywym uśmiechem, obnażającym zgniłe zęby. - Obudź się, narzeczono, kawalerowie się niecierpliwią!

- Odwal się, Pluskwa – odezwał się basem inny i obrzydliwa gęba zniknęła, natomiast ukazała się inna, nie mniej odpychająca: blada, wyciągnięta, z haczykowatym nosem i szaroniebieskimi wargami. Silne ręce potrząsnęły Kastą i dlatego gorycz z żołądka podeszła do gardła. – Twoja mordeczka wydaje mi się znajoma, kotku. Gdzie mogliśmy się spotkać? Może w wesołym domu starej guzdrały Chuszczur?

- Gdzie... jestem? - zachrypiała, próbując pokonać mdłości i słabość.

- Mówi! - szaroniebieskie wargi rozciągnęły się w zadowolonym uśmiechu. - Jeśli mówi, to znaczy, że żyje. A jeśli żyje, znaczy da. Po prostu, nie będzie w stanie nie dać.

Ktoś wstrętnie zagulgotał nad samym uchem. Kasta oparła się rękami o drewnianą podłogę, podniosła się, rozejrzała. Znajdowała się na pokładzie jakiegoś statku. A dookoła stali ludzie (o, Beris, co za gęby! Jedna bardziej bezwstydną od drugiej!) i patrzyli na nią.

- Gdzie jestem? - powtórzyła.

- U przyjaciół - powiedział typ o wyciągniętej fizjonomii. – I nam, szczerze mówiąc, chce się jak najszybciej zawiązać z tobą bliższą przyjaźń.

- Żyję - wyszeptła, przeczesując palcami swoją potarganą fryzurę. - Niesamowicie, co się dzieje? Dlaczego jestem na statku?

- Dlatego, kotku, że wyżły też mają poczucie humoru - powiedział szaroniebieski. - W ogóle - to mówią, że baba na statku przynosi nieszczęście. Ale to nie tak. Nam na przykład, z tobą, poszczęściło się. Sędziowskie szczury zrobiły nam wyśmienity prezent. Będzie czym zająć się w wolnym czasie. Dawno już nie mieliśmy okazji pościskać młodej dziewczuszki.

- Hej, Sambarze, lalunia już przyszła do siebie, czas puścić ją kręgiem! - krzyknął ktoś.

- Milczeć! - ryknął niebieskogęby Sambar. - To mój statek i ja tu jestem kapitanem. Ja decyduję, co i kiedy robić, jasne?

- Jasne, kapitanie - dobiegł do uszu Kasty czyjś kpiący głos. - Ale statek masz główniany. Tylko patrzeć, kiedy pójdziemy ryby karmić.

- Ciebie o zdanie nikt nie pyta, czochi - zazgrzytał Sambar. - Będziesz usta otwierać nie w porę, nie będę zważać, że jesteś z fartownych. Kamień do szyi i do morza.

- Zdaje się, że nie ma sznurów Sambarze - odpowiedział kpiący głos. - Kamieni też jakoś nie widziałem. I powiesić nie ma na czym - ani masztu, ani rei. Nawet wody nie mamy, a ty pozujesz na szofietę. Trzeba pomyśleć, jak razem wydostać się z tego szamba. Nie rozśmieszaj bogów, lepiej powiedz cokolwiek rozsądnego.

Kasta tymczasem zdołała usiąść i obejrzeć wszystko dookoła. Ostatecznie zrozumiała, że jakimś sposobem znalazła się na statku, a ludzie dookoła niej, są takimi samymi więźniami, jak ona sama. Ale gdzie jest ochrona? Na moment ogarnęła ją radość: na pewno, przewożono ich dokądś, ale więźniowie podnieśli bunt i zdobyli statek. Jednakże po chwili radość zgasła - co by się nie zdarzyło na pokładzie, ona i tak jest w ich władaniu i wyraźnie widać, jaką rolę na tym statku rozbójników, zamierzają jej powierzyć.

- Rozsądnego? - Sambar wyszczerzył zęby, jak pies. - Ty, jak widzę, chłopców wolisz. My ich też lubimy. A według naszych pojęć, jest tak: należysz do bractwa, wszystko twoje także do bractwa należy. Słusznie? W takim razie wybieraj, czochi - albo jesteś z nami, albo...

- Nie mam szczęścia należeć do szanownego cechu rozbójników i morderców - odpowiedział kpiący głos. - Jestem zaledwie złodziejem i graczem. A ponieważ zejść ze statku nie mogę, musisz znosić moją niegodną osobę, kapitanie. Uważaj, że jestem twoim pasażerem, a ten młodzieniec moim bagażem. Jeśli dostarczysz nas pomyślnie do portu przeznaczenia, rozliczymy się, nie skrzywdzę cię.

- Rozliczymy się? - Sambar chrząknął. - Czym będziesz płacić?

- Złotem. Tylko trzeba najpierw przeżyć, Sambarze, i poczekać, zanim nie wykopię swoich oszczędności.

- Hej wy, chłopcy, słyszeliście? - Sambar zaśmiał się. - Jaki szczodry pasażer! Uwierzmy mu, czy nie?

Kasta tymczasem uważnie przyjrzała się temu, który mówił ironicznym głosem. Nieznajomy siedział na stopniach schodów, wiodących na dziobówkę, a za jego plecami zobaczyła jeszcze jednego pasażera tego dziwnego statku - zniewieściałego młodzieńca, przestraszonego do granic możliwości. Sądząc po wszystkim, ci dwaj nie należeli do szajki, która zdobyła statek.

- Trzeba będzie uwierzyć - powiedział nieznajomy. - Gdybyś znał mnie lepiej, kapitanie Sambarze, to nie wątpiłbyś w moje słowa.

Interesujący mężczyzna, pomyślała. Nie przystojniak, ale może zrobić wrażenie na każdej kobiecie. Niemłody, ale postawny, muskularny i silny. Ile on może mieć lat? Trzydzieści pięć, czterdzieści, a może więcej? Krótko strzyżone włosy przyprószone dość mocną siwizną, ale twarz prawie bez zmarszczek i przyjemna. Uczciwy człowiek. Takemu można zaufać. Taki nie zawiedzie. Ale jego towarzyszy... Czyżby ten zniewieściały typ, chowający się za jego plecami, tak naprawdę, to jego kochanek?

- A ile mi zapłacisz, Wisławie Fartowny? - zainteresował się Sambar, wydawało się, że zapomniał o Kaście.

- Twój statek, Sambarze, jest zupełnie nie podobny do galery jego mości szofieta, na której, jak słyszałem, gościom podają najlepsze potrawy i wino, i urządzają dla nich przedstawienia, i walki zwierząt. Myślę, że trzydzieści min za troje będzie wystarczającą zapłatą. Chociaż i to, szczerze mówiąc, przesada.

- Za troje?

- Za siebie, za tego chłopaka - Wisław wskazał Leodana i dziewczynę.

- Patrzcie, jaki sprytny! - filuternie krzyknął Sambar i bandyci zaśmiali się uniżenie. - Tylko za ciebie trzydzieści min, czochi. I to tylko po przyjacielsku. A kogucik i dziewczyna nie są na sprzedaż. Oni są moi, zrozumiałeś?

- Wybij to sobie z głowy!

Okrzyk Kasty nie był głośny, ale, usłyszeli go wszyscy. Dziewczyna była przygotowana na następstwa. Wróciła na tyle do przytomności, że mogła całkowicie kontrolować swoje ciało. Kołysanie pokładu jeszcze odzywało się młdościami, ale już czuła dawną siłę i rosnącą nienawiść do tego brudnego sukinsyna Sambara, uzurpującego sobie tytuł kapitana.

- Co powiedziałaś? - Sambar natychmiast zapomniał o targu który prowadził, gwałtownie odwrócił się do Kasty. - Ano powtórz, dziwko portowa! Z kapitanem zamyślałaś sprzeczać się, ściervo?

- Nie jesteś kapitanem. Jesteś kawałkiem kociego gówna, które przylepiło się do pokładu tego statku. Od ciebie śmierdzi, jak od kupy śmieci. Nie boję się ciebie.

- Nie boisz się? - Sambar pozieleniał ze złości. - Popatrzcie tylko, padlina białodupa, sama się naprosiła. Zabiję cię powoli. Rozetnę na kawałki. Zostawię tylko te kawałki, które przydadzą się moim chłopakom do zabawy, pozostałe rzucę rekinom!

- Hej, Sambarze, poczekaj! - zawołał Wisław, lecz jego okrzyk już niczego nie mógł zmienić. Sambar wyrwał z obcasa sandała, ostrą jak brzytwa, brązową płytkę, z triumfującym uśmiechem ruszył na Kastę.

Dziewczyna doskonale rozumiała, że ma do czynienia z prawdziwym nikczemnikiem. Póki chce sam dać nauczkę nieposłusznej dziewczusze, będzie się popisował przed swoją szóstką. Szlachetnego pojedynku nie będzie: jak tylko poczuje jej siłę, natychmiast zawoła na pomoc swoich przyjaciół i rzuci się na nią siedmiu bandytów. Ale to już nie miało żadnego znaczenia.

Śmierć – to tylko śmierć. Do obecności jej już dawno się przyzwyczaiła.

Najważniejsze - nie umrzeć, jak owca pod nożem rzeźnika.

Sambar zaryczał, skoczył do przodu, wyrzucił rękę w chytrym zamachu. Kasta uchyliła się od śmiercionośnego ostrza, przysiadła w stójce i odpowiedziała prostym uderzeniem w brzuch. Sambar wprawdzie cofnął się, ale nie obliczyła dobrze dystansu, uderzenie nie przyniosło efektu, jednakże przstraszyło rozbójnika. Nie przypuszczał, że napotka opór. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że jakaś cudzoziemka odważnie się postawi i tak umiejętnie walczy. Przez chwilę przeciwnicy lustrowali siebie nawzajem, potem samozwańczy kapitan wybuchnął doborowym przekleństwem i znów rzucił się na Kastę. Dziewczyna poczuła ostry ból w prawym ramieniu, brązowa brzytwa głęboko rozcięła skórę i przeszła bardzo blisko gardła. Odpowiedzią Seltonki, było uderzenie prościutko w podbródek Sambara. Bryzgnęła krew, bandyta szaleńczo potrząsał głową, ale Kasta, nie dając mu oprzytomnieć, wykonała dwa krótkie uderzenia, z prawej i z lewej strony, a kiedy ten podniósł ręce i otworzył się, wlepiła dokładne, druzgocące uderzenie z dołu do góry, w słoneczny splot. Sambar wypuścił brzytwę, zachrypiał, wybałuszył oczy. W tym momencie, jego sześciu przyjaciół rzuciło się na Kastę.

Najważniejsze - nie umrzeć, jak owca...

Pierwszego bandytę powaliła na pokład uderzeniem nogi, drugiemu z rozmachem przyłożyła pięścią w lewą kość policzkową, a potem prawą dołożyła pod żebra. Zyskała kilka sekund. Ale Sambar już przychodził do siebie. Rozwścieczeni bandyci z krzykiem rzucali się na nią i żadne bloki nie mogły uratować od uderzeń, które sypały się gradem. Jednakże Wisław nie był obojętnym obserwatorem. Zdecydowanym skokiem wdarł się w bójkę, chwycił jednego z bandytów za kołnierz i tak przyłożył jego głowę o pokładową nadbudówkę, że rozbójnik natychmiast stracił przytomność, zbił z nóg drugiego, odrzucił do burty trzeciego - ten nie utrzymał się na brzegu włazu i z krzykiem runął do ładowni, łamiąc kości. Kasta tymczasem, uderzeniem w krocze, zmusiła do złożenia się w pół bandytę z zepsutymi zębami, o przezwisku Pluskwa. Silny rozbójnik z krzywym nosem, przeskoczywszy nad wyjącem z bólu Pluskwą, pchnął ją łapskami w pierś, potem, zręcznie zaszedłszy od tyłu, spróbował założyć jej krawat na gardło. Kasta zdążyła ugryźć owłosioną rękę draba, z wściekłym krzykiem uderzyła łokciem, z rozmachu, prosto w twarz, łamiąc mu i bez tego już pokiereszowany cudzymi pięściami nos. Równocześnie Wisław, dwoma uderzeniami, znokautował bandytę z wilczą głową na piersi, który skoczył na niego z nadbudówki.

Sambar zdążył odnaleźć swoje ostrze z brązu i spróbował ciąć nim Seltonkę po szyi, ale dziewczyna przewidziała jego manewr. Pisnąwszy przenikliwie, przechwyciła rękę wytrawnym blokiem i piętą uderzyła przywódcę bandytów w staw

skokowy. Zbir zawył. Kasta wywinęła mu rękę, wybiła ostrze, po czym podcięciem rzuciła go na pokład i uderzyła leżącego już, całą stopą w brzuch. Wycie urwało się bolesnym chrypieniem. W następnej chwili Seltonka chwyciła go za szyję.

- Nie... zabijaj! - zachrypiał, wypluwając krew.

- Zdechnij! - szepnęła.

Zebrała siły i ostro szarpnęła wroga do góry. Rozległ się suchy trzask, „kapitan” zmiękł, a jego oczy pokryła mgła, z ust buchnęła krwawa piana. Odrzuciwszy martwego Sambara, podskoczyła do podnoszącego się z pokładu Pluskwy i w mgnieniu oka skończyła z nim, podobnie jak z przywódcą. Potem przyszła kolej na trzeciego rozbójnika - tego, którego znokautował Wisław. Obróciwszy się do ocalałej trójki bandytów, warknęła:

- No, czego stoicie? Dawajcie!

W odpowiedzi, tylko cofnęli się. Było ich trzech, ale bali się. W ich oczach było przesądne przerażenie - właśnie ta dziewczyna, zręczna i okrutna jak dzika kotka, na ich oczach, wykończyła bez okazywania łaski ich prowodyrą i dwóch członków szajki. Istotnie, jej widok budził grozę: pobudzona krwią, z rozczochranymi włosami, stała nad trupami bandytów, a jej oczy były białe z wściekłości. Ciężki oddech dziewczyny, zdawał się, przestraszonemu bandytom, oddechem śmierci.

- Pani! - bandyta z połamanym nosem runął przed nią na klęczki tak, że kolana dźwięcznie stuknęły o pokład. - Przebacz!

- Przebacz! - ponuro wycodziło dwóch jego kolegów, także padając na kolana.

Nie odpowiedziała. Drżała. Pot i krew z rozciętej brwi zalewały oczy, serce podchodziło do gardła. Poczuła, że wściekłość i pragnienie krwi opuszczają ją, ustępując miejsca wielkiemu zmęczeniu.

- Wyrzucicie to za burtę! – rozkazała. Przechodząc koło Sambara, kilkakrotnie kopnęła nieboszczyka nogą, żeby rozładować do reszty, wciąż jeszcze mącącą rozum, złość.

- Okrutnie się z nimi rozprawiłaś, kobieto - zauważył Wisław, przeglądając kostki swoich palców, rozbite do krwi.

- Zamknij się! - ryknęła, potem, wyrównawszy oddech, dodała już bardziej pojednawczo: - wybacz. Dziękuję ci. Uratowałeś mnie.

- Nie potrzeba wdzięczności, kapitanie.

- Kapitanie?

- Oczywiście. Wykończyłaś tego nieboraka, więc, teraz naszym kapitanem jesteś ty.

- Żartujesz, by cię zabrała Nekrian!

- Wcale. Osobiście jestem gotów podporządkowywać się tobie bezwarunkowo. Widzisz, ten nieszczęśnik nie podejrzewał, że ma do czynienia z samą Kastą, krwawą boginią darnackiego cyrku. A ja natychmiast cię rozpoznałem.

- Naprawdę? - popatrzyła na swoich „marynarzy”, ciągnących do burty trupa Sambara. - A ty, zdaje się, masz na imię Wisław?

- Jestem zaszczycony, że zapamiętałaś moje imię. Możesz nazywać mnie po prostu Wis.

- Wisław podoba mi się bardziej. A jak nazywa się twój... przyjaciel? - Popatrzyła tam, gdzie przytuliwszy się do burty siedział Leodan.

Leodan zadrżał, kiedy zauważył, że ta straszna kobieta patrzy na niego. Starcie, którego był świadkiem, przeraziło go, a to, jak rozprawiła się z pokonanymi przeciwnikami, pograżyło w głębokim szoku. Kasta popatrzyła na trupio-błądą twarz młodzieńca, na trzęsące się wargi i ręce, zajrzała w jego szkliste oczy i splunęła z pogardą.

- Nie jest moim przyjacielem - powiedział Wisław. - Po prostu, taki sam przyszedł nieboszczyk, jak ty i ja.

- O czym mówisz?

- Czyżbyś nie rozumiała? Ten statek jest naszą pływającą trumną. Wszyscy znaleźliśmy się na nim nieprzypadkowo. Złożono nas na ofiarę Igierabałowi. Miły sposób pozbywania się skazanych na śmierć, bez brudzenia rąk.

- Nie rozumiem - zrobiła krok w kierunku Wisława, konwulsyjnie ścisnęła pięści. - Dopiero co powiedziałeś, że jestem teraz kapitanem i to mój statek.

- Bo tak jest. Statek trafił ci się nieciekawym. Nie ma na nim ani jedzenia, ani wody. Steru i żagla. Jeszcze nie zauważyłaś, że masztu też nie ma? Nas, uśpionych, załadowali w porcie Darnatu na starą zniszczoną łajbę i odholowali na pełne morze.

- Nie ma jedzenia? Wody? - dopiero teraz poczuła, że bardzo chce jej się pić. - Przysięgam na Beris, to nie może być prawda!

- Może, o Kasto Niezwyciężona, jeszcze jak może! - Wisław wydawał się niewzruszony, ale głos jego, mimo wszystko drgnął. - Jeśli bogowie nie zlitują się nad nami, bardzo szybko pozazdrościmy Sambarowi i dwóm pozostałym nikczemnikom, których dopiero co rzuciłaś na żer dla ryb. I jeszcze temu chłopakowi, którego zrzuciłem do ładowni. Umarli stosunkowo łatwo i szybko. A my jeszcze się pomęczymy.

- Przekleństwo! - poczuła zimne dotknięcie przerażenia na swoich plecach. - I co teraz zrobimy?

- Na początek zajmij się swoimi ranami.

- Jak mam się nimi zająć? Nie mam ani igły, ani nici, żeby je zaszyć.

- Przynajmniej przemyj je.

- Dopiero co powiedziałeś, że nie mamy wody. Szydzisz?

- Dookoła dosyć, świetnej, słonej wody - pokazał ręką za burtę. - Ona nieźle wypędza z ran truciznę i febrę.

- Trucizna... - mruknęła, pochłonięta nową myślą. - Febra...

Kamień Ajwary. Dincze powiedziała, że ten kamień posiada wielką moc. Mówiła, że na Kaście spoczywa teraz błogosławieństwo samej Ajwary, jednej z dziewięciu Zapomnianych. Wzruszona pomyślała, że Zapomniana Bogini powinna im pomóc. Przynajmniej trzeba spróbować...

- Masz rację - powiedziała. - Ale jak zaczerpnąć wody? Nie mamy ani jednego naczynia na wodę.

- Widziałem w ładowni zupełnie zdatny dzban. Dziobek jest utłuczony, poza tym jest cały. Poniewierają się tam też jakieś sznury.

- Dobrze. Zajmij się tym.

Sama weszła do pokładowej nadbudówki - kiedyś była tu kajuta kapitana - zamknęła za sobą skrzypiące, rozsychające się drzwi. Obejrzała ranę na ramieniu. Była głęboka i szeroka, ale równa, jaką zwykle bywa rana zadana ostrym narzędziem i krwi ubyło niewiele. Piekącej rany na czole, nie mogła dostrzec, ale wyczuwała, że i ta rana nie jest groźna. Zadraśnięcia i siniaki na nogach i rękach, nawet nie zasługiwały na uwagę. Oparłszy się o drzwi, żeby nikt nie wszedł, zdjęła z szyi amulet Tulkana i, nie bardzo wiedząc, co trzeba robić, po prostu przyłożyła do rany na ramieniu. Rękę przeszył ostry ból. Krzyknęła, ale ból bardzo szybko ustąpił - było to podobne do ukłucia igłą. Coraz bardziej zdziwiona, obserwowała, jak nacięcie od ostrza Sambara znika w oczach, nie pozostawiając nawet śladu. Po minucie, o ranie przypominały tylko krwawe smugi na ręce i plamy na tunice.

- Bogowie, co za kamień! – wyszeptała z zachwytem. I nagle, znów przypomniawszy sobie Tulkana. Miał ten kamień. Mógł uzdrowić rany zadane Żywodzierem, natychmiast, na arenie i nie zrobił tego. Mógł zaleczyć je w ergastulum, po walce i też nie wykorzystał magii kamienia. Dlaczego? Dlaczego oddał jej TAKI kamień? Czy w tym jest też jakiś nieznan, na razie, sens?

Przyłożyła amulet do rozciętej brwi i całą istotą czuła, jak rana znika. Potem przyszła jej do głowy dziwna myśl. Kiedyś, w walce z gladiatorem-massitem, otrzymała głęboką ranę w biodro. Rana, co prawda zagoiła się, ale pozostała biaława, poszarpana szrama, której bardzo się wstydziła. Mając nadzieję na cud, pocałowała czarodziejski kamień i przyłożyła do blizny na biodrze, która po chwili zniknęła.

Pisnęła z radości, klasnęła w dłonie, zaczęła skakać z nadmiaru szczęścia.

- Hej, kobieto, co tam u ciebie? – rozległ się za drzwiami głos Wisława.

Wyszła z nadbudówki tanecznym krokiem. Wisław trzymał za uchwyt mokry dzban.

- Wyglądasz tak, jakby w tej drewnianej szopie przygotowano dla nas obfity stół - powiedział i podał jej dzban. - Trzymaj, umyj się.

- Nie tylko umyję się - zagadkowo błysnęła oczyma. - Może, jeszcze i napiję się.

- Zwariowałaś, kobieto? To morska woda. Nie wolno jej pić.

- Zaraz się przekonamy - zanurzyła kamień Ajwary w dzbanie, spróbowała. - Oczywiście, kilka kielichów wytrawnego szeriba odświeżyłoby znacznie lepiej, ale i ta woda, niczego sobie.

- Przysięgam na Cwira! - Wisław wyrwał z rąk dziewczyny dzban, przywarł do rozbitego dziobka. Napiwszy się, spojrzał na dziewczynę rozpromienionymi oczyma.

- Niesłona! Żebyś się spalił w ogniu piekielnym, niesłona!

- Teraz, widzisz. Prawdopodobne, pośpieszyłeś się, aby nas pochować.

- Hej, Leodanie! - krzyknął. - Zaczernij jeszcze wody.

Kasta z uśmieszkiem obserwowała, jak jej „załoga” żarłocznie zaspokaja pragnienie - morską wodą, po niewytłumaczalnym dla wszystkich cudzie, stającą się słodką wodą. Wszyscy ze zdumieniem patrzyli na nią.

- Jesteś wytrawnym magiem, kobieto - Wisław po prostu pożerał ją oczyma. – Niech mnie przeklnie Atal, Cwir i wszyscy moi bogowie, ale myślałem, że jesteś świetnym wojownikiem i nic więcej.

- Sama też tak myślałam. Teraz nie zaszkodzi pomyśleć o jedzeniu.

- Istotnie. Masz jakiś pomysł?

- Ty go powinienes mieć. Jesteś mężczyzną. Zdobywanie żywności, to twój obowiązek. A ja, pójdę i umyję się - zaśmiała się: bardzo rozbawił ją oszołomiony Wisław i pozostali jej towarzysze. - Obowiązkiem kobiety - być zadbaną i schludną w każdej sytuacji.

Wisław w końcu zdołał zbudować prymitywny sprzęt myśliwski, z kawałków konopi i miedzianego gwoźdźca, który z wielkim trudem udało mu się wyciągnąć z poszycia statku. Na przynętę poszedł schwytyany przez jednego z katorżników, szczur. Ostrzem Sambara, Wisław ciął go na kawałeczki, zmusiwszy tym sposobem Leodana do kilkakrotnych, ostrych ataków mdłości. Bogowie i tym razem byli dla niego łaskawi: po kilku niepowodzeniach, kiedy chwytająca przynętę ryba zrywała się

z haczyka, zdołał złapać dziwne rybisko, płaskie, z długim ogonem i ogromną paszczą.

- Można to jeść? - zapytał Leodan, z obrzydzeniem patrząc na podskakującą na pokładzie rybę.

- To płaszczka. Nie najgorsza ryba, jeśli chcesz wiedzieć.

- Ale przecież, nie możemy zjeść jej na surowo!

- Oj, maluchu, akurat to nie stanowi problemu! W ładowni jest dużo drewniak, wyciągaj je tu.

Leodan, prawie z drżeniem, obserwował, jak Wisław, ułożywszy kawałki desek i drzazg w grillu na pokładzie, rozniecił ogień, bez krzesiwa i krzemienia, jakby z powietrza biorąc języki płomienia.

- Bogowie, jak ty to zrobiłeś? – spytał z podziwem.

- To tylko proste zaklęcie, Wezwanie Ognia. Prawdziwy drobiazg.

- Mam naprawdę szczęście, że znalazłeś się obok mnie w takiej chwili! - powiedział Leodan i w jego oczach zabłyśły łzy.

- Szczęście szczęściem, a jeść się chce.

- Okazuje się, że mężczyzna wypełnił swój obowiązek! – rozległ się za plecami Wisława głos Kasty.

Seltonka była w świetnym nastrój. Póki mężczyźni łowili rybę, ona, za pomocą kamienia Ajwary, zlikwidowała jeszcze trochę blizn na brzuchu, rękach i piersi, a potem zdrzemnęła się, ułożywszy się na podłodze kapitańskiej kajuty. Czuła się teraz rześka i pełna sił. Tylko okropnie głodna.

- Można ją jeść? - zapytała, patrząc na coraz spokojniejszą płaszczkę. - Wygląda wyjątkowo obrzydliwie.

- Poza nią niczego innego nie mamy - zauważył Wisław. – Można ją jeść i słyszałem, że ma smaczne mięso.

- A skąd ogień? - zauważyła płomień w grillu.

- To Wisław rozpalił – wtrącił Leodan.

- Jesteś człowiekiem potrafiącym zrobić wszystko? – popatrzyła z zainteresowaniem na złodzieja. - W jakim kraju rodzą się tacy mistrzowie?

- W bardzo dalekim. Słyszałaś cokolwiek o Reszu?

- Niczego.

- Resz - to moja ojczyzna. Daleko na północy, w krainie śniegów i gęstych lasów.

- A jak znalazłeś się w Darnacie?

- Długo opowiadać. Powiem tak - miałem burzliwe życie. Wiele podróżowałem po świecie i jestem z tego zadowolony. Nie lubię siedzieć w jednym miejscu dłużej niż miesiąc.

- Zrozumiałe. Złodziejskie szczęście woła, czyż nie tak?

- Nie zawsze byłem złodziejem - powiedział, zdejmując z płaszczki skórę ostrzem Sambara. - Byłem nowicjuszem w klasztorze. Potem studentem. Potem żołnierzem. Potem bardem. Wiesz, miałem talent do układania wierszy i pieśni. Co prawda, zawsze wstydiłem się własnych utworów.

- Więc to tak? - chrząknęła: ten dziwny człowiek coraz bardziej ją interesował. – Czy możesz zaśpiewać mi jakąś swoją pieśń?

- Nie mam ani cytry, ani lutni.

- Zaśpiewaj po prostu. Chcę posłuchać.

- No, jeśli dama prosi... - Wisław na parę chwil zamyślił się, potem zaśpiewał:

*Kochałem dziewczynkę z oczyma jak gwiazdy - oj!
Do łóża swojego chciałem zabrać ją.
Powiedział mi tata: „Dam radę ojcowską,
Posłuchaj mnie, chwat:
Brać żonę za wcześnie -
Bo masz dziesięć lat!”*

*Kochałem dziewczynę z oczyma jak gwiazdy - oj!
Do łóża swojego chciałem zabrać ją.
Powiedział mi tata: „Czy nie wiesz młodzieńcze,
Że innych radości jest moc!
Żenić się tobie za wcześnie -
Dziewczynę, bierz na jedną noc”.*

*Spotkałem kobietę z oczyma jak gwiazdy - oj!
Do łóża swojego chciałem zabrać ją.
Rozgniewał się ojciec: "Posłuchaj mnie głupcze,
Zmarnujesz z nią życia ład.
Trochę z ożenkiem poczekaj -
Masz tylko czterdzieści lat”.*

*Staruszka-sąsiadka mi słała buziaki - oj!
Do łóża swojego chciałem zabrać ją.
Ojciec z zaświatów: „Posłuchaj mój synu!
Z siwizną na skroniach znasz życie i świat,
Więc po co to zmieniać,
Już masz siedemdziesiąt lat!”*

- Masz niezły głos - powiedziała, gdy skończył śpiewać. - Ale pieśń idiotyczna. Dobrze zrobiłeś, że przestałeś tworzyć.

- Co, aż tak źle? - zapytał z chytrą miną.

- Beznadziejnie. W ogóle, nienawidzę poetów.

- A to z jakiego powodu? O ile wiem, w Darnacie wielu wierszokletów sławiło twoje północne piękno i wyczyny na arenie.

- To gaduły i fantaści. Po co pisać o wojennych wyczynach, jeśli niczego z nich nie rozumiesz?

- Nie rozumiesz?

- Oczywiście. Poeci układają wiersze o wielkich bohaterach. Kłamią bezczelnie i bez miary. - Zamilkła, przypominając sobie potrzebną linijkę. - Na przykład: „Wziął Giezon swój łuk, wysłał strzałę, jak błyskawicę, na tysiąc kroków, przebijając tarczę i zbroję”. Kto to widział, aby z łuku strzelali na tysiąc kroków? Najwyżej, na sześćset, i trafić z takiego dystansu do celu, będzie w stanie tylko niewielu łuczników z najlepszego łuku. A ze zwykłego i z trzystu nie trafi. I jeszcze zbroję, i tarczę przebić - śmiech. Popatrzyłabym na tego wierszokletę na strzelnicy! On z pięćdziesięciu kroków krowy by nie trafił. Wszyscy tylko, wysławiają... A walka na miecze? Posłuchaj wszystkich tych pisarzy, w co drugiej balladzie mieczem rąbią - tylko kłaki lecą. A mieczem nie rąbią, tylko tną albo kłują, w taki sposób - wykonała kilka charakterystycznych ruchów, demonstrując posługiwanie się tą bronią. - Miecz - to wielki nóż. Rąbią siekierą. Miecz jest drogą bronią, klingę trzeba chronić. Zacznieś tłuc nim jak pałąk, momentalnie wyszczerbisz ostrze.

- Jesteś urodzonym krytykiem, Kasto - szczerze zachwycił się Wisław.

- A jak oni o śmierci piszą? - twarz Kasty zasępiła się, głęboka zmarszczka ukazała się między brwiami. - Jak o czymś dobrym. Zabiłeś, niby to, wroga, honor i sława tobie, bohaterze! Od razu widać, sami nikogo nigdy nie zabijali. Nie wiedzą, jak to jest, kiedy wsadzisz miecz w człowieka i widzisz w tym momencie jego oczy. Z rany mu jelita wyszły, już powiedzieć nic nie może, lada chwila umrze, a w oczach przerażenie i błaganie: „Nie bij mnie więcej, to tak boli!” Ani jeden z bardów nigdy nie napisał o tym, jak śmierdzą rozprute wnętrzości. Albo o tym, że człowiek w momencie śmierci obsrywa się. Jednym słowem, tanie gaduły. To rozpieszczone pieski, w rodzaju tego - pokazała na Leodana. - Tylko wiedzą, jak swoimi bujdami ludziom głowę zawracać.

- Być może, masz rację - powiedział Wisław, zdziwiony słowami tej niesamowitej dziewczyny. - Ale jeśli nie będzie poetów, świat stanie się nudniejszy.

- Pośpiesz się z kolacją - zmieniła temat. - Z głodu wnętrzości mi się kurczą.

- Twoja pieśń jest piękna - szepnął Leodan, kiedy Kasta odeszła od nich na przeciwległą burtę. - Jesteś po prostu mistrzem! Jaki styl, jaka rytmika! Jestem zachwycony.

- Co? - Wisław drgnął, jakby się obudził, popatrzył na Leodana. - Bzdura, maluchu. Gówniana pieśń.

- Nieprawda! Jesteś niesprawiedliwy dla siebie. Ta grubiańska dziewoja niczego nie stworzy w sztukach pięknych.

- Źle ją oceniasz. Dopiero co przytoczyła nam wers z poematu samego Rokłenera-Złotoustego „Zagłada bohatera”. Idę o zakład, że ta ślicznotka zna się na wielu rzeczach... Już zmierzcha, bierzmy się za nasze rybisko.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pauza przeciągała się. Pisarz, który zamarł za biurkiem z piórem w ręce, cierpliwie patrzył na mistrza Kirisa, oczekując, kiedy mag będzie raczył wznowić dyktowanie. Ale Kiris się nie śpieszył. Albo rozważał, jak zakończy list, albo myślał o czymś innym. Pisarz zdecydował się.

- Panie?

Skierował spojrzenie na pisarza.

- Czego chcesz?

- Czekam, raczy pan dalej dyktować?

- Poczekaj, na czym to stanąłem?

- „... i zakomunikujcie mi, kiedy jego wysokość szofiet podejmie decyzję” - przeczytał.

- Dobrze. Dopisz jeszcze: „Pamiętajcie, im szybciej wykonacie naszą umowę, tym wcześniej otrzymacie to, czego pragniecie”. Napisałeś?

- Tak, panie.

- Teraz zrób kopię i zaszyfruj list. Goniec, powinien z nim odjechać jeszcze dzisiaj.

- Zrozumiałem, panie.

Kiris kiwnął. Przeszedł przez gabinet, by wyjść na balkon. Stąd otwierał się wspaniały widok na Erie-Dańor, oświetlone zachodzącym słońcem i otoczone ołowianoszarymi górami. Z prawej strony, na skalistym urwisku, wiszącym nad miastem, mieniły się purpurą potężne ściany i wieże Chem-Asztaniry, królewskiej rezydencji. Dzisiaj, o północy, odbędzie się tam rada magów Czaszy, na którą przybędzie królowa Margiana, która będzie pytać magów, co zostało zrobione przez

ostatnich siedem dni i co zamierzają czynić dalej, aby potęga Szeranu została jeszcze bardziej umocniona.

Wydawałoby się, że powinna być zadowolona. Po zdobyciu Meru, ocalali Orkowie zostali zapędzeni do Pustych Wąwozów na północnym zachodzie Orsiany. Szerkańska armia kontroluje cały ich kraj - od Chejlanu aż do morza Askaryjskiego. Zajęto strategicznie ważne przełęcz i teraz droga na północ, do Szury, Logaru i Aglamy, stoi otworem. Jeśli władca Aszran dotrzyma słowa, i Darnat rozpocznie wojnę z Sabeją, pozostanie tylko poczekać na upadek sabejskiej stolicy Gale. W to, że nastąpi to bardzo szybko, władca Kiris nie wątpił. Sabeja nie będzie w stanie długo przeciwstawiać się armii i flocie Darnatu, bo siły nie są równe. Nie mają także sojuszników. Logar zbyt daleko, Seltonia jeszcze dalej, wschodni sąsiedzi, Doryjczycy, zajęci swoimi wewnętrznymi rozgrywkami, nie mogą wynająć najemników, bo ich skarbiec jest pusty. Najdalej za pół roku, magowie Czaszy otrzymają to, co zmusi wszystkie narody do uległości wobec Szeranu - Hełm Otchłani. I wtedy zacznie się prawdziwa wojna.

Słońce szybko chowało się za górskie szczyty. Zbliżał się czas wieczornych cieni i niedługo będzie można przystępować do rytuału Pogawędki. Kiris wrócił do gabinetu, zmienił roboczą mantyję na Zacieniony Płaszcz. Oprócz niego tylko dwaj ludzie w całym Szeranie mieli prawo nosić taką szatę - arcymistrz magów Czaszy, Chraor i jej wysokość, królowa Margiana.

Oni tworzą potęgę Szeranu. Każdy z nich ma swój dar.

Królowa Margiana, przy urodzeniu, została obdarzona Darem Czaszy, arcymistrz Chraor otrzymał możliwość dotykania Czaszy - jedyne tworze Zacienionej Strony, który mógł dotychczas znajdować się w świecie ludzi.

Dar Kirisa polegał na tym, że mógł widzieć sny, w których Zacieniona Strona wyrażała swoją wolę. Był Pośrednikiem. Jako jedyny, ze wszystkich magów Czaszy, mógł obcować z posłami Ojca Cieni. Przypadło mu w udziale, być pośrednikiem między Zacienioną Stroną i magami Czaszy.

W przeddzień, posłaniec Zacienionej Strony znów odwiedził go we śnie i uprzedził, że tego wieczoru powinien przyjść do Sali Pogawędki z poczęstunkiem. Zacieniona Strona zawsze żądała różnych poczęstunków. Zazwyczaj była to krew - czasami zwierzęca, ale najczęściej ludzka, najbardziej pożądana przez mieszkańców Cienia. Tym razem otrzymał polecenie złożenia w darze Ojcu Cieni dziesięciu serc Orków.

Przeszedł do niej przez system portali – którym naszpikowana była cała Wieża Magów. Mistrz Ch'zar, przywódca Milczących, już czekał z koszem, w którym leżały świeże serca Orków, zabitych ku czci Ojca Cieni.

Kiris wszedł do kręgu, oznaczonego szesnastoma słupami z czystego kwarcu. Poza nim, naprzeciwko każdego z nich, było zainstalowane na podstawie lustro z czarnego, polerowanego spiżu, odbijające światło rzucane przez potężną, magiczną lampę pod stropem sali. Cienie, odbijane przez kwarcowe słupy, schodziły się w centrum kręgu, tworząc szesnastoramienną gwiazdę - symbol szesnastu Domów Zacienionej Strony.

Mistrz Ch'zar tymczasem wkładał krwawiące serca do niskich, spiżowych grilli ofiarnych, rozmieszczonych między lustrami. W sali zapachniało spalonym mięsem. Fala smrodu otoczyła Kirisa i w następnej chwili mag poczuł zbliżanie się posła Zacienionej Strony.

Tym razem posłem była kejcze - najniższa rangą pośród wampirów. Kirisowi zawsze podobały się te kruche, wdzięczne istoty, podobne do młodziutkich dziewczyn z zielonkawą skórą, ładnymi twarzami i ogromnymi lśniącymi oczyma.

Wydawały się niezwykle pociągające i niekiedy żałował, że nie może nacieszyć się złudnym ciałem kejcze.

- Mów - powiedział.

- Ojciec Cieni jest zadowolony z ciebie, Pośredniku - powiedziała, odsłaniając w uśmiechu ostre ząbki. - Kazał ci powiedzieć, że zasługi twoje są wielkie.

- Dziękuję za pochwałę. Miałem rozkaz przyjsia, więc jestem. Czekam na polecenia Ojca Cieni.

- Ojciec Cieni kazał przekazać swoim służącym, posiadającym Czaszę, że wkrótce mogą spotkać się z nowym przeciwnikiem.

- O jakim przeciwniku uprzedza nas Władca?

- Armia Szeranu rozgromiła Orków, ale królestwa ludzi, tymczasem nie są wam poddane.

- To tylko kwestia czasu. Szybko zawojujemy Szurę i Aglamę. Nasi sojusznicy lada chwila rozpoczną wojnę przeciwko Sabei i wtedy Wieniec Otchłani, zgodnie z wolą naszego władcy, będzie należeć do nas. Wówczas wy, mieszkańcy Zacienionej Strony, będziecie mogli wreszcie przyłączyć się do nas, aby wspólnie oczekiwać nadejścia błogosławionej epoki Szu.

- Czasu macie mniej niż myślisz, magu.

- O czym mówisz, posłanko?

- Jedna z dziewięciu relikwii, kamień Ajwary, przeszła z rąk Orków do ludzi. Teraz straciły one Patronat Cienia i stały się dostępne rodzajowi ludzkiemu.

- To niemożliwe. Relikwie Zapomnianych były chronione najsilniejszymi zaklęciami jeszcze za czasów Szu!

- Wszystkiemu są winni Orkowie. Kiedyś, Ojciec Cieni opiekował się nimi, ponieważ trudno było znaleźć odważniejszych i bardziej zręcznych wojowników. Ale potem Orkowie zdradzili Ojca Cieni, zrezygnowali ze służenia królowej Margianie, a tym samym i naszemu wspólnemu panu. Rozgromiliście ich, ale nie są jeszcze pokonani. Ich wódz, Uda, jest nie tylko odważnym wojownikiem, ale także sprytnym magiem. Wiedział, że na kamieniu Ajwary było zaklęcie Wrogości. Póki należał on do nich, ludzie mogli zawładnąć nim tylko siłą. Krew zabitych Orków i ludzi znieważała kamień, pozbawiając go magicznej potęgi. Uda obmyślił, w jaki sposób obejść dawne zaklęcie magów Szu. Jego posłaniec, dobrowolnie oddał człowiekowi kamień bogini-uzdrowicielki. Teraz zaklęcie Wrogości jest zniszczone, więc znów odzyskał siłę.

- To nie mogło się zdarzyć, kejcze. To niemożliwe. Ludzie i Orkowie zawsze nienawidzili się nawzajem. Wojny między nimi były zwykłą sprawą od najdawniejszych czasów.

- Jednak się zdarzyło. Ten, który otrzymał kamień od Uda, był mieszanelem, synem Orka i człowieka. I przekazał go ludziom. Jeszcze nie wiemy, kto teraz posiada kamień Ajwary, ale prosty człowiek nie mógłby otrzymać takiego daru. Zapomniani naznaczyli tego śmiertelnika w godzinę jego urodzenia. Wiesz magu, że Relikwie Zapomnianych same wybierają tego, do kogo chcą należeć.

- To zła wiadomość. Czym to może nam grozić?

Ten, kto zbierze wszystkie Relikwie Zapomnianych, będzie w stanie przeciwstawić się potędze Zacienionej Strony. Magowie Czaszy powinni pamiętać o tym.

- Wiesz, do kogo trafił kamień?

- Proście Czaszę, by dała wam spojrzenie Cienia, a wówczas nic nie ukryje się przed waszym wzrokiem w żadnym ze światów - oczy kejcze rozbłyły, jak jaskrawe gwiazdy. – Rozprawicie się z tym, kogo wskaże wam Cień, jak najszybciej. Tego pragnie nasz wspólny Władca.

Kejcz zniknęła równie tajemniczo, jak się ukazała. Taka jest właściwość stworzeń Zacienionej Strony - przybywają znikąd i odchodzą donikąd. Kiris czuł się tak, jakby przed chwilą przyśnił mu się koszmar. Pogawędka była skończona, wola Ojca Cieni została wypowiedziana i musi przekazać ją magom Czaszy.

Sala Pogawędki coraz bardziej napełniała się smrodem palących się serc. Wyszedł z kręgu kwarcowych słupów, dał znak mistrzowi Ch'zarowi, aby podążał za nim, i skierował się do portalu, mającego w ciemnej głębi jednej z absyd sali. Niedługo rozpocznie się posiedzenie rady Czaszy i nie chciał się spóźnić.

- Znalazłeś go? Mów!

Samiedjar ze smutkiem pokręcił głową. Gdyby Szemmier-Ta-Nat mogła płakać, rozplakałaby się - ale wszystkie łzy zostały wypłakane w minionych dniach.

- Czyż nie możesz go znaleźć, Samiedjarze?

- Moi ludzie przewrócili do góry nogami cały Darnat, moja ukochana. Niczego, żadnych znaków. Biedny Leodan zniknął, jakby go żywcem zabrali bogowie.

- To niemożliwe. Przecież, ktoś musi coś wiedzieć!

- Przepytałismy wszystkie żebraczki, wszystkich naszych tajnych informatorów, handlarzy i właścicieli spelunek. Nikt go nie widział. Niestety, miłości moja, on zniknął. Ale, przysięgam, będę kontynuował poszukiwania. Jestem przekonany, że żyje.

- Żyje? – zrobiła krok w kierunku legionisty. - Oczywiście, na pewno żyje! Przecież jest taki miły, taki dobry, taki niewinny. Czyż można mu uczynić krzywdę? Być może, ktoś go nastraszył i... ukrywa się. Znajdź go, proszę cię.

- Znajdę - z pewnością w głosie odpowiedział młody człowiek. - Dla ciebie, nawet zawrócę go z królestwa zmarłych.

- Jak dobrze, że mam ciebie - twarz dziewczyny rozpromieniła się. - Umarłabym z rozpaczy, gdyby nie ty. Tak mi brakuje Leodana.

- Znajdę go - powtórzył, wzruszony słowami dziewczyny.

- Znajdź i wracaj razem z nim - podała rękę do pocałunku i młodzieniec z zapalem przypadł do niej wargami. - Będę czekać na was.

- Tak powiedziała? - uśmiechnął się Uzmaj. – Wydaje się, że zostałeś faworytem mojej córeczki.

- Tak powiedziała. Tylko, że nie wiem teraz, co robić. Nawet zaczynam żałować, że pośpieszyłem się z tym statkiem.

- O, tak! Wyobraź sobie, ile zyskałbyś w jej oczach, gdybyś dostarczył Leodana. Ale to, jak myślę, niemożliwe?

- Niestety, panie. Statek porzucił Dłoń Igierabała cztery dni temu.

- Biedny chłopiec! Bardzo surowo postąpiliśmy z nim. Ale nie mieliśmy wyboru.

- To prawda, panie. Żeby, choć trochę osłabić swoją winę, chcę zrekompensować wam wartość niewolnika - położył na stole przed Uzmajem woreczek ze złotem. - Wiem, że Leodan kosztował więcej, ale to wszystko, co mam.

- Jesteś naprawdę szlachetnym młodzieńcem, Samiedjarze! - Uzmaj z nadmiaru wrażeń, aż klasnął w dłonie. - Nawet o tym pomyślałeś. Przysięgam na dłonie Kui, nie oczekiwałem tego. Napij się wina.

- Mam nadzieję, że Szemmier-Ta-Nat nigdy nie pozna prawdy?

- Żartujesz? Przecież ja także, podobnie jak ty, jestem zamieszany w tę sprawę. Przecież to ja dałem ci pierścień mojej niezapomnianej żony. Córeczka nigdy nie wybaczyłaby mi tego, co zrobiłem. Dlatego nie musisz się niepokoić. O tym, co zdarzyło się, wiesz ty, ja i sędzia. I chociaż żał mi chłopaka, tego, co uczyniliśmy, już nie cofniemy. Myślmy lepiej o przyszłości i nie żałujmy tego, co się stało.

- Złote słowa, mój panie. I żeby zupełnie rozwiać wasz smutek, opowiem, co usłyszałem w pałacu. Najjaśniejszy szofiet podpisał dekret o budowie jeszcze dwudziestu statków bojowych. Będziecie ich wykonawcą i jeszcze - z uśmiechem przedłużył - was i wspaniałą Szemmier-Ta-Nat włączyli do listy zaproszonych na uroczystości w porcie, wyznaczone na dzień Święta Morza. Szofiet sam ją zatwierdzał.

- Twoje słowa dźwięczą boską muzyką, mój przyjacielu - Uzmaj nie wytrzymał, objął młodego człowieka i natychmiast, jednym haustem, osuszył czaszę wina. - Nie będziemy więcej myśleć o nieszczęsnym niewolniku. Teraz widzę, że nie na próżno poniosłem tę ofiarę. Bogowie lubią ofiarodawców. Tym bardziej, że czynię ją dla dobra mojej córeczki i bogowie powinni to widzieć. Na pewno nie osądzą mnie, ze względu na miłość do mojego dziecka.

Szofiet Ras-Nawan był zadowolony. Nadworni protokolanci, zobowiązani do dokumentowania każdego zdarzenia z udziałem Syna Słońca, kilkakrotnie wpisali na swoich tabliczkach, że „z jasnej twarzy Słońca z Domu Słońca, przez cały dzień nie schodził promienny uśmiech”. Jednakże, co było powodem tego uśmiechu: widowiska i zabawy, urządzone na nabrzeżu przez kapłanów Igierabała, bogate dary, wręczone szofietowi przez kupieckie cechy albo możliwość obserwowania będącej w pobliżu niego, pewnej niebieskookiej ślicznotki - nikt nie mógł stwierdzić autorytatywnie. Szemmier-Ta-Nat, która siedziała obok ojca, w szeregu honorowych gości, najpierw liczyła, ile razy spojrzał na nią młody szofiet, potem pogubiła się w rachunkach. Nie chciała iść na to święto, ale ojciec dopiął swego.

- Potem będziesz opłakiwać swojego Leodana - powiedział. – Okazano nam taki honor, a ty stajesz okoniem! Idziesz na święto, taka jest moja wola.

Podporządkować się ojcu – to obowiązek córki i Szemmier-Ta-Nat przestała się sprzeczać, chociaż żał rozrywał jej duszę. Tu, na jakiś czas zapomniała o Leodanie. Atmosfera święta rozwiała tęsknotę i pochłonęła dziewczynę. Była w otoczeniu odświętnie ubranych dworzan, ważnych mężczyzn i pięknych kobiet, obwieszonych klejnotami, niby rytualne posągi w świątyni Kui. Nie tylko szofiet spoglądał na nią: liczni mężczyźni oceniali zalety pięknej debutantki. Innym razem, mocno pochlebiałoby to dziewczynie, ale teraz, z jakiegoś powodu nie chciała flirtować. Po prostu obserwowała to, co działo się, tym bardziej, że przedstawienie było rzeczywiście interesujące.

Na początek, przeszli aktorzy, przebrani za bogów, demonów i bohaterów, odgrywając sceny z Księgi Niebiańskich Wód – poświęconej kultowi Igierabała. Następnie odbyła się parada okrętów: dwanaście, bogato ozdobionych bojowych galer, w pełnej gali przepłynęło obok nabrzeża, z akompaniamentem oklasków gości szofietu i ryku zachwyconego tłumu, zgromadzonego na przystani. Później, została rozegrana bardzo realistyczna bitwa morska, z zagarnięciem „wrogiego” statku. Po tym, z grzmiotem bębnow i piskiem fletów przemaszerowały sotnie Świętego Legionu. Rośli, postawni wojownicy, w jaskrawo błyszczących w promieniach słońca, łuskowatych, połączanych pancerzach i hełmach z białymi i czerwonymi

pióropuszcami, z wielkimi kwadratowymi tarczami i długimi lancami. Ostatnią sotnię prowadził Samiedjar i Szemmier-Ta-Nat widziała, że młody wojownik patrzy tylko na nią.

Zbliżał się wieczór, kiedy na nabrzeżu znów ukazali się wojownicy, tym razem w lekkich skórzanych zbrojach korpusu Morskich Lwów. Towarzyszyli okrętowej katapulcie, którą ciągnęło na płozach, sześć ozdobionych kwiatami i wstążkami białych byków - świętych zwierząt Igierabała. Widzowie w ciszy obserwowali, jak żołnierze zainstalowali katapultę, kierując ją w stronę zatoki. A potem wszyscy zobaczyli, że w odległości kilkuset sążni od brzegu, na wodzie lekko kołysze się krępa birema, z czarnymi burtami i narysowanymi na dziobie statku znakami Ognistego Oka – ostatnio, zdobyty w walce statek sabejskich piratów.

- Obywatele Darnatu! - władca Aszran, naczelny kapłan Szat-Cebu, podniósł się ze swojego miejsca i zwrócił się do gości: - Obecnie, żeby rozstawić wielkość Igierabała w dniu Święta Morza, my, kapłani wielkiego Szat-Cebu chcemy pokazać wam coś niezwykłego. Patrzcie i podziwiajcie potęgę darów, ofiarowanych śmiertelnym przez bogów!

Dwóch żołnierzy ostrożnie przyniosło do katapulty wielki pleciony kosz, wypełniony, jak się wydało widzom, wielkimi piłkami z szarego wojłoku. Trzeci żołnierz, na znak oficera, który dowodził obsługą, ostrożnie podniósł jedną z kul i włożył do czaszy katapulty. Buuum - z brzękiem i trzaskiem wyleciał dziwny pocisk w stronę sabejskiej biremy. Przez pewien czas, wszyscy w napięciu patrzyli w tę stronę i licznym widzom przyszło na myśl, że obsługa katapulty zbłądziła się, chybiwszy celu, aż tu nagle, w zapadającym zmierzchu, buchnął pomarańczowy błysk i sabejski statek dosłownie otulił się rdzawym płomieniem. Krzyki zachwytu i aplauz towarzyszyły dalszym poczynaniom obsługi maszyny, która posłała do celu drugi pocisk. Szalejący płomień, po minucie, objął całą biremę i palący się statek zaczął powoli przewracać się na bok.

- Wielcy bogowie! - krzyknął Ras-Nawan, patrząc na tonący statek. - To jest, ta twoja niespodzianka, wuju?

- Zachwycające, prawda? - Aszran dosłownie promieniał. - Widzisz, jak magowie Szat-Cebu starają się umocnić twoją wielkość drogi siostrzeńcu?

- Co to takiego?

- Czarodziejski eliksir. Ognista galareta. Pomyślałem, że musisz zobaczyć jego działanie.

- Nieprawdopodobne! Udało ci się wuju oczarować mnie!

- Rzeczywiście, niezwykle widowisko - powiedział, krzywiąc usta, naczelny kapłan Igierabała Waachrad. - Ale, dlaczego, szanowni kapłani Szat-Cebu zdecydowali się go pokazać?

- Nie zrozumiałeś tego, najszanowniejszy mistrzu Waachradzie? - Aszran wskazał skrywającą się pod wodą sabejską biremę. - Teraz będziemy w stanie raz na zawsze skończyć z sabejskimi piratami. Nasze statki bojowe i ta cudowna broń, oczyszczą z sabejskiej zarazy głód oceanu, ku radości naszych bogów - Szat-Cebu i Igierabała.

- Mój wuj ma rację - z błyskiem w oczach powiedział szofiet. - Teraz już nie mam wątpliwości, że nadszedł czas urzeczywistnienia wielkich planów mojego zmarłego ojca.

- Sztukmistrze! - warczał Waachrad, kiedy przedstawienie zakończyło się i gości szofieta zaproszono do biesiadnych stołów w pałacowych ogrodach. - I tym, chcą rzucić sabejczyków na kolana?

- Przez ciebie przemawia zazdrość i zawiść, władco - zauważyła naczelną kapłanka bogini Kui, wysoka czarnooka kobieta w ciężkich, wyszywanych złotem szatach. - To rzeczywiście groźna broń. Tylko w jaki sposób władca Aszran zdobył ją? Czy nie ma w tym czarnoksiężstwa?

- Nie to jest ważne - westchnął Waachrad. - Szofiet także wcześniej zaglądał w usta Aszranowi, ale teraz, wojna jest nieunikniona.

- Czy to cię martwi?

- To wywyższy jeszcze bardziej kapłanów Szat-Cebu i boga wojny Giesztana. Znow będą otrzymywać z Domu Słońca najtłuszczej kęsy i patrzeć na nas z góry. Czyż to może nie martwić mnie, naczelnego kapłana Igierabała? Słyszałaś, Aszran wymienił imię Szat-Cebu przed imieniem Igierabała - to o czymś świadczy!

- Nie myślm o tym, co złe – kapłanka bogini Kui zalotnie wzięła pod rękę zasmuconego Waachrada. - Czekaj na nas poczęstunek w ogrodach szofieta, a potem będziemy mogli omówić, jak wywyższyć naszych bogów.

- Jesteśmy sojusznikami?

- Miłość i morze pasują do siebie lepiej, niż miłość i wojna - zaśmiała się.

Szemmier-Ta-Nat nie zauważyła, kiedy służący zabrali z uczty pijanego do nieprzytomności i zarazem szczęśliwego jej ojca. Teraz, ona była córką samego Syna Morza i najwybitniejsi wielmożę zwracali się do niej z szacunkiem w głosie. Zauważyła natomiast, w jakim rozdrażnieniu porzuciła ucztę królowa Kuati - po tym, jak szofiet po raz trzeci przesłał jej słodczy ze swojego stołu.

Wydaje się, że zyskała osobistego wroga. Królowa Kuati chyba nie przebaczy takiego poniżenia. A może, nie jest tak źle?

- Syn Słońca, kazał przekazać najjaśniej błyszczącej gwiazdzie Darnatu, że dzisiaj zamierza osobiście pokazać jej pokoje swojego pałacu - zapiszczał do ucha służący-eunuch. - Niech najjaśniej błyszcząca gwiazda o nic się nie martwi, zaprowadzą ją do szofieta, kiedy nadejdzie czas...

Nic nie odpowiedziała. W tym momencie, zaświtała niespodziewana, jak wydawało się dziewczynie, bardzo dobra myśl. Szofiet jest więcej niż przychylny jej, dlatego, trzeba prosić go o pomoc w odnalezieniu Leodana. Szofiet wszystko może i jeśli Leodan żyje...

Jeśli żyje.

Do gardła podeszła dusząca kula, a do oczu znów napłynęły łzy. Eunuch uniżenie patrzył jej w twarz, oczekując odpowiedzi. Głupi kastrat jest na pewno przekonany, że płacze ze szczęścia.

- Po... dziękuj Synowi Słońca - powiedziała w końcu i udała, że interesuje ją waza z owocami i cukrowym ciastkiem.

Mój Leodan na pewno żyje i odnajdę go. Nie trzeba tylko płakać, bo popłynie makijaż. Muszę być silna. Bogowie uśmiechają się do silnych i wytrwałych. Spełnią jej życzenie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Bogowie uśmiechają się do silnych i wytrwałych - powiedział Leodan, patrząc na Wisława. - Pomogą nam. Wielokrotnie słyszałem te słowa. Ale to wszystko nie tak, zupełnie nie tak!

- O czym mówisz, chłopaku?

- Nie chcę umrzeć na tym statku - popłakiwał Leodan, wycierając łzy brudną ręką. - Wśród tego brudu, tych okropnych ludzi. Nie mogę więcej jeść szczurzego mięsa. Mdli mnie. Wydaje mi się, że zjedzone szczury biegają w moim brzuchu. Nawet śnią się w nocy!

- Jesteś próżny, przyjacielu. Nie musisz się niepokoić, nie jest tak źle. Nasze koryto dostało się do jakiegoś cieku. Możemy mieć nadzieję, że w końcu dopłyniemy do jakiegoś brzegu.

Wisław powiedział to takim tonem, że Leodanowi natychmiast zrobiło się lżej i z wdzięcznością popatrzył na złodzieja. On myślał o czymś innym. Bardzo szybko Leodan nie będzie musiał martwić się z powodu ich ubogiego menu - nawet takiego jedzenia nie będzie. Dzisiaj nie złapali ani jednego szczura. Najprawdopodobniej, wszyscy czworonożni współpasażerowie, najzwyczajniej w świecie zostali już zjedzeni. Od tamtej pory, gdy pięć dni temu, nieduży rekin zerwał ich sprzęt, i odpłynął z haczykiem, nie ma czym łowić ryb. Wisław mniej więcej wyobrażał sobie, co się stanie, kiedy widmo głodowej śmierci ostatecznie ulokuje się na statku. Trzej katorżnicy długo o czymś poszeptują w ładowni. Nie wiadomo także, jak się zachowa Kasta.

- Dokąd idziesz? - zapytał zaniepokojony Leodan.

- Pójdę porozmawiam z naszą panią kapitan.

- Idę z tobą.

- Nie wypada, chłopaku. Poczekaj tu, szybko wrócę.

Kasta stała na dziobie okrętu. Słyszała kroki Wisława, ale nawet się nie odwróciła.

- Nie mamy jedzenia - powiedział złodziej. - Jeszcze trzy-cztery dni pociągniemy. Dalej nie wiem.

- Dlaczego mówisz mi o tym?

- Ponieważ, ty jesteś czymś w rodzaju kapitana. Chciałbym wiedzieć, co o tym myślisz.

- Jestem głodna. A ty?

- Obawiam się, że kiedy głód chwyci nas za gardło, zaczniemy zachowywać się jak dzikie zwierzęta.

- Zwierzęta? - uśmiechnęła się. - Zwierzęta nie jedzą sobie podobnych.

- To znaczy, że zrozumiałaś?

- Twoje myśli są wypisane na twarzy. Martwisz się o tego chłopaka, Leodana, czyż nie tak?

- On jest jedyny na tym statku, który nie może walczyć o siebie.

- To niech umiera – powiedziała obojętnie. – Jest mi wszystko jedno, co się z nim stanie.

- Jesteś niezwykle dobra.

- Taka już jestem.

Jakiś czas milczeli. Kasta zastanawiała się, czy ocean, po którym nosi ich już drugi tydzień, ma brzeg. Wisław myślał o tym, że czasami kobiety bywają bardziej bezlitosne od mężczyzn.

- Ty, jesteś zakochany w tym chłopaku? – zapytała nagle.

- Ja? - nie oczekiwał takiego pytania. - Z czego to wywnioskowałaś?

- Cały czas jesteś z nim.

- Bardziej, to jego ciągnie do mnie. I dlatego mi go żal.

- A mi nie. Jest w tym samym wieku co ja, ale całe swoje życie przeżył jak delikatny piesek pokojowy. Jak zasnuty darnacki mops, którego trzy razy dziennie karmią, drapią, kąpią, prowadzą do suk i cieszą się, kiedy liże ręce i skomli na

obcych. Ten mały spał na puchu, jadł na srebrze, niczego sensownego nie zrobił. Popatrz na jego ręce - to ręce nieroba. Ręce drogiej rozpustnicy. W nim nie ma niczego męskiego. Jednym słowem, ulubieniec losu. Nie lubię takich.

- Kto ciebie skrzywdził, Kasto?

- Wszyscy - dziewczyna popatrzyła na Wisława, jej zielonkawe oczy ściemniały, stały się zimne i okrutne. - Całe życie odbijam uderzenia, które syją się na mnie zewsząd. Moja dusza i moje serce są pokryte bliznami, których nie możesz widzieć, ale one bolą - bolą mocno. Dlatego nienawidzę tych, komu bogowie dają wszystko. Tych, których nigdy nie bito, nie zdradzano, nie sprzedawano jak bydło, nie znęcano się. Tych, którzy mają szczęśliwe rodziny, zdrowych rodziców i mężów, dzieci. Tych, którzy nie przelewali krwi, broniąc swojego życia. Tych, którzy mają wypomadowane włosy, skórę bez jednej blizny, zadbane ręce, ani razu niezabrudzone ludzką krwią. Ja, przez całe swoje życie, tylko tracę. Wydieram żalosne kłaczki szczęścia z paszczy losu, opłacając każdy z nich swoją krwią, potem, łzami, hańbą – mimo to, przychodzi dzień, kiedy los znów zabiera mi wszystko, co wywalczyłam.

- Rozumiem cię i współczuję.

- Nie próbuj mnie żałować! I odejdz. Nie chcę rozmawiać. Wracaj do Leodana. Rozpłacz się, albo obsika ze strachu.

- Jesteś zazdrosna o mnie?

- Zazdrosna? - zaśmiała się. – Masz wielkie mniemanie o sobie, przyjacielu. Pluję na ciebie i na twego nikczemnego doryjskiego pedzia. Wszystko, czego chcę, to jak najszybciej zobaczyć ziemię. Albo umrzeć. Nienawidzę niepewności.

- Jak sobie życzysz, kapitanie - krył niezadowolenie i rozdrażnienie: uraziły go nie tyle słowa, co wyraz twarzy, z jakim dziewczyna je wypowiadała. - Prawdopodobnie, z Leodanem szybciej znajdzie wspólny język.

- Co ci powiedziała? - zapytał Leodan, kiedy Wisław wrócił na śródkręcie.

- Powiedziała, abym cały czas był przy tobie i ochraniał cię - odpowiedział, rozciągnąwszy się jak długi na ogrzanych słońcem deskach pokładu.

Spojrzenie Leodana stało się ciepłe. Po chwili młodzieniec dotknął ręki złodzieja i przycisnął palce do swoich warg. Wisława rozbawiło takie wyrażenie uczuć, ale nic nie powiedział. Potem przypomniał sobie Kastę i głucho przeklął.

- Co powiedziałeś?

- Nic. Pomyślałem o swoich sprawach.

- Przyniosę ci wody - zaproponował młodzieniec i skierował się do nadbudówki.

- „Oto, stałeś się opiekunem, przyjacielu - pomyślał Wisław, patrząc w błękitne, bezchmurne niebo. - Idiotyzm jakiś. Zwalił się na twoją głowę ten pięknoduchy zdechłak! Byłoby lepiej, gdyby Kasta do mnie tak Ignęła... Co by nie mówić, fajna dziewczucha! Co prawda, zła jak tysiąc demonów, ale takie ścierwa zawsze mi się podobały. I piękna! Jakie oczy, figura, włosy! Przysięgam na Cwira, przespałbym się z nią. Byłoby co wspominać w godzinę śmierci i opowiadać przewoźnikowi w królestwie cieni. Dziwne, że mogę jeszcze myśleć o kobiecych wdziękach, a nie o kawałku chleba z szynką. Niech to szlag, jak chce się żreć!”

Nagle padł na niego cień. Otworzył jedno oko - nad nim stał Leodan, z glinianą skorupą w rękach, napełnioną wodą.

- Dlaczego chłopaku, nie potrafisz przekształcać starych desek w kielbasy?

- Przekształcać deski w kielbasę? – zdziwił się. - Chyba żartujesz.

- Wcale nie - powiedział Wisław i łapczywie wypił wodę.

Wisławowi śniło się, że jakimś niepojętym sposobem przeniósł się z Darnatu do Niranusu i siedzi za stołem w tawernie „Księżyc i puchar”. Stół zastawiony, są smażone żeberka wieprzowe i ragout z sarniny z grzybami, kurkumą, słodkim pieprzem i owocami tarniny, i pieczone na różnie kurczaki, i żółte, jak sztaby złota belecзки sera worchemskiego, i cudowne, marynowane ogóreczki w wielkiej misce, i świeżo upieczony, z brązową, porowatą skórką chleb. Przy stole siedzi jeszcze trzech nieznajomych. Jeden z nich proponuje grę w kości - kto wygra, ten zjada wszystkie te wspaniałości. A kto przegra, tylko patrzy.

Nie mógł zrozumieć, co to za fanaberie - grać o jedzenie. Można zrozumieć, kiedy fartowni ludzie grają o gotówkę; w takiej grze zawsze mu się wiodło. Z tego powodu, w swoim czasie, nazwali go, w Niranusie, Wisławem Fartownym. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie musiał grać o jedzenie. Ale wyboru nie ma - strasznie chce mu się jeść, a jedzenia zdobyć nie zdoła. Patrzy na mężczyzn, którzy zaczęli niezrozumiałą grę i zauważa, że nie mają twarzy. Tylko czerń jest wewnątrz kapturów, których nie zrzucili po wejściu do tawerny.

Zaczyna się gra. Jeden z „beztwarzowców” rzuca kośćmi i widzi, że wypadło jedenaście. Dobry rzut. Teraz jego kolej. Długo potrząsa kośćmi w zaciśniętej dłoni, rzuca na blat stołu. Dziesięć. Jeden z zakapturzonych, ten, który siedzi po prawej stronie, natychmiast posyła w czerń, pod kapturem, całą kurę, zaczyna smaczne żuć, chrzestując kośćmi. Jeszcze jedna pula - i znowu przegrywa. „Beztwarzowiec” z lewej strony, pochłania potrawę z żeberkami. Słyszy chrzest, mlaskanie, potem zadowolone beknięcie. Zaczyna się złościć - wychodzi na to, że jego sąsiedzi przy stole pałaszują wszystko, a jemu nic nie pozostanie!

Trzecia stawka też przegrana i trzeci kaptur zaczyna pałaszować ser i ogóreczki. Od widoku cudzego posiłku, żołądek zaczyna się buntować, żądając jedzenia. Tego już za wiele, myśli, więcej wam nie uda się mnie ograć, ragout z sarniny jest moje! Oduczę was żreć na moich oczach...

- Wisław! - mówi do niego pierwszy typ. - Obudź się szybciej! No, obudź się!

- Takiego wała! - ryczy, zaciskając w pięści kości do gry. - Najpierw zagram. Obiad mój! Mój, słyszycie?

- Wisław! Wisław!

Niech to diabli, to już nie typ w kapturze - to Leodan. Chłopak tarmosi go i cały promienieje z radości. Rozbudził się, potrząsnął głową, próbując wyrzucić ze świadomości resztki nieprzyjemnego snu.

- Tam statek! - Wstawaj!

- Statek? - doznał niewymownej ulgi. - Nie na próżno śniło mi się żarcie. Co za statek?

- Nie wiem. Idź sam i popatrz.

Kasta i trzej Darnatczycy stali przy lewej burcie i obserwowali szybko zbliżający się z zewnętrznej strony statek. Był około pół mili od nich i Wisław natychmiast rozpoznał sabejską galerę bojową - krępą, z czarnymi burtami i narysowaną na dziobie, nad taranem, wyszczerzoną paszczą rekina. Galera szła pod żaglem, wprost na nich i Wisław nie wiedział, czy cieszyć się, czy też przygotowywać na coś gorszego.

- Bogowie nas usłyszeli! - szepnął mu do ucha Leodan. - Będziemy uratowani.

- Nie śpieszyłbym się dziękować bogom - odpowiedział. - To statek piracki.

Twarz Leodana stała się bledsza od śmierci. Natomiast Kasta była niewzruszona. W jej oczach nie było strachu, ani entuzjazmu.

Sabejska galera podpłynęła do nich na odległość wystrzału. Wisław już mógł dostrzec marynarzy na pokładzie. Wszyscy byli uzbrojeni, jedni w łuk, inni w siekierę, niektórzy w falcjon – sabejski, abordażowy kordzik. Na rufie i dziobie galery stały lekkie katapulty, skierowane na darnacki statek. Jednak, dotychczas ani jeden pocisk nie został rzucony w ich stronę i to pozwalało mieć nadzieję.

Spokojnie obserwował sabejczyków, od czasu do czasu rzucając z ukosa spojrzenie na Kastę. Ta, była całkowicie spokojna. Nie, ta dziewczyna naprawdę ma żelazne nerwy! Teraz wiadomo, dlaczego zdołała zostać gwiazdą darnackiej areny. Opanowania i odwagi, może jej pozazdrościć każdy mężczyzna...

Galera podpłynęła na pół kabla. Katapulty sabejczyków, rzuciły na ich statek żelazne bosaki z przymocowywanymi linami. Nie minęła minuta, jak półtora dziesiątka uzbrojonych ludzi, ze zręcznością małp przedostało się po nich na pokład statku skazańców. Na czele grupy abordażowej stał młody, mocno zbudowany mężczyzna, z ogoloną głową i spiczastą bródką. Lewą rękę dowódcy sabejczyków, od kисти do ramienia, pokrywał wytatuowany czerwona i zieloną farbą, węź morski.

Człowiek z tatuażem, zatrzymał swoje spojrzenie na Kaście i jego oczy zamigotały pożądliwie. Włożywszy swój falcjon do pochwy, sabejczyk zrobił krok w kierunku Wisława.

- S'eque va ez? - zapytał.

- Nie rozumiem - Wisław przyjaźnie się uśmiechnął.

- Kim jesteś? - powtórzył Sabejczyk w szureckim języku.

- Wisław.

- Messtero ez? Kapitan?

- Ja jestem kapitanem - powiedziała Kasta.

- Ty? - Sabejczyk nieufnie podniósł brew. – Mała, okrętowa dziwka mówi w moim języku?

- Mówię w swoim języku - w pierwszej chwili nawet nie zauważyła, że wszystko dzieje się w majestacie nowych czarów, tylko teraz, to nie kamień Ajwary, a ten niepozorny miedziany pierścioneł, który dała jej w Wieży Milczenia Dincze. - Dziwką jest twoja matka, Sabejczyk i siostra. A na mnie, wołają Kasta.

Pirat pozieleniał, chwycił za rękęję falcjona. Wisław zamknął oczy, żeby nie widzieć, jak głowa dziewczyny potoczy się po pokładzie. Ale sabejczyk, patrząc wytrzeszczonymi oczyma na Kastę, nagle roześmiał się.

- Masz rację! - wypalił. - Obie dziwki, i matka, i siostra. Obie takie same uszczypliwe ścierwa, jak ty, dziewucho. Tylko, że nie takie wielkookie i zgrabne.

- Podałam ci swoje imię - powiedziała. – Teraz, chcę znać twoje.

- Arridius Krisk, kobieto. Jestem kapitanem „Milutkiej” i twoim nowym gospodarzem. Jesteś moją zdobyczą, dlatego, jeśli chcesz żyć, udasz się na mój statek. I twoi ludzie też.

- A jeśli nie zechcę?

- Wtedy puszczę to koryto na dno razem z wami. Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości.

- Dziękuję za zaproszenie. - Przyjmę je.

- Mądra decyzja, kobieto - spojrzał na Kastę maślanymi oczyma. - Spodoba ci się gościnność Arridiusa Kriska, obiecuję.

- Mam nadzieję – odpowiedziała krótko.

Kapitańska kajuta na „Milutkiej”, pasowała do osobowości kapitana. Budka z desek, dziesięć na dziesięć łokci - ale ściany zawieszono były aksamitnymi iksamitnymi brytami nieokreślonej barwy. Szerokie, ledwie nie na całą kajutę łóżko, prawdopodobnie przytасzczono z jakiegoś wziętego na abordaż pływającego burdelu - ale prześcieradła brudne, a z aksamitnych poduszek zdradziecko wystawały pęczki nieświeżej słomy. Na stoliku, zbitym z grubych desek, sąsiadują ze sobą srebrne filiżanki, puchary i dzban z nieglazurowanej gliny. Na środku stołu osobliwe piękno talerza z zaschniętymi resztkami. Podłoga pokryta drogim szureckim dywanem, poplamionym i zaśmieconym.

- Tak sobie wyobrażałam legowisko, prawdziwego morskiego wilka - powiedziała, kiedy kapitan zamknął za sobą drzwi. - Miły kącik, tylko brudny. Nigdy dotychczas, nie musiałam zajmować się miłością w chlewie.

- A co, przyzwyczyłaś się do pokoiów szofieta? - kapitan chrząknął, ściągnął z siebie skórzany bezrękawnik, rozpiął pas z falcjonem i rzucił na kufer przy wezgłowiu łóżka. - Na co czekasz? Rozbieraj się, nie zmuszaj mnie do czekania. Czy mam cię rozebrać - niezbyt miło?

- Jesteś po prostu dzikusem - zmarszczyła się. - Powinieneś dzielić łożę z kozą.

- Co powiedziałaś, kobieto?

- Powiedziałam, że nie lubię, kiedy mnie biorą jak tanią prostytutkę w bramie - Podeszła do kapitana, położyła mu dłonie na plecy. - Podoba mi się subtelna miłość. Bądź delikatny, a nie pożałujesz. Dla delikatnego i czulego mężczyzny, jestem gotowa na wszystko, jak rasowa kotka.

- Delikatny? - pochylił się do Kasty, żeby pocałować ją, ale dziewczyna z zalotnym uśmieszkiem wywinęła się z jego objęć. - Jestem tylko marynarzem, kobieto i przyzwyczyłem się brać to, co chcę. Teraz chcę ciebie, więc zamknij się i rób to, co ci każę.

- Jesteś przecież jednym z mężczyzn-władców, czyż nie tak? Rozporządzać kobietą można różnie - uśmiechnęła się. - Można krzyknąć do niej: „Hej, rozpustnico, rób to, co ci każę!” A można powiedzieć to znacznie przyjemniej - usiadła na łóżku, odchyliła się na poduszki, mrugnęła porozumiewawczo do Sabejczyka. - Powiedz mi, że ci się podobam. Że mam piękne nogi - wyciągnęła prawą, dotykając palcami brzucha kapitana. - Przecież są bardzo piękne, prawda?

- Niech mnie zeżrą kraby, jeśli rozumiem, do czego dążysz!

- Kobiety lubią pieszczoty, kapitanie Krisk - zamruczała, prowadząc koniuszkami palców po swojej piersi. - One topnieją od pięknych słów, od płomiennych fraz. Czy nigdy tego nie próbowałeś?

- Wystarczy! - Krisk chwycił Kastę za nadgarstki. - Mnie po prostu trzęsie z pożądania. Daj mi to, czego chcę, a potem gadaj ile chcesz. Ale najpierw...

Nie skończył mówić: Kasta nagle wpiła się zębami w jego nadgarstek, a potem, nie dając czasu na opamiętanie, krótko i dokładnie uderzyła oswobodzoną ręką w nasadę nosa. Krisk, głośno chrząknawszy upadł na stół, rozrzucając naczynia i uderzył głową o futrynę. Nawet nie zdążył zrozumieć co się wydarzyło, a dziewczyna już siedziała na nim wierzchem, trzymając przy gardle obnażony, kapitański falcjon.

- I co, miły - zalotnie zatrzepotała rękami oszołomionemu kapitanowi - mam piękne nogi?

- Suka! - zachrypiał, pociągając krwawiącym nosem i krzywo patrząc na ostrze falcjona przy swoim gardle. - Ja ciebie...

Nie zdążył dokończyć, bo tak uderzyła go w twarz, rękojeścią falcjona, że wszystko popłynęło przed oczyma sabejskiego kapitana.

- Pomóżcie! - wydusił, z trudem poruszając rozbitymi wargami.

- Co? - pytając podniosła brew. - Tobie potrzebna jest pomoc, żeby przespać się z kobietą? Gdzież twoja męska ambicja, kapitanie? Może ty z tych, którzy lubią patrzeć, jak kochają się inni? Rozczarowujesz mnie. Nie powiedziałeś mi ani jednego komplementu. W takim razie, zaczniemy od początku. Mam piękne nogi?

- Pię... kne - patrzył na dziewczynę nienawidzącym spojrzeniem.

- Źle. Dźwięczy nieprzekonująco. Ale dla takiego nieociosanego łotra i tak duże osiągnięcie. A włosy mam piękne?

- Piękne, by cię...

- Już lepiej. A oczy? - ukuła w pierś kapitana czubkiem falcjona.

- Piękne! - zawył. - Zabierz broń, idiotko!

- Ani myślę. Wiesz, dlaczego? Przyjemnie wiedzieć, że jesteś lepiej uzbrojony niż przeciwnik. - Pokręciła się na kapitanie, ze smutkiem pokiwała głową. - Albo mój tyłek mnie oszukuje, albo też ten kordzik jest znacznie dłuższy od twojego żalosego siusiaka. Około dwudziestu. Mam pokusę, żeby skrócić twój kapitański odrostek jeszcze bardziej.

- Poczeka! - zbladł, jak płótno. - Przestań, wystarczy...

- Więc, piękne mam nogi, czy nie?

- Proszę... Wystarczy...

- Nie powiedziałeś najważniejszego słowa, Sabejczyku - oczy Kasty zrobiły się lodowate. - Przypomnieć, jak ono brzmi?

- Wszystko rozumiem... Przebacz.

- Aha, jednak przypomniłeś sobie? Wiesz, na czym polega twoje nieszczęście, przyjacielu? Nie szanujesz kobiet. W każdej kobiecie widzisz zaledwie nieme pochwy dla swojego m-a-a-aleńskiego sztylecika. Dzisiaj ubliżyłam twojej matce i twojej siostrze, nazwałam je dziwkami. A ty, po prostu śmiałeś się. Inny, głowę by mi odciął, albo rzucił do morza rekinom na pożarcie. A ty mnie uratowałeś, chociaż, oczywiście, zrobiłeś to nie ze szlachetności.

- Czego ty chcesz?

- Niczego. Po prostu chcę, żebyś mnie szanował.

- Kim ty jesteś, by cię pochłonęła głębia?

- Jestem Kasta. Słyszałeś o Kaście-Amazonce?

- Herod-baba z darnackiego cyrku? - natychmiast zapomniał o ostrzu, przystawionym do gardła. - Wielki Akwinie! Teraz rozumiem...

- Jestem zadowolona, że doszłam z tobą do porozumienia.

- Zabierz kordzik!

- Oczywiście, miły. Zostawię go sobie. Podoba mi się. Stał wyborna i wykonanie wcale niegłupie. Gdybym kupiła go od zbrojmistrza, kosztowałby mnie nie mniej niż pięćdziesiąt sakkarów. Uważaj, że to zapłata za miłość.

- Jednak chcesz... - wytrzeszczył oczy.

- Jestem ci winna wdzięczność za uratowanie. A poza tym, spodobałeś mi się. A zawsze otrzymuję to, czego chcę, w tym jesteśmy do siebie podobni. Ale położe się z tobą w pościeli, gdy zmienisz prześcieradła i umyjesz się. I proszę cię - nie rób głupstw. Nie chciałabym zabijać ciebie, albo twoich ludzi.

Czerstwy chleb i sucha, słona ryba, były skąpą kolacją, ale Leodanowi zdawało się, że jeszcze nigdy w życiu nie jadł niczego smaczniejszego. Prawda, najeść się do woli nie było można. Wisław uprzedził, że przejadanie się po długiej głodówce może wywołać skręt jelit. Z trudem oderwał się od jedzenia. Wisław zawiązał resztki chleba i ryby w chustkę i wsunął za pazuchę.

- Przyda się - powiedział. - Nie wiadomo, kiedy nas jeszcze raz będą raczyli nakarmić.

- Nie martw się, czochi - rzucił ze swojego kąta osiłek z połamanym nosem. - Ci sabejscy gówniarze będą nas dobrze karmić. Nikomu nie jest potrzebny zagłodzony niewolnik. A twojego kogucika, będą słodyczami częstować, przysięgam na Igierabała - żeby mu tyłek nie schudł!

Darnatczycy zarżeli. Leodan spuścił wzrok: dopiero co, zrobiło się lżej i spokojniej na duszy, i oto masz tobie...

- Nie zwracaj uwagi - powiedział Wisław. - To wszystko nie potrwa długo. Kasta coś wymyśli, żeby wyciągnąć nas stąd.

- Ufasz jej? - Szepnął.

- Wydaje mi się, że jest niezła i bogowie diabelnie jej sprzyjają. Ten sabejczyk, jak ją zobaczył, natychmiast stracił głowę, widziałem to w jego oczach.

- Wydaje mi się, że ona jest bardzo zła. Moja gospodyni Szemmier-Ta-Nat, jest zupełnie inna. Kasta - jak mężczyzna. Ordynarna, surowa. Wiecznie roztrzepana, brudna, jak sprzątaczką z darnackiego targowiska. Chociaż, muszę oddać jej sprawiedliwość, cechy zewnętrzne ma dobre. Tylko zupełnie nie dba o siebie!

- My również, przyjacielu, teraz wyglądamy nienadzwyczajnie - uśmiechnął się Wisław. - Ode mnie w ogóle, śmierdzi jak z asenizatora. Ale już przyzwyczailem się do własnej ambry.

- A ja nie - powiedział Leodan, smutnie patrząc na swoje paznokcie.

- Lepiej odpocznijmy - Wisław rozciągnął się na twardej macie, podłożył rękę pod głowę. - Nieważne, że jesteśmy jeńcami, ale przynajmniej teraz mamy chociaż jakąś przyszłość.

- Położę się bliżej ciebie, jeśli można? - nagle zapytał Leodan. - W tej ładowni bardzo wilgotno i zimno.

Darnatczycy w kącie usłyszeli go, znów roześmiali się szyderczo. Wisław natychmiast spojrzał w tę stronę i śmiech ucichł. Potem, Reszyjec pytająco popatrzył na Leodana. Chłopak miał takie niewinne spojrzenie, że gniew Wisława w jednej chwili wyparował samoistnie.

- Ja w ogóle nie interesuję się mężczyznami, chłopaku - powiedział, patrząc nadal Leodanowi w oczy. - Jeśli pociągam cię w jakiś szczególny sposób...

- Nie-nie, tylko pomyślałem, że tak będzie cieplej! I jeszcze - uśmiechnął się zmieszany - boję się szczurów...

- Chyba, masz rację - odpowiedział Reszyjec po dość długim namyśle. - Dawaj, spróbujemy.

Leodan natychmiast ułożył się wygodniej przy boku Wisława, przytulił się do złodzieja i zamknął oczy. Nie minęła minuta, jak zasnął. Natomiast do Wisława sen, nie przychodził.

- „Chwała Cwirowi, że moi przyjaciele teraz mnie nie widzą - myślał - zamęcziliby nieprzyzwoitymi dowcipami! A, właściwie, czego się wstydzić? Chłopak, co prawda, czasem zachowuje się dziwnie... Mimo osobliwego wyglądu, nie prowadzi się jak pedzio. Przynajmniej, nie czynił mi żadnych nieprzyzwoitych propozycji. Niech to szlag, zupełnie zaplątałem się! Po jakiego diabła, on tak przywiązał się do mnie, - jak syn? A może, on jest moim synem? Ile on może mieć lat

- dwadzieścia, dwadzieścia dwa? Nie, niemożliwe, wtedy służyłem w armii, daleko od Dorii i Doryjek wśród moich kobiet nie było. Parę dziewczyn z północy, jedna gorąca sztuka z Logary, moje rodaczki - ale ani jednej Doryjki! I, w ogóle, nie jest do mnie podobny, Cwir mi świadkiem... Miał chłopak rację - rzeczywiście jest cieplej. Te sabejskie świny, nawet kołdry nam nie dały! Ech, Wisławie, dawno nie miałeś tylu przykrości. Trzeba się tylko modlić się i prosić bogów o miłosierdzie, chociaż już zapomniałem, jak to się robi..."

W sąsiedniej ładowni, wioślarze „Milutkiej”, ciągnęli niezgranymi głosami, jakąś monotonna, niekończącą się pieśń. Nie rozumiał słów, ale i bez tego wiedział, że opowiada o czymś smutnym. Jemu też było smutno. Przez ostatni miesiąc przytrafiło mu się zbyt wiele przykrości. Widocznie, bogowie zdecydowali przypomnieć, że przezwisko Fartowny – to nic więcej niż przezwisko i że nieśmiertelni lekceważą oczekiwania ludzi. Najpierw, w bardzo głupi sposób, wpadł w Darnacie podczas kradzieży portmonetki, potem znalazł się na „statku śmierci”, teraz siedzi w ładowni pirackiej galery i czeka, kiedy diabelscy sabejczycy raczą podjąć decyzję, co z nim zrobić - zabić, sprzedać, posadzić do wiosł albo uwolnić. Najgorsze jest to, że on nie ma na nic wpływu. Pozostaje mieć nadzieję w bogach - i w dziwnej dziewczynie o imieniu Kasta.

Zamknął oczy i zasnął snem nieskończenie zmęczonego człowieka.

W kufrze kapitana Kriska były wartościowe ubrania i obuwie. Nienoszona, bardzo droga żeńska odzież - trochę krótkich, płóciennych tunik, ozdobionych haftem, sukienki z cienkiego lnu, nakrycia głowy i dwie pary odświętnych, skórzanych sandałów. Z całą pewnością, były to łupy rozbójnicze z jakiegoś obrabowanego statku, ale mimo to, zabawnie było widzieć wykwintne damskie fatalaszki w kufrze pirata. Kasta chrząknęła, wyobraziwszy sobie kapitana Arridiusa Kriska w żeńskiej odzieży. Zresztą, wszystkie te rzeczy nie spodobały się jej - zbyt jaskrawe i niewygodne. Wzięła tylko prostą białą tunikę i sandały, które okazały się na nią troszkę za duże. Ubrała się bez pośpiechu, rozkoszując się dotknięciem czystej, miękkiej tkaniny, ściągnęła talię pasem z falcjonem, zaczęła splatać włosy w warkocz. Krisk, leżąc w pościeli obserwował, jak się ubiera.

- Jesteś wspaniała - oświadczył. - Ale bez odzieży, podobasz mi się znacznie bardziej.

- Nie wątpię w to. Sama sobie także bardziej podobam się nago. Ale nie mogę chodzić goła po statku, na którym jest więcej niż półtora setki mężczyzn. A zbroi mojego rozmiaru, nie masz.

- Nie obejrzałaś jeszcze szkatułki w kufrze - zauważył, pożerając dziewczynę spojrzeniem. - Tam są różne błyskotki, możesz wybrać sobie każdą z nich.

- Już wybrałam - poklepała dłonią po pochwie falcjona.

- Każę moim ludziom podać wino i jedzenie - powiedział kapitan.

- Lepiej rozkaż im, aby wypuścili moich przyjaciół – powiedziała nie odwracając się.

- Masz z nimi coś wspólnego, moja śliczna?

- Ci ludzie, byli na statku skazańców. Zasłużyli na wolność. Puść ich wolno i tym zrobisz mi największą przyjemność.

- Mam za mało wioślarzy. Chciałem posadzić ich do wiosł.

- Twój statek i bez tego jest szybkobieżny. Zrób, o co proszę.

- Zgoda. Ale chcę, byś mi też zrobiła przyjemność.

Spojrzała na kapitana, z trudem powstrzymując śmiech. Wyglądał okropnie: spuchnięte wargi i nos, zadraśnięcie na czole, pod obu oczyma nabrzmiały liliowe siniaki. Wczoraj, najwyraźniej przesadziła...

- Powinieneś wrócić do swoich obowiązków - powiedziała.
- Mój pomocnik poradzi sobie beze mnie - zerwał się, objął Kastę i powalił ją na łóżko. - Lepiej zacznijmy się rozkoszować sobą.
- Co do moich ludzi, zdecydowaliśmy - powiedziała, wsparłszy dłoń na piersi młodego mężczyzny. – Teraz, podejmujemy decyzję mnie dotyczącą.
- Jesteś moja. Czyż nie tak?
- Nie tak, Arridiusie Krisku. Kasta należy tylko do Kasty i nikogo więcej.
- Ale myślałem...
- Wszystko było zachwycające - dotknęła wargami warg Sabejczyka. - Ale na jednym statku nie może być dwóch kapitanów.
- Na łono krakena! O czym ty mówisz?
- Nie umiem podporządkowywać się, Krisk. I twoi ludzie bardzo szybko to zrozumieją. Nie będę w stanie długo grać roli twojej niewolnicy.
- Słusznie, jesteś prawdziwą dziką kotką, niech cię licha... I co proponujesz?
- Wysadzisz mnie w najbliższym porcie.
- Niemożliwe - nachmurzył się. – Podobasz mi się. Chcę, żebyś została ze mną. Będziemy pływać na „Milutkiej” razem. Jesteś doskonałą wojowniczką, wspaniałą kochanką i ja...
- Kobieta na statku to nieszczęście. Czyżbyś nie znał morskich przesądów?
- Pluję na przesady! Pozostaniesz tu i to moje ostatnie słowo.
- Krisk, miły - zamruczała, głaszcząc ręką falcjona - powiedz, że mam piękne nogi?

- A niech to! - odskoczył od dziewczyny, jak od jadowitego węża. Kasta zaśmiała się, wyciągnęła z pochwy kordzik, położyła obok siebie na pościeli. Sabejski kapitan patrzył na nią z namiętnością i jednocześnie z nienawiścią.

- Mam nadzieję, że zrozumiałaś, co chciałam powiedzieć, czyż nie tak, Krisk? - zapytała.

- Zrozumiałem doskonale - wstał, zaczął się ubierać. Po chwili, pogrzebał w kufrze i wyciągnął jakieś nieznane Kaście instrumenty nawigacyjne. - Idę na pokład. Trzeba określić, gdzie się znajdujemy.

- Pójdę z tobą.
- Po co? Odpoczywaj, rozkoszuj się tym, że nie będzie mnie jakiś czas.
- Przypilnuję cię. A nuż przyjdzie ci do głowy poszczuć na mnie swoich ludzi? Nie chcę przelewać krwi twoich marynarzy, w końcu, nie zrobili mi nic złego.

- Nie ufasz mi?

- Nikomu nie ufam.

W milczeniu patrzyli na siebie. Potem ze złością splunął sobie pod nogi.

- Dobrze, chodź ze mną - burknął.
- Krisk!
- Czego chcesz?
- Nie możesz wyjść do swoich ludzi z taką twarzą - podniosła się z łóżka, podeszła do kapitana. - Pozwól, że cię uleczę.
- Potrafisz też leczyć, kobieto?
- Trochę - podniosła rękę z zaciśniętym w pięści kamieniem Ajwary do twarzy kapitana. – Może troszkę boleć. Ale przecież nie boimy się bólu, kapitanie Krisk!

Sabejczyk krzyknął – wydało mu się, że warg dotknięto gorącym żelastwem. Jednakże po chwili, ze zdziwieniem poczuł, że wstrętny, piekący ból rozbitego nosa, który dokuczał mu całą noc, przemija, a wargi nie są rozdęte i drętwe.

- Przysięgam na Akwina, co to? - krzyknął chwytając się za nos.

- Odrobina kobiecej magii seltońskiej - uśmiechnęła się. - No, jesteś znów pociągający, miły. Niczym wyrzeźbiona statua boga. Teraz możemy iść.

- Dlaczego mnie wyleczyłaś?

- Ponieważ, podobasz mi się. Jesteś prawdziwym mężczyzną, Krisk. Otrząsałam ci fizjonomię, a ty ani razu nie uderzyłeś mnie w odpowiedzi.

Nie usłyszał - albo nie chciał usłyszeć - ironii w głosie Kasty. Milcząc wyszedł z kajuty, a ona tuż za nim.

Na pokładzie "Milutkiej" przywitało ją jaskrawe, poranne słońce, świeży wiatr i zachwycone krzyki sabejskich marynarzy, którzy witali swojego kapitana i jego nową miłość. Starła się wyglądać jak grzeczne dziecko i nawet posłała Kriskowi parę spojrzeń, wyrażających ubóstwianie, ale oszukać go nie mogła. Jego twarz pozostała mroczna, a oczy puste. Kapitan szybko i z dużą wprawą dokonał potrzebnych pomiarów i dał znak Kaście, by podążała za nim z powrotem do kajuty. Tu, położył instrumenty na miejsce i wyjął z kufra skórzany, nieprzemakalny tubus, w którym była mapa morska.

- Hm... sądząc po wszystkim, jesteśmy teraz, gdzieś tu - powiedział, pokazując palcem miejsce na mapie. - Na północ od nas znajduje się Orgiełła. Przy sprzyjającej pogodzie, dotrzemy tam przed jutrzejszym porankiem.

- Orgiełła? Co to za miejsce?

- Spokojne, nie denerwuj się. Mały i bardzo gościnny kraj. Kiedyś wchodził w skład Wielkiej Dorii, ale potem stał się samodzielnym cesarstwem. Jego władcy, już od wielu lat płacą Darnatowi daninę, ale przy tym, nienawidzą Darnatczyków nawet bardziej niż my, Sabejczycy. Nasi marynarze często zatrzymują się w ich portach, żeby odpocząć, odremontować statki albo uzupełnić zapasy jedzenia i wody.

- Posłuchaj, Krisk, daleko stąd do Seltonii?

- Zamierzasz wrócić do domu? - uśmiechnął się. - Bardzo daleko. Na północny zachód i zachód od nas leżą ziemie Dorii, za nimi lasy, zamieszkane przez wojownicze plemiona dzikusów i dopiero za tymi ziemiami, znajduje się twoja ojczyzna.

- A co to za kraj - Resz?

- Słyszałem o takim - wzruszył ramionami. - Jakaś daleka, zimna kraina na północy. Mówią, że zaludniają ją drapieżni półludzie - półpotwory i demony mrozu. Nie chciałbym się tam znaleźć.

- Możesz mi zrobić kopię swojej mapy?

- Na kiego diabła ci potrzebna?

- Potrzebna. Być może, udam się z Orgiełły do ojczyzny.

- Kasto, powiedz mi prawdę - kapitan objął twardymi dłońmi twarz dziewczyny, zajął jej oczy - naprawdę chcesz mnie porzucić? Pomyśl dobrze. Jesteś odważną i silną kobietą, ale nawet tobie jest potrzebna ochrona. Ze mną będziesz bezpieczna, przysięgam. Nie pozwolę ci skrzywdzić. I ja... wydaje mi się, że ja... nie będę w stanie żyć bez ciebie. Zostań ze mną. Proszę cię.

- Krisk, żądasz niemożliwego - pieszczotliwie musnęła palcami policzek kapitana. - Nigdy nie pokocham cię.

- Ale, spałaś ze mną.

- Głos ciała i głos duszy – to nie to samo.

- Przysięgam na Akwina! Po raz pierwszy spotkałem taką kobietę.

- Masz rację, drugiej takiej Kasty na całym świecie nie ma. Więc jak, płyniemy do Orgielły?

- Nie zapomnisz o mnie?

- Oczywiście. - pocałowała kapitana, ale kiedy Krisk, zachęcony tym pocałunkiem, zamierzał przedłużyć pieszczoty, wyrwała się z jego objęć, a on pogodził się z tym.

- Dobrze, Kasto - powiedział. - Jutro rano będziemy w Orgielle.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W ogromnej, podziemnej sali Wieży Magów, po raz pierwszy od wielu lat rozlegał się śpiew.

Kiris śpiewał razem z pozostałymi magami Czaszy i wydawało mu się, że nigdy jeszcze te sklepienia nie słyszały śpiewu bardziej zgodnego i uroczystego. Był nim niewyobrażalnie starodawny hymn w nieznanym języku, jakimś cudem zachowany do obecnych czasów - jeden z ostatnich magicznych darów epoki Szu. Święty hymn, poświęcony Ojcu Cieni. Zawołanie zdezorientowanej, przygniecionej wiecznym strachem śmierci, ludzkiej duszy do Gospodarza Absolutnej Nieśmiertelności. Czuł, jak płonie twarz, pod rytualną maską z brązu, jak fala dźwięku, wzmocnionego sprawnie zrobionymi rezonatorami w ścianach sali, przechodzi przez ciało, wywołując wibracje. Razem z pozostałymi piętnastoma magami Czaszy, zwracał się do Ojca Cieni, wykonując z najwyższą uwagą rytuał kultu Szu - rytuał Wezwania Czaszy.

Arcymistrz Chraor gasił lampy na ołtarzu, jedną po drugiej. Kiedy zgasła ostatnia - magowie, nie zaprzestając śpiewów, zbliżyli się i zaczęli obchód, posuwając się w kierunku przeciwnym zachodowi słońca, zamknawszy arcymistrza Chraora w magicznym kręgu i mistycznie przekazując mu swoją siłę. On nieprzerwanie patrzył na ołtarz - piramidalną bryłę z czarnego granitu, wysoką na trzy łokcie, uwieńczoną ogromnym, czerwonym diamentem, który stopniowo napełniał się nieziemskim światłem, które z każdym okrążeniem, dokonanym przez kapłanów, rozpałało się coraz jaśniej.

Hymn urwał się niespodziewanie, na wysokiej nucie i Chraor, drżąc na całym ciele, wypowiedział śpiewnie główne zaklęcie Rytuału - słowa dziękczynienia Ojcu Cieni za zesłanie Czaszy. Kiris, w nabożnym zachwycie, obserwował, jak ponad wyciągniętymi, nad czerwonym diamentem i obróconymi dłońmi do góry rękami Chraora, powoli zagęszcza się mrok, przybierając kształt płaskiego naczynia na cienkiej nóżce, stając się czarodziejską Czaszą Nieśmiertelności.

- Czasza z nami! - obwieścił Chraor.

Magowie padli na kolana i Arcymistrz obszedł ich wszystkich według kolejności, dotykając Czaszą głów. Ten obrzęd, otwierał duchowy wzrok magów Szeranu, pozwalając im widzieć objawienie się Zacienionej Strony. Dopóki Kiris nie otrzymał błogosławieństwa Czaszy - był Pośrednikiem i dar duchowego jednoczenia się z Zacienioną Stroną posiadał od dzieciństwa.

- Patrzcie, bracia! - powiedział Chraor. - Patrzcie uważnie. Proszę szukać tego, kto zdołał schować się przed okiem Cienia. Proszę szukać wroga. Zapamiętajcie jego twarz, poznajcie jego imię, proszę znaleźć miejsce, gdzie jest skryty przed wzrokiem naszego władcy.

Stając się częścią Zacienionej Strony, każdy z magów mógł wejść w świadomość każdej istoty, człowieka albo zwierzęcia. Kiris natychmiast zyskał wzrok licznych istot - wszystkich, które w tej chwili stały się mistycznym wcieleniem magów

Czaszy. Zalał go prawdziwy huragan obrazów, twarzy, dźwięków, uczuć. Mógł być wszędzie, gdzie są cienie. Oglądał, niczego niepodważających, ludzi spod koron drzew, z cienistych wąskich zaułków, z okien opuszczonych domów, z głębi studni. Spojrzenie każdego mieszkańca półmroku stało się jego spojrzeniem, słuch nocnych drapieżników stał się jego słuchem. Był zdolny zajrzeć do porzuconych podziemi i morskich odmętów, do przepaści i zamkniętych wież. Mógł widzieć cały świat, w zdumiewający sposób zauważając i zapamiętując każdy drobiazg. Póki nie wyczerpała się siła, darowana przez Czaszę.

Jak lecąca strzała, umysł Kirisa obleciał cały świat. A kiedy działanie siły skończyło się i każdy z magów Czaszy pozostał sam, opuszczony przez Cień, nagle zrozumiał, że nie będzie w stanie dać Chraorowi żadnej odpowiedzi. I nikt z jego współpracowników nie będzie w stanie tego zrobić.

Ujrzał wszystkich i pozostali magowie też widzieli wszystkich. Byli Cieniem, wszechobecnym i wszystkowidzącym. Ten, kogo szukali, nie mógł ukryć się przed ich spojrzeniem.

Jednak się ukrył.

Magowie Czaszy nie zdołali odnaleźć tego, który otrzymał od Orków kamień Ajwary.

Królowa Margiana, obrzuciła trzech stojących przed nią magów długim, uważnym spojrzeniem.

- Czy dobrze zrozumiałam - spytała - że Cień nie pokazał wam tego, który otrzymał od Orków kamień?

- Dobrze, moja królowo - odpowiedział arcymistrz Chraor.

- Czy można ukryć się przed spojrzeniem Cienia?

- Nie można, moja królowo.

- Wobec tego, dlaczego Cień nie zobaczył nowego gospodarza kamienia?

- Teraz nie możemy tego wyjaśnić, moja królowo.

- Nie możecie? - Margiana, wydawało się, była zdumiona słowami Chraora. - Magowie Czaszy czegoś nie mogą? Dziwnie to słyszeć od ciebie, arcymistrzu.

- Moja królowa mnie niewłaściwie zrozumiała. Chciałem powiedzieć, że przyczyn może być dużo i nie wiemy, która z nich przeszkodziła nam dostrzec naszego nowego wroga.

- Jakież to przyczyny?

- Wiemy coś-niecoś o właściwościach kamienia Ajwary. - To artefakt leczenia i neutralizacji trucizn. Ale może, posiada jeszcze właściwości magicznej tarczy. Mógł skryć swojego posiadacza od spojrzenia Zacienionej Strony.

- Nie, niemożliwe, to żadne wyjaśnienie. Czuję, że przyczyna tkwi zupełnie w czym innym. Jak myślisz, Kiris?

- Ja? - mag nie miał pojęcia, co powiedzieć. - Nie znam żadnego wyjaśnienia, moja królowo.

- Proszę o pozwolenie, aby coś powiedzieć – rozległ się głos Rachusa, mistrza walki - czy posiadacz kamienia nie mógł przypadkiem otrzymać jeszcze jakiegś z relikwii Zapomnianych? Na przykład, tarczy Najnowy, dającej ochronę przed magią najwyższego rzędu.

- Jeśli tak - zeszła z tronowego podwyższenia do magów – Zapomniani pozyskali prawdziwego wojownika. Teraz, po prostu jesteście zobowiązani, by go znaleźć.

- To nie tak - pokręcił głową Chraor. - Szanowny Rachus nie ma racji. Tarcza Najnawy, to jedna z najbardziej niedostępnych relikwii. Żeby otrzymać ją, trzeba posiadać siedem, z dziewięciu darów Zapomnianych. Po prostu nieprawdopodobne, aby ktoś mógł zebrać siedem darów w tak krótkim czasie.

- Ma pan rację, arcymistrzu - potwierdził Kiris.

- Wobec tego, dlaczego spojrzenie Cienia nie widzi tego człowieka? - zapytała.

- Teraz nie wiemy, ale to kwestia czasu, proszę, by królowa w to nie wątpiła.

- Z czasem? Od tamtej pory, jak moja armia zdobyła Miarę, nie rozpieszczacie mnie dobrymi wiadomościami.

- Rozszyfrujemy ten sekret, moja królowo - twardo powiedział Chraor. - Znajdziemy obcego wojownika i postaramy się, aby nie stanął na przeszkodzie Szeranowi.

- Miło mi słyszeć pewność w twoim głosie, arcymistrzu.

- Jesteśmy zaledwie twoimi sługami, wasza wysokość - Chraor nisko skłonił głowę i to samo uczynili Kiris i Rachus. - Przyszliśmy tu nie tylko po to, by zakomunikować o naszych czasowych trudnościach. Mamy też dobrą wiadomość - Darnat rozpoczął wojnę z Sabeją. Wynik tej wojny nietrudno przewidzieć. Bardzo szybko Wieniec Otchłani będzie w waszych rękach.

- Wiedziałam, że zechcecie chociaż czymś mnie pocieszyć – powiedziała z ironią. - A co w Orsianie?

- Udać jeszcze stawia opór, ale jego dni są policzone - odpowiedział Rachus.

- Twoja pewność opiera się na czymś?

- Tylko na naszej sile, wasza wysokość. Udać jest mądry, chytry i odważny, ale ma mało wojowników. Nasze armie zawałdnęły Chejlanem i szybko zapędzą resztki Orków do Pustych Wąwozów. Jeśli Ojciec Cieni będzie dla nas łaskawy, królowa otrzyma wszystko, czego pragnie.

- Pośpiesz się, Rachusie. Zbrzydło mi już każdego dnia słyszeć o tym, że Orki jeszcze chodzą po ziemi...

- Dzisiaj było zimne przyjęcie - powiedział Rachus, kiedy trzech magowie wyszli z tronowej sali. - Była rozgniewana.

- Biedna mała dziewczynka, która wyobraża, że to ona rządzi Szeranem! - Powiedział Chraor. - Niech dalej uważa, że tak jest. Niech myśli, że może rządzić nami.

- Szczerze mówiąc, naprawdę nie rozumiem, dlaczego spojrzenie Cienia niczego nie zobaczyło - powiedział Kiris.

- Chodźmy do wieży, coś wam powiem - zaproponował Chraor.

Młodzi magowie wymienili spojrzenia - nie oczekiwali takich słów. Droga z pałacu Chiem-Asztanira do Wieży Magów zajęła nie mniej niż pół godziny i przez cały ten czas Chraor milczał. Gdy tylko magowie weszli do pokoi Chraora, arcymistrz powiedział:

- Jak myślicie bracia, czy Cieniowi potrzebne są nasze oczy, żeby widzieć królową Margianę?

- Nie - odpowiedział za obu magów Kiris.

- Dlaczego, Kirisie?

- Ponieważ, on do tego nie potrzebuje naszego spojrzenia, mistrzu. Królowa Margiana, jeszcze przy urodzeniu, naznaczona została przez Ojca Cieni. Jest częścią Zacienionej Strony.

- Słusznie, Kirisie. Cień może widzieć tylko Cień, a Ciało - tylko Ciało. Póki nie zostały znalezione wszystkie trzy Dary Otchłani, świat pozostaje podzielony na Jasną

Stronę i Zacienioną Stronę - powiedział Chraor. - Tylko Czasza pozwala nam łączyć je na krótki czas i na tym opiera się nasza potęga. Tylko naszym wzrokiem można zobaczyć świat Cieni i tylko naszym wzrokiem Cienie mogą patrzeć na świat ludzi.

- Wszystko zgadza się, arcymistrzu - przytaknął Kiris, chociaż niezupełnie rozumiał, do czego Chraor zmierza. - Jednak to nie objaśnia, dlaczego nasze oczy nie zobaczyły tego, kogo szukaliśmy.

- Żeby zobaczyć Zacienioną Stronę, trzeba zostać cieniem - kontynuował arcymistrz - i trzeba mieć ciało, żeby zobaczyć ciało. Otrzymując błogosławieństwo Czaszy, możemy zobaczyć to, co jest niedostępne wzrokowi zmysłowemu. Jesteśmy zdolni dostrzec istotę naszego świata - królestwa Ciała. Kiedy szukaliśmy naszego wroga, patrzyliśmy oczyma Cienia i szukaliśmy cienia, duszę, której nie można zobaczyć ludzkim okiem. I nie znaleźliśmy jej. To znaczy, że jej nie ma.

- Słowa arcymistrza są mgliste – odezwał się Rachus. - Co masz na myśli, władco?

- Człowiek, otrzymujący kamień Ajwary, jest pozbawiony duszy.

- Żywy nieboszczyk? - Kiris nieufnie popatrzył na naczelnego maga. - Czy homunkulus, stworzony magią?

- Może tak być. Ale najprawdopodobniej, to co innego. To może być człowiek z cudzą duszą. Ciało jedno, cień - drugie. - Chraor chwilę milczał. – Trudno w to uwierzyć, ale innego wyjaśnienia po prostu nie ma. Trzeba przejrzeć dawne teksty na temat magii psychiki. Być może, uda nam się znaleźć jakieś podpowiedzi. Zajmę się tym osobiście. Dla was będę miał inne zadania. Ty, mistrzu Rachusie - Chraor spojrzał na maga - dzisiaj jeszcze udasz się na północ, do Chejlany. Trzeba skończyć z Udajem i Orkami. Nasi dowódcy zwlekają, to niedopuszczalne! Zmusisz ich do działania. Głowa Udaja pocieszy naszą królową i przestanie rozmawiać z nami niezadowolonym tonem.

- Dobrze, władco.

- Ty natomiast, mistrzu Kirisie, musisz udać się ponownie w podróż do Darnatu - kontynuował Chraor. - Powinieneś być w Gale, kiedy Sabeja padnie. Przywieź Wieniec Otchłani. Czy trzeba ci mówić, jak ważne powierzam ci zadanie?

- To honor dla mnie, władco - Kiris skłonił głowę.

- W takim razie, zajmijmy się każdy swoją sprawą - zakończył Chraor i dodał: - I niech drżą nasi wrogowie!

Ze szczytów Chejlany wiał przejmujący, lodowaty wiatr, ale król Orków, Udaj, nie czuł chłodu. Dzisiejsza noc przyniosła mu nadzieję. Widział we śnie ducha Tulkana i ten powiedział, że kamień Ajwary znajduje się teraz w ludzkich rękach. To, co powinno było się zdarzyć, zdarzyło się. Pozostaje tylko czekać.

Jeszcze przed świtem wysłał gońca do Asukiru - tam ukrywała się teraz resztką armii księcia Ar-Sacha, ponad dwa tysiące wojowników. Prawie tyle samo, ile na początku było przy samym Udaju. Jeśli gońcowi uda się przedostać przez zajęte przez wroga ziemie, będzie w Asukirze za trzy-cztery dni. Udaj nie wątpił, że Ar-Sacha ściśle wypełni wszystkie rozkazy.

- Ojcze!

- Czego chcesz, Mancho?

Młodzieniec podszedł bliżej.

- O czym myślisz, ojcze?

- Po prostu patrzę na góry - milczał chwilę. - I cieszę się, że jeszcze żyję.

- Ojcie, dlaczego cały czas się cofamy? To nasza ziemia, a oddajemy ją Szeranitom bez walki.

- Zadałeś pytanie, na które nie chcę odpowiadać.

- A jednak, ojcie! - w oczach młodego Orka było błaganie. - Powinniśmy walczyć. Powinniśmy odbić od Szeranitów nasze święte miasto.

- Najważniejsze teraz, zachować wojsko.

- Wojsko rwie się do walki!

- Mancho! Buntujesz się.

- Przebacz, ojcie. Ale nie rozumiem cię.

- Pewnego dnia zrozumiesz, że zwycięstwo w wojnie osiąga się nie tylko siłą i męstwem, których masz w nadmiarze. Czasami, zwycięstwo może być osiągnięte chytrością. A tymczasem powinniśmy zachować to, co mamy - pokazać ręką w dolinę, tam, gdzie paliły się ogniska jego małej armii. - Zaufaj mi, synku. Ucz się walczyć, nie jak odważny wojownik, a jak wódz, jak twój brat Ajlug.

- Dlaczego zawsze porównujesz mnie do zmarłego brata?

- Ponieważ teraz jesteś moim spadkobiercą. W walce, wojownicy będą patrzeć na ciebie, następcę księcia Orsiany. Dokąd ich poprowadzisz? Wprost na szeniańskie włości? Czy zdołasz rozbić wroga, zachowując życie swoich wojowników?

- Zupełnie osiwiłeś, ojcie - niespodziewanie powiedział Mancho.

- A ty, stałeś się zupełnie dorosły - Udał poklepał młodzieńca po ramieniu. - Już nastał poranek. Idź do swoich wojowników i postaraj się, żeby uwierzyli w nasze zwycięstwo.

- Trwoga! Trwoga!

Udał rzucił się w dół, ścieżką wiodącą zakosami, zboczem góry, naprzeciw biegnącym wojownikom. Mancho pobiegł w ślad za ojcem.

- Monarcho! – ogromny, czerwonoooki Ork, w pancerzu z dużych brązowych pierścieni i w kosmatym hełmie, upadł przed Udaem na kolano. - Właśnie wróciły patrole, które wysłałem do Chaniranu. Wróg wyszedł nocą z miasta i teraz wielkimi siłami zdąża tu.

- Wstań, Szewłakku... Przewidywałem, że tak się stanie.

- Jakie będą rozkazy, monarcho?

- Co będziemy robić, Mancho? – Udał niespodziewanie zapytał syna.

Młodzieniec drgnął.

- Walczyć - powiedział ten po pewnej zwłoce. - A czy jest inny wybór?

- Wybór jest zawsze - Udał obrócił się do czerwonoookiego wojownika. - Mówisz, Szeranitów jest dużo?

- Bardzo dużo. Miotacze procą, łucznicy, ciężka piechota. Prawdopodobnie, rzucili przeciwko nam całą armię północną. Zwiadowcy mówią, że idą trzema wielkimi kolumnami - na Kajsan, do Pustych Wąwozów i do Siedmiu Zdrojów.

- To są pewne wiadomości, Szewłakku?

- Ufam swoim wojownikom, monarcho.

- To znaczy, że o wszystkim wiesz. Chcą za wszelką cenę odciąć nas od drogi do Logaru i bardzo szybko, będą tu. Widzisz, Mancho - Udał popatrzył na syna, nerwowo przestępującego z nogi na nogę – okazuje się, że ty miałeś rację, a nie ja. Teraz także widzę, że wyboru nie ma. Spotkamy gości. Proszę przygotowywać się do walki!

Z pomocą dwóch giermków, król Udaj ubrał się w zbroję. Najpierw włożył płytowe buty i nagolenniki z brązu, potem skórzaną koszulę, a na nią – kirys z brązu, z tłoczonym wyobrażeniem głowy demona-wojownika Maa. Na plecy powiesił ciężką okrągłą tarczę, także ozdobioną wizerunkiem Maa. Opasał się pasem, z szerokim sztyletem. Nałożył hełm z czarnym, końskim ogonem na czubku głowy, rękawice klepsydrowe. Starszy giermek z ukłonem podał dwuręczny topór bojowy, z szerokim ostrzem - słynny dwupallaks Orków, wywołujący przerażenie wrogów. Teraz mógł stanąć przed wojskiem.

Powitał go głośny okrzyk wojowników. Wszyscy, którzy dwa miesiące temu przebili się razem z Udajem, z palącego się miasta Miary, teraz stali w zwartych szeregach pod rodowymi buńczukami, targanymi górskim wiatrem i czekali na rozkazy. Najlepsi z najlepszych, selekcjonowani wojownicy Orsiany. Przy królewskim namiocie zgromadzili się oficerowie i wśród nich - jego spadkobierca Mancho, także ubrany w zbroję z ciemnego brązu, z zawieszonym za plecami dwuręcznym mieczem. Czekali na rozkazy i Udaj już wiedział, jakie otrzymają polecenia.

- Nie będziemy czekać na Szeranitów w dolinie, wyjdziemy naprzeciw - powiedział. - Spotkamy ich przy Czerwonych Skałach. Osobiście stanę na czele, ze swoją sotnią ochroniarzy. Ze mną pójdą Cha-Nier i Twajcho ze swoimi oddziałami. - Zatrzymał wzrok na synu. - Złote Tarcze poprowadzisz ty, Mancho. Szewłakk ci pomoże.

Dowódcy milczeli, ze spuszczonego wzrokiem. Przekazanie dowództwa nad Złotymi Tarczami Mancho oznaczało, że Udaj zdecydował się iść do walki nie jak król, ale jak zwykły wojownik.

- Wszyscy zrozumieli rozkaz? - podniósł głos.

- Tak! - zgodnie krzyknęli Orkowie.

- Zrozumiałem, monarcho - kiwnął głową Mancho, który nagle zapragnął uścisnąć ojca. Ale powstrzymał się, rozumiejąc, że teraz całe wojsko patrzy na nich.

- Pamiętajcie o Miarze! - krzyknął Udaj. Odpowiedział mu groźny ryk wojska, stuk broni o tarcze i głos bojowych rogów. A potem, oddziały szybko przegrupowały się w kolumny i ruszyły do wyjścia z doliny.

Mancho trzymał się obok ojca, ale nie miał śmiałości o cokolwiek pytać. Wmawiał tylko sobie, że wszystko będzie dobrze. Rozgromią szerańskie wojsko i ojcu nic złego się nie zdarzy. Musi być odważny i twardy, jak jego ojciec. Takim, jakim był jego zmarły brat, Ajlug.

Wąska dolina kończyła się ścianą Czerwonych Skał. Nad oddziałami znów przetoczył się zgodny ryk - zobaczyli wroga. Szeranicy posuwali się górską drogą, wiodącą ze wschodu. W ich szeregach nosowo zawyły trąby, a kolumny zaczęły formować bojową falangę.

Orki przeszli z marszu do biegu, dążąc do zamknięcia przestrzeni między Czerwonymi Skałami. Z lewej strony ziała przepaść, z prawej strony wznosiły się pionowe, bazaltowe ściany. Idealne miejsce, by zatrzymać wroga. Wiodący oddział rozciągnął się klinem, wciskając się w tę skalistą gardziel.

Naprzeciw, już pojawił się zwarty szereg szerańskich włóczników, grzechocząc podkutymi sandałami po kamienistej ziemi. Draggeni - Szezańscy Nieustraszeni, żołnierze pojeni czarodziejskim zieleń, przekształcającym ich w żywych nieboszczyków, nie czujących ani bólu, ani strachu. Chodzące maszyny do zabijania.

- W imię przodków! - krzyknął Udaj i podniósłszy siekierę, rzucił się na wrogów.

Wrąbał się w sam środek szeregu. Ostrza wrogich włóczyń nie zatrzymały go, tylko prześliznęły się po napierśniku, zostawiając głębokie zadrapania.

- Udaaaaj! – ryknęli Orkowie i rzucili się w ślad za swoim królem, wdarli się do szeregu wroga, rozbijając przeciwnika. Nurkowali pod długimi włóczniami, przeskakowali przez ścianę zwartych tarcz, z triumfującym rykiem cięli wrogów, długimi sztyletami, rozbijali głowy Nieustraszonych, piernaczami i dwupallaksami. Dragenni nie cofali się ani na krok. Niektórzy, mimo odniesionych ran, nadal walczyli. Powaleni na ziemię śmiertelnymi uderzeniami, wstawali i znów szli na wroga, patrząc na Orków pustymi, martwymi oczyma, znów padali, znów wstawali, nie tracili krwi, dopóki nie przestał działać straszny eliksir. W środku szeregu, tam, gdzie walczył król, dragenni ze ściętymi głowami jeszcze jakiś czas trzymali się na nogach i kłuli na oślep włócznią, obryzgując Orków swoją krwią i wywołując u nich przesadne przerażenie. A potem, nagle, Nieustraszeni zaczęli się cofać, pozostawiając pole zasłane trupami, odrąbanymi głowami i kończynami, połamaną bronią, zalane krwią.

Udaj nie wierzył własnym oczom. Wróg, jeszcze przed chwilą, nieustępujący ani łokcia ziemi, nagle cofnął się. A potem zrozumiał, w czym rzecz. Szeranicy po prostu przegrupowywali się. Na zmianę rozbitym oddziałom szły nowe, teraz była to piechota włóczyń w ciężkich zbrojach. A na flankach wrogiego wojska już lokowali się łucznicy z wielkimi, dalekonośnymi łukami.

Udaj odetchnął z ulgą. Spełniły się jego przewidywania. Teraz wszystko zależy od tego, czy Szewłakk zdoła ściśle wykonać tajny rozkaz.

- Za mną! - ryknął i rzucił się do przodu.

Rówieśnicy, Cha-Nier i Twajcho, byli przy nim. Resztką ochroniarzy też była obok. Klin Orków z rozpędem wtargnął do wrogiej falangi, zostawiając za sobą okaleczone, rozczłonkowane ciała i głęboko wciął się w szerańskie szeregi. Znów ich siekiery, krótkie miecze i maczugi zaczęły swe krwawe dzieło. A potem Udaj wyczuł magiczną falę i zrozumiał, że Nieustraszonymi kieruje mag.

Druzgocącymi uderzeniami dwupallaksa odrzucił stojących przed nim wrogów, j wyrwał się z pierścienia draggenów. Mag był tuż przed nim - szczupły, z ogoloną głową, w prostej, skórzanej zbroi. Na jego piersi olśniewająco iskrzyła się, licznymi rubinami i diamentami, szesnastoramienna gwiazda - znak przynależności do najwyższych hierarchów Czaszy. Zobaczył Udaję i poznał go. Natychmiast wyciągnął rękę w kierunku króla Orków, jakby chciał chwycić go za gardło. Wargi Szeranicy poruszały się, wymawiając jakieś zaklęcie.

Zamachnął się i cisnął siekierą w maga. Dwupallaks ugodził w twarz, rozplątał czaszkę na pół. Ale chwilę przedtem, jeszcze zdążył rzucić w króla Orków kulą zimnego, niebieskawego płomienia.

Udaj upadł na kolana. Serce zatrzymało się skute śmiertelnym chłodem. Przed oczyma tańczyły płonące cienie i jakieś dziwne istoty, przyzywając machały rękoma, pokazywały ogniste języczki.

- Monarcho! - z ciemności wypłynęła twarz Cha-Niera.

- Gdzie... Mancho?

- Jest na lewej flance. Tam także wróg cofa się, twoje Złote Tarcze rozniosły szerańskich łuczników. Zwycięstwo nasze! Co z tobą, monarcho?

Wszystko dobrze, pomyślał. Szewłakk zrobił wszystko, jak trzeba. Bitwa jest wygrana. A królowie - oni przecież są śmiertelni.

- Przysięgnij mu... pierwszy – Udaj przewrócił się na plecy. Szum walki nagle ucichł i nastąpiła zadziwiająca cisza.

Cisza, po walce.

Zmęczony zamknął oczy i wieczność otworzyła przed nim swoje podwoje.

Od bitwy przy Czerwonych Skałach minęły cztery dni i księżę Aru-Sach otrzymał ostatni rozkaz króla Udaja. Był dziwny, ale Aru-Sach nie wahał się ani chwili. Dwa tysiące Orków, porzuciło natychmiast Asukir i ruszyło do granicy z Logarem.

Po tygodniu, arcymistrz Chraor otrzymał wiadomość o zagładzie mistrza walki Rachusa. Chciał natychmiast ukarać śmiercią gońca, który przybył ze złą wiadomością - jednak ten zakomunikował również, że król Orków Udaj, jest martwy, więc Chraor dał mu spokój.

Minęło dziesięć dni od śmierci Udaja i Mancho, jego syn, został obwołany nowym królem.

- Przysięgam na przodków - powiedział Mancho po tym, jak przyjął tarczę i zbroję swojego ojca - że pomścę ojca i brata i uwolnię swój kraj od wrogów. Święte ogniska Miary zapłoną znów i duchy poległych odzyskają radość i spokój. Już niedługo!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Właśnie tak sobie wyobrażała powrót do domu.

Nocny wiatr okrzepł i topole po obu stronach drogi poruszały gałęziami, jak ludzie, machający na powitanie rękami. Cieszyły się, że wróciła córka marnotrawna, że książka jej tułaczki została zapisana. Z przodu, w mroku, paliły się jasne pochodnie nad bramą Cerunii. Jeszcze około setki kroków...

Przez chwilę miała wrażenie, że ktoś na nią patrzy, więc obejrzała się. Była jednak sama na drodze. Ale odczucie nie zniknęło, przeciwnie, stało się mocniejsze.

Ktoś ją obserwuje. Ktoś jest w mroku.

Trzeba się śpieszyć. Zapadła już noc i lada chwila zamkną bramy. Będzie wtedy zmuszona czekać do poranka. Sama, pośród mroku i ślizgających się pod koronami drzew cieni.

Zbliżyła się do bramy - znów poczuła czyjś wzrok.

- Kto tu?

Droga, oświetlona księżycem, jest pusta. W uszach dzwoni śpiew świerszczy. Szeleszczą liście na drzewach.

- Kto tu?

Strach zmienia się w rozdrażnienie. Nadaremnie traci czas. W ciemności, pod drzewami, żadnego ruchu.

Robi jeszcze kilka kroków i znów czuje to dziwne Spojrzenie. Skóra na plecach cierpie, włosy zaczynają się jeżyć. Prawa ręka, mimo woli, wyciąga z pochwy kordzik Kriska.

- Obyś był przeklęty!

Jej cień przemieszcza się razem z nią, ale jakoś dziwnie. Żeby sprawdzić swój domysł, podnosi prawą rękę. Cień, niby kpiąc, wznosi lewą.

Co się dzieje?

- Nie widzisz mnie, a ja widzę ciebie! - dźwięczy w głowie przymilny głos. – Nie możesz się ukryć przede mną. Zawsze będę obok ciebie, Lejda z Cerunii!

- Kim jesteś?

Cień wypelza z zakurzonej, gliniastej drogi, wznosi się. Może dostrzec linie ciemnej twarzy. O, Beris, to po prostu niemożliwe!

- Ty... To ja?

- Ty Lejda. Ja Kasta. Ty Kasta, ja Lejda. To takie proste.

- Zabieraj się stąd do demonów!

- Ech, kochana, to niemożliwe. Sama byłabym rada oswobodzić się od ciebie.

Ty przecież masz dwa cienie, a ja mam tylko jeden. Powiedz mi – kim jest twój drugi cień?

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Odczep się od mnie i daj mi wrócić do miasta i zobaczyć się z moimi ukochanymi.

- Jak sobie życzysz!

Cień znów staje się po prostu cieniem, pełznącym w ślad za nią po drodze. A w bramie pojawiają się dwie postacie, na widok których, zatyka dech w piersi.

- Ajlor?! Elea?!

Jej córeczka już nie jest taka delikatna, jak cztery lata temu. Mała księżniczka, z jasnymi oczkami i zabawnym warkoczykiem na czubku głowy. Bogowie, jakaż ona śliczna!

- Mama!

Ze łzami szczęścia, rzuca się do córki, żeby objąć dziecko - i ręce przechodzą przez ciało dziewczynki, jak przez chmurkę mgły. Miła twarzyczka wykrzywia się grymasem cierpienia i bólu, znika w oczach, rozwiewając się w mroku nocy.

Szczęście ulatuje - pozostaje ciemne, zimne przerażenie. Wiatr z bram Cerunii wieje wprost w twarz, a w nim - ciężki smród śmierci. Zapach gęstej ropy z pękających węzłów limfatycznych, krwawych ekskrementów, trupiego rozkładu, spalenizny ludzkiego ciała, płonącego w ogromnym pogrzebowym ognisku, w które, na jej oczach, przekształciła się cała Cerunia.

Zapach dżumy.

Z jękiem otworzyła oczy. Przebudzenie wydało się przedłużeniem koszmarów, które targały nią tej nocy. Ciało niezdolnie bolało, żołądek kołysał się w łonie, niczym ogromna meduza, w skronie i potylicę jakby wbijano rozżarzone gwoździe.

- Ooooch!

- Pani?

Kasta z trudem rozkleiła wargi.

- Co tu robisz? - powiedziała, ledwie poruszającym się, opuchniętym językiem.

- Pani krzyczała we śnie i zdecydowałam...

- Zabieraj się stąd! - głowa znów napełniła się pulsującym bólem i Kasta zaczęła jęczeć. - Nie, poczekaj. Daj wody.

- Pani nie powinna tak dużo pić - powiedział Leodan, napełniając wodą z dzbana glinianą filiżankę.

- Nie twoja sprawa - wyrwała z jego rąk filiżankę, przywarła do niej wyschniętymi wargami. Młodzieniec obserwował, jak pije.

- Bogowie, jak dobrze! - zamknęła oczy. W głowie zaszumiło, stopniowo powracało odczucie życia. - To woda. Ona mi nie pomoże. Daj wina.

- Pani nie powinna teraz pić wina.

- Powiedziałam, daj wina!

- Nie mamy wina, pani.

- Nie, to jest nie do wytrzymania! - objęła głowę dłońmi. – Wszystko boli.

- Wczoraj nieźle pani zabawiła się w „Pijanym kapitanie”.

- Zabieraj się precz.

- Jak pani każe - Leodan postawił dzban z wodą na stół, skierował się drzwi.

- Poczekaj! - opowiedz mi, co się wczoraj zdarzyło.

- Pani niczego nie pamięta?

- Pani niczego nie pamięta - powtórzyła powoli, próbując stłumić wzbierającą złość. – Mów po kolei. Przybyliśmy do portu...

- Ma pani rację, przybyliśmy do portu Fanary - jeśli pani pamięta, to miasto nazywa się Fanara i jest stolicą tego cesarstwa, Orgiełły.

- To pamiętam. Dawaj dalej.

- Pani zeszła na brzeg, a nasz los pozostawiła w naszych rękach. Zostaliśmy uwolnieni przez kapitana Kriska. To było takie przyjemne – poczuć się wreszcie wolnym! Wisław - pani oczywiście pamięta naszego przyjaciela Wisława - natychmiast powiedział, że musimy iść za panią i zaopiekować się.

- Z czego to wynikało?

- Trzej Darnaczycy, którzy byli z nami na statku, przystali do sabejczyków. A mi kapitan zaproponował... mi zaproponował...

- Rolę dziewczynki na statku? No-no! I nie zechciałeś.

- Nie jestem taki, pani. I podobna propozycja zabrzmiiała dla mnie obraźliwie - Leodan opuścił wzrok. - Rozumie się, że odmówiłem. Wtedy kapitan wypędził mnie. Powiedział, że nie jestem mu potrzebny nawet w roli przynęty na rekiny. A Wisława, kapitan Krisk kaperował do załogi. Ale Wisław zrezygnował i kapitan nie był w stanie go namówić. Powiedział, że on jest potrzebny mi i tobie, pani.

- To mnie nie wzrusza. Dalej...

- Z Wisławem zeszliśmy ze statku i udaliśmy się do miasta. Nie mieliśmy ani grosza przy duszy i bardzo chciało się nam jeść. Wisław postanowił... zarobić trochę pieniędzy na nasz obiad.

- Zarobić, to znaczy, ukraść? – uśmiechnęła się krzywo. – No-no!

- Krótko mówiąc, Wisław zdołał zarobić coś niecoś - Leodan zaczerwienił się. - Kupiliśmy sobie nową odzież - tę wspaniałą tunikę, którą teraz mam na sobie i te sandały, i jeszcze kurtkę, spodnie i buty dla Wisława, i zajrzeliśmy do knajpki „Pijany kapitan”, gdzie wówczas była pani.

- Czyli, szwendaliście się za mną po całym mieście.

- Wisław powiedział, że nie powinniśmy zostawiać pani samej.

- Bardzo uprzejmie z jego strony. Dalej!

- Pani piła wino.

- A potem?

- A potem, pani mocno się upiła. Przynieśliśmy panią tu, do tego hotelu i położyliśmy spać.

- Pomóż mi wstać.

Nie, tak się upijać nie wolno. Nogi trzęsą się jak nowonarodzonemu jagnięciu, a w głowie kręci się tak mocno, jakby ktoś po niej zdzielił dwudziestofuntową łagą. Chyba, zaraz zaczniesz rzygać...

- No, proszę, pani! – z wyrzutem powiedział Leodan, patrząc na kałużę wymiocin przy swoich nogach. - Pięć dzbanów wina, leżakowanego dwanaście lat...

Kasta tymczasem dokuśtykała do upstrzonego muchami, miedzianego lustra w drewnianej oprawie. Twarz, patrząca na nią, zmusiła dziewczynę do nowego napadu mdłości.

- Brudna świnia! - powiedziała sama do siebie.

- Pani? - Leodan uniżenie zajrzał jej w oczy.

- Powiedz, podobam się teraz tobie?

- Pani jest zawsze wspaniała.

- Przeklęty kłamca! Zabić cię, to mało...
- Po prostu, pani miała paskudną noc. Pani bardzo źle spała i...
- Przestań, w imię Hawana nazywać mnie „panią”. Mam imię. I w ogóle, co u diabła tu robisz? Nie pamiętam, żebym brała cię na służbę.
- Poprosił mnie o to Wisław... - Leodan uśmiechnął się ze skrucą.
- Ach, to Wisław cię poprosił. Jaki troskliwy, tak czy owak, mam go gdzieś! Mam nadzieję, że nie poprosił, abyś walnął mnie, póki spałam. Zresztą, taki jak ty, nie jest w stanie nawet tego zrobić.
- Jesteś niezadowolona ze mnie?
- Teraz nienawidzę całego bożego świata. Jest mi niedobrze, nadal mdli mnie i śmierdzi od mnie, jak od kupy gnoju - ze wstrętem popatrzyła na swoją tunikę, pokrytą plamami od wina i wymiocin. - Gdzie mój falcjon?
- Zostawiłaś go wczoraj w knajpie.
- Zostawiłam? I nie zabraliście go?
- Nie mogliśmy. Sprzedałaś go gospodarzowi, żeby kupić wina. Za trzy ardżeny. Jeśli poprawnie orientuję się w miejscowych pieniądzach, trzy ardżeny, to równowartość mniej więcej połowy sakkara.
- Sprzedałam swój falcjon za pół sakkara? Tylko nie mów mi, że z radości od tak udanej transakcji, zatańczyłam dla gości tej knajpy, nago na stole.
- Tego nie było. Ale omal nie urządziłaś kilkakrotnie bójki z tamtejszymi gośćmi. Dobrze, że Wisław...
- Zażegnał - Wisław, Wisław! Bogowie, jak mi źle... Idź, zdobądź dla mnie gorącej wody i jakąś czystą odzież. I szklankę wina albo soku cytrynowego. Będiesz to w stanie zrobić?
- Oczywiście, pa... Kasta. Zaraz wrócę!

Odprowadziła chłopaka ponurym wzrokiem, chwyciła dzban ze stołu i piła do ostatniej kropli. A potem, nagle wrócił Leodan i zakomunikował, że ktoś do niej przyszedł.

Nieznajomy był niskiego wzrostu, młody, jasnowłosy, dobrze ubrany. Jego twarz była wyrazista, o regularnych rysach. Na ramieniu gościa siedziała mała urocza małpka, wydająca od czasu do czasu melodyjny pisk. Nie czekając na zaproszenie, gość usiadł przy stole i dał znak, by usiadła naprzeciw.

- Dowiedziałem się, że do naszego miasta przybyła słynna Kasta, bohaterka darnackiego cyrku - zaczął nieznajomy - i natychmiast postanowiłem spotkać się z tobą. Powinniśmy porozmawiać.

- Nie jestem teraz w formie - odpowiedziała, gdyż nie spodobał się władczy ton gościa. - Powinnam odpocząć i doprowadzić się do porządku.

- Rozumiem, kac - uśmiechnął się gość - dziwne tylko, że cierpisz wszystkie te męki. Przecież masz kamień Ajwary.

- Co? - podskoczyła, wlepiła wzrok w nieznajomego. - Skąd wiesz o kamieniu?

- Najpierw ulecz się, a potem wszystko opowiem.

W duchu przeklęła siebie. Tak naprawdę, zapomniała o tym kamieniu. I chwala Berisowi, że zapomniała, bo przepiłaby go razem z falcjonem...

- Leodan! - krzyknęła. Młodzieniec natychmiast wyrzwał zza drzwi. - Przynieś jeszcze wody.

Wypiła, zanurzywszy tam kamień i natychmiast poczuła się znacznie lepiej. Młodości ustąpiły, zniknął tępy, świdrujący ból w skroniach. Nieznajomy obserwował ją kpiącym spojrzeniem.

- Bardzo nie lubię, kiedy na mnie tak patrzą - powiedziała.

- Teraz już widzę, że uwolniłaś się zupełnie od męczącego kaca - odpowiedział. - Ale dość mówienia o drobiazgach. Nazywam się Kielis i jestem... magiem.

- Skąd dowiedziałeś się o kamieniu?

- Na wszystko przyjdzie czas. Porozmawiajmy o sprawie. Potrzebuję pomocy. Jeśli zgodzisz się, wynagrodzę ci to.

- Nie jestem najemnikiem. Pomyliłeś adres, przyjacielu.

- Nie pomyliłem. Nikt inny nie da sobie rady z tym, co chcę ci polecić. I nikomu innemu nie oddałbym w zapłacie tego, co chcę oddać tobie.

- Nie chcę twojego zadania. Wybacz.

- Przecież potrzebujesz dobrej broni, czyż nie tak?

- Tak. I co z tego?

- Mój kuzyn – to dobry kowal. Ma świetny wybór broni i zbroi. Mógłby bezpłatnie zaopatrzyć cię we wszystko, co niezbędne.

- Jesteś zbyt szczodry. A zgodnie z doświadczeniem wiem, że hojność zleceńodawcy jest złą oznaką. Za byle jaką pracę, dużo nie płacą.

- Kto powiedział, że zamierzam polecić ci byle jaką pracę? Nie jest łatwa, ale dasz sobie radę.

- Czego chcesz?

- Nie będę męczyć cię długim i niepotrzebnym wstępem i natychmiast przejdę do rzeczy. Niedaleko Orgiełły, jest nieduża wysepka pod nazwą Cicha. Kiedyś było tam centrum kultu dawnego boga księżyca Angusza. Potem świątynia została porzucona, ludzie opuścili wyspę, która teraz jest bezludna. Jednakże, od niedawna, na Cichej osiadł czarny mag Kaffaraj. Bardzo nieprzyjemny typ i w dodatku obłąkany.

- Rozumiem. Chcesz jego śmierci?

- Chcę, żebyś zabrała mu amulet Wezwania.

- Tylko tyle?

- To nie takie proste. Kaffaraj jest bardzo potężnym magiem. Chroni go cała zgraja obrzydliwych potworów, które tworzy dla własnej przyjemności. Swoje laboratorium, urządził w ruinach świątyni Angusza. Znieważył święte miejsce.

- Jakie potwory?

- Nazywa ich inkarnami. Albo swoim domowym ogrodem zoologicznym. Za pomocą amuletu Wezwania, przywołuje z Zacienionej Strony dusze zmarłych i wprowadza je w różne zwierzęta - tygrysy, wilki, niedźwiedzie, psy, dziki, krokodyle. Stają się one prawdziwymi monstrami, zwierzopodobnymi zombie. W przyszłości, jak myślę, ma nadzieję stworzyć w ten sposób prawdziwą armię potworów i kto wie, co może być dalej?

- Nie chcę się w to angażować.

- Może, masz rację. Łatwiej pić po knajpach i z nadejściem poranka męczyć się z kacem. Prawdopodobnie, pomyliłem się, co do ciebie - Kielis wstał i ruszył do drzwi.

- Poczekaj! - popatrzyła na ruchliwą, beztrosko szczebioczącą małąkę na ramieniu Kielisa, potem spojrzała magowi prosto w oczy. - Jak mogę dotrzeć do Cichej?

- W porcie stoi galera „Jerzyk”. Kapitan nazywa się Fasis Aratis. Podejdiesz do niego i powiesz, że przysłał cię Kielis. O resztę nie musisz się troszczyć.

- A, jak znaleźć twojego kuzyna-zbrojmistrza?
- Nazywa się Wassin. Jego dom stoi przy ulicy Miedzianej, naprzeciwko posągu boga mórz, Akwina. Opowiedziałem mu o tobie i czeka, kiedy przyjdiesz.
- Wygląda, że zatroszczyłeś się o wszystko.
- Byłem pewny, że zgodzisz się. Wiem, kim jesteś i czego musisz dokonać. Dlatego mój wybór nie był przypadkowy.
- W darnackim więzieniu, pewna kobieta mówiła mi dziwne rzeczy. O tym, że muszę zostać Wojowniczką Zapomnianych Bogów. Czy nie tym, tłumaczy się twój wybór, szanowny Kielisie? Czy twoje imię nie brzmi przypadkiem - Angusz, Zapomniany Bóg Księżyca?
- Chyba jednak, nie pomyliłem się, co do ciebie - uśmiechnął się mag. – Odwiedź Wassina. Z niecierpliwością czeka na ciebie.

Zbrojmistrz Wassin, był zupełnie niepodobny do boga. Niskiego wzrostu, owłosiony, długoręki, pokryty sadzą od stóp do głów i roztaczał mocny aromat spalenizny i potu. Ale broń, którą pokazał, była rzeczywiście boska. Taką, przedtem widziała tylko w pracowni mistrza Sawala. Patrzyła szeroko otwartymi oczyma, na rozłożone w witrynach przy wejściu do kuźni miecze, sztylety, pałasze, noże i wiedziała, że bardzo długo nie będzie w stanie dokonać ostatecznego wyboru.

- Jesteś bardzo niezwykłą kobietą.
- Dlaczego? - zapytała, nie spuszczać wzroku z broni.
- Patrzysz na narzędzia mordy tak, jak każda inna kobieta patrzyłaby na drogie ozdoby.
- Nie mogę wybrać – przyznała się prostodusznie. - Te klingi są wspaniałe. Może, poradzisz mi?
- Te klingi nie są dla ciebie, Kasto. Każda z nich, oczywiście dobra, ale dla ciebie przygotowałem coś szczególnego. Wejźmy do domu.

Przeszli z kuźni do treningowej sali - malutkiej, z dwiema drewnianymi tarczami strzelniczymi na ścianach i zawieszonym na łańcuchu, pod sufitem, dębowym kłocem, pocętkowanym śladami od uderzeń - a stamtąd, po schodach, weszli na górę do gabinetu zbrojmistrza. Wassin podprowadził Kastę do swojego stołu i tu już dziewczyna nie mogła się powstrzymać od westchnienia zachwytu.

Miecz był wspaniały. Przypominał półtoraręczny miecz-sasnieński, ale był trochę krótszy i miał dłuższą i masywniejszą rękojeść. Na nienagannie wypolerowanej, obosiecznej klindze z jasnej stali, przesączał się wymyślny deseń podobny do szronu. Kabłąki jelca, sprawnie wykute z czarnego aurichalcum, wytwornie wywijały się do przodu, tworząc razem z jelcem dawny magiczny symbol – krzyż solarny. Płaz miecza, od jelca do początku bruzd na klindze, zdobił wygrawerowany i poczerniony wzór: misternie splecione kwiaty hiacynta i winorośli, a między nimi – rozpościerający skrzydła gryf. Pokryty artystycznym tłoczeniem trzon, wykonany także z aurichalcum, w głowicy połyskiwał żółcią święty kamień czcicieli słońca, przeźroczysty bursztyn. Pochwa miecza leżała obok - prosta, bez żadnych ozdób, ze skórzanym rzemieniem do noszenia broni za prawym ramieniem.

- Nigdy nie widziałam niczego wspanialszego! - przyznała, z zachwytem patrząc na miecz. - To twoje dzieło?
- Moje. Ale nie wymyśliłem nic nowego. Ten miecz jest zaledwie dokładną kopią legendarnego Flamejona, czarodziejskiego miecza boga Bahusa. Żadnych

czarów w nim nie ma. Po prostu, dobry metal i dobre wykonanie – wybacź moją nieskromność.

- Bahus? Także jeden z Zapomnianych?

- Kiedyś Bahus był starszym z bogów - westchnął.

- Z was, chciałeś powiedzieć?

- Już nie jesteśmy bogami. Kiedy ludzie zapominają o bogach, ci tracą swoją siłę i władzę. Schodzą z niebios na ziemię i żyją wspomnieniami o niebieskich wyżynach.

- Dincze jest jedną z was?

- Jest ziemskim wcieleniem naszej siostry Ajwary.

- Podoba mi się ten miecz - musnęła klingę koniuszkami palców. - Mogę go wziąć w ręce?

- Oczywiście. Jest twój.

Kasta kilkakrotnie machnęła mieczem i zrozumiała, że tej klingi, nigdy i nikomu nie odda. Będzie przy niej zawsze. Dotąd, póki śmierć nie zmusi, by wypuściła go z rąk.

- Nazwę ten miecz Elereja - odrodzona Elea - powiedziała.

- Nie powinnaś dziewczyno. Wymyśl inną nazwę. Miecz nie może zwrócić życia nikomu, on tylko je odbiera.

- Dobrze. Masz rację. Powiedziałeś, jak nazywał się miecz Bahusa?

- Flamejon.

- Niech będzie Flamejon. Podoba mi się.

- Jeśli wybrałaś, chodźmy, obejrzymy zbroję dla ciebie.

Wybór zbroi okazał się nadspodziewanie skromny. Oczekiwała, że ujrzy coś godnego jej nowego miecza, ale niczego niezwykłego zbrojmistrz nie zaproponował. Były to standardowe, chociaż bardzo starannie wykonane i jakościowo dobre zbroje - miedziane i skórzane. Po krótkim namyśle, wybrała doryjski pancerz na tors, z twardej, złocistej skóry z naramiennikami i krótką spódnicę ze zbrojonych brązem skórzanych ladrów, i wysokie, sznurowane sandały-kaligi.

- A hełm i tarcza? - spytał Wassin.

- Hełmów nie lubię. Tarcza utrudnia ruchy, a z półtoraręcznym mieczem, takim jak Flamejon, jest po prostu niepotrzebna. Tym bardziej, że dobrej tarczy u ciebie nie zobaczyłam.

- Może pewnego dnia znajdziesz odpowiednią dla siebie - odpowiedział. - A teraz chcę ci dać prezent od siebie. Weź.

- Rękawiczki? - przyjęła z rąk boga-zbrojmistrza parę rękawiczek z grubej skóry, z zarękawiem do środka przedramienia. Po zewnętrznej stronie rękawiczek, od nadgarstka do koniuszków palców, przechodziły gęste szeregi stalowych nitów, które przekształcały je w świetne narzędzie walki wręcz.

- Po co mi?

- Dopóki masz na sobie te rękawiczki, nikt nie będzie w stanie wybić ci broni. To jedna z Relikwii Zapomnianych Bogów - rękawiczki Dowłada, Boga-kowala.

- Twoje rękawiczki? Nazywałeś się Dowładem?

- Nie będą mi potrzebne - westchnął.

- Dziękuję ci - założyła rękawiczki, dotknęła ramienia zbrojmistrza. - Nigdy nie zapomnę twojej hojności i dobroci.

- Zamierzasz odejść? A co z bronią dla twoich przyjaciół?

- Nie mam przyjaciół.

- Mylisz się, Kasto. Przyda ci się pomoc tych, z którymi zetknęło cię życie. A im jest potrzebna dobra broń. Chodźmy, mamy jeszcze, na co popatrzeć...

Wisław i Leodan siedzieli przy stole i jedli chleb z serem, kiedy Kasta wróciła do hotelu. Dziewczyna z przyjemnością obserwowała, jak wydłużają się fizjonomie jednego i drugiego. Potem Leodan klasnął w ręce i krzyknął:

- Bogowie! Prawdziwa amazonka. Jak wytwornie prezentuje się na tobie ta zbroja!

- Mówisz tak, jakbyś kiedykolwiek widział amazonki - powiedziała, wchodząc do pokoju. – Nie ma żadnych amazonek.

- Nic dziwnego, że je wymyślono - zauważył Wisław. - Patrząc na podobne do ciebie kobiety, łatwo w nie uwierzyć.

- Pochlebca! Po co mieć językiem po próżnicy - pokazała na owinięty w rogożę długi, solidnie ważący pakunek, który przed chwilą rzuciła na swoją pościel. - Lepiej rozwiń i popatrz.

Wisław podporządkował się. Za chwilę pogubił się ze zdziwienia i radości; w pakunku był podłużny skórzany pokrowiec z naramiennym pasem, a w pokrowcu – świetny, długi łuk i kołczan ze strzałami, a także, każdy drobiazg potrzebny łucznikowi: zapasowe cięciwy, wodoodporna pasta, pierścienie, karwasze i worek z zapasowymi końcówkami.

- To dla ciebie - wyjaśniła. - Zbrojmistrz powiedział, że będziesz zadowolony.

- A on, co, jasnowidz? - z niedowierzaniem popatrzył na dziewczynę. - Skąd wiedział, że służyłem jako łucznik?

- Co za różnica? Wybrałam najlepszy z tych, które proponował.

- Znasz się także na łucznictwie?

- I to nieźle, wyobraź sobie. Mogę cię poduczyć.

- Jesteś rzeczywiście niezwykłą kobietą - z przyjemnością wziął łuk w ręce. Po samym wykończeniu i nienagannym laminowaniu mógł się domyślić, że to wyborna broń. Ale był zbyt dobrym łucznikiem, żeby oceniać go tylko po wykończeniu.

- Sama wybierałaś?

- Oczywiście. Chcesz powiedzieć, że źle wybrałam?

- Wprost przeciwnie. Drugiego takiego nie znajdzie się poczynając od Dorii, a kończąc na Aglamie. Wspaniała kompozycja. Kosztuje dużo pieniędzy, nie mniej niż dwieście srebrnych monet. Skąd miałaś takie pieniądze?

- Zapracowałam ciałem – odcięła się. - Bierz i ciesz się, że teraz jest twój. Być może, pewnego dnia przyda mi się twoja umiejętność strzelania, choć nie jestem pewna, że jesteś takim łucznikiem, jakim opisał cię Wassin.

- Wassin? - Wisław nachmurzył się. - Nigdy nie słyszał o nim.

- Natomiast on o tobie wie wszystko. Z początku chciałam wziąć dla ciebie miecz. Wiesz, co mi powiedział? „Twojemu przyjacielowi bardziej spodoba się łuk. Słyszałem, że w swoim pułku był mistrzem w strzelaniu”. Mam nadzieję, że to nie był pułk obywatelskiego, pospolitego ruszenia.

- To prawda - zdumienie Wisława osiągnęło swój szczyt. - Przysięgam na Cwira, on wie o mnie dużo więcej niż ja o nim!

- Lepiej naciągnij łuk. Chcę popatrzeć, jak to robisz.

Nie dał się prosić. Natychmiast wybrał cięciwę i wprawnie założył na zaczepy łuku. Kasta chrząknęła aprobująco. Wisław wziął łuk do wypróbowania, włożył na palec pierścień, łatwo i płynnie odciągnął cięciwę do ucha, potem puścił. Ostry prztyczek struny zmusił Leodana do drgnięcia.

- Wspaniale - skomentował Wisław. - Doskonały balans, napięcie... gdzieś, około siedemdziesięciu pięciu doryjskich funtów. Ze stu pięćdziesięciu kroków, strzała z niego przebiję na wylot tarczę darnackiego legionisty, z dwuwarstwowej byczej skóry. Albo zwykły miedziany napierśnik. A cel bez zbroi, można osiągnąć z dwukrotnie większego dystansu. Łuk, godny króla albo bohatera. Dziękuję za królewski prezent, Kasto. Twój Wassin nie oszukał cię.

- Spróbowałby! A to dla ciebie - rzuciła Leodanowi przedmiot, który miała zaczepiony przy pasie.

Młodzieniec wziął go i skrzywił się. Był to ciężki sztylet z brązu, długości około osiemnastu cali, z szerokim obosiecznym ostrzem bez bruzd, mocno zwężającym się do czubka. Rękojeść, wykonana z kości, kiedyś była olśniewająco biała, teraz ściemniała pod wpływem czasu i dotyku, przyjmując bursztynowo-żółtą barwę. Pochwę z ciemnej miedzi, pokrywał wymyślny deseń. Broń była niezwykła, niewątpliwie wykonana w starodawnych czasach. Kasta jednak nie dowiedziała się od Wassina, dlaczego bóg-zbrojmistrz, zaproponował Leodanowi właśnie ten sztylet.

- Nie jest mi potrzebny - z obrzydzeniem, koniuszkami palców odsunął sztylet w stronę Kasty. - Nie lubię broni.

- Słusznie cherlaku, dla ciebie byłby najodpowiedniejszy kołowrotek albo przybory do szycia. – Miałam przekazać ci ten kord. Jeżeli chcesz, podaruj go Wisławowi.

- Weź, Wisławie! - Leodan był wyraźnie zachwycony możliwością dogodzenia Reszyjcowi. Ale ten nie przyjął prezentu.

- Nic z tego przyjacielu - powiedział, odsunawszy sztylet. – Jestem przekonany, że ten Wassin nie wybrał nam broni ni z tego ni z owego, więc trzymaj go przy sobie. Kto wie, co nas czeka? Może tak się zdarzyć, że ani ja, ani Kasta, nie będziemy mieli możliwości uratowania twojej skóry. Powinieneś nauczyć sam jej bronić.

- Złote słowa - z ironią powiedziała Kasta.

- A jednak nie rozumiem, dlaczego Wassin, zaopatrzył nas w taką świetną broń i jeszcze bezpłatnie - powiedział. - Możesz to wyjaśnić?

- Przyczyna nie leży po stronie Wassina, ale jego... krewnego. Ta broń, jest częścią zapłaty za pewną pracę - badawczo spojrzała na Wisława. – Potrzebna mi twoja pomoc. Ale jeśli nie zgodzisz się, pies z tobą, sama poradzę.

- Trzeba zacząć z kimś wojnę?

- Coś w tym rodzaju - powtórzyła swoją rozmowę z Kielisem-Anguszem. Wisław słuchał uważnie, nie przerywając. Leodan robił wrażenie, że go interesuje wzór z poły jego tuniki.

- Kiedy wyruszamy? - zapytał, kiedy skończyła swoje opowiadanie.

- Natychmiast.

- Jestem gotowy – powiedział po prostu.

- Idę z wami! - odezwał się nagle Leodan.

- E, nie, przyjacielu, nie tym razem - sprzeciwił się Reszyjec. - Jeszcze nie jesteś gotowy do podobnych wypraw. Nie dla ciebie taka robótka.

- Ale nie mogę puścić cię samego - wrzasnął młodzieniec.

- Przecież nie będę sam. Będzie Kasta. Już ona mnie obroni w razie czego, czyż nie tak?

- Na pewno - lodowatym spojrzeniem popatrzyła na byłego niewolnika.

- Nie chcę także zostawać sam! - zajęczał. - Jeśli was zabiją na tej wyspie? Co ja wtedy zrobię?

- Wszystko możliwe, chłopcze - Wisław pieszczotliwie poklepał chłopaka po ramieniu. - Czy pomyślałeś, że nie będziemy spokojni, jeśli będziesz przy nas? Ciebie cały czas trzeba bronić, przecież nigdy nie trzymałeś w rękach broni. Wybacz, ale w razie niebezpieczeństwa, staniesz się dla nas ciężarem, a nie wsparciem.

- Obiecaj, że wrócisz - zażądał wycierając łzy. - Nie będę mógł żyć bez ciebie.

- O, Beris, jaka miłość! - mruknęła Kasta.

- Przysięgam na Cwira! - uroczyście proklamował Wisław, przyłożywszy dłoń do serca i mrugając Kaście.

- Wierzę – rozpromienił się Leodan. - Pójdę, poproszę gospodarza o jedzenie dla was na drogę.

- Nie trzeba prosić - Wisław pogrzebał w portmonetce przy pasie i rzucił na stół trochę złotych monet. – Dopóki nas nie będzie, potrzebne ci będą pieniądze. Tak, że korzystaj z nich na zdrowie.

- Ukradłeś? - uniosła brew Kasta, kiedy Leodan wyszedł z pokoju.

- Wygrałem w kości, gdy podróżowałaś po krainie pijanych koszmarów.

- Widzę, że nigdzie nie zginiesz.

- Oby twoje słowa dotarły do uszu bogów.

- Wiedz, że wcale nie zmuszam cię byś szedł ze mną. Zadanie bardzo niebezpieczne.

- Myślałem, że wszystko omówiliśmy, Kasto. Obrażasz mnie.

- Obrażam?

- Zrobiłaś mi drogi prezent. Nigdy jeszcze nie otrzymywałem i nie przyjmowałem prezentów od kobiet. To zobowiązuje mnie odpowiedzieć ci uprzejmością.

- Oczywiście, przecież twoja męska ambicja jest urażona, Wisie Fartowny... Wystarczy gadaniny, czeka na nas statek. Zbieraj manatki, idziemy. Twój zniewieściały przyjaciel już na pewno przyszykował nam węzełek na drogę.

Korzystając z tego, że Wisław zajął się pakowaniem, Kasta, podeszła do okna, wyjęła zza pazuchy ostatni prezent Wassina - srebrny amulet na łańcuszku. Szybko rozwinęła brudną opaskę na lewym nadgarstku, wzięła kosmyk włosów Elei, pocałowała, włożyła do amuletu, zatrzasnęła pokrywkę i powiesiła na szyi, razem z kamieniem Ajwary. Odwróciła się do Wisława - ten wkładał sprzęt od łuku do swojej torby i nie zwracał na nią uwagi. Jej pakunki, były gotowe.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Fasis Artis, kapitan „Jerzyka”, był starszy, ale dobrze zbudowany i spodobał się Kaście. Być może dlatego, że nie próbował zalecać się do niej od pierwszej minuty jej pobytu na „Jerzyku”. A może, dlatego, że sam statek był wspaniały – lekka, elegancka galera, doskonale usprawiedliwiająca swoją nazwę, zadbana i świeżą czystością. I jeszcze - kapitan przekazał jej dużo interesujących wiadomości o Kaffaraju.

- Sam go nie widziałem - mówił - ale znam kilku kapitanów, którzy wcześniej mieli do czynienia z Kaffarajem. Znajomość ich, sprowadzała się do ekstraktu jawchi.

- Co to za ekstrakt?

- Nigdy nie słyszałaś o grzybach jawchi? - z zainteresowaniem popatrzył na Kastę. - Błoga dusza. Widać, nie pijesz niczego mocniejszego od wody.

- Mylisz się, Fasisie. Ale o grzybach jawchi rzeczywiście nic nie wiem.

- Może, to i lepiej. Ten ekstrakt, jest niezwykle pożądanym przez amatorów odurzania się.

- Coś w rodzaju opium?
- Tak, swego rodzaju. Środek, który pozwala zapomnieć o problemach naszego bolesnego świata. Mówią, że przy jego pomocy, można zajrzeć na Zacienioną Stronę i zobaczyć świat duchów i demonów. Straszne ziółko, często ludzie doznają załamania nerwowego albo wariują. Mimo to, jest na nie duży popyt, zwłaszcza w Dzikich miastach. Także czarnoksiężnicy wszystkich maści, wyrywają je sobie z rąk. Płacą czystym złotem. A Kaffaraj okazał się nie tylko dobrym magiem, ale i prześwietnym alchemikiem. Właśnie na Cichej rozpoczął produkcję eliksiru jawchi. W jaskiniach wyspy, te grzyby rosną od wieków. Naturalnie, znaleźli się także ci, którzy kupowali - zazwyczaj nasi przemytnicy i sabejscy albo sasneńscy piraci, gotowi na wszystko. Elixir jawchi kosztuje drogo, bardzo drogo. Najpierw Kaffaraj brał zapłatę w złocie. A potem, nagle zaczął żądać, by w ramach zapłaty za eliksir, przywozić mu niewolników i dzikie zwierzęta.
- Zwierzęta - żeby robić z nich monstra?
- Trafiałś w sedno, miła. Cicha, jest niedużą wyspą, tam prócz mew, susłów i wielkich żółwi, innych zwierząt nie uświadczysz. Wobec tego, gdzie Kaffaraj znalazłby nowych mieszkańców swojego ogrodu zoologicznego?
- A niewolnicy?
- Drapieżniki trzeba czymś karmić – powiedział z ponurym uśmiechem Fasis. - Kaffaraj przyzwyczał swoje monstra do ludzkiego mięsa. Oprócz tego, do wyrobu eliksiru jawchi, niezbędna jest świeża, ludzka krew.
- Ten Kaffaraj, to po prostu nikczemnik.
- Wyjątkowy. Po tym, jak wieści o jego domowych pieskach i kotkach zaczęły rozchodzić się po Zielonym Morzu, ilość przemytników, którzy utrzymywali z nim kontakt, stała się o wiele mniejsza. Nikt nie chce ryzykować swoją skórą i zostać paszą dla Kaffarajowego zwierzyńca. Ale chłopak nadal przygotowuje diabelskie zioło i znajdują się jeszcze męty, które podtrzymują z nim znajomość.
- I władze zezwalają na to wszystko?
- Polityka, dziewczyno. Zgodnie z Terytorialnym Statutem, podpisanym po wojnie Zielonego Morza, Cicha jest neutralnym terytorium. Wyspa znajduje się na granicy wód terytorialnych wszystkich trzech mocarstw - Darnatu, Nepety i Sasny. Według statutu, każdy statek, każdego kraju, może zawijać na Cichą. Przez pewien czas, z tego prawa, bez ograniczeń, korzystali piraci, którzy zakładali na Cichej swoje bazy. Potem, przegoniła ich stamtąd zjednoczona flota Darnatu i miast Pięciorzecza. Właśnie wtedy Kaffaraj osiadł na Cichej i teraz rządzi się tam niczym gospodarz. Kto ma udowodnić mu, że jest tam intruzem? Żeby skończyć z sukinsynem, rządzący z wielu krajów musieliby zawrzeć pakt, ale tego nie robią - dlaczego, jednemu Akwinowi tylko wiadomo! Może nie mogą, a najprawdopodobniej, po prostu nie chcą. Chociaż, gdy się pomyśli, można znaleźć właściwe wyjaśnienie: Kaffaraj, ze swoim handlem środkiem odurzającym i praktykami czarnoksiężskimi, straszy władców nadmorskich państw, mniej niż piraci, którzy omijają teraz Cichą, na odległość przysłowiowych siedmiu wód. Kaffaraj także nie siedział z założonymi rękoma. Teraz, broni go cała zgraja stworzonych przy pomocy najczarniejszej magii potworów i skończyć z nim – niełatwo!. O Cichej, krążą tak złowieszcze pogłoski, że pragnących wścibić nos w nieswój interes, po prostu nie znajdziesz.
- Uważasz, że nie dam rady?
- Nie wiem - prostodusznie odpowiedział kapitan. - Dużo słyszałem o tobie. Kielis także nie zwróciłby się do ciebie, gdyby nie liczył, że ten orzeszek jest odpowiedni dla twoich zębów. Ale będziesz miała duże trudności.
- Gdyby potrzebna mi była twoja pomoc, mogę na ciebie liczyć?

- Oczywiście. Ludzi mam niewielu, ale wszyscy oddani mi. Nie zawiodą.
- Dobrze. Miło to słyszeć.
- Niedługo będzie kolacja. Mam nadzieję, że ty i twój kompan zechcecie mi towarzyszyć.

- Dziękuję, kapitanie. Zawołam Wisława.

Fasis uklonił się i zszedł do ładowni. Została na pokładzie sama. „Jerzyk” szybko oddalał się od brzegów Orgiełły na południowy wschód. Wieczorna zorza już malowała niebo w purpurowe kolory i Kasta, z jakiegoś powodu, chciała jak najdłużej pozostać na pokładzie i patrzeć na zachód słońca. Potem usłyszała śpiew.

Wisław siedział przy przeciwległej burcie, na zwoju lin, dokładnie smarował wodoodporną pastą swój łuk i śpiewał coś w ojczystym języku. Dzięki pierścieniowi Mommeka, Kasta mogła zrozumieć słowa ballady, której treść była smutna, więc pieśń była odpowiednia do miejsca i czasu:

*Chwart, władca odwieczny, północnych akwenów -
Hej-hej Łanna o-wej,
O-wej Łanna hej -
Dla córek swych szukał życiowych partnerów,-
Hej-hej Łanna o-wej,
O-wej Łanna hej.*

*„Trzy córki kochane,
Wam dola jednaka!
Z was każda by chciała
Za męża - junaka,
Na ślubie cudownie
Orkiestra ma grać,
Na drogę życiową
Wór pereł mam dać!*

*Najstarsza, kochana
Córeczka - Głębina,
Z czarnymi oczyma
I zimna, dziewczyna.
Tyś zawsze gotowa
Dać szczęście żeglarzom -
Przytulić do łona,
Choć o tym nie marzą!*

*Dlaczego, Głębino,
Jest smutny twój wzrok?
Choć miałaś kochanków
Jak długi ten rok.”
„Mam serce za zimne
Bym mógł pomóc ci,
Córeczko – Głębino,
Wybaczysz to mi?”*

*Chwart, władca odwieczny, północnych akwenów -
Hej-hej Łanna o-wej,*

O-wej Łanna hej -
Dla córek swych szukał życiowych partnerów,-
Hej-hej Łanna o-wej,
O-wej Łanna hej.

"Ach, Burzo - pociecho
Ojczulka starego.
Znalazłaś już sobie
Chłopaka ładnego?
Ocean w tan rusza
Na każdą pieśń twoją,
W szarzyźnie twych oczu
Odbija toń swoją.

Lecz, Burzo, jak widzę
Jest smutny twój wzrok.
Choć miałaś kochanków
Jak długi ten rok."
" Mam serce za zimne
Bym mógł pomóc ci -
Burzyczko – kochana,
Wybaczysz to mi?"

Chwart, władca odwieczny, północnych akwenów -
Hej-hej Łanna o-wej,
O-wej Łanna hej -
Dla córek swych szukał życiowych partnerów,-
Hej-hej Łanna o-wej,
O-wej Łanna hej.

„Na imię ma - Wolność
Córeczka ostatnia.
Jak znaleźć jej męża?
Choć taka jest ładna!
Głęбина i Burza
Znienacka działają
I w mig zalotników
W swe sidła chwytają!"

"Ojczulku kochany -
Tak słodki mój śpiew,
Że lepsi z najlepszych
Usłyszają ten zew.
Czekają na niego,
W błękitną dal mkną,
Szukają, Wolności
Chcąc dać młodość swą.

Głęбина i Burza
Przygarną niewielu

*Co Wolność kochają
I dążą do celu”.
"Tu rzucę kotwicę.
Wolności, jam Twój!
Przygarnij wędrowca.
- Największy skarb swój!"*

*Chwart, władca odwieczny, północnych akwenów -
Hej-hej Łanna o-wej,
O-wej Łanna hej -
Dla córek swych szukał życiowych partnerów,-
Hej-hej Łanna o-wej,
O-wej Łanna hej.*

- To twoja pieśń? - spytała, kiedy zamilkł.
- Moja. Okropna?
- Akurat, nie. Spodobała mi się.
- Czyżby? - z zainteresowaniem popatrzył na dziewczynę. – Zaczęły ci się podobać wiersze?
- Nie mówiłam, że nie lubię wierszy. Powiedziałam, że nie lubię złych poetów i złych wierszy.
- To znaczy, że te są dobre?
- Dobre. Ale są lepsze.
- Znasz takie?
- Oczywiście.
- Możesz wyrecytować?
- Po co ci to?
- Po prostu chcę zrozumieć, jak pisać wiersze, by spodobały się Kaście Wspaniałej.
- Pochlebca! - uśmiechnęła się. - No, dobrze. W Darnacie miałam jednego przyjaciela. Malarza. Czasami prosił, bym mu pozowała. Pisał także wiersze. Jeden z nich zapamiętałam:

*Gwiazda mi z niebios mrugnęła
I na duszy stało się lżej.*

*Dogonił mnie wiatr ciemną nocą
Niespodzianą pieszczotą swą.*

*Księżyc drogę oświecił,
Niczym jaskrawym lampionem.*

*A gdzieś daleko był dom mój,
W którym tak na mnie czekali.*

*Obiad, przygotowany,
Na starym stole już ostygł.*

*Rodzina, siedząc przy ogniu,
Wspominała życie moje.*

Dzieciństwo i młodość moją -
Przecież rosłem na ich oczach.

A ja w tym czasie kroczyłem
Drogami dalekiego kraju.

I moje łzy się mieszały
Z deszczem jesiennym na twarzy.

- Cudowny wiersz - szczerze się zachwylił. - Twój przyjaciel, to prawdziwy poeta. O niebo lepszy, niż ja.

- Mówisz prawdę?

- Z czystego serca. Zawsze mówię to, co myślę.

- Masz rację. Od tych wierszy, czasami chcę się płakać. Ponieważ są o mnie - zamilkła. - Mój dom jest daleko. Tam cała moja rodzina i oni czekają na mnie. I jedna tylko nieuchronna Nekrian wie, kiedy się spotkamy.

- Czasami mówisz bardzo smutne rzeczy, Kasto.

- Zaczynasz mi współczuć? Wobec tego poszczęściło mi się, że spotkałam cię. Chociaż ktoś widzi we mnie kobietę, a nie automat do puszczenia krwi.

- I mówisz to z czystego serca?

- Oczywiście. Tylko nie próbuj wyznawać mi miłości. Nie masz żadnych szans.

- A, to dlaczego? Jestem za stary, czy brzydki? Czy też niedostatecznie odważny i silny dla ciebie? A może marzysz o bogaczu, który będzie obsypywać cię złotem i spełniać każdą twoją zachciankę?

- Nie, nie jesteś jeszcze stary i budową ciała bogowie nie obrazili ciebie. Masz też odwagę i siłę, a to, że jesteś niebogaty to nawet dobrze. Miałam już bogaczy i wszyscy okazywali się niezwykle sknerami. Póki zdobywali moją życzliwość, robili drogie prezenty, szastali pieniędzmi. A potem... Potem zrozumiałam, że szczodrzy mężczyźni bywają tylko w bajkach. Znałam tylko jednego, prawdziwie szczodrego człowieka - szczodrego duchem. Ale jego dawno już nie ma i z jego odejściem coś we mnie umarło.

- Bardzo kochałaś tego człowieka?

- Bardzo.

- I dlatego nie będziesz w stanie pokochać innego?

- Idź do diabła, Wisie!

- Wybacz, jeśli moje słowa urażą cię, ale nie można żyć przeszłością. Jesteś jeszcze młoda. Musisz myśleć o przyszłości.

- A czy ty sam o niej myślisz? Popatrz, już cię siwizną obsypało, jak starego wilka, a nadal poniewierasz się po świecie i przylepiasz się do różnego łajna. Na czym wpadłeś w Darnacie?

- Chciałem zdobyć pazur gura.

- Co zdobyć?

- Pazur gura - pewnego czarodziejskiego zwierzęcia. W moich stronach takie zwierzę nazywają gryfem albo gryfonem. Podobny jest do lwa, tylko...

- Tylko ze skrzydłami. Wszystko jasne. Wierzysz w te bajki?

- Wierzę w pazur gura.

- I do czego był ci potrzebny?

- To uniwersalny klucz. Według legendy, może otworzyć każdy zamek, nawet zaczarowany. W moim rzemiośle, taki kluczyk, to po prostu nieoceniona rzecz. Dowiedziałem się, że taki pazur ma naczelny kapłan Szat-Cebu, z Darnatu

- Wielka Beris, odważyłeś się okraść samego Aszrana? - z szacunkiem popatrzyła na Reszyjca. - Jednak!

- Ja, oczywiście, byłem bardzo zadufany w sobie. Kiedy człowiek zamierza coś ukraść, zawsze jest pewny sukcesu i nie myśli o tym, że może wpaść. Trzeba było porzucić ten pomysł, ale nie mogłem - zapal rozbrykał się. Zwłaszcza, kiedy dowiedziałem się, że Aszran przechowuje pazur nie w domu, a w świątyni Szat-Cebu.

- Jesteś po prostu obłąkany. Zdecydowałeś się okraść świątynię?

- A co miałem robić? Bardzo chciałem zdobyć pazur.

- Kłamiesz, Wisławie. Na pewno nie rabowałeś świątyni. Gdyby przyłapano cię na kradzieży majątku boga, nie dożyłbyś nawet do więzienia. Za znieważenie świątyni, każdego czeka natychmiastowa, męcząca egzekucja bez sądu. Znieważającego świątynię, żywcem gotują w ogromnym miedzianym kotle z olejem, który znajduje się na wewnętrznym dziedzińcu. Ten kocioł dlatego nazywa się - Los Znieważycieli.

- A kto powiedział, że złapano mnie w świątyni? - zaprotestował. - Nic podobnego. Po tym, jak opuściłem ją z pazurem w kieszeni, zapragnąłem oblać udany skok i pozbyć się napięcia nerwowego, więc udałem się do wesołego domu ciotuni Kuaraj, w świątynnej dzielnicy. I właśnie tam zgłupiałem. Przy pasie jednego z gości, wisiała sakiewka tak kuszących rozmiarów, że nie powstrzymałem się i pożyczyłem tę portmonetkę. Jedna z dziwek zauważyła, jak odcinałem portmonetkę. Byłem nieostrożny, chyba wypilem więcej niż trzeba. Potem, w burdelu, pojawili się strażnicy, odebrali mi portmonetkę i odprowadzili do Wieży Złodziei. Sędzia Ris-Szawchun z radością dołożył mi jeszcze osiemnaście niewykrytych kradzieży i zostałem skazany na karę śmierci, jako niepoprawny łotr. Resztę znasz.

- Nie rozumiem, Wisławie, ukradłeś pazur gura, czy nie?

Reszyjec, milcząc, rozpiął kołnierz kurtki i pokazał przedmiot, który miał zawieszony na szyi, na zwykłym, lnianym sznurku. Był trochę dłuższy od palca wskazującego i wyglądem przypominał białą, z lekką wygiętą kościaną pałeczkę, z haczykiem na końcu.

- To jest ten magiczny klucz? - cicho gwizdnęła. - Z ciebie istotnie fartowny chłopak! Dlaczego straż nie odebrała ci go w więzieniu?

- Patrz uważnie - położył pazur na lewej dłoni, nakrył prawą, coś wyszeptał i otworzył dłonie. Pazura nie było.

- O, żesz ty! - zachwyciła się. - Jesteś magiem?

- Troszeczkę. Ale to nie magia - tylko prosty trick. - Rozwarł prawą pięść, gdzie na dłoni leżał pazur. - Strażnicy i sędziowie nie zawsze bywają uważni. Do tego jeszcze, kiedy mnie złapano, kieszenie miałem po prostu nabite złotem i strażnicy więzienni nie odводzili od nich wzroku.

- Wierzę ci. A wiesz, dlaczego? Kiedy mnie zabrano do Domu Prawa, strażnicy więzienni natychmiast zwrócili mi czarodziejski kamień Ajwary, a złote błyskotki natychmiast rozchwyтали, jak sroki. To znaczy, teraz będziesz mógł otworzyć każdy zamek?

- Jeśli legendy nie kłamią, to, chyba tak.

- Wiesz, Wisławie, nie doceniałam ciebie. Myślałam, że jesteś zwykłym kieszonkowcem, a ty jesteś prawdziwym królem złodziei.

- O, do króla mi bardzo daleko! Musiałabyś widzieć prawdziwych mistrzów. Takich, co mogli niepostrzeżenie zdjąć z człowieka pończochy, nie zdejmując przy tym z niego trzewików.

- Nie, teraz to, na pewno łiesz. To niemożliwe.

- Oczywiście, że niemożliwe - uśmiechnął się. - Zażartowałem. Ale przed chwilą, kiedy słuchałaś mnie, miałaś twarz zdziwionej, małej dziewczynki. I taki wyraz, przysięgam na Cwira, jeszcze nieraz chciałbym widzieć na twojej twarzy.

- Podoba ci się, kiedy wyglądam na idiotkę? Dziękuję, Wisławie.

- Ale nie rozzłościłaś się na mnie, prawda?

- Nie rozzłościłam się – lekko szturchnęła Wisława w pierś pięścią w rękawiczce. – Podobasz mi się. Sami bogowie przystali mi ciebie do pomocy. Tylko nie zadzieraj nosa, bo sama ci go rozkwaszę.

- Wcale w to nie wątpię.

- Kapitan zaprasza cię pani, abyś zjadła z nim kolację - powiedział podchodzący do niej marynarz - i ciebie, łuczniku.

- W samą porę – przyznał Wisław – poczułem głód.

- Już idziemy - odpowiedziała Kasta marynarzowi.

- Trzeba podpytać kapitana: może coś wie o tym Kaffaraju - zauważył Wisław.

- Już podpytałam - spojrzenie Kasty pociemniało. - To, co mi opowiedział, nie może cieszyć. Jeszcze nigdy nie walczyłam z magami.

- Ja też. Ale mam ochotę spróbować. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że dam radę.

- Zarozumiała sukinsyn - pochwaliła go i skierowała się na rufę.

W piątym dniu rejsu, pogoda się zmieniła. Zrobiło się wietrznie, podniosła się wysoka fala. Zaczęło się mocne kołysanie. Męczące napady choroby morskiej nie dały Kaście wypaść się jak należy i rano była blada, ponura i rozdrażniona. Wisław też prawie nie spał i ledwie doczekał świtu. O wschodzie słońca, z prawej strony, według kursu „Jerzyka”, ukazał się brzeg Cichej.

- To północna strona wyspy - powiedział kapitan do Kasty, kiedy podeszli do wyspy na odległość około mili - nie ma tu odpowiedniego miejsca, by rzucić kotwicę. Zatoka, z której korzystają przemytnicy, znajduje się na południowym wschodzie wyspy. Lepiej tam nie wchodzić - można zetknąć się z przemytnikami, a ci, to sami piraci. Niepotrzebne nam są dodatkowe kłopoty.

- Bardzo przezornie, kapitanie Fasisie.

- Na wyspie jest jedna rzeka i ma głęboką zatoczkę. Tam urządzimy postój.

Wiatr był sprzyjający, galera szybko szła baksztagiem pod żaglem, jednakże w pobliżu wyspy kapitan dał rozkaz opuszczenia żagla i dalej „Jerzyk” płynął na wiosłach. Przez cały poranek, statek powoli i ostrożnie poruszał się wzdłuż brzegu, porośniętego gęstym liściastym lasem i bez oznak życia.

- Nie dowierzałbym własnym oczom - Fasis jakby zgadł myśli Kasty, która obserwowała brzeg. - Kaffaraj na pewno już wie, albo szybko dowie się o naszym przybyciu. Ale to nie jest takie straszne. Idę o zakład, że weźmie nas za kolejnych przemytników.

- Po czym sądzisz, że wie o nas?

- Zwierzęta - wyjaśnił kapitan. - Nie wątpię, że kilka tych potworów, obserwuje nas teraz z gąszczu. Ich oczy i uszy, to oczy i uszy Kaffaraja, niech go trąd zeżre!

Kasta przeniosła spojrzenie na przyjaźnie zieleniejący w odległości pół mili od nich brzeg Cichej i nagle poczuła na plecach nieprzyjemne dreszcze. Może to słowa kapitana tak na nią podziałały, a może stała się zbyt podejrzliwa, ale naprawdę wydało się jej, że z tego leśnego gąszczy ktoś albo coś ich obserwuje. Coś zimnego, okrutnego i absolutnie obcego temu światu.

Do południa, z przodu otworzył się liman, o którym mówił kapitan Fasis. Galera ostrożnie weszła w wydłużoną, wąską zatokę, otoczoną lesistymi pagórkami i wkrótce Fasis dał rozkaz rzucenia kotwicy.

- Pójdzie z wami Telonis - kapitan wskazał na młodego, niebieskookiego marynarza-Sabejczyka, kręcącego się przy wielokrążku od szalupy. - Już tu bywał i nieźle zna wyspę. A teraz, odpowiednia pora na przekąskę.

Podczas obiadu, Wisław obserwował Kastę. Dziewczyna próbowała ukryć zdenerwowanie, ale to się jej nie udawało i - piła tylko wodę. Poszedł za jej przykładem. Podczas trwającego obiadu, nie zamienili ani jednego słowa.

Telonis i dwaj marynarze, opuścili na wodę małą, zwinną szalupę-bączek i cierpliwie czekali w niej na pasażerów. Kasta z łatwością ześliznęła się przy pomocy fału do łodzi i ulokowała się na rufie. Wisław już schwycił za fał, kiedy kapitan Fasis zawołał go.

- Chroń ją, chłopcze - powiedział.

- Mógłbyś tego nie mówić, mój przyjacielu - odpowiedział Wisław - ale cenię twój niepokój.

- Ona naprawdę jest takim dobrym wojownikiem? - szepnął Fasis, oczyma wskazując na Kastę, która siedziała w łodzi.

- Na własne oczy widziałem, jak gołymi rękami walczyła z siedmioma zbrojami i trzem z nich skrzyła kark.

- Nieźle. Będziemy błagać naszych bogów, żeby Kasta-Amazonka okazała się godną swojej sławy. Rozkazałem włożyć wam do szalupy kilka włóczni i pik. Proszę nie pogardzać nimi. Łuk i miecz, są dobre na ludzi, ale przeciwko dzikiemu zwierzęciu, nie ma nic lepszego od włóczni.

- Dziękuję za troskę - uściśnął kapitanowi nadgarstek i zszedł do szalupy.

Telonis odwiązał cumę i ruszyli w górę rzeki. Bieg jej okazał się tak powolny, że szalupa płynęła szybciej, niż Kasta oczekiwała. Wisław tymczasem, wziął w ręce jedną z włóczni, o których mówił kapitan Fasis. Była niezwykła, wcześniej takiej nie widział. Długa i szeroka końcówka z czarnego brązu, przypominała miecz bez rękojeści, nasadzony trzpieniem na trwałe drzewce z wypolerowanego, hebanowego drewna, długości półtora łokcia, którego środek był okuty miedzią i zaopatrzony w dwa szerokie pierścienie, z których radialnie sterczały ostre kolce.

- Włócznia bestiariusza - powiedziała Kasta. - Nigdy nie widziałeś takiej?

- Nie zdarzyło się.

- Twoje szczęście.

- Słuchać cię, to prawdziwe szczęście - powiedział rozdrażniony.

- Przecież sam siebie nazywasz Fartownym. Wygląda na to, że nie bez powodu.

- Moje szczęście jest trochę inne, miła - odłożył włócznię. - A tobie, z dzikimi zwierzętami także zdarzyło się walczyć?

- Lepiej naciągnij cięciwę i bądź w gotowości do spotkania nieproszonych gości - poradziła.

- Ma rację - pomyślał, wyjmując łuk ze skórzanego pokrowca i zakładając cięciwę na zaczepy. - Ta kobieta powinna była urodzić się wojownikiem. Co za głupia myśl! Ona przecież jest wojownikiem, do tego znakomitym. A przecież, to tylko była

niewolnica... Gdzie ją nauczyli tak walczyć? Czy w darnackim cyrku są tak dobrzy nauczyciele sztuki walki?"

- Z lewej strony! - szepnął Telonis.

Wioślarze kontynuowali wiosłowanie, ale Kasta już dała Wisławowi znak, by przygotował broń. Gęste krzaki po obu stronach rzeki wydawały się puste i bez życia, ale wkrótce Wisław zauważył, jak drgnęły ich wierzchołki i w prześwicie, między nimi, mignęło jakieś zwierzę o jasnej sierści. Serce zabiło mocniej, dłonie spocily się. Na wszelki wypadek, nałożył strzałę na cięciwę, ale tu przechwycił spojrzenie Kasty.

- Nie trzeba - powiedziała dziewczyna. - To było, wszystko jedno na nas nie napadnie.

- Z czego to wywnioskowałaś?

- Ponieważ zwierzę jest drobne. Chyba, nie jest to jeden z monstrów Kaffaraja. Zdawało mi się, że to po prostu pies, więc zachowaj strzałę.

- Słusznie, pani – potwierdził Telonis. - Ale ostrożność, nie zaszkodzi.

- Wiesz, gdzie znajduje się barłóg tego Kaffaraja? - spytała go.

- Na Półksiężycowym pagórku, w południowej części wyspy. Tam wcześniej była wielka świątynia boga księżyca, Angusza, teraz z niej pozostały jedynie ruiny. Z opowiadań wynika, że ulokował się w podziemiach świątyni.

- To źle - powiedziała Kasta. - Z tych katakumb na pewno jest wiele wyjść. Trzeba będzie zrobić wszystko, by złapać tego poganina znienacka.

Łódź minęła zakole. Brzegi były coraz bardziej urwiste, krzaki zastąpił gęsty, sosnowy las. Gdy zbliżali się, wystraszone ptaki zrywały się z gałęzi całymi stadami. Telonis zmienił jednego z wioślarzy, Wisław podjął się zmienić innego. Po kwadransie, wpłynęli do cichej, głębokiej zatoki z przezroczystą wodą, nad którą nisko zwisały gęste korony zieleniejących wierzb.

- Dalej pójdziemy pieszo – oznajmił Telonis, wycierając pot z czoła. - Półksiężycowy pagórek leży w południowej części, o godzinę drogi stąd.

- A komarów tu, ile zapragniesz! - nachmurzył się Fartowny, obserwując wiszący nad zatoką rój owadów.

- Zbliża się zmierzch, niedługo moskitów przybędzie jeszcze więcej - powiedział Telonis.

- Gdzie moskity, tam błotna febra.

- Mamy kamień Ajwary - Kasta popatrzyła na Wisława z lekceważeniem. - Wyleczę cię, biedny, słaby mężczyzno, bojący się zachorować.

- Postaram się nie zachorować, silna, szczodra duszo kobieto. Ale komarów karmić nie zamierzam. Zwierzęta Kaffaraja niedługo też wyjdą na polowanie - dodał. - Wydaje się, że wiem, co mamy robić.

- Co masz na myśli? - nie rozumiała.

W milczeniu wskazał wielką kałużę, stojącą na brzegu przy samej wodzie. Ziemia tu rozmiękła do stanu półpłynnej, gliniastej kaszy. Dalej Reszyjec zrobił to, co zdumiało i dziewczynę, i marynarzy - pomacał glinę palcami, chrząknął aprobując, położył swoją broń na suchym miejscu, a sam polazł w tę papkę.

- Co robisz? - nie wytrzymała, ze zdumieniem patrząc, jak po kolana wchodzi w płynny brud.

- Słyszałaś o maskującej charakterystyce? Stary, myśliwski sposób, miła - odpowiedział, starannie okrywając płynną gliną odzież i odkryte części ciała. - Po pierwsze, komary nie dotrą do naszej skóry i nie będą nam dokuczać. Po drugie, ten brud roztacza taki aromat, że ukryje nasz zapach i zwierzęciu będzie trudniej nas zwęszyć na odległość. W naszej misji, nie wolno lekceważyć drobiazgów. Po trzecie,

nasze twarze nie będą tak widoczne w księżycowym świetle. A noc zapowiada się księżycowa, przysięgam na Cwira.

- On ma rację, pani - potwierdził Tełonis i też włożył ręce w glinę.

Kasta nie od razu zdecydowała się podążyć za przykładem mężczyzn. Jednakże, dookoła niej już uwijały się dokuczliwie brzęczące moskity i myśl o błędzących po wyspie monstrach, też nie dawała spokoju. Zakławszy, także zajęła się „maskowaniem”.

- Twarz i włosy też - poradził Wisław, który do tego czasu przypominał żyjącą, glinianą statuę. - Teraz trzeba trochę obeschnąć, nadmiar gliny odpadnie i będziemy w stanie swobodnie się poruszać. W ogóle - to doświadczeni myśliwi używają szczególnej farby, ale nam i glina podejdzie. Ważne, że komary już pozostaną głodne.

- A świnię nam pozazdroszą - podsumowała. - Wystarczy tarzania się w błocie. Słońce zachodzi, trzeba iść naprzód.

Zatoka Przemytników była dobrze widoczna z urwistego brzegu, na który wyszli. Kasta natychmiast wspomniała, z wdzięcznością, ostrożnego kapitana Fasisa - w zatoce stał na kotwicy nieznany statek.

- Sasneńska galera - określił Tełonis. - Przyłynęli po towar.

- I z towarem - dodał Wisław, pokazawszy na brzeg.

Przy podnóżu skał widać było trzy szalupy, obok których przechadzali się uzbrojeni ludzie. Nieopodal, na piasku, siedziało jeszcze półtora dziesiątka ludzi. Byli to niewolnicy, których przemytnicy przywieźli, by sprzedać Kaffarajowi.

- A oto i nabywcy - szepnął Tełonis, zwracając uwagę towarzyszy na dziwną grupę, wychodzącą z lasu i kierującą się do brzegu. Na czele szedł wysoki, młody mężczyzna, w ciemnej odzieży szczególnego kroju - taką nosili albo wojskowi lekarze, albo magowie-praktykanci. Za nim szli dwaj wojownicy w skórzanych zbrojach, z długimi włóczniami. Jeden z nich trzymał w ręce zwinięty sznur, drugi niósł nieduży skórzany worek. Za nimi, zamykając procesję, ruszała się niezgrabnymi skokami dziwna i straszna istota. Głowa i górna część tułowia potwora należała do bardzo dużej, pstrej hieny, natomiast dolna część ciała i nogi, były zupełnie podobne do ludzkich. Potwór poruszał się przeważnie na tylnych łapach i rzadko opuszczał się na cztery.

- To Kaffaraj? - zapytała Kasta Tełonisa.

- Nie wiem. Nigdy go nie widziałem.

- Trzeba podkraść się bliżej.

- To niebezpieczne. Zwierzę może nas zwęszyć. Obrzydliwe, jednakże, bydlę!

- Chcę posłuchać, o czym będą rozmawiać. Chcecie, to idźcie ze mną, jeśli boicie się - zostańcie tu - Kasta nie zostawiła czasu mężczyznom na sprzeciw i zaczęła schodzić w dół.

- Idiotka! - zasyczał Wisław, jednakże podążył za nią. Tełonis, ze swoimi ludźmi, po pewnym wahaniu, ruszył ich śladem, starając się iść bezszelestnie i kryć się w gęstniejącym mroku, pod drzewami.

Człowiek w ciemnej odzieży, podszedł tymczasem do marynarzy z sasneńskiego statku.

- Odpowiedni wieczór do szczerzej rozmowy, panie - przywitał maga starszy z marynarzy, siwy, na brąz opalony mężczyzna, z długim, krzywym sztyletem za pasem. - I do tego, żeby wymienić się dobrym towarem.

- Mój gospodarz czekał na was, Adulis - odpowiedział mag. - I na wasz ładunek też. Kim oni są?

- Doryjczycy. Trzech mężczyzn, pięć kobiet i pięcioro dzieci, od dziewięciu do trzynastu lat.

- Dobrze - skierował się w stronę niewolników. Na jego widok, jeńcy powstawali z piasku i ustawili się w szeregu, przyciskając się do siebie, jak owce, nastraszone pojawieniem się wilka. Mag, bez pośpiechu, przeszedł się tam i z powrotem, uważnie przyglądając się twarzom jeńców, rozkoszując się przy tym ich zakłopotaniem i strachem. Potem zatrzymał się przed niewysoką dziewczyną w zniszczonej sukience, stojącej w szeregu jeńców, na końcu.

- Twoje imię? – zapytał niespodziewanie w czystym, doryjskim języku.

- Sawija - odpowiedziała dziewczyna nie podnosząc oczu.

- Czy nie wiesz, jak trzeba rozmawiać z gospodarzem?

- Wiem - dziewczyna przełknęła tkwiącą w gardle grudę. - Jestem Sawija, panie.

- Teraz już lepiej. - Mag dotknął sznura, krępującego nadgarstki branki i sznur, jak żywy, ześliznął się do nóg dziewczyny. - Teraz biegnij, Sawijo.

- Po co, panie? - dziewczyna szeroko otworzyła szare oczy.

- Chcesz być wolna? Daję ci możliwość oswobodzenia się. Biegnijże!

Dziewczyna nadal stała, z lękiem patrząc na niego. Wtedy czarodziej z uśmiechem powiedział:

- Jeśli nie wykonasz mojego rozkazu, wyrwę twoje serce, Doryjko. Biegnij jak najszybciej!

Dziewczyna podporządkowała się rozkazowi, zerwała się z miejsca i pomknęła po wilgotnym piasku - obok sasneńskich handlarzy niewolników, obok wojowników maga, którzy nawet nie ruszyli się z miejsca, aby spróbować zatrzymać brankę - wprost do gęstych zarośli w głębi brzegu. Jednakże, udało się jej pokonać tylko pół setki łokci. Hienopodobna istota, otrzymawszy myślowy rozkaz maga, w paru skokach dogoniła uciekinierkę, zbiła z nóg i w mgnieniu oka rozerwała jej gardło.

- Widzicie, robaki? – zwrócił się do oniemiałych z przerażenia niewolników. - Oto co będzie z tymi, którzy pomyślą o ucieczce. Od mojego inkarna nie uciekniecie. Jeszcze ktoś chce otrzymać wolność?

Doryjczycy stali, opuściwszy głowy, i milczeli. Dorośli starali się zasłonić dzieciom oczy, uspokajali płaczących. Niektórymi wstrząsały dreszcze, dziesięcioletniej dziewczynce, po nodze spływał mocz. Nad brzegiem zawisła przynębiająca cisza, w której słyszało się tylko szum przyływu, łkanie dzieci i chrzęst ludzkich kości, w zębach uczującego potwora.

- Zapłacę tylko za dwunastu niewolników, Adulisie - powiedział mag do handlarza niewolników. – Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, panie – handlarz z szacunkiem pochylił się przed czarownikiem. - Znam reguły.

- W takim razie, przejdźmy do sprawy - dał znak swojemu wojownikowi, by podał mu skórzany worek. - Po flakonie za mężczyznę i dorosłą kobietę i dwa flakony za wszystkie dzieci.

- Ale to jest mniej niż poprzednio - wyrwało się Adulisowi.

- Poprzednio przywieźleś Giełamczyków. A to Doryjczycy. Nie są tak wytrzymali. A poza tym, teraz Dorii grozi wojna i niewolnicy z tego kraju mocno potanieli.

- Wola twoja, panie - Adulis spojrzał w ciemność na brzegu, gdzie hienopodobny potwór kontynuował rozrywanie zwłok branki. – Dobiliśmy targu.

- Razem dziesięć flakonów. To dobra płaca.

- Tak, panie - Adulis przyjmował po jednej pięciouncyjnej buteleczce z eliksirem jawchi i przekazywał swoim ludziom. Otrzymawszy ostatnią, uklonił się i dał znak pozostałym, by zajęli miejsca w szalupach.

Mag gwizdem przywołał zwierzę. Potwór z niezadowoleniem zawarczał, ale podporządkował się. Wojownicy powiązali jeńców razem, przyniesionym sznurem i smutna procesja ruszyła ścieżką, wiodącą na zachód od zatoki, póki nie zniknęła za drzewami. Przez jakiś czas, ukryci w krzakach, Kasta i jej towarzysze słyszeli brzęk metalu, rozróżnialny nawet w szumie przypływu - sasneński pirat podnosił kotwicę, by opuścić wyspę.

- Nikczemnicy! - powiedziała, wydostając się z krzaków.

- Przelana krew przyciągnie inne potwory - ściszym głosem powiedział Tełonis, patrząc na resztki zwłok doryjskiej niewolnicy, czerniejące na piasku w odległości trzech dziesiątków łokci od nich. - Trzeba stąd iść, pani.

- Kaffaraj także jeszcze nie odszedł daleko - zauważył Wisław. - Jeszcze możemy go dogonić.

- To nie Kaffaraj - zaprzeczyła - załedwie jego służący.

- Skąd o tym wiesz?

- Zrozumiałam ich rozmowę. Kaffaraj wysłał go po niewolników, a sam czeka w swoim barłogu. Trzeba się pośpieszyć, póki te wyrodki jeszcze kogoś nie zabiły.

- Idziemy z tobą, pani - Tełonis dał znak swoim ludziom i ci podeszli bliżej. Kasta uważnie popatrzyła w oczy młodego Sabejczyka.

- Nie musicie iść z nami - powiedziała. - To sprawa moja i Wisława.

- Po tym, co widzieliśmy, to także nasza - odpowiedział i Kasta zrozumiała, że młodzieniec jest wstrząśnięty okrutnym ukaraniem branki. - Kapitan kazał mi cię pilnować, wykonuję jego rozkaz.

- W takim razie nie będziemy zwlekać. Spróbujemy dogonić wroga w drodze do świątyni i upuścić mu krew.

Jeńcy szli powoli i ciężko, ale Charmas nie popędzał. Nie ma potrzeby się śpieszyć. Po długim siedzeniu w Łonie Smoka, tak przyjemnie pobyć na świeżym powietrzu, popatrzeć na morze i gwiazdy. Przez ostatnie dni prawie nie wychodził z laboratorium - gospodarzowi była potrzebna jego pomoc. Musiał dużo pracować, więc na sen zostawało niewiele czasu. Teraz, kiedy kapitan Adulis dostarczył tych niewolników, pracy będzie jeszcze więcej. W wiwarium gospodarza, czekają na swoją kolejkę dwa wilki, czarny aberneński niedźwiedź, samica rysia, złośliwy, rudy orangutan i wielki pies, którego sam wykarmił od malutkiego szczenięcia. Gospodarz, oczywiście zechce szybko zacząć pracę przy tworzeniu nowych inkarnów.

Mimo woli, przypominał sobie pierwsze miesiące pracy u Kaffaraja. To był odrażający czas. Ani jeden, z tworzonych przez nich inkarnów, nie żył dłużej niż dwie doby. Zaklęcie Wcielenia nie działało. Ciała ginących rozkładały się w przerażającym tempie, dlatego w wiwarium panował potworny smród. Sprzątanie cuchnącej padliny należało do niego. Kaffaraj bardzo chorobliwie reagował na niepowodzenia. Zachowywał się jak wariat, co chwila wpadał w histerię, tłukł naczynia laboratoryjne i

rwał zwoje z zaklęciami. Pewnego razu, dopiero co stworzony inkarn, zdechł na stole operacyjnym i Kaffaraj, wpadłszy we wściekłość, rzucił się na swojego asystenta z lancetem w rękę. Wtedy omal nie zginął. Rany od lancetu, zagoiły się szybko, Kaffaraj długo przeproszał, ale uraza została. Nie wybaczył swojemu gospodarzowi. Najpierw, po prostu postanowił zbiec z wyspy - ale ostatecznie nie zdecydował się. Tu, miał nieograniczony dostęp do tego, bez czego młody czarodziej nie mógł żyć.

Do eliksiru jawchi.

Pomyślał, że nieprzypadkowo przypomniał sobie o nim - działanie poprzedniej porcji kończyło się. W ciele zjawił się nieprzyjemny żar, a serce zaczęło uderzać mocno i często. Dobrze wiedział, czym to grozi. Jeszcze godzina-półtorej bez specyfiku i zacznie się najsilniejsza febra ze skurczami i strasznymi bólami w całym ciele. Pewnego razu, jeszcze w Dzikich miastach, ledwie nie umarł z tego powodu, gdy nie mógł zdobyć zioła jawchi. Na szczęście, teraz jest panem sytuacji. Wystarczy tylko włożyć rękę do worka i otrzymać kolejnych kilka godzin siły, zdrowia i szczęścia.

- Wajtan, daj worek! - rozkazał towarzyszącemu wojownikowi.

Pięć uncji eliksiru doskonale dzieliło się na trzech. Po pierwszych łykach, poczuł, jak bolesny żar odpłynął z twarzy i głowa stała się chłodna, a umysł jasny. Oddał flakon wojownikowi i obserwował, z jaką chciwością Wajtan przypadł do szyjki. Resztkę, dopił drugi - Bukra.

Jak przyjemnie, pomyślał, podnosząc wzrok na usypane jasnymi gwiazdami niebo. Teraz on może wszystko. Może uwolnić swój umysł od ciała i wzbić się do tych gwiazd, żeby szybować w obłokach czystego światła i brylantowego pyłu. Może zobaczyć ogniste otchłanie Czaraki i złote pałace mieszkańców nieba. Ale najpierw...

Najpierw, trzeba dostarczyć do Łona Smoka, to mięso.

- Ruszajcie się szybciej, świnie! - rozkazał niewolnikom, zauważywszy, że ci zupełnie zwolnili krok. - Taki cudowny wieczór, a wy ledwie się wleciecie!

Dobrze czuć się władcą cudzych losów. Dla tych doryjskich niewolników, on jest Gospodarzem, wszechmocnym i wszechmogącym. Boją się go. Widzieli, jak zgodnie z jego rozkazem inkarn rozerwał niewolnicę. Boją się, że może poszczuć inkarnem kogoś z nich.

Gospodarz. Pięknie brzmi. Pewnego razu on, Charmas, zostanie na tej wyspie Gospodarzem. Od tamtej pory, gdy Kaffarajowi wreszcie udało się znaleźć sposób, by złączyć zwierzęce ciało i ludzką duszę w jedną całość, hybrydy przestały zdychać. Teraz, pod jego nadzorem jest czterdzieści inkarnów. Kaffaraj uważa się za zbyt wielkiego, by zajmować się swoimi tworem. Całkowicie ufa asystentowi i popełnia wielki błąd. Przyjdzie dzień i inkarny zaczną słuchać tylko jego. Nie trzeba wielkiego rozumu, żeby osiągnąć taki cel - wystarczy dodawać do paszy dla potworów ten sam eliksir, jawchi. Stopniowo, dzień po dniu, tydzień po tygodniu i stworzenia pójść nie za tym, kogo uważają za swojego władcę. Pójść za tym, kto daje im czarodziejski eliksir szczęścia. Najważniejsze – zrobić to tak, żeby Kaffaraj niczego nie podejrzewał.

Zostanie prawdziwym Gospodarzem. Będzie miał tę wyspę, władzę nad inkarnami, niewyczerpane źródło eliksiru jawchi i amulet Wezwania, który zabierze Kaffarajowi. I wtedy, można będzie na serio pomyśleć o tym, żeby wznieść się do gwiazd...

Ryk inkarna przerwał marzenia. Hienomorf coś zwęszył - oczy potwora zapłonęły purpurowymi ognikami, twarda grzywa stanęła dęba.

- Obcy - przeczytał myśli istoty. - Pięciu obcych. Zabić.

- Zabij - rozkazał.

Radość, wywołana bezwarunkowym podporządkowaniem się inkarna, była ostatnią myślą maga. Wylatująca z ciemności strzała, ugodziła go w szyję, rozrywając tętnicę i czarnoksiężnik przewrócił się na plecy, rżąc i zalewając się krwią.

Najemnicy, którzy konwojowali niewolników, nie zdążyli niczego zrozumieć. Wajtana, położyła trupem włócznia, celnie rzucona przez jednego z ludzi Telonisa. Drugiemu najemnikowi, wyskakującą z krzaków Kasta, jednym cięciem miecza przecięła gardło.

- Telonisie, zwierzę! - krzyknęła dziewczyna.

Inkarn zaatakował młodego Sabejczyka. Telonis nie stracił orientacji, sięgnął potwora ostrzem włóczni, ale hienomorf nie odczuwał bólu. Odrzuciwszy włócznię łapą, skoczył na marynarza. Ten, zręczny niczym kot, zdążył uskoczyć, wypadł z lewej strony, przyjmując zwierzę na siebie, które ochryple zaszczekało, ruszyło na Sabejczyka, wystawiając szponiaste łapy. Telonis podstawiał włócznię i obrzydliwa istota nadziała się na szpic całym ciężarem, głęboko nabijając się. W powietrzu rozszedł się nieznośny fetor. Idąca z pomocą Kasta, obiema rękoma wbiła Flamejona do połowy pod łopatkę istoty. Potwór zachrypiał, zakrztusił, buchając z paszczy potokami krwi. Telonis jeszcze kilkakrotnie uderzył włócznią, celując w serce. Po paru chwilach, inkarn leżał w kurzu, a przez ogromne, niechlujne cielsko, przebiegały jeszcze ostatnie skurcze.

Wisław i ludzie Telonisa uwolnili niewolników. Dziewczyna wytarła miecz o odzież zabitego maga, podeszła do najemnika, ugodzonego włócznią. Wajtan jeszcze rżął, skrobał paznokciami ziemię i usiłował wstać. Milcząc podniosła leżącą obok rannego włócznię i przygwoździła go do ziemi.

- Zaspokajasz pragnienie krwi? - zapytał Wisław.

- Hołduję pierwszej regule wojownika - powiedziała. – Mówi ona: „Nigdy nie zostawiaj rannego wroga za swoimi plecami. Może ostatnim tchnieniem, wbić ci w plecy włócznię”. Ciebie uczyli walczyć inaczej, Wisie Szlachetny?

- Po prostu, pierwszeństwo miała inna reguła?

- Jakaż to?

- Walczyć o słuszną sprawę.

- Pani! - jedna z oswobodzonych niewolnic, podpełzła do Kasty na kolanach, objęła za nogi. - Pani!

- Wstań - nachyliła się, chwyciła kobietę i podniosła na nogi. - Nie lubię, gdy ktoś klęczy.

- Pani! - kobieta patrzyła na nią z nabożnym przerażeniem. - Bogowie, poznałam cię! Jesteś taka podobna do swojej matki!

- O czym ty mówisz? - nachmurzyła się Kasta.

- Poznałabym krew wielkiego rodu Garchusa w każdym obliczu. Ale ty, pani - ty jesteś dokładną kopią swojej matki, szlachetnej ślicznotki Chrissii.

- Moja matka nazywała się Chalana. Pomyliłaś się, matulu.

- Nie! - kobieta przestała uśmiechać się. - Nie może być. Zbyt dobrze pamiętam twoją matkę. Służyłam w domu twojego dziadka, sławnego Artawisa, osiemnaście lat i Chrissija wyrosła na moich oczach. Potem wyszła za mąż i zamieszkała w domu męża w Alorii. Jesteś jej córką, czyż nieprawda? Masz jej twarz, jej spojrzenie, jej uśmiech, jej wygląd.

- Księżycowe światło oszukuje cię. Nie jestem Doryjką, a Seltonką.

- Seltonka? - kobieta pokiwała głową, odsunęła się od Kasty. - Nie Doryjka? To dlaczego mówisz tak czysto w naszym języku?

- Idź już - powiedziała uśmiechając się.

Wisław tymczasem przeszukał ciało Charmasa. W torbie przy pasie, znalazł wąski lancet z brązu i jabłko - i nic więcej.

- Nie ma przy sobie amuletów - powiedział Reszyjec. – Masz rację, to nie Kaffaraj. To tylko jeden z jego sługusów.

- Telefonie, niech twoi ludzie zaprowadzą jeńców na nasz statek - zarządziła.

- A ja?

- Ty, pójdziesz z nami. Pokażesz drogę.

- Oczywiście, pani! - ucieszył się Sabejczyk. - Jak rozkażesz.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Z głębi jaskini, przestraszonym wzrokiem, obserwowała go jakaś istota. Kaffaraj zrobił kilka kroków, wtedy z głuchym rykiem cofnęła się w ciemność, nie spuszczając z maga palających oczu. Normalna reakcja, pomyślał. Od tamtej pory, gdy zdołał połączyć ludzką duszę z ciałem zwierzęcia, stworzywszy inkarny, podobna reakcja powtarzała się nie raz i nie dwa. Ten stan łatwo wyjaśnić. Dusza jeszcze nie przyzwyczaiła się do otrzymanego ciała, nowa postać ją przeraża. Dusza szuka, pożądanego dla siebie cienia, aby skryć się w nim.

- Podejść - rozkazał mag, wyciągnąwszy w kierunku inkarna rękę.

Stworzenie, przyciskając się całym swoim brzydkim ciałem do wilgotnej ziemi, podpełzło do Kaffaraja. Szorstkim, szaroniebieskim językiem, liznęło rękę czarodzieja. Z obrzydzeniem wytarł z ręki ciągliwą ślinę istoty. Był to jeden z ostatnich jego tworów, stworzony dwa dni temu z geparda. Jeszcze niewiele różnił się od zwierzęcia, ale na bokach i plecach, na pstrym futrze pojawiły się łysiny - zaczęła wychodzić sierść.

- Strach - usłyszał wewnętrzny głos istoty. - Na zewnątrz światło. Światło, źle. Tu jest ciemno, to dobrze.

- Nie powinieneś się bać światła - odpowiedział czarodziej. - Kiedyś też bałem się światła. Ale to już minęło. Przyzwyczaisz się.

Znów spróbował liznąć rękę gospodarza, ale mag uderzył go dłonią po mordzie. Ten zawarczał, w oczach na moment zapłonęły zielone ogniki, ale natychmiast, ten sekundowy blask wściekłości, zgasł.

- Pokora - powiedział Kaffaraj. - Musisz mi się podporządkować.

Przywarł do zimnej, wilgotnej posadzki jaskini. Po jego ciele przebiegł dostrzegalny dreszcz. Kaffaraj lekko kopnął stworzenie czubkiem buta w bok. Inkarn milczał.

- Dobrze - pochwalił. - Teraz idź do wyjścia z groty. Przywitaj służącego Charmasa.

Na czworakach, niezgrabnymi skokami pomknął do wyjścia z jaskini. Obserwował go. Niestety, te istoty nie dziedziczą zwierzęcej gracji. Siłę - tak, ale zręczność... Na razie nie odczuwał pełnej satysfakcji, patrząc na stworzony przez siebie zwierzyniec. Trzydzieści osiem istot i wszystkie są ze skazami. Jest nad czym popracować w przyszłości.

Po kręconych, kamiennych schodach, wyszedł z dolnej jaskini, do podziemia świątyni. Kiedyś, zwolennicy kultu Angusza nazywali to miejsce Łonem Smoka. On zaś wymyślił dla swojego schronienia inną nazwę - Wasztara-Achwi, Kolebka Cienia. Tak w starożytności nazywano szczególne miejsca Mocy. Było to bardzo trafne określenie. Tu rodzi się przyszłe cesarstwo, w którym on, Kaffaraj, będzie władcą. Magom Czaszy, wygodnie obnosić się z idiotycznymi prorocत्वami, szukać jakichś

Darów Otchłani - niech szukają. Pluje na nich. On już osiągnął to, do czego dążą ci napuszeni głupcy.

Chraor dotychczas mu nie wierzy. Nikt, z Wieży Magów mu nie wierzy. A tymczasem on, złączył Cień i Ciało. Znalazł czarodziejską formułę prawdziwej nieśmiertelności. Pokonał przepaść między Życiem i Śmiercią.

Korytarz doprowadził go do ogromnej, podziemnej sali, w centrum wznosiła się ścięta piramida, wysoka na piętnaście łokci. Z czterech stron, czerniały przebite w kamieniu włazy: kiedyś, przywiezieni na Cichą przez Kaffaraja, niewolnicy, dzień i noc drążyli twarde licowanie z polerowanego porfiru, a potem wydobywali wapienne bloki, żeby dotrzeć do ukrytej wewnątrz piramidy, sekretnej krypty. Właśnie tam, znalazł to, czego szukał przez wiele lat - Amulet Wezwania, jeden z najpotężniejszych, magicznych przedmiotów epoki Nin.

Wezwane z Zacienionej Strony, za pomocą tego amuletu, istoty pomagały mu. Delikatne i złudnie piękne kejcze, pokazały mu wielką siłę krwi. Szybkie i śmiertelnie niebezpieczne etimmy, uczyły złożonej sztuki obcowania z Cieniem. Azkowie, złudni nosiciele potężnej, ciemnej magii, pomogli mu zrozumieć prawdziwą naturę Zacienionej Strony. Nadszedł moment, kiedy przyjął od Cienia wielki dar - prawdziwą nieśmiertelność - i zaczął należeć do dwóch światów równocześnie. Pierwszy z magów, drugi z ludzi, tylko królową Margianę Zacieniony Świat naznaczył swoim błogosławieństwem wcześniej od niego. Ale tylko jemu, dano umiejętność łączenia żywego z nieżywym, tworzyć tych, którzy pewnego dnia odziedziczą świat ludzi. Tych, którzy zostaną jego poddanymi w lepszym i wspanialszym świecie, niż legendarny świat Szu.

Podszedł do piramidy, dotknął jej kamieni palcami. Przyjemnie jest przypomnieć sobie niektóre momenty, w drodze, którą już przeszedł i pomyśleć o przyszłości. O tym dniu, kiedy jego inkarny zostaną takimi, jakimi pragnie ich widzieć. Stworzenia, które złączą w sobie rozum człowieka i fizyczną doskonałość zwierzęcia. Zręcznymi, drapieżnymi, silnymi i śmiertelnymi, jak mieszkańcy Zacienionej Strony. Istotami, którym nie trzeba będzie po kilka razy powtarzać prostych rozkazów, których nie trzeba będzie szukać po ciemnych zaułkach Łona Smoka, jak błądzące dzieci. Stworzy z nich armię, która nie będzie miała równych. Nauczy ich wielkiej sztuki, której sam nauczył się od magów-demonów Zacienionej Strony - Sztuki Nocnego Przerazenia, przed którą nie obroni się nikt.

Zbliżanie się swoich stworzeń, wyczuł natychmiast - równocześnie dwa inkarny, wyszły jeden za drugim z bocznej galerii sali. Przewalając się na krzywych łapach, zbliżyły się do maga. Były zaniepokojone.

- Obcy - usłyszał. - Obcy ludzie przy wejściu.

- To służący Charmas przyprowadził niewolników - odpowiedział mag. - Będzie świeże mięso i krew. Zabierajcie się stąd.

- To nie służący Charmas.

- Nie Charmas? - mag był zdziwiony. - W takim razie, kto?

- Kobieta. Jeden mężczyzna i jeszcze jeden mężczyzna.

- Troje ludzi? I dotychczas nie skosztowałyście ich krwi, nie wyrwałyście im wnętrzności? - Mag wysłał do serca mówiącego inkarna taką falę bólu, że stworzenie z żalonym rykiem przewróciło się na bok i zatrzęsło się w konwulsjach. - Zapomniałeś, co powinieneś robić?

- Zaaaaabić! - zaryczało monstrum. - Zaaaaaabić wszyyyyystkich!

- Więc zrób to. Wynoście się!

Inkarny wypadły z sali, zostawiwszy po sobie cierpki zapach strachu. Pokręcił głową: Nie da się ukryć, te stworzenia są jeszcze bardzo niedoskonałe. Drażni mnie ich głupota. Czeka mnie jeszcze dużo pracy.

Kobieta? Inkarn powiedział - kobieta?

Zaciekawiło go to. Oczywiście, jego natura mocno się zmieniła, ale kobiety, mimo wszystko wywołują w nim pożądanie. Trzeba byłoby spojrzeć na nieznajomą, zanim przekształcą ją w stertę ogryzionych kości. Kto wie, być może mogłaby się stać dla niego wytworną rozrywką?

Trzeba byłoby, ale teraz już za późno. Jego strażnicze psy otrzymały rozkaz. Władca nie zmienia zdania. Niech robią to, co im nakazano. A on popatrzy, jak to wykonują. Ciała obcych staną się pokarmem dla jego stworzeń. A dla ich dusz, znajdzie godne zastosowanie.

Ogromna skała, na szczycie płaskiego pagórka, przypominała kamienną głowę smoka, a półokrągłe wejście do jaskini rozwartą paszczę. Wewnątrz było ciemno i zimno. Wisław wypowiedział zakłęcie Nocnego Wędrowcy, jaskinia rozświetliła się delikatnym, różowawym światłem i Kasta zobaczyła, że znajduje się wśród stalaktytów i stalagmitów, przypominających ogromne, stożkowe zęby potwora, wśród matowo połyskujących kałuż wapiennej wody i ogromnych brył, pokrytych niezwykłymi naciekami. Wysoko, nad głowami, trzepotały skrzydłami nietoperze, spłoszone światłem. Mocny, zwierzęcy zapach w jaskini, przebijał wszystkie pozostałe. Wisław zwrócił uwagę na nawóz i kłaki sierści na posadzce jaskini.

- Świeży nawóz - powiedział. - Zwierzęta były tu całkiem niedawno.

- Jeszcze go spróbuj - skrzywiła się Kasta, wyciągając miecz z pochwy. - To miejsce nie przypomina świątyni.

- Świątynia znajdowała się w głębi jaskini, w samym Łonie Smoka. Trzeba iść w głąb - wyjaśnił Tełonis.

- Wygląda na to, że my teraz jesteśmy w jego paszczy. Zejdźmy zatem do żołądka.

Jaskinia, w najdalszym końcu, przechodziła w wąski, kręty tunel, ze skalistymi ścianami. Gdzieś tam, w ścianach, widniały pozieleniałe od patyny, dawne, miedziane uchwyty do pochodni, które kiedyś paliły się tu bez przerwy. Wisław z zainteresowaniem oglądał dawne rysunki, pozostawione na ścianach tunelu przez pielgrzymów, odwiedzających to miejsce - solarne i księżycowe znaki, wprawnie narysowane kobiety z księżycowym dyskiem we włosach, tajemnicze hieroglify, kapłanów z darami dla Angusza, świętych zwierząt, małp i bocianów. Woda i czas mocno uszkodziły rysunki, ale wiele z nich jeszcze robiło wrażenie. Ścieżka, którą szli, prowadziła coraz bardziej w dół. Wyraźnie dał się słyszeć szum płynącej wody. Wkrótce, na końcu tunelu, otworzyła się ogromna jaskinia z urwistymi ścianami, po których potoki wody z szumem i pianą, spadały w obszerną kotlinę. Kaście na chwilę zakręciło się w głowie, nieprzyjemne uczucie słabości objęło nogi. Podeszli do samego brzegu urwiska, pod którym, w dwudziestu pięciu łokciach poniżej ich, połyskiwała czarna powierzchnia jeziora, wypełniającego kotlinę. Na prawo od wyjścia z tunelu znajdował się wiszący most, przerzucony nad podziemnym jeziorem do innego brzegu jaskini.

Kasta pierwsza weszła na most. Chwilowa słabość minęła, zniknął lęk wysokości. Konstrukcja wydała się dość trwała, ale im dalej odchodziła od urwiska, tym bardziej most kołysał się pod ciężarem ludzi. A potem, z przodu, dał się słyszeć groźny ryk, zapaliły się zielone ogniki oczu, wynurzyły się jakieś ciemne cienie i most drgnął, zaskrzypiał, rozkołysał się - coś szybkimi skokami pędziło po nim naprzeciw ludziom.

Wisław podniósł łuk, wycelował i zwolnił cięciwę. Strzała zasyczała przy jej uchu i za moment rozległ się ryk bólu i wściekłości. Kłębek ciemności dotoczył się do granicy świetlnego kręgu otaczającego ludzi i wojowniczką zobaczyła zbliżającego się potwora - coś podobnego do ożywionego, dwutygodniowego trupa ogromnego niedźwiedzia. Strzała przypadkowo, albo dzięki sztuce strzelca, ugodziła potwora w oko, ale zatrzymać go nie była w stanie. Chwyciwszy lewą ręką za powroźniczą poręcz, przysiadła w bojowej postawie, przygotowując się na spotkanie wroga, jednakże Tełonis wyprzedził ją - rzucił włócznię, przebijając potworowi gardło. Ten głucho zaryczał, owiał Kastę falą smrodu, poderwał się na tylne łapy i przez poręcz zwałił się z mostu. Nie było czasu na zachwyty. Po moście zbliżał się drugi potwór, wyraźnie mniejszy od pierwszego, ale szybszy i zręczniejszy.

Wisław wystrzelił i natychmiast wyjął z kołczana nową strzałę, ale stwór był już obok Kasty. Dziewczyna zobaczyła potworną mordę - wilka nie wilka, człowieka nie człowieka - wyszczerzoną, cuchnącą paszczę, z nićmi zielonkawej śliny, długie, krzywe łapy w kłakach brudnej sierści. Inkarn opuścił się na czworaki, skoczył: Powstrzymała go dokładnym uderzeniem miecza, zdumiewając się lekkością, z jaką Flamejon rozrąbał żebra istoty. Niby-wilk uderzył o poręcz, z piskiem upadł i spróbował się podnieść, ale dwoma uderzeniami zrzuciła go z mostu w ślad za pierwszym. Most zakolysał się tak mocno, że dziewczyna sama omal nie spadła w kotłnię. Wisław chwycił ją za talię, pomagając utrzymać równowagę.

- Z przodu! - krzyknęła, odpychając Reszycę.

Jeszcze jeden, straszny nie do opisanie mieszaniec człowieka i pumy, pędził na nich po moście. Uderzeniem łapy odrzucił Kastę prosto na Tełonisa. Wisław przeskoczył przez leżących, coś wykrzyknął i uderzył pięścią w mordę zwierzęcia. Trzask, niebieskawy błysk - i stworzenie wyleciało z mostu, jakby wyrzucony z katapulty kamień.

- Jesteś cała? - zainteresował się, obserwując, jak wstaje na nogi.

- Wydaje się, że tak - dziewczyna przeciągnęła palcami po czterech głębokich zadrapaniach, widocznych na gładkiej skórze kirysa. - Dobra robota, Wis. Okazuje, że jesteś także magiem?

- Zaledwie uczniem maga. Zakłęcie Burzowej Pięści, znane jest nawet zielonemu nowicjusowi.

- Dużo znasz jeszcze takich... zakłęcie dla nowicjuszy?

- Zbierze się półtora dziesiątka. Takie, pożyteczne drobnostki, na różne sytuacje.

- Zgubiłem włócznię - oznajmił Tełonis ze zmieszonym uśmieszkiem. - Wpadła do wody.

- Umiesz strzelać z łuku? - Wisław przekazał swój łuk i kołczan marynarzowi. - Tylko proszę cię, nie utop go.

- A ty? - zdziwił się Tełonis.

- Spróbuję pokazać naszej wspaniałej towarzyszce jeszcze inne swoje zdolności - uśmiechnął się Reszyjec.

- Musimy iść, póki nie zjawiły się kolejne zwierzęta - powiedziała Kasta, wytarłszy dłonią obryzganą krwią twarz. - Tu niezbyt wygodnie się bić.

- Już prawie przyszedliśmy - zauważył Wisław.

Most wyprowadził ich na szeroki gzyms, który wił się dookoła kotliny, podchodząc do góry, do zięjącego w zwartym kamieniu wyjścia z Żołądka Smoka. Prawie doszli do niego, kiedy z wnętrza jaskini zabrzmiał głuchy, głośny ryk, natychmiast podchwycony różnogłosem chórem niewidocznych potworów.

- Bogowie, ależ ich tu dużo! - Tełonis uśmiechał się, ale w oczach Sabejczyka był strach.

- To znaczy, że trzeba będzie zabić wszystkie - odpowiedziała Kasta.

Po opuszczeniu jaskini z jeziorem, szli płataniną niskich tuneli z mnóstwem bocznych odgałęzień – niczym w prawdziwym labiryncie. Określić właściwą drogę, można było tylko dzięki niegdyś wyciętym w kamieniu hieroglifom, oznaczającym odpowiedni tunel. Tu, dwa razy, napotkali inkarny; obrzydliwy, obłazły stwór, będący niegdyś lwicą, rzucił się na nich z bocznego tunelu. Kasta zareagowała natychmiast - odrąbała mu łapę, a potem odcięła głowę. Drugiego zauważył Tełonis: ostrożnie podkładał się do niego z tyłu. Wielki potwór przypominał Kaście afarystańskiego, górskiego pseudoc człowieka, z którym pewnego razu walczyła w cyrku, tylko inkarn okazał się mniej zręczny i sprytny. Rzucił się na ludzi z głuchym pohukiwaniem, wymachując ogromnymi pięściami. Strzała Tełonisa ugodziła go w pierś, a po chwili Kasta wbiła Flamejona potworowi w brzuch i zręcznie odskoczyła, obserwując, jak Kaffarajowy wytwór wije się w agonii, rozchlapując śmierdzącą krew.

- Okazuje się, że nietrudno je zabijać - powiedziała, kiedy wyzionął ducha. – Spodziewałam się czegoś gorszego.

- Uważaj, nie zaurocz - odezwał się Wisław.

Tunel, którym szli, zakończył się szeroką jaskinią z mnóstwem stalaktytów o jasnoróżowym i złocistożółtym odcieniu. Po przeciwległej stronie znajdowały się szerokie, wykute w kamieniu schody, prowadzące do ostrołucznego wejścia, ozdobionego dwoma posągami, wysokimi na osiem łokci. Dawny rzeźbiarz wyciosał je z ogromnych stalagmitów. Żeński - uśmiechał się szerokim, półksiężycowym uśmiechem, męski - posiadał fallusa wprost niewyobrażalnych rozmiarów. Rzeźby wznosiły ręce, jakby podtrzymywały strop jaskini.

- Wejście do Łona Smoka - powiedział Tełonis.

- Wydaje mi się, że był tu kiedyś, chyba wesoły dom - uśmiechnął się Wisław – i chyba rozumiem, z czego ta kamienna baba tak się cieszy.

- Co to za zapach? - Kasta wciągnęła nosem powietrze i skrzywiła się.

- Nasi przyjaciele, z ogrodu zoologicznego Kaffaraja, nie mają zbyt czystych ciał. Ale to nie powód, żeby zawrócić.

Schody prowadziły do frontowego wejścia, zabezpieczonego dawną, miedzianą kratą. Wisław gwizdnął ze zdziwienia, kiedy weszli do wnętrza. Westybul świątyni był imponujących rozmiarów: Sklepienie stromo wznosiło się do góry, opierając się na grubych kolumnach, ściany wciąż pokrywały dawne płaskorzeźby, niektóre zachowane w niezłym stanie i przedstawiające orszaki bogów, bohaterów i niezwykłych istot. Było tu jasno. Mgliste, liliowo-fioletowe światło wydobywało się ze środka wielkiego basenu. Jego źródłem były dziwne, białawe grzyby z kulistymi kapeluszami. Ich ostry, trupi zapach wypełniał powietrze.

Na spotkanie, z głębi, zbliżała się z groźnymi pomrukami grupa istot - nieskładnych, zgarbionych, cienkonogich, wielkogłowych, z brzydkimi, klinowatymi mordami. Stwory podeszły bliżej, zamarty, oglądając ludzi, a potem, piszcząc przenikliwie i złośliwie, rzuciły się na przybyszów. Wisław wskoczył na obramowanie

basenu, kopnął nogą w mordę rzucającego się na niego stwora. Zauważył przy tym, że istota jest uzbrojona w rodzaj niedużej motyczki. Kiedy inkarn otrząsnął się z oszołomienia, znów rzucił się na Wisława, wymachując nią, Reszyjec użył zaklęcia Burzowej Pięści. Czaszka stwora odpadła, jak rzucona na ziemię dynia. Kasta, bez szczególnych trudności, rozprawiła się z dwiema istotami, które rzuciły się na nią z różnych stron. Wisław, biegnąc po obramowaniu, rzucił kulistą błyskawicą w inkarna, który powalił Tełonisa. Wyładowanie elektryczne odrzuciło istotę, wprost na fosforyzujące grzyby. Dziewczyna tymczasem odrąbała łeb jeszcze jednemu stworowi. Ostatni inkarn, z głośnym chrupkaniem pobiegł do ziejącej w głębi westybulu nory, żeby ukryć się. Wisław jednak dogonił go i zabił uderzeniem Burzowej Pięści.

- Przysięgam na Cwira, jakie pokraki! - wykrzyknął, patrząc na jeszcze drgającą tuszę przy swoich nogach. - Popatrzcie, on ma konewkę w rękach. Wykończyłem ogrodnika.

- Grzyby - powiedział Tełonis, krzywiąc się z bólu. - Pielęgowali grzyby. To są z pewnością grzyby jawchi.

- Daj, obejrzę twoją nogę - pochyliła się nad marynarzem. Kły inkarna rozerwały Tełonisowi biodro i krew szybko rozpląwała się po białych płytach posadzki. Młody człowiek był blady, wstrząsała nim dreszcze.

- Koniec ze mną. - Ten krwotok...

- Nie panikuj! - położyła kamień Ajwary na ranę. Krew przestała cieknąć. Oczy Tełonisa wyszły z orbit, ze zdziwienia.

- Wielki Akwinie! - wykrzyknął. - A już przygotowałem się, aby wejść do kwitnących ogrodów Pałacu Bogów.

- Trochę za wcześnie - zabrała kamień. - Jesteś mi jeszcze potrzebny.

Poraziła ją nagle niespodziewana, dziwna i gorzka myśl. Kamień Ajwary. Dlaczego tak potężny talizman znalazł się w jej rękach zbyt późno. Nie w tym dniu, kiedy do Cerunii przyszła dżuma. Nie wtedy, gdy umierali w mękach jej bliscy, a ona w niczym nie mogła im pomóc. Dlaczego? Kto urządził tak, że wszystko w życiu przychodzi zbyt późno? Popatrzyła na cudowny przedmiot w swojej dłoni i z trudem przemogła chęć wyrzucenia go jak najdalej. Serce ścisnęło się z bólu i zdradzieckie łzy zakręciły się w oczach. Na szczęście, jej towarzysze nie zauważyli tego.

- Dziki - powiedział Wisław, oglądając martwe inkarny, z mieszanym uczuciem zdumienia i obrzydzenia. - Na pewno, kiedyś to były dziki. Nigdy nie widziałem nic bardziej obrzydliwego.

Tełonis stanął na nogi. Zrobił kilka kroków, jeszcze raz ze zdumieniem popatrzył na Kastę.

- Dziękuję, pani - powiedział ze szczerą wdzięcznością w głosie. - Uratowałaś mi życie.

- Podnieś łuk i bądź odtąd bardziej ostrożny - odpowiedziała. Jej zmęczenie minęło i znów była gotowa iść dalej. - Hej, Wisie, co tam oglądasz?

- Nic - Wisław z trudnością przemógł napad mdłości, odwrócił wzrok od zardzewiałego koryta, w którym przemieszane z rozkruszonymi i brunatniejącymi grzybami, leżały ogryzione, na pół rozkładające się ludzkie zwłoki. - Ruszajmy dalej. Nie mogę się już doczekać, kiedy znajdziemy tego drania, który wyprodukował te monstra i porozmawiamy z nim po męsku.

Tego uczucia Kaffaraj nie doznawał już od wielu lat.

Uczucie trwogi.

Narastało z każdą minutą, nie pozwalało się skoncentrować, zmuszało do irytacji. Obcy wdarli się do jego posiadłości i powstrzymanie ich okazało się o wiele bardziej skomplikowane, niż początkowo sądził. Czuł zbliżanie się obcych, zapach ich krwi, słyszał bicie ich serc. Są już w świątyni. Inkarny nie zatrzymały ich. Nie zabiły obcych i same zginęły. Czuł, jak ulokowane w nich dusze, opuszczają swoje powłoki i odchodzą do świata cieni. Jego twory okazały się bezsilne. Jest to dziwne i niewytłumaczalne.

Kim są ci ludzie?

Mag przeszedł do głównego laboratorium. Tu zaczynał pracę nad swoimi stworzeniami, tu osiągnął pierwszy sukces. Stąd wyszli ci wszyscy, którzy stanowili pierwszy oddział jego przyszłej armii. Pokładał w nich wielkie nadzieje. Każdy człowiek powinien być przerażony na sam widok inkarnów. Ci - nie przestraszyli się, więc praca wielu miesięcy została zmarnowana w jeden dzień. Przechodził koło kamiennych stołów, jeszcze przechowujących ślady wsiąkającej przez długie miesiące krwi ludzkiej i zwierzęcej, koło stelaży z instrumentami, anatomicznymi preparatami i ziołami, koło szaf ze zwojami. To jego świat, jego Wasztara-Achwi. Tworzył go sam i nie pozwoli obcym wdrzeć się tu.

Trzeba ich zatrzymać. Jeśli inkarny nie są w stanie tego uczynić (kto mógłby przypuszczać, że okażą się takie niezdarne w walce!), to robi to sam.

Ogromne, okrągłe, kamienne podium w centrum laboratorium, kiedyś było ołtarzem księżycowego boga. Kaffaraj założył na tym miejscu swój - podstawowy punkt Przejścia. Właśnie tu, Amulet Wezwania, najczęściej otwierał dla niego Zacienioną Stronę. Machnął ręką, zapalając jednocześnie zaklęciem płomienia wszystkie czarodziejskie lampy, tworzące Pierścień Przejścia.

Długo musiał czekać. Stał w obłokach gęstego, srebrzystego dymu idącego od lamp i wypowiadał zaklęcia, ale Zacieniona Strona nie śpieszyła się z ukazaniem. Dopiero, kiedy przeczytał Trzynaste Słowo Szu, smuga zachwiała się jak od powiewu wiatru i cienie od przedmiotów dookoła niego zaczęły znikać. Teraz już znajdował się po Zacienionej Stronie. Potem ukazał się azka-Mentor. Kaffaraj od dawna był częścią Zacienionego Świata, ale nawet teraz, widząc Mentora, obleciał go strach.

- Nauczycielu, co się dzieje? - zapytał. - Kim oni są?

- Wrogami - zaszeleścił azka. - Przyprowdziła ich tu wola Zapomnianego. Jeden z tych ludzi jest Wojownikiem.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- Ponieważ Ojcu Cieni jest potrzebna twoja pomoc. Tylko twoimi oczyma będziemy w stanie zobaczyć Wojownika Zapomnianych. Magowie Czaszy nie popisali się w tym względzie.

- Więc zostałem przynętą, na którą łowicie tego Wojownika? Dlaczego?

- Ten śmiertelny, z jakiegoś powodu, jest niedostępny Spojrzeniu Cienia i ukryty przed nami. Tak już wyszło, że przyprowdziła go tu wola naszych wrogów. Nie wolno przepuścić takiej możliwości, aby skończyć z nim. Powinieneś zobaczyć go i odgadnąć jego sekret, a także, w miarę możliwości, zawładnąć jego duszą.

- Co to znaczy „w miarę możliwości”?

- Masz wielką siłę, uczniu. Dawno zyskałeś właściwości Zacienionego Maga, ale Wojownik ma kamień Ajwary, który daje mu pewną ochronę przed magią. Nadszedł czas ostatecznej próby twojej siły, Kaffaraju. Nie staraj się go zabić. Używaj swoich umiejętności tak, żeby go przerazić i pokazać siłę Cienia. Pochwyć jego duszę i wtedy cała potęga Zacienionych Pałaców przyjdzie ci z pomocą. Poddamy duszę tego śmiertelnika niebywałym mękom.

- Jak mam pochwycić jego duszę?
- Musisz sam znaleźć sposób. Tu jestem bezsilny.
- Oni zabijają moje inkarny!
- To zaledwie martwe ciała. Zrobisz nowe, doskonalsze. Ale najpierw skończ z Wojownikiem, Kaffaraju! Ojciec Cieni oczekuje od ciebie zwycięstwa nad wrogiem, posłanym przez Zapomnianych.

- To wszystko?
- Wszystko - Mentor wskazał Amulet na piersi maga. - Weź do niewoli duszę Wojownika. Pokaż, że dobrze przyswoiłeś moje lekcje.

Kaffaraj pokornie skłonił głowę, a on zniknął razem z dymem. Wtedy do maga wróciło poczucie, że posiada ciało. I jeszcze coś - znowu doznał strachu. Musi walczyć z Wojownikiem, którego wysłał któryś z Zapomnianych Bogów. Który? Ajwara, której niemiłe są wyniki jego doświadczeń? Angusz, który uważa, że zbezczeszczył jego świątynię? Czy sam ojciec bogów, Bahus? A zresztą, jaka to różnica! Mentor wyraźnie powiedział - Wojownik zniszczy inkarny i przyjdzie tu. Po raz pierwszy Kaffaraj poczuł, że dwoistość jego nowej natury, nie daje mu żadnej przewagi nad śmiertelnikiem. W zaciętej postaci, nie będzie w stanie unicestwić wroga, w cielesnej - zostanie zraniony bronią nieznanego Wojownika. Chociaż...

Mentor kazał spotkać wroga i odgadnąć jego sekret. Zająrzeć do duszy, niedostępnej spojrzeniu Cienia. Ciekawe. Bardzo ciekawe. Wróg chyba nie podejrzewa jego dwoistej natury. Na pewno uważa, że spotka się z człowiekiem, a nie z Zaciętym Magiem. Wojownik nie będzie gotowy na magiczny atak, a jeśli nawet, to chyba nic nie wie o niebywalej potęgze Amuletu Wezwania...

Usiadł na kamiennych płytach, krzyżując nogi, zamknął oczy i rozpoczął swoją drogę w Ciemność.

Bitwa, w ostatniej sali amfilady, przyległej do laboratorium Kaffaraja, kończyła się. Dość długo przebijali się do tego miejsca. Kaście wydało się, że minęło kilka godzin. W każdej musieli walczyć z potworami. Gdyby nie kamień Ajwary, na zawsze pozostałoby w podziemiach. Dwa razy był ranny Telonis, trzykrotnie – Wisław, a i sama Kasta otrzymała kilka niedużych ran. Czarodziejski kamień za każdym razem uzdrawiał skaleczenia zadane przez inkarny, tamował krew, unieszkodliwiał działanie trującego jadu. Szli na spotkanie następnych monstrów, czekających w pustych salach porzuconej świątyni. Nie liczyli, ilu ich zabili. I oto teraz, na progu legowiska Kaffaraja, resztką próbowała jeszcze raz zagrozić przybyszom drogę. I znów okazali się silniejsi od nich. Z ośmiu, pozostały dwa - łuskowaty stwór z kostnym grzebieniem na głowie i ogromny, pstry hieno wilk, teraz - cofały się w mrok przed ludźmi, opryskanymi krwią ich współbraci. Telonis podniósł łuk, żeby wypuścić ostatnią strzałę, która mu pozostała, ale w tym momencie, łuskowate monstrum, nagle położyło się na posadzce przed Kastą, wyciągnąwszy do przodu szponiaste łapy, jakby prosiło o łaskę.

- Imię - nieludzki głos istoty zabrzmiał w świadomości dziewczyny, zmuszając ją do drgnięcia. - Imię wojownika.

- Po co ci moje imię?

- Imię zwycięzcy.

- Proszę o miłosierdzie? - uśmiechnął się Wisław. – Za późno.

- Poczekaj, Wisie - Kasta zrobiła krok do przodu. - Gdzie twój gospodarz?

- Pan słaby. Wojownik jest silny. Imię wojownika.

- Chcę widzieć twojego gospodarza.
- Imię wojownika - uparcie powtórzył inkarn.
- Kasta.
- Imię wojownika.
- Jestem Wojownikiem.
- Kobieta?.

Kasta poczuła, że jej wola słabnie. Nagle pojęła, że z nią nie rozmawia inkarn, lecz ktoś inny. Ten, który teraz widzi ją oczyma tego śmierzącego, łuskowatego brzydala. Nieznany szpicel, który niezrozumiałym sposobem wie, że Kasta, to zaledwie przezwisko.

- Jestem Lejda Elea Kasta - odpowiedziała, nie pojmując, co czyni. - A ty kim jesteś?

- Cieniem - odpowiedział i skoczył na dziewczynę.

Nie spodziewała się ataku: uratowała ją nabyta na darnackiej arenie wprawa i znakomity refleks. Cudem zdążyła odparować skierowane w jej twarz uderzenie szponiastej łapy, odcinając stworzeniu kiść. Inkarn z głośnym sykiem rzucił się do tyłu, opryskawszy dziewczynę krwią z kikuta. Rąbnęła bezlitośnie, z pociągnięciem, rozcinając czaszkę potwora od czubka do potylicy. Chwilę wcześniej, Telonis przebił strzałą serce hienowilka, atakującego Wisława. Inkarn przewrócił się na plecy, zupełnie po ludzku, głęboko westchnął i wydał ostatnie tchnienie.

- Chwała Atałajowi! - wyrwało się Wisławowi. - Chyba to był ostatni.

- Jesteś pewien? - zapytała, ze wstrętem wycierając miecz oblepiony krwawym śluzem, o sierść jednego z martwych stworów. - To samo mówiłeś w poprzedniej sali, i w poprzedniej, i wcześniej.

- Skończyły mi się strzały - ogłosił Telonis, demonstrując pusty kołczan.

- Wyjmuj z trupów - poradził Wisław. - Nieprzyjemnie brać je w ręce, ale jednak...

- Poczekaście! - Kasta zamarła, podniosła rękę. - Słyszycie?

Mężczyźni zamarli, wsłuchując się z napięciem, ale w ogromnej sali o łukowatym sklepieniu, było cicho.

- Nic nie słyszę - powiedział Wisław. - A ty, Telonisie?

- Nic.

- A ja słyszę - odpowiedziała. - Głos. Woła mnie. O, znów, słyszycie?

Po chwili jej serce zamarło, do głowy uderzyła krew. Ten głos.... To niemożliwe!

- AJLOR?!

- Kasta, gdzie jesteś? - głos dochodził z głębi świadomości, zmuszając ją do omdlenia ze szczęścia i bólu. - Nie mogę cię zobaczyć.

- Ajlor, gdzie jesteś?

- Jestem tu, blisko. Chodź do mnie.

- Kasta, to czary - wtrącił Wisław. - Nie powinnaś...

- Odejdź! - odskoczyła w bok, podniosła miecz. Cofnął się, zdjęty strachem. Nie przestraszył go wzniesiony Flamejon, ani okrzyk Seltonki. Przeraziło go jej spojrzenie. Zrozumiał, że wola dziewczyny została ostatecznie złamana. Znalazła się we władzy przywołującego ją, nieznanego głosu.

- Ajlor? - krzyknęła. Wszystko, czego pragnęła w tej chwili, to znów usłyszeć ten głos. - Elea jest z tobą?

- Tak, moja najdroższa. Elea też chce spotkać się z tobą.

- Mamusia? - dziecięcy głosik brzmiał dźwięcznie i ze zdziwieniem. - To ty? Ja już umiem mówić!

- Córeczko! - twarz Kasty zadrgała, łzy popłynęły z oczu. - Jestem tu, słoneczko moje. Idę do ciebie!

Wisław, otrząsnąwszy się z odrętwienia, rzucił się do dziewczyny, żeby pomóc jej uwolnić się od diabelstwa, ale było za późno. Zrobiła krok do przodu, nagle zachwiała się, ugięła kolana i upadła plackiem na trupa inkarna. Reszyjec chwycił ją, przewrócił na plecy, spojrzał w twarz i smutno zajęczał. Skórę Kasty zabarwiła trupia bladość, oczy stały się szkliste, oddech prawie zanikł. Słuchając bicia serca Seltonki, zrozumiał, że ono lada chwila zatrzyma się. Reszyjec zdrętwiał. Niezwyciężona dziewczyna umierała zaledwie o krok od zwycięstwa.

- Co... Co to? - Tełonis prawie płakał.

- Śmierć, chłopaku. Przegraliśmy.

- Ale dlaczego?

- Dlatego. Ten sukinsyn zastosował jakąś magię. Musimy ją zabrać ze sobą. Być może, myślę się i ona jeszcze... - głęboko odetchnął, żeby rozpacz nie zamieniła się w szloch. - Ona jeszcze żyje i nie możemy zostawić jej w tej ohydnej dziurze. - Podniósł martwe ciało Kasty, jeszcze raz popatrzył w jej twarz i zwrócił się do bladego, zmieszanego Tełonisa. - Zabierz ją, marynarzyku. Broni nie masz, dlatego walkę pozostaw mi. Może jeszcze uda się nam wydostać stąd.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Na początku było wrażenie snu. Być może, dlatego, że chciała zobaczyć wszystko co można, tylko nie to miejsce.

- „Nie, to nie sen, po prostu umarłam” – pomyślała. Podniosła się z trawy, rozglądając się na wszystkie strony. Dookoła rosły młodziutkie, zgrabne sosny, a dalej w dolinie, powoli toczyły się wody rzeki Faero. Przez minione pięć lat, na dobrą sprawę nic się nie zmieniło. Tylko, z jakiegoś powodu, zniknęły kolory. Obłoki nad głową wyglądały jak kłęby szarego, ciężkiego dymu na bezbarwnym niebie, sosny były czarne, a wody Faero przypominały roztopiony ołów.

To sen. Albo śmierć. Ale jeśli umarła, dlaczego boska Nekrian nie powitała jej?

Ze zdumieniem stwierdziła, że nadal trzyma w ręce obnażonego Flamejona. Potem przypomniała sobie, co powiedział jej Wassin – dopóki ma na rękach rękawiczki Zapomnianego Boga, broń zawsze zostanie przy niej. Chociaż, jaki z niej pożytek po tej stronie życia? Ściągnęła rękawiczkę, przykucnęła, przeciągnęła palce po szarej trawie. Poczowała materialność, realność trawy - i martwy chłód bijący od niej. Czarna ziemia wydawała zapach spalenizny i rozkładu.

Zapachniało śmiercią.

To miejsce jej i Ajlora. Pięć lat temu, w sosnowym gaju, na brzegu Faero, po raz pierwszy pocałowali się. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że go kocha – była po prostu ciekawa, co czuje dziewczyna, kiedy całuje się z chłopakiem. Potem często przychodzili tu we dwoje. Stąd roztaczał się piękny widok na Cerunię i rzekę Faero. Kąпали się, potem leżeli na ciepłym piasku objawszy się, całowali, pieścili, szeptali sobie różne głupstwa - byli szczęśliwi. Teraz zdawało się, że gaj, rzeka, sosny, brzeg, miasto w dole przy zakolu, to zaledwie zwłoki i popiół. Spalający się doszczętnie trup, zachowujący formę ludzkiego ciała, ale rozsypujący się przy dotknięciu.

Co z Nekrian?

- Ajlor? - krzyknęła. - Ajlor, jestem tu! Przyszłam.

- Wiem - odpowiedział znikąd i Kasta, usłyszawszy jego głos, dosłownie zachłysnęła się radością. - Chodź do mnie. Czekamy na ciebie, kochana.

- Nikogo nie widzę. Gdzie jesteście?
- W domu.
- Najdrożsi moi! Biegnę do was...

Niczym wicher przemknęła koło sosen w dół, do starego drewnianego mostku na Faerze. Wydawało jej się, że biegnie bardzo długo. Szare, martwe światło złudnego dnia stało się zupełnie mętne. W tym świecie też są zmierzchy? Jeśli tak, trzeba się pośpieszyć. Nekrian nie przyszła po nią, ale to nieważne. Wszystko zdarzyło się inaczej, niż sobie wyobrażała. Natomiast Ajlor i Elea oczekują jej. Nie mogą tak długo czekać.

Droga, obsadzona topolami, prowadziła do bramy Cerunii. Była otwarta. Ani straży, ani żebrzących przy wjeździe do miasta ubogich, ani koni w zagrodach przy murach. Pustka i zmierzch. Skrzydła bramy, skrzypiąc kołysały się od porywów wiatru, wiejącego Kaście w plecy.

Nigdy nie myślała, że brama do królestwa Nekrian wygląda podobnie jak brama bliskiego jej miasta, które powitało ją ciszą i jękiem wiatru w koronach drzew. Przechodziła koło domów z szarymi ścianami i pustymi oknami, koło ogródków z płotami, przypominającymi narysowane węglem obrazki. Wszystko zastygło, tylko gęste cienie w zaułkach zaczynały się ruszać, kiedy się zbliżała. Ktoś obserwował ją - ktoś niewidoczny. A potem, zobaczyła swój dom, ten sam, w którym razem z Ajlorem zamieszkali po ślubie i który swoimi rękami przekształciła w pogrzebowy stos dla męża i córki. Zatrzymała się, zmogła ją słabość, oczy zasnuła mgła - w drzwiach domu stali...

- Ajlor! Elea!

Ajlor zupełnie się nie zmienił, tylko w jasnych kędziorach ukazała się siwizna. A Elea - boska Szante, jakaż ona piękna!

- Córeczko! - podbiegła do dziecka, objęła dziewczynkę, obsypała jej twarz pocałunkami. I nagle poczuła silne uderzenie w głowę, które przewróciło ją na ziemię.

Nad nią stał Ajlor. Rozwścieczony, z grymasem złości na twarzy, zaciskający pięści.

- Przeklęty psie! - krzyknął z wściekłością. - Jak śmiesz obłapywać moje dziecko!

- Ajlor? - zdumiona patrzyła na męża. - Przecież to ja, Kasta.

- Brudny nikczemniku! Zboczeńcu przeklęty. Tylko podejdź do dziecka, a rozbiję ci łeb. - Chwycił ciężką łopatę, opartą o ścianę w domu, ruszył na Kastę. - Zabieraj się precz, wyrodku!

- Ajlor, przecież wołałeś mnie! - patrzyła na dziewczynkę, która schowała się za ojca i widziała strach w jej oczach. - Co z tobą? Nie poznajesz mnie? I dlaczego mówisz do mnie, jak do mężczyzny?

- Przecież ty jesteś mężczyzną, by cię pokarała Maranis! Co, nie wiesz kim jesteś? Z córeczką przyszliśmy tu, ponieważ zawołali nas na spotkanie z moją żoną i jej matką. A przyszedłeś ty, byś był przeklęty! Nazywasz się Kastą, obłapujesz moje dziecko. Idź precz, bydlaku! Nie będę zważać, że masz miecz - zabiję, jak zadżumionego szczura.

- Ja - mężczyzną? - zakłopotana patrzyła w pełne gniewu oczy Ajlora. - Ukochany, o czym ty mówisz?

- Ukochany? - zaśmiał się złowieszczo, podniósł łopatę. - Wynoś się do swego lupanaru, podstawiaj tam tyłek takim samym pedziom, jakim jesteś sam. Prawdopodobnie, pomyliłem się - ty nie jesteś mężczyzną. Ty po prostu jesteś brudnym rozpustnikiem. Moja cierpliwość się kończy.

- Ja... ja nic nie rozumiem.

- Tu nie ma co rozumieć. Zabieraj się stąd!
- Ajlor, tak nie może być. Co z tobą? – powtórzyła zdezorientowana.
- Ze mną wszystko w porządku. A, tobie zaraz przytrafi się nieszczęście. Albo zabierzesz się stąd, albo zabiję cię na oczach dziecka.
- Poczekaj, nie trzeba - wyciągnęła rękę do Ajlora. - Odchodzę. Nie poznałeś mnie, Ajlorze. Złamałeś mi serce. Szkoda, że Elea nie może powiedzieć ci, że jestem jej matką. Była jeszcze kruszynką, kiedy... kiedy rozstaliśmy się. Tylko pozwól powiedzieć ci, że Lejda zawsze kochała i pamiętała o was. Ona bardzo cierpi bez was.
- Wiem o tym i bez ciebie - głos Ajlora zadrżał. - Odejdź.
- Dobrze. Przebac, Ajlorze. Nie proszę o pozwolenie, by pocałować dziecko - wiem, że się sprzeciwisz. Pewnego razu spotkamy się znów i zrozumiesz, że postąpiłeś okrutnie, wypędzając mnie. Ale wybaczam ci, koch... Ajlorze.
- Odejdź! Znikaj!
- Odchodzę. Tylko powiedz mi, proszę - kim ja jestem? Kogo teraz widzisz?
- Widzę mężczyznę, który przynosi hańbę swojej naturze. Który skądś zna imię mojej żony i który naprasza się o przykrości.
- Kto kazał ci przyjść tu i spotkać się z Kastą?

Ajlor nie zdążył odpowiedzieć. Za jej plecami dał się słyszeć głuchy, miękki tupot - jeden z cieni, który chował się w ciemnym zaułku między domami, przybrał straszne zwierzęce zarysy i ruszył na Seltonkę ogromnymi, drapieżnymi susami. Zdążyła zobaczyć żółte, płonące oczy, paszczę z dużymi kłami, spływającą po mordzie białawą pianę - i w następnej sekundzie, nieznany stwór, z rykiem skoczył na nią.

Nie ruszyła się z miejsca. Myślała nie o sobie, ale o Elei i Ajlorze. Była przekonana, że zwierzę pragnie ich krwi. Niech spróbuje zmierzyć się z nią, zanim dotrze do jej bliskich. W swoim życiu wysłała w objęcia Nekrian niemało ludzi i istot. Teraz, także w tym świecie, jest gotowa znów pokazać swoją sztukę zabijania. Ten potwór jest podobny do ogromnego psa-ludożercy z Porzuconych Ziem, z którym walczyła w darnackim cyrku. Zabijała je bez szczególnych trudności. To diabelstwo także wykończy, inaczej nie byłaby Kastą!

Pięścią ugodziła w mordę ciemnego potwora, odrzuciła zwierzę do tyłu. Ryk urwał się kaszlącym szczekaniem, stwór cofnął się, kręcąc łbem, rozchlapując pianę. Korzystając z jego oszołomienia, wyszarpnęła miecz z pochwy, z krzykiem rzuciła się do przodu, równocześnie unikając groźnych szczęk. W błyskawicznym obrocie znalazła się z boku zwierzęcia, nie dając mu czasu na obrót, cięła po dolnej części grzywy. Usłyszała, jak pod klingą Flamejona zachrząściły kręgi. Drugie uderzenie rozcięło arterię i strumień lodowatej krwi oblał nogi Kasty. Od mdlącego fetoru zatkało oddech. Zwierzę zaskomlało, zaryło w zakurzoną ziemię, spróbowało wstać, znów upadło - łapy odmówiły mu posłuszeństwa. Podniosła Flamejona obiema rękami, ze zwycięskim okrzykiem wbiła w pierś ciemnego drapieżnika, szarpnięciem obróciła klingę w ranie - i zrobiło się cicho.

Stopniowo wracało jej poczucie rzeczywistości i nie zdziwiło, że Ajlora i Elei już przy niej nie ma. Nie ma ich domu i całej ulicy. I Cerunii już nie ma. Został tylko trup zwierzęcia, podpełzająca do nóg kałuża krwi, cuchnącej i kipiącej niczym kwas. Stała nad pokonanym stworem i widziała dookoła siebie szarą, martwą równinę pod ciemnym niebem.

- Ajlor! Elea!

Cisza. Pustka i mrok. Ciężka chmura nakryła Kastę swoim cieniem. Bezbarwny świat dookoła niej coraz bardziej zmieniał się w Ciemność.

Teraz męczyło ją tylko jedno pytanie - co robić dalej? Już nie wątpiła, że umarła, ale to, nie przerażało jej. Co innego budziło grozę: Ajlor jej nie poznał.

Dlaczego?

Zauważyła, że na szyi martwego zwierzęcia coś błyszczy. Pochyliła się, rozchyliła palcami twardą, zmierzwioną sierść.

Łańcuch, misternie wykonany. Metal wydał się szary, jak ołów, ale w tym świetle wszystko ma martwy odcień szarości.

Namacała zatrząsk i rozpięła łańcuch. Teraz, na jej dłoni, leżał niezwykle i piękny amulet: wypukła gwiazda, z szesnastoma falistymi promieniami i przezroczystym kamieniem w centrum.

- Doskonale, Kasto!

Drgnęła. Przedmiot nagle zapalił się złotymi iskierkami, kamień przybrał krwawą barwę. Świat znów zyskał kolory świeżego, słonecznego, letniego dnia.

- Wiedziałem, że nie pomyliłem się, co do ciebie! - młodzieniec ze śnieżnobiałymi włosami i małpką na ramieniu wyszedł ze słonecznego blasku i podszedł do niej. - Poradziłaś sobie i Zapomniani uzyskali długo oczekiwanego Wojownika.

- Mistrzu Kielisie? - mimo woli cofnęła się o krok. - Co się dzieje?

- Wypełniłaś moje zadanie. Kaffaraj jest martwy i Amulet Wezwania jest teraz bezpieczny.

- Kaffaraj? - Kasta przeniosła spojrzenie na tuszę zwierzęcia przy swoich nogach. - Ten stwór?

- Zacieniona Strona jest perfidna. Zmieniła jego postać. Myślał, że uzyskał władzę nad demonami Świata Cieni, jednakże, za każdym razem, wzywając ich za pomocą Amuletów, stawał się częścią Zacienionej Strony. Płacił stworom z Cienia, swoją życiową siłą. W końcu został Zacienionym magiem-wampirem, a taka istota jest bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Jednakże tobie udało się go zabić i to udowadnia, że jesteś właśnie tym człowiekiem, który zostanie naszym obrońcą w nadchodzącej bitwie.

- Dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałeś?

- Nie uwierzyłybyś mi. Oddaj Amulet.

- Dobrze - dziewczyna z żalem przekazała drogocenny przedmiot mistrzowi Kielisowi i czarodziejskim amuletem natychmiast zawładnęła małpka. - Dopełniłam swojej części porozumienia. Co teraz?

- Nagroda - Kielis zdjął zecerski pas z podłużnych srebrnych płytek, pokrytych misternym grawerowaniem, przekazał dziewczynie. - To pas Angusza, jeszcze jedna relikwia Zapomnianych. Uwolni cię od strachu przed Cieniem i jego stworami.

- Nagroda - dla mnie? Przecież jestem martwa.

- Mylisz się - zaśmiał się. - Kaffaraj tylko spróbował zawładnąć twoją duszą. Wezwał ją na Zacienioną Stronę, wykorzystując siłę Amuletów.

- Amuletów Wezwania?

- Niebezpiecznej rzeczy, jednego z ostatnich artefaktów epoki Nin. Na szczęście, nie przewidział, z kim ma do czynienia.

- Dlaczego Ajlor nie poznał mnie?

- Bardzo chcesz to wiedzieć?

- Wiem, że ty jesteś jednym z Zapomnianych. Nazywam cię Kielisem, ale twoje prawdziwe imię, Angusz, bóg księżyca. I ty możesz mi wszystko wyjaśnić.

- Co ci powiedział Ajlor?

- Że nie jestem Kastą. Wziął mnie za mężczyznę.

- Ajlor się nie pomylił. Twoje zacienione odbicie jest mężczyzną.

- Nie rozumiem.

- Dwadzieścia dwa lata temu, w dawnej stolicy Nin, Erie-Dalorii urodziła się dziewczynka o imieniu Margiana. Dziecko, z nienaturalnego związku demona Zacienionej Strony i śmiertelnej kobiety, półczłowiek -półdemon. Szerkańscy magowie Czaszy, dawnego zakonu, stworzonego jeszcze w czasie epoki Szu, osiągnęli cel - urzeczywistnili pierwsze ze złowieszczych proroctw o nadejściu cesarstwa Zacienionego Władcy. Ale w jednym czasie z Margianą, ziemskim wcieleniem Cienia, urodziło się jeszcze dwoje dzieci - dziewczynka i chłopiec. Stało się to, co jest zapisane w Tabelach Losów: strona Jasna i Zacieniona zrównoważyły się. Niemowlęta, urodzone w noc spełnienia się proroctwa, naznaczone zostały łaską Zapomnianych, przeciwstawiających się Zacienionej Stronie od tego dnia, kiedy został stworzony świat. I łaska ta - Odbicie Cienia. W chwili urodzenia, bogini-matka Najnawa, swoją władzą, zamieniła dusze dzieci. Męska - znalazła się w ciele dziewczynki, żeńska - chłopca. W tym jest głęboki sens: Oko Cienia nie mogło zobaczyć dziecka w naszym świecie i skrzywdzić. Dziewczynka, o której mówię, to ty, Kasto. Zapomniani obserwowali cię od chwili, kiedy w doryjskim mieście Alorja, twoi rodzice podzielili łożę, marząc o tym, żeby ta noc miłości przyniosła im dziecko.

- Urodziłam się w Cerunii!

- Ale poczęto cię w Alorii. Twój ojciec Rekser-wojownik był seltońskim najemnikiem w armii ówczesnego władcy Dorii, Foskanosa. W Alorii poznał się z twoją matką, Chałłanoją. Na krótko przed twoim urodzeniem się, kontrakt Reksera skończył się i oboje z żoną wrócili do Cerunii.

- Wszystko się zgadza, moich rodziców nazywano właśnie tak - Kasta poczuła silne wzruszenie. - A chłopiec, kim jest?

- To wnuk stratega Artawisa, syn jego córki Chrissii i Leonisa, sławnego wojownika. Ma na imię Leodan.

- Wielka Beris! - roześmiała się. - Jednego Leodana znam. Niezdatny do niczego, zniewieściał niewolnik, który może tylko podawać nocnik.

- Ale, jest właśnie tym dzieckiem, które urodziło się o tej samej godzinie, co ty. Rozpoczynająca się w Dorii wojna, zmusiła jego rodziców do ucieczki z kraju. Galera, na której płynęli, została zdobyta przez sabejskich piratów. Leonis został zabity, jego ciężarną żonę sabejczycy sprzedali handlarzom niewolników w Petarii, a potem ją odsprzedali darnackiemu bogaczowi Uzmajowi. W ten sposób Chrissija trafiła do Darnatu i Leodan urodził się w domu Uzmaja. Nadszedł dzień i Tabele Losów też przyprowadziły cię do Darnatu. Wasze drogi znów się spotkały.

- Teraz rozumiem, dlaczego kobieta-Doryjka mówiła o jakiejś Chrissii - jej nogi ugięły się. - Wszystko, o czym mówisz Kielisie, jest nieprawdopodobne.

- Jednakże to prawda. To był jedyny sposób ukrycia przyszłego Wojownika przed okiem Cienia. Twoja przewaga polega na tym, że on nie może znaleźć cię: do pewnego czasu jesteś ukryta przed jego spojrzeniem. Tym, którzy służą Zacienionej Stronie, w realnym świecie, nawet do głowy nie przychodzi, że Wojownik Zapomnianych, którego tak się boją, jest kobietą.

- Dincze mówiła mi o Zapomnianych. Wtedy nie rozumiałam tego.

- Nie możesz dopuścić do tego, by powróciły ciemne czasy Szu. Teraz rozumiesz, dlaczego Ajlor zobaczył mężczyznę? On zobaczył tego, który przez wszystkie lata żył w ciele dziewczyny o imieniu Lejda - prawdziwego Leodana. Właśnie to zgubiło Kaffaraję. Liczył, że na jego mistyczne zawołanie, przyjdzie dusza Lejdy-Kasty i zawładnie nią na użytek Zacienionej Strony. Przez inkarna poznał twoje imię i zdołał rozdzielić duszę i ciało. Tak trafiłaś na Zacienioną Stronę. Kaffaraj użył dusz Ajlora i Elei, żeby doprowadzić obrzęd do końca. Wszystko miało być proste:

Ajlor poznałby ciebie i tym samym pomógłby Kaffarajowi upewnić się, że to ta sama dusza, którą chce zawładnąć. Cień Kasty. Jednak przyszła inna, której imienia nie znał, bo nie była Kastą. Magiczny obrzęd zniewolenia duszy jest niemożliwy, jeśli nie zna się jej imienia. Wtedy zdecydował zabić ciebie - i został zabity sam.

- Poczekaj Kielisie, czegoś tu nie rozumiem. Jeśli jestem Leodanem, to jak to może być, że pokochałam Ajlora, urodziłam dziecko?

- Masz ciało kobiety. W materialnym świecie, ono podporządkowuje duszę tak, że żyłaś w pełnej harmonii z nim. Póki twoi bliscy byli żywi, nawet nie podejrzewali tego, kim tak naprawdę jesteś. Cierpienia i nieszczęścia zmieniły cię, twoje ciało i twego ducha. Prawdziwa dusza, żyjąca w ciele Kasty jest duszą wojownika Leodana i ona coraz bardziej uzewnętrznia się. To, że zdołałaś wypełnić moje polecenie, kolejny raz to potwierdza.

- Ale ja nie chcę tego, Kielisie! Chcę pozostawać kobietą. Przyzwyczaiłam się do tego, że jestem Kastą.

- Jesteś Lejdą - poprawił z uśmiechem. - Przypomnij sobie, już zmieniłaś się. Śmierć twoich ukochanych, zmusiła Lejdę, by została Kastą. Teraz twój los żąda od ciebie kolejnej zmiany. Nie bój się, pozostaniesz sobą. Ale będziesz musiała iść tą drogą, która w Tabelach Losów była przeznaczona skrytemu władcy Sabei i Dorii - Leodanowi. Wojownikowi, który zdoła przeciwstawić się potędze Szeranu i zatrzyma powrót Zacienionego Przeróżenia.

- Ale dlaczego bogini-matka Najnawa zamieniła dusze różnopłciowych niemowląt? Czyż nie można było znaleźć dwóch chłopców?

- Czasu i miejsca wykonania proroctwa nie wolno zmieniać. Tak już się stało, że o godzinie wschodzącej gwiazdy, w Alorii byli poczęci chłopiec i dziewczynka. Rozumiem, co chcesz powiedzieć - trudno ci uwierzyć, że w żeńskim ciele może żyć dusza mężczyzny. Przypomnij sobie swoje życie przez ostatnie lata i zrozumiesz, że mylisz się.

- A Leodan żył spokojnym i sytym życiem, bo żeńska dusza wzięła w nim górę nad męskim ciałem?

- Jesteś mądra, Kasto. Jeszcze raz powtarzam - nie pomyliłem się, co do ciebie.

- Co mam robić dalej?

- Iść na spotkanie oczekującej cię burzy. Poradzisz sobie. Już nieraz zaglądałaś śmierci w oczy, więc twoja przyszłość nie przestraszy cię.

- A Leodan?

- Jesteście teraz związani mistycznym związkiem. Odnależliście się i nie powinniście się rozstawać. Rozumiem, pogardzasz tym młodzieńcem. Musisz pogodzić się z tym, że on będzie teraz obok ciebie. To nie pusty kaprys Zapomnianych, Kasto. Leodan potrzebny tobie nie mniej, niż ty jemu. Pewnego dnia zrozumiesz, o co chodzi.

- Pewnego dnia, nie teraz? Niczego nie chcesz mi wyjaśnić?

- Śmiertelni nie powinni znać swojej przyszłości.

- A co z Ajlorem i Eleą? Wydaje mi się, że na zawsze ich straciłam.

- Tak ci się tylko wydaje. Spotkasz się z nimi. Nie w tym życiu, ale z pewnością się spotkasz. I oni poznają cię. Będą się cieszyć tobą. Uwierz, tak się stanie. A teraz idź. Powrotną drogę znajdziesz bez mojej pomocy.

- ...Dotrzemy do Fanary, a tam zdecydujemy, jak będzie lepiej ją pogrzebać. Seltończycy palą swoich nieboszczyków. Idę o zakład, że życzyłaby sobie właśnie takiego pogrzebu.

Głos Wisława. Kasta odszukała go oczami - Reszyjec stoi przy drzwiach kajuty i rozmawia z kapitanem Fasisem. Obaj mają bardzo poważne twarze. Czy mówią o jej pogrzebie?

- Hej! - zawołała.

Wisław krzyknął, oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia. Fasis po prostu osłupiał.

- Żyjesz! - wrzasnął po chwili, a w jego okrzyku dziwnie zmieszały się przesądne przerażenie i zachwyt. - Wielki Akwinie, co za baba!

- Ty... przecież umarłaś! – powiedział zaskoczony Reszyjec, wlepiając w Kastę oszołomiony wzrok. - Byłaś zimna jak lód i nie oddychałaś.

- Prawdopodobnie, masz rację - z trudnością podniosła się z twardej, kapitańskiej pościeli, ze wstrętem spojrzała na swoje ręce, pokryte warstwą brudu i krwi. - Gdzie mój miecz?

- Zaraz przyniosę! - Fasis niczym zaskroniec wyśliznął się z kajuty. Z uśmiechem przysłuchiwała się zachwyconym krzykom na pokładzie.

- To niemożliwe! - Wisław spoglądał na dziewczynę, jak na zjawę. – I jak tu nie wierzyć, że cuda jeszcze się zdarzają.

- Przyniósłbyś lepiej wody - powiedziała, opuszczając nogi z łóżka. - Tełonis żyje?

- Żyje. Ale co się zdarzyło, Kasto? Myśleliśmy...

- Nie mówmy o tym, Wisie. Wszystko w porządku. Nic mi nie jest, tylko ciało okropnie swędzi. Przynieś wody. Jeśli natychmiast się nie umyję, to naprawdę umrę.

- Wybacz mi. Kiedy ty... w ogóle, przestraszyliśmy się. Z twojego powodu przestraszyliśmy się. I zdecydowaliśmy się wracać. Chcieliśmy natychmiast odnieść ciebie na statek i spróbować, chociaż w czymś ci pomóc. I dlatego nie zabiliśmy Kaffaraja. Ale jeśli chcesz, jesteśmy gotowi wrócić natychmiast do świątyni i dobić łotra!

- Wszystko już zrobione, Wisie. Kaffaraj jest martwy.

- Martwy? Zabiłaś go?

- Jak myślisz, po co musiałam udać się w zaświaty i wystraszyć przy tym ciebie i Tełonisa? Przynieś wreszcie wodę, by cię zabrała Nekrian!

Wisław rozpromienił się, potaknął głową i wypadł z kajuty. Podniosła się z łóżka, przez chwilę stała nieruchomo, walcząc z pojawiającymi się zawrotami głowy. Potem jej spojrzenie padło na kufer przy wezgłowie. Zobaczyła znajomy pas, z pociemniałymi ze starości srebrnymi blaszkami, ozdobionymi zagadkowymi znakami.

Pas Angusza. Jeszcze jedna relikwia Zapomnianych, nieznanym sposobem znalazła się tu, w tej kajucie. Nagroda dla niej.

A, może dla Leodana?

Już drugi raz, w ciągu dwóch tygodni, posłaniec Zacienionej Strony przyszedł do Kirisa we śnie i zażądał spotkania. Przybył on do Sali Pogawędki z podarunkiem dla mieszkańców Cienia - ludzkim dzieckiem.

Chłopiec miał siedem lat, był logaryjskim niewolnikiem ostatnio przywiezionym do Erie-Dalor przez handlarzy. Mag sam wybrał przyszłą ofiarę. Posłaniec oznajmił,

że Ojcu Cieni potrzebna jest krew tego, kto jeszcze nie stał się mężczyzną - dziwna zachcianka! Postanowił, że najlepiej do tego nada się chłopiec-niewolnik.

Chłopiec zachowywał się bardzo godnie. Jeśli nawet bał się, to nie okazywał tego. Gdy tylko z mistrzem Ch'zarem, przez ostatni portal, wprowadzili dziecko do Sali Pogawędki, zauważył, że czoło chłopca pokryło się potem.

- Gorąco ci? – zagadnął, nie oczekując odpowiedzi.

Pojął, że ten siedmioletni niewolnik, wie co go czeka. Nie rozumem - sercem. Mimo to, jest spokojny. Prawdopodobnie, pomylił się w wyborze – bo on, duszą, już jest mężczyzną...

Weszli do środka Gwiazdy Pogawędki i Kiris, westchnąwszy, zaprowadził chłopca do miejsca przecięcia szesnastu promieni i wolną ręką dał znak mistrzowi Ch'zarowi. Ofiarny pałasz gwizdnął w powietrzu. Głowa chłopca potoczyła się po płytach posadzki do jednego z kwarcowych słupów. Kiris cofnął się - krew opryskała połę Zacienionego Płaszczu i jego pantofle. Jednakże, w następnej chwili, zapomniał o ofierze. Kejcze-pośrednik ukazała się tak szybko, że nawet nie zdążył wyczuć jej zbliżania się.

- Mów - powiedział.

- Ojciec Cieni otrzymał to, czego pragnął - odpowiedziała, z widocznym pożądaniem przyglądając się krwi rozlewającej się po posadzce. - Oko Cienia zobaczyło naszego wroga.

- Naprawdę? - ucieszył się.

- Wojownik przyszedł do waszego współbrata Kaffaraja i zabił go. Ale przed śmiercią, zdążył wezwać duszę wojownika na Zacienioną Stronę i oko Cienia zobaczyło go.

- Kaffaraj nie żyje? - Kiris nigdy nie darzył go sympatią za jego wyniosłość i arogancki język, ale wiadomość o śmierci byłego współtowarzysza, szczerze go zmartwiła.

- Kaffaraj wykonał już swoje zadanie. Teraz kolej na ciebie. Proszę odnaleźć człowieka o imieniu Leodan.

- To imię doryjskie, bardzo rozpowszechnione.

- Zgadza się. Co ono oznacza w języku Doryjców?

- Syn Iwa - wzniosł ręce do sklepienia sali. - Chwała Ojcu Cieni! To ten sam człowiek, o którym mówi przepowiednia Chłoddą!

- Proszę go odnaleźć, zabić i wysłać jego duszę na Zacienioną Stronę, abyśmy mogli poddać ją oczyszczeniu wiecznym bólem.

- Gdzie mamy go szukać?

- Wszędzie. Proszę zacząć od Dorii. Wasi ludzie rozpoznają go po relikwiach Zapomnianych.

- Dziękuję ci za dobrą wiadomość, kejcze.

- Skończcie z tym, kogo wskazał wam Cień, jak najszybciej. Tego pragnie nasz wspólny Władca.

Kejcze zniknęła. Kiris, mimo woli, skurczył się - na podłodze nie zostało najmniejszych śladów krwi, a ciało chłopca przekształciło się w ciemne zwłoki. Mag pośpiesznie porzucił krąg kwarcowych słupów i podszedł do oczekującego przy portalu mistrza Ch'zara.

- Idę do arcymistrza Chraora - powiedział. – Ty, razem ze wszystkimi dowódcami Milczących, przyjdiesz do sali konklawe za dwie godziny.

Chraor wysłuchał Pośrednika i mag dostrzegł, że arcymistrz jest bardzo zadowolony.

- Nie będę zbierać rady magów - powiedział Chraor. - Natychmiast udam się do naszej małej królowej i pocieszę ją dobrą wiadomością. A ty zajmij się poszukiwaniami tego Leodana. Nie wątpię, że Milczący szybko go odszukają. Gdzie zaczniesz poszukiwania?

- Planowałem zacząć od Dorii. Ale teraz zaświtała mi pewna myśl. Pomyślałem o Kaffaraju.

- Nie przypominaj mi o tym odstępcy i pyszałku!

- On tylko mylił się, arcymistrzu. Uważał, że poznał tajemnicę nieśmiertelności, a my, nie. Teraz jest martwy.

- Nie mam nic do niego.

- Przypomniałem sobie, zdaje się, że Kaffaraj urządził swoje laboratorium na jednej z wysp przy wybrzeżu Szury. Chyba, na Cichej. Można rozpocząć poszukiwania tam. Poza tym, trzeba wysłać naszych agentów nie tylko do Dorii, ale i do Darnatu. Nie zapominaj, arcymistrzu, że król Udaj skierował swojego posła z kamieniem Ajwary właśnie do Darnatu. Jest to bardzo podejrzane.

- Bardzo mądrze myślisz, Kirisie - pochwalił Chraor. - Znajdź tego człowieka i zrób tak, żeby on nie stał nam na drodze. Nie można pozwolić komukolwiek, aby naruszył bieg wydarzeń. Wybierz sobie pewnych wykonawców, a następnie udaj się do Darnatu. Nie ufam Aszranowi. Powinieneś być w Gale, kiedy stolica sabejczyków padnie.

- Jak sobie życzysz, arcymistrzu. Dostarczę Wieniec Otchłani do Erie-Dałor. - Przez chwilę milczał, po czym dodał z uśmiechem: - Ale przedtem, przyniosę głowę Leodana.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zachód słońca był dzisiaj wyjątkowo piękny. Obłoki, o niezwyklej formie, zabarwiały się takim odcieniem purpury, że Leodan, mimo woli, zapatrzył się na grę barw. Ale zachwycić się zachodem nie mógł zbyt długo; zapadający zmierzch i nasilająca się bryza, zmusiły go do opuszczenia pirsu.

Szedł przystanią koło przycumowanych statków handlowych, łodzi rybackich i barkasów, piramid z worków i skrzynek, ogromnych stert śmieci, zwalonych wprost na przystani i oblepionych chmurami much. Ładowacze i marynarze, półnaczy, o spalonej na brąz słońcem skórze, pachnący morską solą i zastarzałym potem, patrzyli z ukosa na Leodana, jaskrawo ubranego, z długimi kręconymi włosami. Zdecydowanie nie pasował do tego miejsca. Co jakiś czas słyszał śmiechy, nieprzyzwoite okrzyki i propozycje, ale nie zwracał na nie żadnej uwagi. Myślał o tym, że czekał w porcie na próżno – „Jerzyk” dzisiaj także nie wrócił.

- Gdybym się mógł do ciebie modlić, Igierabale - wyszeptał, przystanawszy na brzegu pirsu i patrząc w brudną wodę, w której pływały śmieci, zdechłe ryby i bure bicze wodorostów – prosiłbym, abyś uczynił mnie delfinem, żebym mógł popłynąć do nich i jeszcze raz zobaczyć Wisława! Przecież nie zrobisz tak, że on zapomni o mnie, prawda? On przecież wróci po mnie, prawda?

Zdechłe ryby wystawiały z mętnej, czarnozielonej wody swoje białe brzuszki i milczały, tak, jak powinny milczeć ryby – czy to żywe, czy zdechłe. Nad głową krążyły mewy, ale od ich przenikliwych krzyków, robiło się jeszcze smutniej. Niebo przybrało winno-czerwoną barwę, a statki na redzie przekształcały się w czarne zarysy na tle przedwieczornego nieba. Wiatr wzmógł się. Skuliwszy się, poszedł do wyjścia z portu.

To, że jest śledzony, zauważył dopiero w mieście. Kiedy zatrzymał się przy straganie z warzywami, by wybrać owoce, zwrócił uwagę na starszego mężczyznę, który stał w odległości około dwudziestu kroków i z ciekawością mu się przyglądał. Był zadbany i elegancko ubrany, ale Leodan natychmiast przypomniał sobie historię z pierścieniem, dwóch złodziejaszków, z powodu których omal nie zginął na morzu i dlatego szybko odszedł od straganu, przeciął ulicę, i nie odwracając się, pomaszerował w stronę rynku. Jeszcze nie miał powodu do zmartwienia - na ulicy było dużo ludzi, a na rogu, obok smażalni, na której gospodarz małej karczmy przygotowywał drażniące podniebienie szaszłyki, stało dwóch żołnierzy z miejskiej gwardii Fanary i gapilo się na przechodzące obok młode kobiety. Zrównawszy się ze smażalnią, obejrzał się i zauważył, że nieznajomy nadal podąża za nim, jak uwiązany, więc podjął decyzję.

- Panowie - powiedział podbiegając do żołnierzy - proszę mi pomóc! Tamten człowiek obserwuje mnie od samego portu, jestem tego pewien.

- Co? - rosły gwardzista zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. - Obserwuje cię? Przysięgam na Ameryję, matkę bogów, a co mi do tego?

- Boję się, panie.

- Boisz się? - gwardzista popatrzył na swojego przyjaciela i obaj się roześmiali.

- Widocznie, spodobałeś mu się. Niech będę przeklęty, jeśli ten młodzian nie zamierza spędzić z tobą wesołego wieczorku. Popatrz na siebie! W pierwszej chwili myślałem, że jesteś dziewczyną.

- Panie, ja się naprawdę boję.

- Zjeżdżaj-no stąd, piękniśiu - gwardzista splunął przez zęby i poklepał po rękojeści miecza. - Jak nie, to zaraz znajdziesz się w ciupie. W Fanarze, chwała bogom uliczna prostytutka jest zakazana, tak żeńska, jak i męska. Na co czekasz, brzydal? Niezbyt jasno się wyraziłem?

Przestraszony pobiegł w górę ulicy, chcąc jak najszybciej dotrzeć do swojego hotelu. Zresztą, sił mu wystarczyło nie na długo; minawszy jedną przecnicę zatrzymał się, żeby nabrać tchu i z przerażeniem zobaczył, jak nieznajomy wyszedł z zaułka między domami i skierował się wprost do niego.

- Zostaw mnie! - wrzasnął. - Zawołam ludzi, będę krzyczeć!

- Doryczyk? - nieznajomy rozpromienił się. - O, naprawdę mam dzisiaj szczęśliwy dzień. Nie dość, że znalazłem czarodziejski kwiat, do tego jeszcze wyrósł na mojej ojczystej ziemi.

- Ludzie, proszę, pomóżcie! - krzyknął Leodan.

- O, nie denerwuj się mój przyjacielu, nie mam zamiaru uczynić ci krzywdy - przemówił nieznajomy, przyciskając ręce do serca. - Bogowie moimi świadkami, że szedłem za tobą tylko dlatego, że byłem zachwycony twoją osobą. Jaka budowa ciała, jaki chód! Wcześniej nie widziałem cię w naszym mieście. Kim jesteś, mój przyjacielu?

- Czy to takie ważne?

- Uwierz mi, bardzo ważne! Ale pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Zalman i też pochodzę z Dorii. Jestem poetą i twórcą sztuk teatralnych. Ponadto, jestem współwłaścicielem miejscowego teatru. W Fanarze jestem, powiem bez fałszywej skromności, bardzo znany i, prawdę mówiąc, nie tylko w Fanarze - w całej Orgielle. A ty, jak rozumiem, przyjezdny?

- Zgadza się - odpowiedział trochę uspokojony. Zalman miał otwartą i uśmiechniętą twarz wesołka i hulaki: człowieka z taką twarzą trudno podejrzewać o złe zamiary. - Jestem Leodan, niewolnik pani Kasty.

- Niewolnik? - klasnął w dłonie. - Ty - niewolnik? Jakże musi być szczęśliwa twoja pani, że może pozwolić sobie na takiego niewolnika?

- Jestem w pełni zadowolony ze swego losu.

- Bogowie, jaka szkoda!

- A to dlaczego?

- Patrząc na ciebie, sądziłem, że jesteś aktorem albo tancerzem. Przebacz, mój przyjacielu, pomyliłem się. Życzę ci przyjemnego wieczoru.

- Poczekaj, z czego wywnioskowałeś, że jestem aktorem?

- Tak mi się wydało. Jesteś bardzo wytwornie ubrany, pięknie poruszasz się i twoje gesty są pełne wdzięku. Przebacz, mój przyjacielu, ale początkowo myślałem nawet, że jesteś dziewczyną. Dlatego pomyślałem, że jesteś aktorem, grającym role kobiet. A mi, bardzo potrzebny jest taki aktor. Oczywiście, znam wszystkich w Fanarze i byłem szalenie ciekaw - co za nowa gwiazda zjawiała się w naszym mieście? Dlatego szedłem za tobą, z nadzieją nawiązania znajomości. Ale teraz wiem, że pomyliłem się. Przebacz mi!

- Zaczekaj, Zalmanie. Przebacz, że podejrzewałem cię o złe zamiary.

- O, nie szkodzi! - poeta uważnie popatrzył na Leodana. - Posłuchaj, mój przyjacielu, a co robiłeś w porcie?

- Moja pani, razem z moim przyjacielem, odpłynęli statkiem w ważnej sprawie. Czekam na ich powrót i każdego dnia chodzę do portu, żeby przywitać statek.

- Coś podobnego! Po raz pierwszy spotykam takiego wymusztrowanego niewolnika. Prawdopodobnie, twoja gospodyni jest bardzo godną kobietą.

- Kobieta? - wywrócił oczy w teatralnym przerażeniu. - Bogowie zażartowali sobie, kiedy dali jej przy urodzeniu żeńskie ciało. Jestem gotów przysiąc, że w całej Orgielle nie znajdzie się ani jeden mężczyzna, który sprostą jej w pojedynku na miecze. Ona nie jest kobietą – to prawdziwa bogini wojny.

- Jak powiedziałeś, ma na imię? Kasta? Słyszałem coś o twojej pani - Zalman podrapał się po nasadzie nosa i spode łba popatrzył na Leodana. - Moi...kompani opowiadali mi o niej. Ale porozmawiajmy lepiej o tobie. Im dłużej cię obserwuję, tym większą mam chęć wypróbować cię jako aktora. W końcu, twojej pani teraz nie ma w Fanarze. Nie wydaje mi się, byś był obarczony wieloma sprawami, inaczej nie sterczałbyś całymi dniami w porcie. Nie chciałbyś zagrać na scenie? Proponuję dobrą pracę, mój przyjacielu. Będziesz mógł zarobić tuzin ardżenów.

- Twoja propozycja brzmi ponętnie. A jeśli zrezygnuję?

- Gdybyś był wolnym człowiekiem, zabiegałbym o ciebie stopniowo. Spałbym pod twoimi drzwiami i deptałbym po piętach. Ale jesteś niewolnikiem. Mogę obiecać tylko jedno: kiedy twoja pani wróci do Fanary, uczynię wszystko, by wykupić cię i uczynić gwiazdą swojej trupy.

- Jesteś natrętnym człowiekiem, Zalmanie.

- Bardzo natrętnym. I umiem także cenić piękne rzeczy i utalentowanych ludzi.

- Już to zauważyłem - Leodan nie rozumiał, do czego przypisał go poeta: do pięknych rzeczy, czy do utalentowanych ludzi. - Ale ja nigdy nie grałem na scenie.

- To zupełnie nie przeszkadza! Patrząc na ciebie, jestem przekonany, że umiesz deklamować wiersze. Umiesz przecież czytać?

- Umiem, ale tylko pisane darnackim alfabetem.

- Jednak? Idę o zakład, że masz dużo innych zdolności.

- Coś niecoś umiem – odpowiedział opuściwszy oczy. – Trochę umiem śpiewać i tańczyć, gram na cytrze i flecie.

- Pięknie! Znam darnacki alfabet i będę w stanie przepisać dla ciebie rolę, znanym ci pismem. A pozostałych aktorskich mądrości, szybko nauczy ciebie Mamula.

- Jaka znów Mamula?

- Mój przyjaciel i współwłaściciel teatru. W ogóle, to on nazywa się Egon, ale wołamy na niego Mamula. Zrozumiesz, dlaczego. No, więc co, spróbujemy?

- Nie mam nic przeciwko temu. A kiedy?

- Chociażby zaraz. Mój teatr jest niedaleko, trzy przecznice stąd. Moi przyjaciele właśnie zbierają się na próbę mojej nowej sztuki. - Zalman z uśmiechem podał młodzieńcowi rękę. - Idziemy, zapraszam cię.

Wahał się tylko przez chwilę. Gdzieś w duszy jeszcze tlił się niepokój, ale ciekawość przeważała i młodzieniec odpowiedział na uścisk dłoni Zalmana.

- Jesteśmy przyjaciółmi? - zapytał.

- I współnikami - dodał Zalman.

W ogromnej, drewnianej szopie, mętnie oświetlonej płomieniem ogniska i oliwnymi lampionami, znajdowało się półtora dziesiątka mężczyzn. Trzej spali na rozestawianych w kącie matach, następni trzej grali w kości na pieniądze, obrzucając się obelgami, ale większość usadowiła się przy wielkim, drewnianym stole, zastawionym dzbanami i miskami, ze skromnym jedzeniem - chlebem, owczym serem, warzywami. Przy ognisku, tyczkowata, chuda kobieta, z ponurą miną, mieszała w wielkim, okopconym kotle jakąś potrawę – przyrządzając widocznie gorącą kolację dla całej kompanii. Pojawienie się Zalmana z nowym, wywołało w kompanii ryk zachwytu.

- Ach, jaki milutki! - niespodziewanym basem wypaliła rosta i dorodna jasnowłosa dama, obleczona w liliowo-pomarańczową chlamidę i obwieszona klejnotami, jak świątynny bożek. Zerwała się z zastępującej krzesło skrzynki, truchcikiem podbiegła do Leodana i entuzjastycznie klasnęła w dłonie. - Wielcy bogowie, to po prostu laleczka! Jednak odnalazłeś go, Zale.

- To Egon, mój kompan - przedstawił damę w chlamidzie Zalman. – A nasz nowy przyjaciel nazywa się Leodan.

- O, jaki wdzięk! - Egon-Mamula pretensjonalnie pomachał w powietrzu palcami, ozdobionymi pierścieniami z ogromnymi fałszywymi kamieniami. - Prześśliczny młodzieniec, przysięgam na maskę Pantara! Pozwól, mój słodziutki, niech cię pocałuję...

Zanim Leodan zdążył zareagować - chwycił go w objęcia i mocno pocałował w usta, owiewając młodego człowieka mocnym odorem alkoholu i ostrym zapachem jakiegoś mazidła. Leodan, niczym wąż, wyślizgnął się z rąk Mamuli, unikając drugiego pocałunku.

- Dzikus! - zaśmiał się Egon. - Dzikie jelonek! On mi się podoba, Zale. Powinien być z nami, chcę tego!

- Zostanie z nami - oświadczył Zalman mocnym głosem. - Będzie grać rolę Natissy.

Aktorzy okrzykli go, uśmiechając się ściskali ręce, poklepywali po ramieniu. Pachniało od nich siwuchą i potem. W szopie było gorąco i Leodanowi kręciło się w głowie. Ktoś wsunął młodzieńcowi w rękę czaszę z winem. Odruchowo wypił łyk i omal nie wypłuł go, bo był to tani i obrzydliwy trunek ze sfermentowanych owoców, które w Darnacie nazywano "Ostatnia radość ochlapusa".

- To Chris - powiedział Zalman, pokazując na chudego siwego człowieka z czerwonym nosem. – Gra zazwyczaj role starszych bogów i kapłanów. Dlatego nazywamy go między sobą Chris-świętoszek. Jest naprawdę wielkim aktorem - nawet będąc w drzazgi pijanym, nigdy nie zapomina i nie płacze tekstu. To Neriks, gra pobożnych mężów. Nefer, to nasz spec od zwierząt. A to Kitis - Zalman popchnął w stronę Leodana jasnowłosego, około dwudziestopięcioletniego chłopaka. - Będzie grać twojego ukochanego Faena. Moja sztuka nazywa się "Faen i Natissa". Prawda, że świetnie się nazywa?

- A ja będę grać twoją nianię – zagrzmiał basem Mamula i zebrawszy poły chlamidy, z nieoczekiwaną, z powodu swej tuszy lekkością, wgramolił się na stół. Przy tym ujawnił przed Leodanem sekret swojego imponującego wzrostu: miał na nogach koturny, na platformie wysokiej niemal na stopę. - Niestety, mój czas minął i mogę teraz zagrać tylko służącą bohaterki. A kiedyś, bracia, grałem młode ślicznotki! I jak grałem! Gdybyście mnie widzieli w roli kurtyzany Aletto. Cała sala szlochała, kiedy wypowiadałem swój monolog!

- Zaczęło się! - mrugnawszy porozumiewawczo do Leodana, szepnął młody Kitis.

Mamula wsunął palce w swoje farbowane loki, wywrócił oczy i wznosząc do dziurawego sufitu szopy prawą rękę, zaczął recytować, zadziwiającym sposobem zmieniawszy głos z głębokiego basu na delikatny śpiewny tenor:

Rodzice? Dawno im przebaczyłam
To, jak oni ze mną postąpili.
Zgodnie z sumieniem, ja im dziękować
Winnam za życie, które prowadzę,
Za ten blask i przepych i bogactwo,
Którym jestem otoczona,
Za ten dom, za ogród i za stroje,
Za naszyjniki, pierścienie, kolczyki, sprzączki,
Których nie zliczysz. Do tego
Kochana jestem przez mężczyzn i władzę
Mam nad nimi - nawet król
Mojej woli uległy, jest moim podwładnym.
Ale jestem nieszczęśliwa, słyszysz - nieszczęśliwa!
O, jakże jestem samotna, Ewriale!
Wiem – zazdrościsz mi, myśląc,
Że płóchej Aletcie tak łatwo,
Wesoło i szczęśliwie się żyje,
Ale kto może wiedzieć, ile gorzkich łez
Przelewałam wśród głębokiej nocy,
Kolejnego pożegnawszy gościa!
Teraz wydaje mi się, że wszystkie te lata
Zmarnowałam na próżno i moja dusza
Spaliła się, przekształciwszy się w gorzki popiół.
Nienawidzę siebie...

Zasłonił twarz dłońmi i przez kilka minut milczał, ciężko oddychając. Potem, jakby nigdy nic, zeskoczył ze stołu i podszedł do Leodana.

- Ucz się, chłopcze, jak trzeba grać - powiedział.

- Zaczniemy czytać sztukę - zaproponował Zaman, rozwijając na stole zwitki papirusu.

Leodana posadzili między Kitisem i Chrisem-świętoszkiem. Zalman zaczął czytanie. Leodan, trochę zdezorientowany tym, co się dzieje, najpierw słuchał bez żadnego zainteresowania, ale potem sztuka go wciągnęła. Akcja dramatu rozgrywała się w stolicy doryjskiego królestwa Alorii, w czasach poprzedzających rządy legendarnego króla Garchusa. W wojnie domowej starły się dwie wybitne doryjskie rodziny. Ale oto, pewnego razu, młodzieniec Faen pokochał dziewczynę Natissu z wrogiej rodziny. Bóg miłości i radości Pantar, złączył ich tajnym małżeństwem, ale zły los był przeciwny - młodzi giną, pogodziwszy swoją śmiercią obie rodziny. Aktorzy słuchali, przychylnie kiwali głowami. Chris-świętoszek od czasu do czasu dolewał wszystkim wina. Mamula siedział po prawej strony Leodana, podparłszy głowę ręką i dokładnie, żeby nie rozmazać farby na powiekach, wycierał łzy. Leodan nie mógł powiedzieć, ile minęło czasu - prawdopodobnie, bardzo dużo. Wreszcie, Zalman doczytał ostatni zwitek.

- Oto moja nowa sztuka - dodał, zwracając się do zasłuchanych aktorów.

- Zachwycająca! - Mamula zaszlochał i obficie wysmarkał się wprost na podłogę. Chudy świętoszek milcząco uściśnął Zalmanowi rękę, potem, to samo zrobili Nefer i Neriks, a także wszyscy pozostali.

- Dziękuję - powiedział wzruszony Zalman. - Dziękuję, bracia.

Leodan pomyślał, że ze względu na uprzejmość, on też powinien pochwalić autora, bo sztuka rzeczywiście spodobała się mu. Ale w tym przeszkodziła mu chuda, ponura kobieta.

- Siadajcie żreć - ryknęła, podchodząc do stołu. - Polewka dawno gotowa. Nie zamierzam sterczeć tu z wami całą noc.

- Nie, po stokroć nie! - Mamula, po kobiecemu zebrawszy z podłogi swoją haftowaną chlamidę, wskoczył na scenę, chwycił Leodana za rękę, zajrzał w oczy. - Nie wierzę tobie i widz nie uwierz. Po prostu deklamujesz tekst.

Leodan odruchowo zajrzał do papirusu. Przecież nie poplątał ani jednego słowa, wszystko przeczytał tak, jak napisał Zalman. Więc, co robi nie tak?

- Kitis! - krzyknął Mamula. - Kitis, by cię rozszarpały demony, chodź tu!

- On wyszedł, Egonie - odezwał się jeden z aktorów, siedzących niedaleko od sceny i zajętych naprawą rekwizytowej kolumny. - Zespół wysłał go po żarcie.

- Dlaczego ja zawsze o wszystkim dowiaduję się ostatni? - Mamula tupnął nogą tak, że kawki, które siedziały na poręczach okalających koronę amfiteatru, chmarą wzbily się w powietrze. - Zgoda, obejdzimy się bez niego. Wyobraź sobie, że jestem tym Kitisem. Czyli Faenem. Wyobraziłeś?

- Tak - znów zajrzał do papirusu.

- Dobrze - Mamula wyciągnął do młodzieńca oblepione bransoletami ręce, otworzył dłonie w wołającym geście. - On stoi pod twoim balkonem, jest zakochany. A niech cię prochy pokryją, gdzie ty patrzysz?

- Wybacz, zamyśliłem się - zmieszany opuścił wzrok. - Co powinienem robić?

- Żyć! Nie mówić ani słowa, zapisanego na tym zasranym papirusie, a żyć, zrozumiałeś? Zaczynaj!

Leodan przytaknął, podniósł papirus do oczu, przebiegł jeszcze raz oczyma, uprzykrzone już do mdłości linijki swojego monologu:

Dlaczego tu jesteś? Po co przyszedłeś?
Po co niepokoisz mnie o tej godzinie?
O, bogowie! Jesteś szaleńcem! Dlaczego to czynisz?
Natychmiast odejdź – jeśli cię
Pod oknami moimi ktoś zobaczy,
nie unikniemy nieszczęścia...

- Żle! - Mamula chwycił się za głowę. - Gdzie namiętność? Gdzie jest strach?
Kochasz tego chłopaka, rozumiesz?

- Rozumiem.

- A ja tego nie słyszę! Mówisz z nim, jak nie przymierzając, z pijanym włóczęgą, wałęsającym się po ulicy nocą. Gdzie jest drżenie serca, niepokój o ukochanego, który naraża swoje życie na niebezpieczeństwo, przedostawszy się do ogrodu wrogiej rodziny? Widziałbyś swoją twarz. Kamienna fizjonomia, jak w posągu Akwina stojącym na placu. A gesty? One będą ważniejsze od słów. Daj to! - Mamula wyrwał mu papirus. - Teraz, słuchaj:

Jeszcze nie widziałam twojej postaci,
Ale już zrozumiałam, że to ty, nieszczęsny,
Przyszedłeś, by mój spokój zakłócić,
Zmusić serce do zamierania ze strachu.
Czyż nie rozumiesz – zabijają cię,
Gdy zastaną tu, pod moim balkonem?

- Niech to diabli, Zał wpadł na sposób, aby w słowie "balkonem" zrobić dwa błędy!

- Co? - nie zrozumiał Leodan.

- A, nic takiego... Co powiesz?

Leodan wzruszył ramionami. Nie było o czym mówić - Mamula rzeczywiście po mistrzowsku zagrał ten mały fragment. Głos aktora dźwięczał wzruszeniem, przeciągle, z błaganiem i strachem, twarz odbijała wszystkie uczucia, także ruchy ręki, którą Mamula to przykładła do piersi, to wyciągał przed siebie w odsuwającym geście, jak nakazywały słowa roli.

- Oto, co znaczy talent aktora - oświadczył, wycierając czoło koronkową chusteczką. - Patrz i ucz się.

- Muszę obowiązkowo gestykulować? - zapytał.

- Obowiązkowo. Wśród widzów na pewno znajdą się trzy-cztery głuche ofiermy, które kompletnie nic nie usłyszą z twojego szczenięcego miauczenia na scenie. Powinieneś zdublować swoje słowa gestami, specjalnie, dla wszystkich głuchawych nikczemników. Już nie mówię o koneserach, których na sali będzie sporo. I wszyscy potem będą nazywać cię beztalenciem, rozmieniając na drobne twoją głównianą grę. Przyjemnie będzie ci to słyszeć?

- Nie chcę grać - odwrócił się i zaczął schodzić ze sceny. Mamula kilka sekund w osłupieniu patrzył za młodzieńcem, potem rzucił się za nim, chwycił za rękę.

- Nie waż się mnie dotykać! - Leodan uderzył aktora po rękę. - Idźcie do demonów z waszym teatrem. Nie chciałem od początku.

- Zaczekaj, miły, nie gniewaj się - Mamula klasnął w dłoń. - Przebaczone, jeśli obraziłem cię. Jesteś utalentowany, bardzo utalentowany. Ale aktorskie rzemiosło jest bardzo, ale to bardzo trudne. Trzeba się uczyć. Ja w młodości też uczyłem się. Mój impresario bił mnie pałką, jeśli plątałem słowa roli. Tak bił, że moja tylna fasada

zaczynała w końcu przypominać tyłek pawiana. Tygodniami na brzuchu spałem. Natomiast potem, nieraz wspominałem go i jego pałkę dobrym słowem, ponieważ nauczył mnie dobrze pracować. Wierzysz?

- Wierzę. Ale grać nie chcę. Odchodzę.

- Ciebie coś gnębi, jelonku. Jesteś dzisiaj jakiś nie swój. Zdarzyło się coś?

- Nic. Słońce już zachodzi. Muszę iść do portu.

- Ach, zrozumiałem! - roześmiał się nerwowo. - Tęsknisz za panią? Czy za panem?

- Nie twoja sprawa - poczuł, że Mamula zaczyna naprawdę go drażnić.

- Jesteś zakochany, nieprawdaż?

- To także nie twoja sprawa. Zostaw mnie w spokoju.

- Jak chcesz. - uczynił pojednawczy gest. - Ja nie decyduję o niczym, ciebie zapraszał Zal. To wszystko jemu powiedz. Na pewno, bardzo się ucieszy. Już widzę jego promieniującą ze szczęścia twarz! Do premiery sztuki zostały dwa dni, a wykonawca głównej roli zwija wędki. Bardzo po przyjacielsku.

- Przecież sam widzisz, że nie mam talentu - powiedział, próbując załagodzić sytuację. - Dlaczego ty nie miałbyś zagrać tej roli?

- Dlaczego? - Mamula podparł się rękoma pod boki. - Jak myślisz, dlaczego? Widz przyjdzie patrzeć na młodą ślicznotkę - czyli na ciebie. Zal już po całej Fanarze roztrąbił, że ma u siebie nowego, wspaniałego aktora. A, zamiast nowiutkiego świeżutkiego i miłutkiego pięknisia, młodego i wdzięcznego, wypełznę ja - stary, gruby, cierpiący od zadyszki, z fizjonomią starego hipopotama i chodem, jak u pijanego marynarza na brzegu. Wyjdę na scenę, żeby zagrać młodą ślicznotkę. Cha! Piękne będzie widowisko, przysięgam na maskę Pantara! Nie możesz odejść, miłutki. Nawet twoje myśli tego ci nie wybaczą.

- Jakie myśli? Co mają do tego moje myśli?

- A, to. Wiem, o czym myślisz - złożył podmalowane wargi w kokardkę i pocmokał nimi. - Przecież wściekasz się z zazdrości. Kochasz tego chłopaka - jak mu tam, Wisława? Baaardzo pociągający mężczyzna!

- Co ty sugerujesz? - prawie z przesądnym przerażeniem utkwiał oczy w aktora.

- Nie waż się tak mówić!

- Ale przecież prawdę powiedziałem. Myślisz, że Wisław jest zakochany w twojej gospodyni, nie zaprzeczaj. Przecież tak myślisz? I ciebie to baaardzo martwi. Bardzo-bardzo. Boisz się, że porzucili ciebie, zapomnieli i więcej nie zobaczysz go.

- Zamknij się!

- O, po co tak szorstko! - mrugnął porozumiewawczo do młodzieńca. - Już ja wiem, jak wygląda miłość. To, można powiedzieć, mój żywioł. Ty się jednak mylisz. Twoja pani nie lubi Wisława. Ona nikogo nie lubi.

- Skąd możesz to wiedzieć, ty, stary

- Tsss! - przyłożył do warg palec, podchwycił Leodana pod łokieć i odprowadził na bok, w głąb sceny. - Wiem. Czuję to. Widziałem twoją panią. Uwierz mi, ona nigdy nie pokocha żadnego mężczyzny. I twój serdeczny przyjaciel, jest jej zupełnie nie potrzebny.

- Kasta lubi mężczyzn. Na sabejskim statku spała z ich kapitanem.

- No i co z tego? Pożądanie ciała to jedno, a miłość - coś zupełnie innego, chłopcze. Miłość jest jednoczeniem się dusz. Dusza twojej gospodyni jest wypalona jej przeszłością. Ona zupełnie nie jest taka, za jaką ją uważasz. Bierze mężczyzn wtedy, gdy jej ciało żąda zmysłowego zbliżenia. Wybiera samców, silnych, głupich i pewnych siebie - takich, którymi może kręcić, jak zechce. Wisław jest zupełnie innym

człowiekiem. Kasta widzi to i dlatego nigdy nie odda się Wisławowi, nawet jeśli twój ukochany, zostanie ostatnim mężczyzną na tym świecie.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego mówisz to z taką pewnością.

- Ponieważ ja... jestem jasnowidzem. Wszyscy aktorzy trochę stuknięci i po trosze są prorokami. Tak często gramy wymyślone postacie, że dla nas, w sercach prawdziwych ludzi, nie ma tajemnic. Możemy manipulować widzami tak, jak zechcemy. Zmuszamy ich do płaczu, śmiechu, gniewu, przeżywania, cieszenia się. I czytamy to, co kryje się w ich oczach. Widziałem Kastę w tawernie tego wieczoru, kiedy przybyliście do Fanary. Nie potrzebowałem dużo czasu, by zobaczyć jej duszę. Zauważyłem, jakim wzrokiem patrzyłeś na Wisława. Jak łowiłeś każde jego słowo. Kiedy zdążyłeś się tak zakochać, koleżko?

- Odczep się ode mnie! - strącił z łokcia rękę Mamuli, zeskoczył ze sceny i nie oglądając się poszedł do wyjścia. Aktorzy, którzy kręcili się z ustawieniem kolumny, oderwali się od swojego zajęcia, ze zdziwieniem obserwowali młodego człowieka. Mamula, krzyżując ręce na piersi, patrzył młodzieńcowi w plecy, zmarszczywszy brwi.

Leodan doszedł do samego wyjścia i zatrzymał się. Spojrzał na zgnieciony papirus, który nadal trzymał w pięści. Smutek ścisnął serce, lecz po chwili znikł. Przypomniał sobie szczere, uśmiechnięte oblicze Zalmana. Tak naprawdę, ten tłusty transwestyta ma rację: Zalman pokłada w nim nadzieję. Trzeba było zrezygnować na samym początku, a teraz byłoby to bardzo nieładnie. Tym bardziej, że po całej Fanarze na ścianach już rozklejono ogłoszenia o zbliżającej się premierze...

- Wiedziałem, że nie odejdziesz - powiedział mu Mamula, kiedy wrócił. - Jesteś zbyt dobry, żeby zostać gadem.

- Kończmy próbę. Jeszcze powinienem zdążyć do portu.

- Dobrze. Tylko proszę cię, zrób jedną rzecz. Teraz, kiedy zaczniemy znów pracować, wyobraź, że twoim partnerem nie będzie Kitis. Nie ja. Wyobraź, że rozmawiasz z Wisławem i wszystko pójdzie jak po maśle. - Poklepał Leodana po ramieniu. - No co, zaczniemy?

- Zaczniemy - popatrzył na starego aktora i zaśmiał się. - Trudno mi będzie wyobrazić sobie, że jesteś moim Wisławem. Ale spróbuję. Dla dobra sprawy.

Jeszcze przed zachodem słońca amfiteatr był pełen widzów. Zalman co chwilę wybiegał z szopy, która dzięki staraniom Mamuli została przekształcona w garderobę i wracając, powtarzał z zachwytem:

- Pełna sala! Pełna sala!

Leodan czuł silne wzruszenie. Już zdążył się przebrać w szaty bohaterki. Potem Mamula posadził go przed odrapanym lustrem w ramie z brązu i poddał młodego człowieka charakteryzacji. Na początek dokładnie ogolił młodzieńca. Rozprowadził farby w miseczkach. Ułożył długie, faliste włosy Leodana, w wysoką fryzurę - „tragiczną”, jak się wyraził i przypudrował błyszczącym proszkiem. Umiejętnie nałożył na twarz makijaż, wycieniował brwi, podmalował oczy i wargi. Leodan obserwował w lustrze, jak dzięki sztuce Mamuli zmienia się jego twarz. Ta metamorfoza podobała mu się: istotnie poczuł się młodą kobietą. Po raz pierwszy od tego dnia, kiedy porzucił dom Uzmaja, czuł się zadowolony ze swego wyglądu.

- Przystojniak, po prostu przystojniak! - powtarzał Mamula, posługując się charakteryzatorskimi pędzelkami. - Nie, po prostu ślicznotka! Kto teraz powie, patrząc na ciebie, że nie jesteś kobietą?

- Egon, kończ już! - polecił wracający kolejny raz od wejścia Zalman. - Teatr pełny, wszyscy już się niecierpliwią. Pora zaczynać.

- Widzisz, że tworzę - z rozdrażnieniem oświadczył Mamula, poprawiając kontur prawego oka. - Twoi plebejusze poczekają. Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

- Pluję na twoją twórczość! Zaczynamy. Kajs, Afranis, na scenę! Gdzie jest Prolog? Niech to diabli, gdzie podział się ten kretyn?

- Jestem tu, Zale - Prolog wyrzwał zza drzwi, wiodących na scenę - wychodzić?

- Wychodź i zaczynaj! - Zalman zatrzymał się obok Leodana, obejrzał młodzieńca i uśmiechnął się. - Właśnie tak wyobrażałem sobie Natisse. Jesteś wspaniały.

- Uf! - westchnął Mamula, opuszczając rękę z pędzelkiem. - Gotowe!

- Nie gotowe - gniewnie rzucił Zalman. - Ty sam nie jesteś gotów. Drugi akt twój z Leodanem, a jeszcze nie masz na sobie kompletnego stroju. Szybciej, by cię pokrył trąd!

Leodan wstał z beczki, na której siedział, zrobił kilka kroków. Wysokie koturny sprawiały kłopoty w chodzeniu, ale całość scenicznego stroju wyglądała pięknie.

- Powinieneś być urodzić się kobietą – z głębokim westchnieniem, powiedział Mamula, zmieniając jasną perukę na ciemną. - Bogowie, jaki jesteś wspaniały!

- Egon, przestań krępować chłopaka - powiedział Zalman, jednakże jeszcze raz aprobując chrząknął, spojrzawszy na Leodana. - Przygotuj się, mój przyjacielu, za chwilę twoje wyjście.

- Ja... mam tremę - szepnął dramaturgowi. Czuł się bardzo niewyraźnie: twarz płonęła, nogi nagle stały się słabe, a włosy na głowie, wydawało się, ruszają, jak żywe. – A jeśli, mi się nie powiedzie?

- Też mam tremę. Ta sztuka jest najlepsza, jaką napisałem w swoim życiu. Musisz jednak robić swoje. Cały czas spoglądaj na Mamulę. I na mnie. Będę za sceną i podpowiem ci słowa, jeśli zapomnisz roli.

- Idziemy, kociątko! - zawołał Mamula, dając znak dłonią. – Dobry widzaszaniec, po prostu umiera z niecierpliwości.

Podążając za Mamulą, wszedł do krótkiego korytarza, prowadzącego na scenę. Tu już stali: Chris-świętoszek, który wykonywał rolę władcy miasta, Kitis i aktor, który grał Prolog. Na scenie rozgrywał się pojedynek między zwolennikami dwóch nienawidzących się wzajemnie rodzin. Dwóch aktorów rozłożyło się na podłodze, udając zabitych, pozostali namiętnie wymieniali się uderzeniami drewnianych, pomalowanych mieczy i maczug, którym towarzyszył aplauz widowni. Przypominało to taniec - dwa kroki naprzód, broń skrzyżować, potem krok wstecz, znów skrzyżować miecze. Nagle pomyślał, że Kasta teraz uśmiełaby się serdecznie, patrząc na ten balet. Ostrożnie wyrzwał zza kolumny na salę - i zamarł. Amfiteatr naprawdę był pełny. Ludzie gromadzili się przy samej scenie i galeryjki wzdłuż amfiteatru były także wypełnione. Poczuł, jak wnętrzności, dopiero co lekko uspokojone, znów w nim się poruszyły.

- Wielcy bogowie! - szepnął. – Przecież oni mnie rozerwą na kawałki.

Chris-świętoszek po przyjacielsku klepnął młodzieńca po plecach i wyszedł na scenę. Słuchał monologu Chrisa i nagle zrozumiał, że stary aktor bezwstydnie przekręca rolę. Zapamiętał, że na próbach mówił zupełnie inne słowa. W półmroku kulis, po przeciwległej stronie sceny, ukazała się blada twarz Zalmana. Dramaturg był wściekły, wymachiwał rękami, rzucał na głowę Chrisa wszystkie możliwe

przekleństwa, ale nie mógł słyszeć jego słów. Chris tymczasem skończył swój monolog i majestatycznym chodem poszedł za kulisy, żegnany nielicznymi oklaskami widzów. Ze sceny wywlekli "zabitych" i nadszedł czas na drugi akt.

- Idź! - Mamula leciutko popchnął Leodana. - Twoje wyjście...

Nawet nie pamiętał, jak wyszedł na scenę. Paliło się w nim tylko potworne odczucie wstydu i samotności, jakby stał całkiem goły, a wszyscy, bezwstydnie mu się przyglądają. Pokonawszy ogromne pragnienie, by uciec, poszukał oczyma Zalmana. Dramaturg stał tam gdzie i wcześniej - patrzył na niego z aprobatą, wargi jego poruszały się, raz za razem powtarzając słowa od których zaczynał się tekst roli:

Kto mnie wołał? Nianiu, gdzie jesteś?

Spojrzał z ukosa na salę. Patrzyły na niego setki oczu - w napięciu, uważnie, wyczekująco. A młodzieniec z przerażeniem pojął, że ani słowa nie pamięta ze swojej roli. Zalman rozpaczliwie gestykulował za kulisami, na jego twarzy błyszczał pot. On zaś milczał.

Na sali zaczęli śmiać się. Wciągnął głowę w ramiona, przekonany, że to z niego się naśmiewają, ale pomylił się - po scenie, starannie kołysząc biodrami, przedfilował Mamula. Podparł pięściami ogromną, przyprawianą pierś, wywołując tym nowy wybuch śmiechu na sali. Zatrzymał się obok niego. Zaniósł się drobnym, fałszywym, perlistym śmiechem, chwycił rękę młodzieńca i pocałował.

Nie słyszał, co mówił aktor. Na pewno nie te słowa, które dał mu Zalman. Prawdopodobnie, coś bardzo zabawnego, ponieważ sala od czasu do czasu wybuchała zgodnym śmiechem, od którego po plecach rozpełzały się mrówki. Pomimo całego swojego zakłopotania zrozumiał, że on odgrywa scenę niemal ze środka sztuki. Patrzył na jaskrawe ubarwienie twarzy starego aktora, słuchał jego słów i nagle poczuł, że wraca mu opanowanie. Kiedy Mamula skończył kolejną tyradę i zamilkł, wyczekując, kiedy zacznie mówić Leodan, młodzieniec prawie całkiem oprzytomniał. Przemówił i sam się zdumiał, jak dźwięcznie i wyraźnie brzmi na scenie jego głos:

Nianiu, powiedz – znasz może
Tego młodzieńca, który tego ranka w świątyni
Stał od nas na prawo i tak dziwnie
Mi się przyglądał? Zdawało mi się,
Że jego spojrzenie na wskroś mnie przenika,
Niczym ostry miecz. Podobny był do szaleńca
I z jakiegoś powodu,
Nagle, poczułam dziwną duszność...

Nie mógł dostrzec w półmroku sceny, oczu Mamuli, jednakże wyczuł, że aktor patrzy na niego z aprobatą. Zdawało mu się, że usłyszał jego głos: „Dawaj, koleżko, robisz wszystko jak trzeba!” Śmieszki na sali ucichły i wyczuł, że setki par oczu obserwują każdy jego ruch, widzowie wsłuchują się w jego słowa. Nigdy przedtem nie doświadczył podobnego uczucia. Umysł rozjaśnił się, trema ustąpiła. Teraz był pewien, że wszystko idzie jak należy.

Kiedy obydwaj opuścili scenę, stary aktor chwycił go za rękę i zamierającym od zachwyty głosem wyszeptał:

- Bosko! Wprrrrost czarująco!

- Nie chwał mnie - odpowiedział. - Wszystko jeszcze przede mną. Jeszcze się zbłąźnię, zobaczysz.

- Poradziłeś sobie, koziołku. Wszystko poszło doskonale! Przysięgam na Pantara, jesteś godnym następcą starego Egona...

Potem była scena z Kitisem i pamiętając radę Mamuli, wyobrażał sobie, że przed nim stoi nie jakiś tam Faen lub Kitis, ale Wisław - człowiek, odnoszący się do niego z taką troską i będący mu nieskończenie drogi. Omal nie nazwał Faena Wisławem, zapominając o rzeczywistości, ale, na szczęście, na czas zrobił pauzę. Widzowie głośno klaskali, kiedy obaj z Kitisem, wzięwszy się za ręce, opuścili scenę. Za kulisami łąpczynie wypili czaszę rozcieńczonego wodą wina - w ustach mu zaschło, wydawało mu się, że ma spuchnięty język.

Zapamiętał niejasno, co się z nim działo dalej. Jeszcze kilkakrotnie wychodził na scenę, coś mówił, gestykulował, starając się wszystko robić tak, jak radził stary aktor. Sam zdumiał się także, że tak szybko przyszedł czas finałowej sceny - tej, w której według sztuki Natissa przebijała się sztyletem nad ciałem Faena.

Widział, jak Faen powiedział swój ostatni, namiętny monolog i uderzył się sztyletem w pierś. Sztylet był szczególny - drewniane ostrze przy naciśnięciu na czubek, chowało się w wydrążonym trzonku, a potem wysuwało się z powrotem przy pomocy delikatnej sprężyny. Z boku rzeczywiście wydawało się, że sztylet po rękojęść wszedł w pierś. Samobójstwo bohatera widownia przyjęła grobowym milczeniem. Wytarł spocone dłonie o odzież i powoli wyszedł na scenę, podchodząc do leżącego Kitisa.

Wisław, pomyślał sobie. To leży mój Wisław - zakrwawiony, martwy, i nic nie wiedzący o miłości, jaką do niego żywi ten, który teraz klęczy przy jego ciele. On na zawsze pozostanie na przeklętej wyspie, dokąd powlokła go ta seltońska rozpustnica Kasta. Więcej nie spotkają się, nigdy. Nigdy - straszne słowo. Nieubłagane, jak sama śmierć. Trzeba było otworzyć się wcześniej, póki Wisław jeszcze nie wszedł na pokład „Jerzyka”. Nie byłem w stanie tego zrobić. Przestraszyłem się, że źle mnie zrozumie i odwróci się ode mnie. Nie wykorzystałem jedynej możliwości, by przyznać się do swojej miłości. Bogowie, co ja narobiłem?!

Dotknął palcami Faena, patrzył w twarz swojego partnera - ta zaczęła rozpyływać się przed oczyma. Łzy spływały po policzkach młodzieńca, pobłyskując w świetle pochodni, rozmywając charakterystykę. Milczał - nie mógł mówić. Przeszkadzała tworząca się w gardle gula. Widownia też milczała, obserwując niemą boleść. Kiedy młodzieniec był w stanie przemówić, jego głos był pełen autentycznej męki:

Przebacz, ukochany. Przede mną
Odszedłeś do krainy, skąd nie ma powrotu.
Tylko jeden wybór mi zostawiłeś -
Podążać twoim śladem, Faene!
Jeżeli prawdą jest, że dusze tych,
Którzy w tym życiu byli miłością związani,
Spotykają się po śmierci, żeby już
Nie rozstawać się w wieczności, wtedy
Swoim czynem szczęście wracam,
Którego mnie pozbawiła śmierć.
A jeśli nieprawdą jest wszystko to,
Co mówią o bycie pośmiertnym
I tylko Ciemność na mnie czeka za grobem,

Wszystko jedno, nie będę się wahać.
Nie ma gorszej Ciemności, niż życie bez pieśczęt twoich,
Bez czułych słów, ukochany mój Faenie!
Oto twój sztylet, od czerwonej krwi lepki -
Znajdę godne go miejsce!

- ZAPRZESTAĆ!

Sala jęknęła. Leodan zamarł z uniesionym w ręce drewnianym sztyletem, ze zdumieniem patrząc na ogromnego chłopaka, gołego do pasa, który wskoczył na scenę i chwiejnym krokiem skierował się do niego, wymachując muskularnymi rączyskami.

- Zaprzestać, powiedziałem! - Chłopak owiał Leodana silnym odorem alkoholowym, wyrwał z jego rąk sztylet i odrzucił do nóg stojącego za kulisami Mamuli. Błękitne, pijane oczy intruza były szeroko otwarte i patrzyły na Leodana z bólem i zdumieniem. - Zbikowałaś, dziewczyno? Ten łopian był niegodny takiego piękna, jak ty! Niech porazi mnie błyskawica, jeśli pozwolę ci przebić się z powodu jakiegoś doryjskiego pryszcza! Jesteś po prostu laleczką. Będę cię nosić na rękach, tylko powiedz. Obsypię ardżenami od stóp do głów. Hej, ludzie - ryknął, obróciwszy się do sali - mnie tu wszyscy znają. Prawdę mówię, nie?

- Jaaaa... - wymamrotał Leodan i obejrzał się. Napotkał spojrzenie Mamuli. Stary Egon rozłożył ręce, jakby chciał go objąć, wargi mu drżały, w oczach był dziwny blask. Zobaczył twarz Zalmana, Chrisa, pozostałych aktorów, zbitych w gromadkę za kulisami. Odwrócił głowę i spojrzał na widownię. Poraziła go absolutna cisza.

- Dziewczyno, posłuchaj Marsiusa! - krzyknął ktoś z sali.

- On mówi prawdę! - wtrącił inny głos.

- Wystarczy krwi. Chłopak przebił się, to dureń nieszczęśliwy, a dziewczyna niech żyje!

- Hej, aktorzy! Co za bzdury tu rozpowszechniliście? Wystarczy śmierci. Chwała Marsiusowi!

- Chwała! - podchwyciła sala. - Chwała Natissji!

- Ślicznotko - Marsius rzucił się na kolana obok „martwego” Kitisa, który wytrzeszczonymi oczyma obserwował co się dzieje - ja, Marsius, mówię tobie - żyj! Dla mnie! I ze mną...

- Zuch, Marsius! - wrzeszczeli z sali. - Zabieraj ślicznotkę! Hej, dajcie tu wina! Za Natissję! Za Marsiusa!

Amfiteatr tonął w krzykach i oklaskach. Z galeryjek na scenę leciały kwiaty i różnokolorowe wstążki. Kobiety wycierały łzy, chłopcy gwizdali. Zachęcony powszechnym zgiełkiem Marsius chwycił Leodana za rękę i pociągnął ze sceny. Jednakże Leodan, oprzytomniawszy, wyrwał się i uciekł do garderoby.

Jeszcze nie ochłonął, kiedy przed nim, niby spod ziemi, zjawił się Mamula.

- Takiego koszmaru nawet nie mogłem wyobrazić - powiedział, uśmiechając się. - Premiera zawałona.

- Przebacz, Egonie - zajęczał Leodan, z trudem podniósłszy się z beczki. - Wiedziałem, że nic mi nie wyjdzie.

- Nic nie wyjdzie? Miły mój, jesteś po prostu królem aktorów! Jeszcze nigdy nie widziałem takiej gry, przysięgam na Pantara. Zmusiłeś nawet mnie do płaczu. Niech będę przeklęty, jeśli między Sabeją a Szurą jest chociaż jeden jeszcze, równy tobie aktor.

- Co z tego? W mojej duszy nie ma radości, tylko pustka.

- To minie. Masz wielki dar, mój przyjacielu. Potrafisz sprawić, że ludzie czują to, co ty. Możesz przekazać im swoje cierpienie, szczęście i miłość. Czynisz ich nieszczęśliwymi albo szczęśliwymi.

- Egonie, pozwól mi odejść. Chciałbym pobyć w samotności.

- Oczywiście - stary aktor pieszczotliwie poklepał Leodana po ramieniu. - Ale najpierw przyjmij od mnie nieduży prezent.

Zdjął z nadgarstka szeroką, srebrną bransoletę i podał młodzieńcowi.

- Z wyglądu, jest niepozorna - powiedział. - Ale nie oceniaj rzeczy po wyglądzie. Ta bransoleta pomoże ci dokonać niemożliwego. Pewnego razu, spojrzawszy na nią, wspomnisz mnie dobrym słowem. Bierz.

- Nie mogę jej przyjąć.

- Powinieneś. Uwierz mi, tak trzeba. To nie jest przypadek, że spotkaliśmy się. W życiu w ogóle nie ma przypadków. Weź bransoletę i chodź ze mną. Słyszysz ten szum? - z uśmiechem kiwnął w stronę drzwi na scenę, zza których donosiły krzyki i gwizdy. - Chcą cię widzieć. Pokochali cię, Leodanie i zasłużyłeś na tę miłość. Widzą bogowie, że zasłużyłeś na nią, jak nikt inny.

Chciał coś odpowiedzieć, ale słowa, z jakiegoś powodu, utknęły mu w gardle. Stary aktor pociągnął go za sobą i po chwili Leodan uświadomił, że znajduje się na scenie, obok niego stoją pozostali aktorzy, a widownia zachłystuje się od krzyków i oklasków. A potem, wszyscy nagle ucichli i usłyszeli w tej niespodziewanej ciszy cienki przenikliwy głos.

- Darnatczycy! Do naszego portu weszły darnackie galery! Ich wojownicy są już w mieście. Chwytają i wieszają Sabejczyków! Darnatczycy w mieście, ludzie!

Sala opustoszała w oka mgnieniu. W kręgu światła z dopalających się na scenie pochodni, została tylko aktorska trupa Zalmana.

- Dzisiejszy dzień, jest chyba zwariowany - powiedział Mamula. - Najpierw pijany, wzruszony idiota zerwał przedstawienie, a teraz zaczęła się wojna. Co robimy, Zale?

- Na początek, idę coś wypić - odpowiedział dramaturg. - U mnie, ze wzruszenia i szczęścia wnętrzości się trzęsą. Trzeba by je „zmoczyć”, by tak nie dygotały. Darnatczycy mnie nie tkną, nie jestem im potrzebny. Ech, nie tak chciałem zakończyć wieczór!

- Idę z tobą, Zale - powiedział świętoszek.

- Idźcie – pożegnał przyjaciół Mamula. - A ja zajmę się naszym przyjacielem.

- Co żeś wymyślił? - szepnął Leodan.

- Chcę zaproponować ci, abys jakiś czas zamieszkał u mnie.

- A to, dlaczego?

- Nie powinieneś pokazywać się na oczy naszym darnackim gościom – wyjaśnił z dziwnym uśmiechem. - Tymczasem, póki twoi przyjaciele nie wrócili po ciebie, zaopiekuję się tobą, mój piękniś.

- Moi przyjaciele? - twarz Leodana rozjaśniła się. - Wierzysz, że oni po mnie wrócą?

- Oczywiście. I moim zadaniem jest przekazanie im ciebie w całości i nienaruszonym stanie. Wobec tego, idziemy... Nie, nie musisz się przebierać. W tym stroju jest ci do twarzy, że po prostu chce się krzyczyć z zachwytem! A poza tym, ochroni cię od niedobrego spojrzenia tych, którzy służą Złu – uważnie popatrzył na młodzieńca i jego oczy zagadkowo zamigotały. - A także Zło, nie będzie w stanie cię zobaczyć.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Słońce podniosło się już dosyć wysoko i z kapitańskiego mostku darnackiego flagowca otwierał się wspaniały widok na Fanarę. Kapitan Aszejn zdjął ciężki hełm z brązu, który uniemożliwiał rozkoszowanie się świeżym wiatrem i widokiem. Przyglądał rzadkie, wypomadowane włosy. Natychmiast podbiegł adiutant i wziął go z rąk kapitana. Zgromadzeni na mostku oficerowie eskadry cierpliwie czekali na zarządzenia dowodzącego.

Aszejn i jego podwładni byli w świetnym nastrój. Fanara została zdobyta w planowanym czasie. Trzy okręty eskadry – ogromny flagowy gieptares „Gwiazda Darnatu” i rajderskie galery „Wąż morski” i „Miecz Igierabała”, tak nagle ukazały się na redzie, że nikt niczego nie zdążył przedsięwziąć. Cztery sabejskie statki, które stały na kotwicy, zostały zdobyte w przeciągu pół godziny, ekipami abordażowymi z galer. Sabejczycy byli zbyt zaskoczeni, żeby stawić poważny opór. Dlatego straty były minimalne: pół tuzina zabitych i mniej więcej dwa dziesiątki rannych. Dwie setki jeńców sabejskich, zamkniętych w jednym z portowych doków, pod ochroną oddziału Morskich Lwów, przeżyje tyle czasu, ile potrzeba cieślom na budowę ogromnej szubienicy na centralnym placu. Miasto całkowicie należy do Darnatczyków. Jedynym miejscem w Fanarze, którego jeszcze nie odwiedzili darnatcy piechurzy morscy, pozostał pałac królewski.

- Co tam u władcy Erkasa? – przerywając milczenie, spytał dowódcę Morskich Lwów, Gaela. - Przekazaliście mu moje ultimatum?

- Jeszcze nocą, kapitanie. Jestem przekonany, że w południe podda się. Nie ma gdzie się podziać, pałac jest otoczony przez moich ludzi. Została przy nim tylko garstka gwardii nadwornej i nieduży oddział milicji. Nie są w stanie przeciwstawić się moim Morskim Lwom.

- Zbyt cenię twoich ludzi, Gaelu, żeby przelewać ich krew o ten wzgardzony kłaczek ziemi. Trzeba ponaglić władcę - powiedział Aszejn. – Powierzam to, tobie Gaelu. Proszę dać temu żalosnemu kacykowi ostatnią szansę. Ammanie!

- Tak, kapitanie! - jeden z oficerów zrobił krok do przodu.

- Jaki jest zasięg balist miotających pociski zapalające?

- Tysiąc dwieście kroków, kapitanie. Być może, trochę więcej.

- Możemy podejść do brzegu tak, żeby pałac znalazł się w strefie rażenia?

- Myślę, że tak, kapitanie.

- Doskonale. Słyszałeś, Gaelu? Masz godzinę czasu na negocjacje. Jeśli będziesz mógł, powiadom mnie o rezultatach. Jeśli Erkas będzie przeciągać negocjacje, za godzinę odprowadzaj swoich ludzi jak najdalej od pałacu. Nie chcę, żeby nasze balisty zaszkodziły twoim ludziom. Przypuszczam, że jedna charakterystyczna salwa uczyni Erkasa bardziej uległym.

- Wspaniały pomysł, kapitanie! – rozpromienił się Gael. - Za waszym pozwoleniem, natychmiast udaję się na brzeg.

- Dzisiaj będzie gorący dzień - zaśmiał się Aszejn. - Na miejsca, panowie. Idziemy do brzegu!

Na gieptaresie zagwizdały bosmańskie gwizdki, marynarze biegali po pokładzie i mostkach, zajmując przypisane miejsca. Załomotały nawijane na kabestany łańcuchy kotwiczne, na pokładzie wioślarskim zadudniły podające rytm bębny. Czteryestu sześćdziesięciu wioślarzy równocześnie wzięło się za wiosła. Ogromne, okute miedzią łopaty zgodnie podniosły się nad wodą i zgodnie uderzyły o nią. Gieptares drgnął, ciężko ruszył do przodu, stopniowo nabierając prędkości. Obsługa przygotowywała do walki cztery potężne balisty: dwie na dziobie i dwie na

rufie. Obnażeni do pasa artylerzyści pokładowi, stękając z wysiłku, obracali dźwignie mechanizmów bojowych, polewali olejem naprowadzające wyłobienia. Z ładowni, z bronią, wyciągano pociski miotające – ciężkie, opierzone strzały, długie na sześć łokci i kosze, w których leżały dokładnie owinięte wojłokiem, granaty z pirocieczą. Na dolnym pokładzie, poza zasięgiem wzroku Aszejna, przygotowywało się do walki jeszcze osiem mniejszych balist, ale był przekonany, że załoga Ammana, bardzo szybko pośle druzgocącą salwę w pałac władców Orgiełły. Uśmiech zadowolenia zagościł pod jego siwym wąsem.

Gieptares powoli i majestatycznie szedł do brzegu. Jego śladem podążała galera „Miecz Igierabała”. Tymczasem, „Wąż morski” skierował się do wyjścia z portu. Ich zadaniem było uniemożliwienie barkasom wypłynięcie z Fanary. Najwyższy także czas, by pomyśleć o wysłaniu zwycięskiego raportu do Admiralicji.

Gdy uderzono w dzwon okrętowy, na mostku zjawił się służący. Aszejn wziął z tacy srebrny puchar z ponczem, upił tyk.

- Kurs bojowy! – rozkazał półgłosem.

Bębny na wioślarskim pokładzie zadudniły szybciej. Gieptares nabierał prędkości i brzeg stawał się coraz bliższy. Aszejn już mógł dostrzec na przystani zastygłe figury mieszkańców miasta, którzy śledzili zbliżanie się darnackich statków. Domyślał się, jakie uczucia nimi targają. Są przestraszeni. Nigdy nie widzieli nic podobnego i wątpliwe, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczą. Takie widowisko, powinno narzucać strach, nawet bogom.

- Godzina minęła - powiedział, zwracając się ni to do służącego, ni to do tkwiącego obok adiutanta, ni to do drewnianej figurki Igierabała na ołtarzu w centralnym punkcie mostka. - Są jakieś wieści od Gaela?

- Nie, mój panie - odpowiedział adiutant.

- Otworzyć ogień! – polecił wciąż tym samym spokojnym tonem.

Zadudniły balisty, zgodnie wyrzuciły pociski z pirocieczą. Minęło kilka sekund i zobaczył, jak zza drzew i dachów domów Fanary, podnosi się ogromny obłok czarnego dymu.

Wszyscy, wolni od wachty, marynarze „Jerzyka” zebrali się na dziobie statku. Był tu także kapitan Fasis. Kasta podeszła do niego i zaniepokoiła się wyrazem twarzy kapitana.

- Co się stało?

- Nie wiem. Ale mi się to nie podoba. Nie taki wyobrażałem sobie nasz powrót do domu!

Popatrzyła na pióropusz czarnego, gęstego dymu na horyzoncie.

- To Fanara?

- Tak. Jesteśmy teraz około dwudziestu mil od brzegu, niedaleko wejścia do zatoki. - Kapitan obrzucił spojrzeniem swoich ludzi. - Chcąc nie chcąc, trzeba będzie podejść bliżej, by wysłać szalupę ze zwiadowcami.

- Czego się obawiasz?

- Nie wiem, skąd wziął się ten obłok, ale nawet ślepy zrozumie, że w Fanarze dzieje się coś niedobrego. Może, to po prostu pożar, a może...

- Wojna? - dopowiedziała za kapitana. - Z kim?

- Orgiełła ma tylko jednego wroga - Darnat. Chodziły pogłoski, że Darnatczycy zamierzają rozprawić się z sabejskimi wolnymi kapitanami. Sabejczycy często

goszczą w Fanarze i nasz władca zawarł sojusz z Sabeją. Darnatczykom bardzo się to wszystko nie podobało.

- I zastanawiasz się teraz, czy powinniśmy wchodzić do portu?

- Nie mam wyboru.

- Rozumiem. Dług kapitana wobec armatora?

- Sam jestem właścicielem mojego statku. To dług wobec nich - wskazał ręką na marynarzy. – Dwie trzecie moich ludzi pochodzi z Fanary. Tam zostały ich rodziny. Moja żona i trójka dzieci też.

- Co proponujesz, Fasisie? - wiedziała, co odpowie kapitan, ale mimo wszystko zadała to pytanie.

- Najpierw chciałbym wiedzieć, czy pomożesz nam.

- Jeszcze nie wiemy, co dzieje się w Fanarze. Jeśli w mieście wybuchł pożar, moja pomoc nie będzie wam potrzebna. A jeśli rozpoczęła się wojna z Darnatem, z przyjemnością przyjmę udział w bitwie. Jeszcze nie zapomniałam Wieży Milczenia i statku, na którym mnie puścili na morze, bym zdechła z głodu i pragnienia. Jest o czym przypomnieć darnackim łajdakom.

- Czekałem na taką odpowiedź - twarz Fasisa rozjaśniła się. - Dziękuję, Kasto.

- Tak mówicie, jakby flota wroga już ukazała się na horyzoncie – rozłożył ręce Wisław.

- Żagiel! - krzyknął obserwator z bocianiego gniazda. - Widzę żagiel!

- Oto i odpowiedź, Wisie – powiedziała uśmiechając się. – Chciałabym wiedzieć, co to za statek.

- Zaraz się dowiemy - Fasis wyjął z torby przy pasie przedmiot, podobny do krótkiej rurki z polerowanej miedzi, wbiegł po schodkach na dziobówkę i stanąwszy obok obserwatora, podniósł rurkę do oka.

- Darnatczyk! - krzyknął. - Darnacka galera!

- To znaczy, że jednak wojna - wywnioskowała. - Nie mylisz się, Fasisie?

- Nie wierzysz, to spójrz sama - kapitan podał dziewczynie lunetę. – Mieszkałaś w Darnacie, to chyba nie pomylisz ich bojowej galery z innym statkiem.

- Stop! - Wisław podniósł rękę. - Słyszeliście?

Cienki, przeciągły dźwięk przeleciał nad morzem i roztopił się w powietrzu. Kapitan pierwszy domyślił się, co to takiego.

- Alarm - powiedział, chowając lunetę z powrotem do torby. - Zauważyli nas. Jeszcze możemy uciec.

- Uciec? - Kasta ze zdziwieniem popatrzyła na Fasisa. - Uciec? – powtórzyła.

- Jesteśmy szybsi, niż darnacki statek. Spróbujemy się oderwać od niego, a potem, kiedy się ściemni...

- Mobilizuj ludzi. Musimy być przygotowani.

- Z tobą się nie można nudzić - powiedział Wisław, kiedy wrócili do kajuty. – Co prawda, żadnego wyboru nie mamy. Pozwolisz walczyć obok siebie?

- Najpierw pomóż mi zawiązać pasy - powiedziała, wkładając kirys. - Aha, dobrze, tak! I nie musisz mnie głaskać po tyłku.

- Ręka się ześliznęła - z najbardziej niewinnym spojrzeniem oświadczył Wisław, mocując się z naplecznikiem. - Wszystko, gotowe. W czym ci mogę jeszcze pomóc?

- W niczym - szybko splótła włosy w warkocz, zarzuciła go za plecy, wzięła ze stolika rękawiczki i miecz. - Strzelaj celnie i postaraj się, żeby cię nie zabili.

- Byłoby ci żal?

- Tak, ale jeszcze bardziej Leodanowi. Nie chcę być zwiastunem nieszczęścia. Idziemy!

Na śródkręciu już zebrały się trzy dziesiątki uzbrojonych we włócznie i łuki marynarzy - połowa załogi „Jerzyka”. Pojawienie się Kasty i Wisława powitali przychylnymi okrzykami i uderzeniem broni o tarcze. Kapitan podszedł do dziewczyny.

- Rozkazałem iść na średniej prędkości. Trzeba oszczędzać siły wioślarzy.
- I to wszyscy twoi ludzie? Niezbyt dużo.
- Dolicz sternika, Tełonisa, koka, mnie i mego jungę. Są jeszcze trzej uratowani przez ciebie Doryjczycy, ich też można uzbroić. Już będzie czterdziestu. A z tobą i twoim przyjacielem, to już cała armia!
- Przyjemnie to słyszeć, Fasisie, ale mi pochlebiasz. Ilu wojowników może być na darnackiej galerze bojowej?
- To zależy... Średnio pięćdziesięciu-sześćdziesięciu, na uderzeniowych - do setki. Więcej niż połowa, to żołnierze, pozostali - członkowie załogi.
- A jeszcze baliści - dodała.
- Mam jednego skorpiona na rufie - powiedział Fasis.
- Skorpion to nie balista. Nie może strzelać zapalającymi pociskami – wtrącił się Wisław.
- Ilu masz wioślarzy, Fasisie? – Spytała nagle.
- Stu sześćdziesięciu. A co?
- Znajdzie się broń na statku?
- W arsenale są jeszcze włócznie, piki i siekiery. Co wymyśliłeś?
- Zrobisz to, o co cię poproszę?
- Wszystko, co zechcesz.
- W takim razie idziemy na wioślarski pokład. Nie będziemy tracić czasu.

Starszy pomocnik na „Węzu morskim”, Ris-Chaszan obserwował z mostka, jak jego ludzie przygotowują się do walki. Przy burtach zajęli pozycje łucznicy, a pięćdziesięciu legionistów ustawiło się w karo, żeby w szczególnym wypadku odeprzeć atak abordażowych grup z nieznanego statku. Tymczasem obcy podszedł do „Węza morskiego” na odległość siedmiu-ośmiu strzałów i Ris-Chaszan, stary i doświadczony marynarz, natychmiast określił, że to orgielska birema, mocny, zwinny i szybkobieżny statek, niczym nie ustępujący sabejskim statkom pirackim. Orgielec szedł na wiosłach, z opuszczonym żaglem, ale jego prędkość, sądząc po tym, jak szybko zbliżały się do siebie oba statki, była przyzwoita.

- Obrót, zero trzy zero! – podał komendę sternikowi. - Trzymać statek z wiatrem. Idę do kapitana.

Dowodzący siedział za stołem w swojej kajucie i pił wino. Od tego momentu, jak obserwator zakomunikował o zbliżaniu się obcego statku, zachowywał się bardzo dziwnie. Zbladł, natychmiast porzucił mostek i zaszył się w kajucie, pozostawiając pomocnikowi przygotowanie załogi i statku do ewentualnej bitwy. Wówczas Ris-Chaszan pomyślał z niezadowoleniem – tak to bywa, kiedy Admiralicja obsadza kapitanami bojowe statki, różnej maści szczurami lądowymi, których cała zasługa polega tylko na wysokim pochodzeniu. Sam Ris-Chaszan zaczynał służbę, jako prosty marynarz. Był prawdziwym morskim wilkiem i nie czuł do swojego naczelnika niczego, oprócz pogardy, którą, zresztą dokładnie ukrywał. Służba to służba i nie jest ważne, kto jest twoim dowódcą, tym bardziej, że z takim kapitanem czuł się na „Węzu morskim” gospodarzem. Po wejściu do kajuty, zdjął skórzany hełm, z szacunkiem uklonił się i zakomunikował, że jest gotowy do ataku na obcy statek.

- Tu rozkazy wydaję ja - nie patrząc na Ris-Chaszana sprostował kapitan, napełniając puchar ze srebrnego, smukłego dzbanka.- I ja decyduję, czy atakować, czy też nie. Zapamiętaj to, Ris-Chaszanie.

- Oczywiście, kapitanie - odpowiedział pomocnik, zachowując kamienny wyraz twarzy. – Wyda pan rozkaz ataku?

- Co to za statek?

- Orgielski. Bywałem na takich. Sto czterdzieści wioseł, trzydziestu ludzi załogi. Katapult na takich statkach zazwyczaj nie ma. Nie będzie żadnego problemu, puścić ich na dno.

- Balisty - kapitan upił łyk wina. - Niech załoga przygotuje balisty, to najważniejsze.

- „A ty, tymczasem będziesz chlał, brudna świni” - pomyślał Ris-Chaszan i na głos dodał: - Balisty przygotowane, kapitanie.

- W takim razie spal ich w imię Giesztana i zostaw mnie w spokoju! - Gestem nakazał pomocnikowi, by wyszedł.

- Na pana miejscu, kapitanie, włożyłbym zbroję - poradził Ris-Chaszan, będąc już w drzwiach. - Strzała z dobrego łuku czasami przebija drewniane ściany kajuty.

- Poczekaj - kapitan podał pomocnikowi swój puchar. – Napij się ze mną.

- Dziękuję za honor, panie - przyjął puchar, duszkiem wycodził wino. Tak dobrego szeryba już dawno nie próbował. - Przyślę służącego, żeby pomógł panu przygotować się do bitwy.

- Mam jakieś niedobre przeczucie, Ris-Chaszanie.

- Podczas swojej pierwszej walki także denerwowałem się, kapitanie. To jest normalne.

- Wiem - warknął kapitan. - Idź, czyń dalsze przygotowania do walki.

Tchórz, pomyślał, obserwując przez półotwarte drzwi, jak dowódca przy pomocy służącego, ubiera się w pozłacany kirys i nagolenniki Świętego Legionu. Osesek. Baba w zbroi. Bogowie, kogo ci idioci z Admiralicji czynią kapitanami! Ale w jednym ten chłopak ma rację: nie należy dopuszczać do bezpośredniej walki. Rozstrzelać ten statek ognistymi granatami i zakończyć sprawę. Po co ryzykować życiem ludzi i bezpieczeństwem statku.

- Ładować balisty! – wydał rozkaz i pobiegł na mostek.

Na wioślarskim pokładzie było ciemno i duszno, a powietrze przesycone smrodem potu i niemytych ciał. Kasta obejrzała przykutych do wioseł niewolników. Brudni, obrośnięci, półnag, pokryci bliznami - jacy z nich wojownicy? Ale spróbować nie wadzi. Tym bardziej, że mięśnie niektórych wioślarzy robią wrażenie.

- Słuchajcie mnie! - krzyknęła, zwracając się do nich. - Kto z was rozumie po seltońsku?

- Są w większości z Dory, Kasto - szepnął kapitan.

- Świetnie. Wobec tego, będę mówić w języku doryjskim. Wszyscy mnie słyszą?

Wioślarze poruszyli się, spojrzenia wielu z nich ożywiły się. Dziesiątki par oczu patrzyły na nią ze zdumieniem i ciekawością. Nie mogli zrozumieć, dlaczego kobieta-wojownik przyszła rozmawiać z nimi.

- Słuchajcie uważnie - zrobiła pauzę. - Nazywam się Lejda Elea Kasta. Jestem Seltonką. Kiedyś byłam niewolnicą, taką samą jak wy. A teraz - jestem wojownikiem.

W tej chwili potrzebni mi są wojownicy. Ten statek lada chwila zaatakuje darnacka galera. Siły są nierówne. Jeśli darnatczycy zdobędą go, wszyscy zginiemy albo zostaniemy niewolnikami. Jeśli „Jerzyk” zostanie zatopiony, utoniemy razem z nim. Nas nikt nie będzie ratować, a jeśli i wyciągną kogoś z wody, to tylko po to, żeby posadzić przy wiosłach albo sprzedać na targu. Niewolnictwo lub śmierć - jedyny wybór, jaki wam pozostaje. Ale jest trzecia droga. Proponuję wam umowę. Kapitan Fasis uwolni was. Wiem, że go nie lubicie, bo jesteście jego niewolnikami. Wiem, że nie lubicie marynarzy tego statku, ponieważ odnosili się do was, jak do niewolników. Ale teraz mamy wspólnego wroga. Powinniście zapomnieć o starych urazach. Dlatego najpierw złożycie mi przysięgę wierności, Lejdzie Kaście. Każdy, kto to uczyni, otrzyma wolność i zostanie moim wojownikiem. Otrzyma broń i prawo do części łupów, jeśli je zdobędziemy. Kto nie chce walczyć i umrzeć wolnym, zostanie przy wiosłach i być może, bogowie uśmiechną się do niego i zachowają jego żalosne życie - zmieni tylko wiosła orgielskiego statku na darnackie. Czy zrozumieliście?

- Jestem gotowy! - krępy brodac podniósł się z ławy, błysnął oczyma. - Przysięgam na wszystkich bogów, że pójdę za tobą na śmierć, kobieto.

- I ja! - krzyknął jeszcze jeden z niewolników.

- I ja! Weź mnie!

- Ja też!

Na wiosłarskim pokładzie podniósł się krzyk - zerwali się ze swoich miejsc, wymachiwali rękoma, starali się przekrzyczeć, przyciągnąć do siebie uwagę dziwnej kobiety, która przyszła dać im długo oczekiwaną wolność. Kasta westchnęła, zrobiło się jej nagle lżej na duszy - wszyscy wybrali drogę do wolności. Z ładowni krzyczeli zmiennicy wiosłarzy, wysuwając przez kratę wjazdu brudne palce.

- Dobrze! - krzyknęła i podniesieniem dłoni nakazała spokój. - Kiedy przyjdzie wasz czas, będziecie walczyć. Ale tymczasem, powinniście wiosłować. Wiosłować tak, jakby od każdego machnięcia wiosłem zależało wasze życie.

- Ufasz im, Kasto? - cicho zapytał Fasis. - Nie myślisz, że śmigną do wroga?

- Nie myślę. Niech twoi ludzie przygotują dla nich broń. Czekać na mój sygnał.

Na wiosłarskim pokładzie znów odezwał się bęben wyznaczający rytm, więc podniesieni na duchu, naparli na wiosła. Kasta i Fasis wyszli na górę. Wisław już siedział na wantach, razem z innymi łucznikami, przywiązawszy się do rei. Pomachał jej ręką, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

- Są już blisko! - krzyknął, wygodniej uchwyciwszy łuk. - Zaraz prześlą nam wiadomość o sobie.

Jakby na potwierdzenie tych słów, pocisk, wypuszczony z darnackiej balisty, przeleciał nad pokładem „Jerzyka” i wpadł do wody.

- Do boju! - krzyknął kapitan, wyciągając z pochwy kordzik. - Do ataku!

Uderzenia bębna stały się częstsze. „Jerzyk” rozpędzał się coraz szybciej, zbliżając się coraz bardziej z każdym machnięciem wiosła do darnackiej galery. Jeszcze jeden pocisk, wypuszczony z darnackiego statku, przeleciał nad całą długością „Jerzyka”, zmuszając marynarzy na pokładzie do wciągnięcia głowy w ramiona. Na rufie, ludzie Fasisa czekali na rozkaz przy załadowanym skorpionie. Część marynarzy wyciągała z arsenału broń na wiosłarski pokład, pozostali, gotowi do walki, zebrali się na dziobie statku, przy abordażowym mostku. Kasta przyłączyła się do nich.

- Zamierzasz ich atakować taranem? - zapytał Fasis.

- Ty jesteś kapitanem statku, to nim i kieruj. Ja nie znam się na morskiej bitwie.

- Myślałem, że jesteś wszechwiedząca, jak bogini mądrości Adejna. Tymczasem wszystko robimy poprawnie. Idziemy na czołowe zderzenie i darnaczczy nie mogą używać swoich balist z pełną mocą. Strzelają na chybił trafił. Ale potem musimy wykonać manewr wymijania, inaczej zderzymy się.

- Nie musimy - oczy jej zabłyśły. - Nie będziemy manewrować. Każ sternikowi trzymać kurs wprost na ich galerę.

- Zbzikowałaś, kobieto? Zderzymy się z nimi!

- Nie zderzymy się, zaraz zobaczysz. Daj rozkaz osiągnięcia maksymalnej prędkości.

- Maksymalna prędkość! - krzyknął Fasis i prawie z zachwytem spojrzał na Kastę. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz kobieto.

Ris-Chaszan obserwował manewry zbliżającego się statku i pewność siebie orgielskiego kapitana go rozbawiała. Żaloszny cymbał, chce go przestraszyć! Zmierza do czołowego ataku, jak bohater. Zobaczymy, jaki manewr wykona ten robak, kiedy odległość skróci się do jednego wystrzału...

- Balisty, do ataku! - rozkazał.

Rufowe - zgodnie rzuciły ogniste granaty w zbliżający statek. Ris-Chaszan z niezadowolaniem uderzył pięścią po poręczach. Znowu przelot. Być może, wszystko dlatego, że przeklęty orgielczyk ma zbyt małe zanurzenie i jego prędkość jest przyzwoita, nieliczne darnackie statki mogą chępić się takimi osiągnięciami szybkości.

- Do ataku! Celowniki niżej! Łucznicy, cel!

Na pokładzie ukazał się ubrany w zbroję kapitan. Ris-Chaszan z satysfakcją pomyślał, że zasmarkane dziecko jednak przemogło swój strach. Może nie być z niego żadnego pożytku, ale jego pojawienie się może zdopingować ludzi.

- Pierwszy manipuł, ustawiać się w „żółwia”! - rozkazał. Kapitan podniósł głowę, obrócił się, zobaczył swojego pomocnika na mostku i szybko ruszył w jego stronę.

- Odległość – na dwa wystrzały! - ogłosił dowódca legionistów Alcham, zmieniając się na twarzy.

- Co się dzieje? - kapitan podskoczył do Ris-Chaszana. - Dlaczego ten statek jeszcze nie jest na dnie?

- Zaraz pójdzie - spokojnie powiedział pomocnik. - Balisty, do ataku!

No - wreszcie, odetchnął. Jeden z granatów przeleciał obok, ale drugi trafił w rufę przeklętej biremy. Na „Wężu Morskim” zabrzmiał zgodny, triumfalny ryk. Jednakże, płonąca, wroga jednostka, kontynuowała kurs na „Węża Morskiego”. Samobójczy atak, głupi i bezużyteczny. Wszystko jedno skreśli, chociaż... Ich statek pali się, nie mają nic do stracenia.

- Panie, odległość szybko maleje - powiedział Alcham i głos młodego oficera drgnął. - Staranują nas.

- I co z tego? Proszę przygotowywać swoich ludzi. Łucznicy, pal!

- Co robisz? - kapitan chwycił pomocnika za rękę, twarz jego była blada, oczy szalone. - Natychmiast zmieniaj kurs!

- Panie, tego nie wolno robić. Oni...

- Zmieniaj kurs! - z przerażeniem patrzył na rozcinającą fale, palącą się biremę, zostawiającą za sobą czarny tren z dymu, na gromadzących się na dziobie wrogiego statku marynarzy, których nie niepokoił grad strzał z darnackiego statku,

ani płomień na rufie. Barbarzyńcy, niech będą przeklęci. Kapitanowi „Węza Morskiego” nagle przewidziało, że zbliża się jego śmierć.

- Staranują nas! - wrzasnął w panice. - Zmienić kurs!

Ris-Chaszan chciał wyperswadować kapitanowi, ale nie zdążył: strzała, wypuszczona z biremy, ugodziła go w gardło i przerwała kręgi szyjne. Krew opryskała pozłocaną zbroję, ręce i twarz dowódcy, zmuszając go do skręcenia się w paroksyzmie wymiotów. Kiedy oprzytomniał, zobaczył, że wroga birema lada chwila werżnie się w jego statek.

- Skręcaaaajcie! - krzyczał, oszalały z przerażenia.

Straszne uderzenie powaliło go na pokład i już niczego nie widział, bo stracił świadomość.

- A jednak nie mają żelaznych nerwów - pomyślał Fasis - darnacki statek zaczął zmieniać kurs. A ta dziewczyna - po prostu zuch! – stwierdził z uznaniem.

- Podnieść wiosła z prawej burty! - krzyknął.

Wiosła migiem zostały wciągnięte do środka, a za kilka sekund „Jerzyk” wbijał się w szeregi wiosła po lewej burcie darnackiej galery, łamiąc je, jak trzcinki. Na pokładzie, nawet wśród panującego nie do opisania trzasku i zgrzytu, było słychać, jak strasznie krzyczeli wiosłarze na wrogim statku, którym ich własne wiosła łamały kości. Na pokład „Jerzyka” spadł deszcz drewnianych odłamków, biremę obróciło i w tym momencie załoga Fasisa zaczęła rzucać abordażowy sprzęt na wrogi statek. W stronę Darnaczyków poleciały strzały, piki, rzutowe noże.

Dowódca darnackich legionistów, Alcham, był przygotowany na wszystko. Ale to, co zobaczył, kiedy orgielscy piraci wtargnęli na pokład galery, poraziło go do utraty tchu. Przez burtę, po abordażowych fałach i krukach, na „Węza morskiego” w większości leżeli brudni, ubrani w łachmany, zarośnięci dzikusy, bardziej podobni do zwierząt, niż ludzi. Ich oczy wyrażały wściekłość. Uzbrojeni w siekiery, bosaki, kuchenne różna, odłamki wiosła i części żelaznych łańcuchów. A na czele tej zbieraniny stała jasnowłosa kobieta w skórzanym pancerzu i z mieczem w ręce, która, przeskoczywszy przez burtę, natychmiast zarąbała łuczника, końcem miecza dosięgła innego i z wściekłym krzykiem rzuciła się w gąszcz jego legionistów, rozdając śmiertelne uderzenia na prawo i na lewo.

Uwolnieni przez Kastę wiosłarze rzucili się na pokład „Węza Morskiego”, gniotąc i rozpraszając legionistów. Ci, którzy nie mieli broni, walczyli pięściami, kawałkami lin, wyrwanymi z uchwytów pochodniami, wyrwali Darnaczykom miecze i maczugi, kłasnali, wyciskali oczy, wypychali wojowników za burtę. Alcham rzucił się na kobietę z mieczem, ale rzucona z pięciu kroków pika powaliła go na pokład i dowódca legionistów został natychmiast zdeptany przez walczących. Dowódca pierwszego manipułu, Niefas, ogromny, długobrody wojownik, z szerokim falistym mieczem, także spróbował zatrzymać ją, ale Seltonka odparła jego drapieżne wypady, atakując szerokim, siecznym uderzeniem - Flamejon rozciął brązowy napierśnik, przecinając arterię pod pachą darnackiego oficera. Z okrzykiem bólu i przerażenia cofnął się, zaciskając ranę i w następnej chwili, kłującym uderzeniem Flamejona, przygwoździła go do masztu. Pozbawiony dowódców, „żółw” rozsypał się, legioniści w panice rozbiegli się w różne strony. Ich ciężkie, podkute brązem sandały, ślizgały się na zalanych krwią deskach pokładu. Okrutne uderzenia sypały się ze wszystkich stron. Bardzo szybko na śródookręciu nie zostało ani jednego żywego. Część Darnaczyków, stłoczwszy się na dziobie i rufie, ostrzeliwała się z łuków i miotła w atakujących korsarzy włócznie, ale marynarze Fasisa i wiosłarze Kasty

szybko stłumili ten opór. Dziobówka statku została oczyszczona, część napadających runęła na dół, na wioślarskie pokłady, ścigając ocalałych z pobojuwiska na pokładzie, marynarzy i legionistów. Darnackich wioślarzy nie tykali - taki był rozkaz Fasisa - a ochronę i nadzorców wybili w mgnieniu oka. Na rufie, półtora dziesiątka legionistów, wystarczająco długo utrzymywało pozycję, odpierając ataki długimi włóczniami, jednakże Kasta krzyknęła do nich w języku szurreckim, żeby się poddali, obiecując łaskę, i legioniści, niewiele myśląc, porzucili broń. „Wąż morski” został zdobyty.

Kapitana pochwycili marynarze Fasisa - nie sprzeciwiał się. Pozłacane zbroje, nagolenniki, hełm i purpurowy płaszcz Świętego Legionu, zostały zerwane z niego i pyszny, darnacki arystokrata stanął przed nią w podartej tunice, zabrudzonej krwią i wymiocinami, z rozbitą twarzą i zlepionymi włosami. Mimo Kasta natychmiast go poznała i w jej okrzyku była taka wściekłość, że kapitan Fasis, mimo woli, cofnął się przed Seltonką, a Wisław, rzucił się do niej z drugiego końca galery:

- Kuwład?! Ty?

Kapitan też poznał dziewczynę. Szczęka mu opadła, oczy zaszklily się z przerażenia. Próbował zasłonić twarz rękami, żeby nie widzieć zbliżającej się do niego strasznej zjawy, ale ona chwyciła go za nadgarstek, szarpnęła do siebie, zajrzała w jego oczy i niespodziewanie powiedziała cicho:

- Nie oczekiwałeś, miły?

Kuwład coś wyjęczał. Nogi mu się ugięły, pęcherz moczowy opróżnił się ze strachu. Upadł na kolana, objął opryskane krwią buty Kasty. Dziewczyna ze wstrętem obserwowała, jak rozplywa się kałuża moczu. Marynarze Fasisa i uwolnieni wioślarze śmiali się, tykali jeńca drzewcami włóczni, obsypywali przekleństwami. Darnatcy jeńcy opuszczali oczy, zawstydzeni zachowaniem dowódcy. Kuwład nadal obejmował jej nogi, jak wystraszone dziecko. Oczy miał pełne przerażenia i błagania, a z ust wyrwały się tylko ochryple, niezrozumiałe dźwięki, jak człowiekowi, któremu śni się koszmar. Nagle poczuła, że wściekłość, gniew, nieodparte pragnienie krwi opuszczają ją - pozostają tylko gorycz i wstyd.

Wielka Szante, przecież ona kiedyś kochała tego człowieka!

Trzęsąca się, skomląca ze strachu istota, pełzająca u jej stóp w kałuży moczu, jest człowiekiem?!

Podniosła miecz.

- G-n-óó-j-j n-i-e w-y-rr..! Kuwład już nic nie mógł powiedzieć, tylko poruszał wargami i nadal patrzył na nią. Spojrzeniem zwierzęcia - takie oczy ma tylko ciełe, kiedy rzeźnik przystawia do jego gardła nóż.

- Bądź przeklęty! - splunęła na niego, wsunęła miecz do pochwy i odeszła do burty. Wisław podążył za nią.

- Zabić go? - zapytał.

- Nie trzeba – powiedziała nie patrząc na Wisława. - Niech żyje. Kiedyś, zdawało mi się, że go kocham. Potem mnie wydał i marzyłam, że swoimi rękami wyrwę z jego piersi serce. Teraz mnie po prostu mdli. Jest mi wstyd, że kiedyś uważałam tego drania za mężczyznę.

- Co mamy robić z jeńcami, Kasto? - zapytał podchodzący kapitan Fasis.

- Przesłuchacie ich, a potem wypuścicie. Dajcie im łódź i niech zabierają się do tyłka Igierabała - udała, że dym z palącego się „Jerzyka” szczypie w oczy, a tak naprawdę, płakała z innego powodu. – Na co czekasz, Fasisie? Przygotuj statek! Powiedz ludziom, niech ubierają się w zbroje legionistów i zabierają ich broń. Przejrzyjcie kajuty oficerów, szukajcie pieniędzy, prowiantu, odzieży. Nieboszczykom nie są potrzebne.

- Mój statek dopala się, pani. Szkoda, dobra była łajba.

- Masz nowy. Na co czekamy?
- Zrozumiałem, pani.

Obserwowała, jak ludzie Fasisa likwidują abordażowy sprzęt. Pochwycony przez fale, dopalający się „Jerzyk” odpłynął od zdobytej galery i udał się w swój ostatni rejs. Zwycięzcy ściągali z zabitych Darnatczyków zbroje i odzież, odmywszy z krwi, wkładali na siebie, wyrzucali za burtę porąbane, zakrwawione ciała poległych, a w tym czasie, część marynarzy, wykonując rozkazy Fasisa, stawiała żagiel i przygotowywała się do dalszej podróży.

Jeden z byłych niewolników-wioślarzy, silny, jasnowłosy mężczyzna z błękitnymi oczyma, zbliżył się do Kasty, na znak szacunku przyłożył dłoń do serca.

- Wszyscy jesteśmy ci wdzięczni, pani - powiedział. - Dzisiaj zwróciłaś nam prawo nazywania się ludźmi.

- Jak masz na imię? - zapytała.

- Epiryj, pani.

- Byłeś wojownikiem?

- Za dawnych czasów byłem setnikiem w armii króla Foskanosa.

- Nieźle. Będiesz moim zastępcą przy Doryjcach. Znajdź ludzi umięjących obchodzić się z balistami i doświadczonych łuczników.

- Będzie wykonywane, pani - Epiryj oddalił się zadowolony i dumny z nowego powołania. Znów zwróciła spojrzenie na kołyszący się na falach, palący się statek kapitana Fasisa.

- O czym myślisz? - zapytał dziewczynę Wisław.

- O sprawiedliwości. Statek Fasisa spalił się na jego oczach, ale bogowie dali mu w zamian inny. To jest sprawiedliwe.

- No i co?

- Wielka szkoda, że bogowie nie mogą dać człowiekowi nowego serca w zamian za to, które się spaliło - podniosła smutny wzrok na Wisława. - Zostaw mnie, proszę. Chcę być sama.

- Moglibyśmy porozmawiać. Bardzo dobrze umiem słuchać.

- Dziękuję, Wisie. Nie mam, o czym ci opowiadać. Potrzebuję teraz samotności. I jeszcze szmaty, umoczonej w occie, żeby zmyć krew ze zbroi.

- Oni mają jeszcze dwa statki - opowiadał Fasis, kiedy siedzieli w kajucie Kuwłada i pili szerib ze srebrnych czasz - desantowego gieptaresa i galerę. Ponad tysiąc żołnierzy. Dowodzi nimi sam Aszejn, postrach sabejskich korsarzy. A my, ledwie zbierzemy półtora setki ludzi. Ogólnie, sprawa niewesoła.

- Z nami jest Kasta - powiedział Wisław. - Ona...

- Wisie, błagam cię! - ofuknęła Reszyjca dziewczyna.

- Oczywiście, masz rację - Fasis upił duży łyk szeriba. - Chciałem tylko powiedzieć, że...

- Masz rację, kapitanie – wtrąciła. - To absolutne samobójstwo. Nie poradzimy sobie z Darnatczykami, nie mamy o czym marzyć. Wobec tego, do Fanary nie popłyniesz.

- A ty? - Fasis ze zdziwieniem popatrzył na dziewczynę.

- Popłynę. Powinnam koniecznie dotrzeć tam. Powiedz mi, czy tu w pobliżu są jeszcze jakiekolwiek zaludnione miejsca?

- Oczywiście. Jeśli popłyniemy wzdłuż brzegu na zachód, to za trzy godziny będziemy w Chule - to wioska rybacka, uważana za przedmieście Fanary. Jest tam ustronna zatoczka, gdzie moglibyśmy rzucić kotwicę.

- To dobrze. Tam się udamy.

- Zrozumiałem, pani - Fasis dopił wino, wstał od stołu. - Pójdę przygotowywać statek.

- Dlaczego chcesz wrócić do Fanary? - zapytał Wisław, gdy tylko kapitan wyszedł. - Aha, oczywiście, powinnaś otrzymać nagrodę za Kaffaraja. Tylko czy warto tak ryzykować dla...

- Nie dla nagrody. Już ją otrzymałam.

- Czyżby powodem był Leodan?

- Właśnie.

- Przysięgam na Cwira! Chyba coś zmieniło się na świecie: niebo i ziemia zamieniły się miejscami, kobietom wyrosły brody, a na drzewach rosną złote tulony zamiast liści! O ile pamiętam, to niezbyt poważałaś tego chłopaka. Dlaczego nagle zaczęłaś zamartwiać się jego losem? Chyba nie dlatego, co mu grozi w Fanarze.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Chciałbym. Z jakiegoś powodu, też czuję się odpowiedzialny za tego chłopaka. - Wzruszył ramionami. - Jest dziwny, nawet bardzo i przywiązał się do mnie. Uwierz mi, nie dawałem mu żadnego powodu. Uważa, że uratowałem go. Czasami jego przywiązanie wydaje mi się śmieszne, czasami wzruszające, a czasami drażni. Ale nie zauważałem, żeby coś znaczył dla ciebie. Mówiąc szczerze, nie chciałbym też, by ktokolwiek trzeci stał między mną i tobą.

- Oho! Co to, wyznanie miłości?

- Można i tak powiedzieć.

- Wisławie, już mówiłam ci i powtórzę jeszcze raz - wyrzuć mnie ze swojego serca. Nigdy nie będziemy razem.

- Jesteś taka kategoryczna, że po prostu nie mogę nie zapytać - dlaczego?

- Ponieważ nie mogę nikogo pokochać. Nawet takiego wspaniałego człowieka, jak ty.

- Dziękuję za pochlebne słowa, ale...

- Poczekaj - dotknęła palcami jego warg, zmuszając, by zamilkł - powinnam ci wszystko wyjaśnić. Inaczej chyba się nie uspokoisz.

- Nie uspokoję się, nawet jeśli mi wszystko wyjaśnisz.

- Wielka Beris, jakiś ty... - uśmiechnęła się smutno. - Myślałam, że jesteś dorosłym mężczyzną, a nie chłopakiem.

- Nic na to nie poradzę.

- Wisławie, twoja miłość jest beznadziejna.

- A ja nie żądam wzajemności. Po prostu pozwól być obok siebie, to mi wystarczy.

- Zachowujesz się jak głupi, mdląco poprawny bohater z bzdurnych legend. Tylko w nich, pozornie normalni chłopcy chodzą śladem swoich wybranek, zapewniając o swojej miłości, jak papugi, nawet nie próbując je gdziekolwiek porządnie przycisnąć.

- To nie tak. Jestem normalnym, zdrowym mężczyzną i bardzo cię pragnę. Jeszcze na statku-zjawie patrzyłem na ciebie i nie myślałem o żarciu, a o tym, jak pachną twoje włosy i jaka w dotyku jest twoja skóra. Ale jeśli nie mam szans, to wszystko jedno, chcę zostać obok ciebie. Żeby pomagać. Domyślam się, że wyznaczyłaś sobie bardzo dużo zadań.

- Bardzo miło to słyszeć. Jeśli istotnie tak zdecydowałeś, jestem ci wdzięczna. Ale wiedz, że możesz liczyć tylko na moją przyjaźń i wdzięczność.

- Wdzięczność bywa różna.

- Wisie, proszę, nie mów tak, żebym się miała tobą rozczarować.

- Przebacz, to był dowcip. Chciałaś mi coś opowiedzieć.

- Tak, słusznie – po chwili namysłu, krótko zrelacjonowała to, czego dowiedziała się po Zacienionej Stronie od Angusza. - Teraz rozumiesz, dlaczego zmieniłam swój stosunek do Leodana?

- Dziwna historia. Może, to wszystkie intrygi Kaffaraja?

- Z początku też tak myślałam. Ale potem zjawilo się to - pokazała na otrzymany od Angusza srebrny pas na biodrach. - Nagroda za głowę Kaffaraja.

- Wygląda na to, że Leodan jest twoją poławą?

- Prędzej, moim lustrzanym odbiciem. Jesteśmy złączeni niepojętym dla mnie związkiem, ale powinnam go chronić. Jeśli mam być uczciwa, to do bólu wątroby sprzykrzyły mi się wszystkie te prorocтва, cudowne i tajemnicze zbieżności, ale coraz bardziej rozumiem, że muszę iść tą drogą do końca. Sedno sprawy, jak widzisz, nie w Leodanie i nie w woli tych, których nazywają Zapomnianymi Bogami - westchnęła. - Tam, w podziemiach Cichej, po raz pierwszy przez ostatnie lata, poczułam strach przed śmiercią.

- Ty? Nieustraszona Kasta?

- Tak, Wisie. Kiedy byłam po Zacienionej Stronie, widziałam dusze Ajlora i mojej córeczki. Nie poznali mnie. Teraz obawiam się, że kiedy Nekrian przyjdzie po mnie, nie będę w stanie być przy nich po tamtej stronie życia. Powinnam odnaleźć się, Wisie. Powinnam uczynić wszystko, by Ajlor i Elea poznali i przyjęli mnie, gdy znów się spotkamy. Dlatego będę pomagać Leodanowi, jak tego żąda ode mnie wola Zapomnianych. Poza tym nic mnie nie obchodzi.

- Zrozumiałem. Jeszcze wrócimy do rozmowy o nas, obiecuję. Ale teraz, chcę ci coś zaproponować.

- Bym podzieliła z tobą łóżę?

- Nie, chociaż marzę o tym.

- Coś podobnego? - uśmiechnęła się. - Po raz pierwszy widzę mężczyznę, który pragnie przespać się ze mną i powstrzymuje swoje życzenie.

- Nie widzę u ciebie wzajemnego życzenia, dlatego staram się powstrzymać siebie. Zbyt cię cenię, by pragnąć tylko twego ciała. Chcę zostać w twoim sercu. Widziałem, jak postąpiłaś z tym Sabejczykiem, kapitanem Kriskiem. Nie chcę być mężczyzną na jedną noc. Wybacz mi, jeśli moje słowa cię uraziły.

- Akurat odwrotnie. Niezwykła rzadkość spotkać chłopaka, który rozumie, co to takiego miłość. Ale nie będziemy mówić o miłości, Wisie. Co mi chciałeś zaproponować oprócz pościeli?

- Do Fanary, po Leodana udam się sam.

- Uważasz, że bardziej ci się poszczęści?

- Po prostu pomyślałem, że tak będzie bezpieczniej. Poza tym, chcę sprawdzić, czy zdolny, dobry złodziej, może zostać dobrym zwiadowcą.

- Nie będę się sprzeczać z tobą, Wisie. Niech będzie tak, jak chcesz - podniosła się na palcach i pocałowała Wisława w policzek. - Kiedy przybędziemy do Chule, wszystko omówimy. A teraz zostaw mnie. Powinnam odpocząć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Początkujący bardowie często rozslawiają w swoich wierszach symbolikę księżycy - widocznie, księżyc w pełni wyostre ich poetyckie zdolności albo obiecuje miłosne przygody. Piszą wzniosłe i romantyczne strofy, a nieraz całe poematy. Ale teraz, świecący, pełny dysk w rozgwieżdżonym niebie, zmusił Wiśława tylko do paru mocnych przekleństw. Nie zdążył dotrzeć do bram Fanary przed nadejściem ciemności. Droga z Chule do Fanary okazała się dłuższa, niż mówili rybacy w osiedlu. Czy też, może on zaczął się starzeć? Kiedyś, piesze, dwudziestomilowe spacerowały dla niego zwykłą sprawą, a teraz... Teraz trzeba będzie łamać głowę nad tym, jak się dostać do miasta. Albo czekać do rana, co mu się zupełnie nie uśmiechało.

Przeżuwając przekleństwa, dotarł rozjeżdżoną drogą do przedmieścia i nabrał otuchy dopiero wtedy, gdy zobaczył palące się latarnie wiejskiej tawerny. Stało przed nią kilka załadowanych furmanek, których strzegli uzbrojeni w dębczaki i sztylety ludzie o bandyckiej powierzchowności. Podejrzliwie spoglądali na niego, ale nie próbowali zaczepiać. Pośpiesznie przeszedł koło nich i wszedł do środka.

Budna, zaczadzona i ciemna sala zajazdu była zatłoczona – wolnych miejsc przy stołach nie było. Spędzali tu wieczór wszyscy ci, którzy nie zdążyli przed nadejściem ciemności dostać się do miasta. Kilku ludzi leżało przy ognisku na trzcinowych matach: oznaczało to, że wolnych pokoi w tawernie nie ma. Marszcząc nos od najbardziej niespodziewanych zapachów, przeszedł przez salę w poszukiwaniu wolnego miejsca. Uważnie przysłuchiwał się temu, co mówią ludzie przy stołach. Wszystkie rozmowy dotyczyły rozpoczynającej się wojny. Wystarczająco dobrze rozumiał miejscowy dialekt doryjskiego języka, którym niegdyś porozumiewano się w całym Wajristaerze. Dowiedział się o wielu sprawach. Zainteresowała go zwłaszcza rozmowa dwóch młodych ludzi, z wyglądu studentów albo uczniów jakiegoś maga, którzy siedzieli w dalekim kącie i mówili o wczorajszym sukcesie nowej sztuki dramaturga Zalmana. Padło imię niejakiego Leodana. Wkrótce Wiśław ze zdziwieniem zrozumiał, że studenci mówią o jego młodym podopiecznym.

- Przepraszam, że wtrącam się do rozmowy, dobrzy obywatele - zaczął podchodząc do młodych ludzi - ale przypadkowo usłyszałem część waszej rozmowy i bardzo mnie zainteresowała. Jestem Wiśław, dopiero wczoraj przybyłem do waszego kraju, żeby pobyć trochę u starych przyjaciół, a przy tym także trochę zarobić. Jestem bardem, poetą i dramaturgiem, chciałby wystąpić w waszym wspólnym mieście i...

- Spóźniłeś się, przyjacielu - odpowiedział jeden ze studentów. - Chyba nikt teraz nie przyjdzie posłuchać ciebie.

- Tak, słyszałem. Wojna...

- Wojna zawsze zaczyna się w złym czasie - zauważył drugi. - Trudno było znaleźć miejsce spokojniejsze i bardziej szczęśliwsze, niż Fanara. Teraz diabelscy Darnatczycy wywrócili wszystko do góry nogami.

- Pst! - zasyczał pierwszy, krzywo patrząc na Wiśława.

- Zapewniam, że nie jestem szpiegiem - uśmiechnął się. - Mnie wcale nie ciekawi, co dzieje się w mieście. Chciałem usłyszeć o premierze.

- Nie, sztuka była po prostu świetna, mówię to bez wygłupów - odpowiedział rozmowny student. - Zalman, wcześniej też pisał niezłe misteria, ale tu prześcignął sam siebie. Widzowie płakali, sam widziałem. A już w końcówce, jakiś pijany Sabejczyk tak się rozczulił, że wskoczył na scenę i zaczął namawiać bohaterkę, by nie zabijała siebie! Szkoda, że tego nie widziałeś, panie poeto. Omal nie udusiłem się ze śmiechu, kiedy na to wszystko patrzyłem.

- Ciekawe - uśmiechnął się. - Czyżby tak dobrzy byli aktorzy?

- Teatr Zalmana jest najlepszy spośród tych, w których bywałem - młody człowiek tyknął piwa. - A tym razem aktorzy w ogóle byli w formie. Zwłaszcza nowiutki komediant, grający główną rolę żeńską. Nigdy nie uwierzyłbym, że mężczyzna może tak istotnie przekazywać żeńską plastykę i żeńskie emocje.

- Panowie, jak widzę, prawdziwi znawcy - powiedział. - Pozwolicie z wami się napić?

Piwo w tawernie okazało się nadspodziewanie drogie, wodniste i mocno gorzkawe, jednakże Wisław nie był wybredny. A jeszcze męczyło go pragnienie.

- Ciekawe - powiedział, osuszywszy swój kubek. - Będę potrzebował dobrego aktora. Jak wołają na tego cudo-komedianta?

- Leodan. Tylko, Zalman chyba nie pozwoli mu pracować z tobą, przyjacielu. I mieszkańcom Fanary teraz będzie nie do rozrywek.

- Rozumiem - przywołał kelnerkę, kazał podać jeszcze piwa. - Spróbuję porozmawiać z Zalmanem. Gdzie mogę go znaleźć?

- Mieszka w Nadmorskim Kwartale, obok koszar gwardii obywatelskiej. Tylko ten pomysł nic nie da: przecież mówię ci, Zalman nie z tych, którzy pozwalają jeździć na jego koniku. Może tobie uda się go namówić... - rozmowny student znacząco potarł kciukiem palec wskazujący.

- Rozumiem. A gdyby tak porozmawiać z samym Leodanem?

- Można i tak. Chociaż lepiej z Zalmanem.

- Dziękuję za przyjemną rozmowę.

- „Oho, mój młody przyjaciel, wydaje się, stał się sławny, jeśli, oczywiście, to on! - pomyślał, odchodząc od stołu. - Potrzebował tylko dwóch tygodni. Chociaż nie ma w tym nic dziwnego: chłopak piękny i może wzbudzić do siebie sympatię każdego człowieka. Wygląda na to, że ma jeszcze także talent. Z jednej strony, to upraszcza mi życie. Jak mówią, nowa namiętność często zmusza zapomnieć o starej. Może, sława i uwielbienie tłumu zmuszą, by zapomniał o starym Wisławie. Ale z drugiej strony, Kasta kazała dostarczyć chłopaka na statek. Przecież on teraz może kaprysić. I ten Zalman, różnie bywa, może się uprzeć. A kto powiedział, że muszę z nim rozmawiać? Udam się prosto do chłopaka. Myślę, że chętnie ucieknie z walczącego miasta”.

- Pospacerujemy, miły?

Wisław drgnął. Dziewczyna, która go zaczepiła, zjawiała się niby spod ziemi.

- Pospacerujemy? - odpowiedział pytaniem na pytanie, potem westchnął. - Ach, ty o tym...

W tawernie było ciemno, ale nie na tyle, żeby nie mógł przyjrzeć się jej. Typowa profesjonalistka, wyszukująca klientów wśród odwiedzających tawerny. Rozpuszczone ciemne włosy, przewiązane na czole szeroką, kolorową wstążką, jaskrawy makijaż, krótka liliowa tunika z głębokim wycięciem na bardzo kuszącej piersi, rzucające się w oczy ozdoby. Wielkie szare oczy, ładna figurka, cudowne nóżki. Bardzo miła i świeża. Dziwne, że dotychczas nie znalazła sobie klienta.

- Nie mam pieniędzy - odpowiedział.

- Tylko pięćdziesiąt ardzenów, drogi. Pięćdziesiąt ardzenów i cała noc czarownych przyjemności.

- Tylko pięćdziesiąt ardzenów? - westchnął: teraz rozumiem, dlaczego ślicznotka jeszcze nikogo nie znalazła. - Żartujesz, kobieto. Pięćdziesiąt ardzenów, to osiem złotych darnackich sakkarów, cały majątek. Za pięćdziesiąt ardzenów mnie zaprowadzą do rajskich ogrodów w każdym burdelu.

- Skąpy z ciebie chłopak - dziewczyna uśmiechając się, pochyliła się, by mu się przyjrzeć. - Według ciebie, nie jestem warta tych pieniędzy? Dobrze, nie chcesz płacić, chodź, pokochamy się bez tego.

- Jaki niespodziewany zwrot! Najpierw żądasz za swoje wdzięki wygórowanej ceny, teraz zgadzasz się przespać za darmo. Dziwne. Lepiej powstrzymam się. Jest tu dosyć mężczyzn. Wybierz innego.

- Inni mi nie są potrzebni. Są pijani, spoceni, śmierdzący i gburowaci. Albo powściągliwi, bogaci staruszkowie, którzy dawno zapomnieli, jaki zapach ma żeńska skóra. Ty nie jesteś taki jak oni. Jesteś lepszy od nich. Zawsze wybieram lepsze, z tego co jest.

- Niewiele zarobisz, miła, jeśli będziesz taka wybredna - odpowiedział, zadowolony ze słów dziewczyny. - Tym bardziej, jeśli będziesz żądać takiej zapłaty. Nie byłbym pewny, czy ktokolwiek z siedzących tu mężczyzn zgodzi się tyle zapłacić - nawet pod warunkiem, że ostatni raz spał z kobietą dziesięć lat temu.

- Ciebie to niepokoi?

- Oczywiście, że nie.

- Boisz się mnie? - uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Zęby miała równe i białe, co sprawiało, że uśmiech był bardziej uroczy. - Nie bój się, jestem zdrowa.

- Nie, słodziutka, po prostu nie obcuje z kobietami, które narzucają się same. Wolę kobiety, które trzeba zdobywać.

- W takim razie, zdobądź mnie. Zapewniam, radość zwycięstwa będzie wielka.

- Jesteś pewna siebie.

- Nazywam się Annika. A ty chyba nie jesteś Doryjcem?

- Nie. Jestem przyjezdnym. Z daleka.

- Wyczułam to, z twojego akcentu. Nie bałeś się przyjeżdżać do Orgielly w takim czasie?

- Czas nie wybiera. Nieszczęścia zdarzają się stale: wojna, głód, dżuma. Poza tym, przyjechałem do swojego znajomego, a on jest bogatym człowiekiem.

- Nie jesteś kupcem. Nie jesteś podobny do kupca.

- Masz rację, milutka. Jestem biednym poetą, przy którym w żaden sposób nie znajdzie się zbyt wielu ośmiu złotych monet, nawet dla takiej laleczki, jak ty.

- Przecież powiedziałam, że nie potrzebne mi pieniądze. Po prostu, chciałam spędzić ten wieczór z tobą.

- Jestem ci bardzo wdzięczny. Tylko, jaką ty masz korzyść z tego?

- Żadnej. Zaledwie radość z poznania dobrego człowieka. Sprzykrzyły mi się świnie. Pójdiesz ze mną?

- No, jeśli chcesz...

- A ty, można pomyśleć, że nie chcesz - prychnęła. - Patrzysz na mnie, jak głodny na pieczeń.

- No dobrze, wygrałaś. Rzeczywiście mi się spodobałaś. Tylko nie rozumiem, co robi taka ślicznotka w tym legowisku gadów.

- Czekam na ciebie - wzięła Wisława za rękę, poprowadziła do wyjścia. Reszyjec był mocno zdziwiony tym, co się działo, więc zamilkł i o nic nie pytał. Być może, ta dziwna dziewczyna sama wszystko mu wyjaśni, kiedy przyjdzie czas. A nie wyjaśni, też nic strasznego: głupio odmawiać tego, co samo pcha się do rąk. W końcu, już prawie pół roku nie miał kobiety...

- Dokąd idziemy? - zapytał, ledwie wyszli na ulicę.

- Do mnie.

- Mieszkasz tu, na przedmieściu?

- Nie rozśmieszaj mnie. Idziemy do miasta, mój drogi.

- Coś podobnego! - Wisław natychmiast rozpogodził się; jednego problemu mniej. - Cóż, to cieszy. Przygoda trwa.

- Postaram się zrobić tak, żebyś nie żałował czasu, który spędzisz ze mną.

Od tych słów zrobiło mu się gorąco. Szli ciemną i brudną ulicą, obchodząc cuchnące kałuże i świeże krowie placki, i kamiennym mostem, prowadzącym do miejskiej bramy. Było tu jaśniej niż na przedmieściu - po obu stronach paliły się pochodnie. Mimo woli zachwycił się lekkim, wdzięcznym chodem dziewczyny. Nieprawdopodobne, że takie urocze stworzenie zajmuje się prostytutką i każdy brzydał może kupić jej miłość. Nie, nie każdy - nie każdy ma osiem złotych monet i nawet nie każdy mający te pieniądze, zgodzi się tyle zapłacić dziwce, nawet takiej młodziutkiej i śliczniutkiej. Zwłaszcza w ubogiej tawernie. Chociaż, być może, lepiej wiedziała, jacy ludzie zatrzymują się na przedmieściu i wyławiała bogatych, zblazowanych kupców, którym nie żal rozstać się, nawet z taką solidną sumą, dla kilku godzin radości. W takim razie, dlaczego wybrała jego? Dlaczego zgodziła się pobyć z nim bezpłatnie? W sali tawerny, zauważył paru starszych, dobrze ubranych mężczyzn - zwykła prostytutka postarałaby się złapać właśnie ich w swoje wnyki. Wszystko to jest niezrozumiałe i podejrzane. Przypomnił sobie, że nawet nie zauważył, jak podeszła do niego w zajeździe, niby wyrosła spod ziemi.

- Nie musisz się niepokoić, miły - powiedziała nagle Annika. - Nie zwabiam ufnych i pożądlivych do zbójckiej meliny i nie piję z nich krwi. Mogę przysiąc, że już przygotowałeś się na wielkie przykrości, w które cię wpakuję, czyż nie tak?

- Coś ty! - zęłgał. Dziewczyna okazała się nie tylko piękna, ale i wyjątkowo przenikliwa. Czyżby czytała jego myśli?

- Przygotowałeś się, nie kłam - zaśmiała się. - Nawet nie podałeś mi swojego imienia.

- Wisław. Czasami mnie nazywają Wisławem Fartownym.

- Bardzo trafnie. Tobie się poszczęściło, że spotkaliśmy się.

- A tobie nie?

- Moje szczęście jest troszkę inne... Podejźmy do bramy, milcz, ja będę mówić.

Przy zamkniętej bramie nudziło się kilku doryjskich najemników - od czasu, gdy Erkas został władcą Orgielły, kraj zaczął rozkwitać i znalazło się dosyć pieniędzy na cudzoziemskich żołnierzy. Najwięcej było Doryjców. W Orgielle byli traktowani prawie jak swoi. Wyróżniali się zachowaniem i zdyscyplinowaniem na tle swoich współbraci w rzemiośle z innych miejsc - choćby słynnych na cały Wajristaer ze swego okrucieństwa, zbójów z Dzikich miast, których Wisław nieraz spotykał i w Darnacie, i w północnych królestwach. Darnatczycy jeszcze nie zdecydowali, co robić z tymi najemnikami - nie mieli na to czasu - więc Doryjczycy nadal ochraniali miasto. Annika, gestem zatrzymała Wisława, skierowała się do bramy i zaczęła rozmowę z żołnierzami. Nie słyszał o czym mówili, nie mógł widzieć ich twarzy, ale od czasu do czasu słyszał ich zadowolony śmiech i zrozumiał, że dziewczyna lekceważy ich. Chociaż, czemu tu się dziwić - taka dziewczyna z każdym chłopem robi, co zechce...

- No, już po wszystkim - powiedziała - można iść do miasta.

- Nawet przez moment nie wątpiłem, że uda ci się ich przekonać.

- Zawsze osiągam to, czego chcę. Chodźmy!

Przeszli przez furtkę dla ochrony i znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu kordegardy, a stamtąd wyszli na miejską ulicę. Chociaż do północy było jeszcze daleko, ulica była całkiem pusta. Podążając za Anniką, znalazł się najpierw na placu targowym - tu przechadzali się także doryjscy strażnicy, którzy po rozmowie z

dziewczyną, puścili ich wolno - a potem, na wąskiej uliczce. Po obu stronach stały piętrowe i dwupiętrowe, stare domy. Było ciemno i brudno, unosił się smród gnijących śmieci, moczu, wilgoci. Annika doprowadziła go do jednych z drzwi, otworzyła je, zapraszając gestem, by wszedł.

Szybko rozpałała lampę oliwną i Wisław rozejrzał się. Pokój był wielki, ale biednie urządzone - nakryte grubym pledem łóżko, dwa taborety, kufer w kącie, skrzynia na zapasy przy drzwiach. A przy wezgłowie łóżka, zobaczył bardzo starą kolebkę z muślinową zasłonką.

- Masz dziecko? - zapytał.

- Córeczkę - uśmiechnęła się. - Ma na imię Sawial i skończyła ostatnio dziesięć miesięcy.

- Gdzie jest?

- U mojej przyjaciółki. Aleris nie ma swoich dzieci i bardzo lubi bawić się z moją dziewczynką. W tej sytuacji, nie potrzebuję niani.

- A ty w tym czasie pracujesz?

- Zdarza się. Tylko nie praw morałów, nie lubię tego.

- Nawet nie zamierzałem - zatrzymał się przy małej kumirni w kącie pokoju, przyjrzał się starodawnej statuetce bogini z psem. - Dziwne, czcisz boginię-dziewicę Britaris. Ona nie pochwała tego, czym się zajmujesz.

- To nie Britaris. To Diwini, dawna bogini myśliwych, opiekunka dzikich zwierząt, kobiet i dzieci. Czciły ją w dawnych czasach wszystkie kobiety. Nawet mojego zawodu. I wszystkim pomagała. Statuetka jest bardzo stara, ma kilka tysięcy lat. Wypatrzyłam ją u handlarza starzyzną i natychmiast kupiłam, chociaż nie kosztowała tanio.

- Ciekawe. Ja...

Nie dopowiedział - przerwały mu jakieś dziwne, skrobiące dźwięki i ciche skomlenie. Annika otworzyła ukryte w głębi pokoju drzwi do wewnętrznego podwórka za domem i do pokoju wśliznęła się chuda, młoda wilczyca. Wolno podeszła do oszołomionego Reszyjca, obwąchała i spokojnie wróciła do gospodyni.

- Nie bój się - powiedziała. - To Sabra, moja przyjaciółka. Kupiłam ją od myśliwego i wykarmiłam własnymi rękoma. Nie robi ci krzywdy.

- Trzymasz w domu wilczycę? Słyszałem, że wilki nigdy nie dają się oswoić.

- Bzdura - wzięła stojący na stole dzban, nałala wina sobie i gościowi - wypijemy za naszą znajomość.

Wisław przyjął czaszę, skosztował wino - okazało się nadspodziewanie dobre i stare. Annika tymczasem wyjęła ze skrzyni niewymyślne jedzenie: wędzone mięso, zieleninę, bochen chleba. Z uśmiechem wręczyła mu kawałek surowej jeleniny.

- Poczęstuj Sabrę - zaproponowała.

Wziął mięso, przysiadł w kucki, podając je wilczycy. Sabra godnie przyjęła poczęstunek, położyła się na podłodze i zaczęła dokładnie gryźć mięso, przytrzymując je przednimi łapami. Annika zaproponowała Wisławowi, by zajął miejsce przy stole.

- Nie jestem głodny - powiedział - popatrzę, jak jesz.

- W moim kraju, częstowanie gościa przyjmuje się za dobry obyczaj.

- W twoim kraju? Nie jesteś miejscową?

- Jestem Seltonką. Przywieziono mnie tu dawno temu. Mój wuj był zielarzem, co u Seltończyków jest rzadkością - mężczyźni mojego narodu wolą wojskowe zajęcie. Nie żył w zgodzie ze swoimi krewnymi, dlatego wyjechał z Seltonii i tu, w Orgielle, otworzył aptekę. Kiedy moi rodzice umarli, wrócił do ojczyzny, do Eponaru, zaadoptował mnie i zabrał tu. Wychowałam się więc w Fanarze.

- A gdzie teraz twój wuj?
- Umarł, dawno temu. Jego apteka poszła pod młotek i musiałam szukać innego mieszkania. Było trudno, w Orgiellie nie lubią cudzoziemców, zwłaszcza mieszkańców Północy - pogan. Ale, jakoś udało się przeżyć.
- Twoje dziecko ma ojca. Dlaczego ci nie pomaga?
- Bo to łajdak i nikczemnik - upiła łyk wina. - Porzucił mnie, jak tylko dowiedział się, że jestem brzemienna. Zwykła historia, liczne dziewczyny lądują w takim samym gnoju.
- Wybacz, prawdopodobnie nie powinienem zadawać takich pytań.
- Nic się nie stało. Przyzwyczaiłam się, że na mnie patrzą jak na rozwiązanie stworzenia. Nawet mnie to bawi. Zwłaszcza, kiedy cnotliwe mieszczańki odsuwają się ode mnie na ulicy, jakby dotknięcie, zaraziło je jakąś straszną chorobą. A jeszcze, uważają mnie za wiedźmę, ponieważ znam się na ziołach i roślinach. Wuj nauczył mnie tego w dzieciństwie.
- Taka dziewczyna zasługuje na lepsze życie.
- Nie narzekamy z córeczką i Sabrą - poklepała wilczycę po karku. - Prawda, Sabra?
- Jesteś już drugą silną kobietą, którą spotkałem w ostatnim miesiącu.
- Pierwszą jest Kasta, tak?
- Skąd wiesz o Kaście? – zdziwił się.
- Mój dobry przyjaciel o niej opowiedział. Spotykał się z twoją znajomą i zaproponował jej pracę.
- Chłopak z małpką?
- Ten sam. Kielis, jedyny człowiek w tym mieście, na którego mogę liczyć. Jest bardzo wykształconym, utalentowanym magiem. To cudowny chłopak! Między innymi, ze względu na mnie, powierzył Kaście wykonanie zadania na Cichej.
- Ach, tak? Bardzo ciekawe.
- Pomagamy sobie wzajemnie. Kupuje ode mnie zioła za dobrą cenę. Pewnego razu, jakieś pół roku temu, rozmawiałam z człowiekiem, który chciał kupić grzyby jawchi. To bardzo rzadka roślina, w Orgiellie prawie nie rośnie.
- Natomiast na Cichej tego paskudztwa jest dosyć - zadrżał, przypominawszy sobie Łono Smoka, świeące grzyby z trupim zapachem i strasznych ogrodników-ludożerców Kaffaraja. - Słyszałem, że z jawchi gotują jakieś obrzydliwe, odurzające badziewie.
- Nie tylko. Grzyby jawchi są cennym, alchemicznym surowcem, jeśli to cię interesuje. Od tego też wszystko się zaczęło. Powiedziałam temu człowiekowi o Cichej i bardzo się zdziwił, że nie wiem nic o Kaffaraju. Jako pierwszy opowiedział mi o złym magu i jego okropnych doświadczeniach ze zwierzętami. Bardzo mnie to wzburzyło. Kocham zwierzęta, Wisławie. One czasem są lepsze od ludzi i bardzo przeżywam kiedy je krzywdzą. Im więcej dowadywałam się o Kaffaraju i jego sprawach, tym bardziej chciałam skończyć z nikczemnikiem. Kiedyś opowiedziałam o wszystkim Kielisowi, zainteresował się tym i obiecał pomóc. To, wszystko.
- I Kielis zwrócił się do Kasty? Ciekawe.
- Dzisiaj był u mnie. Powiedział, że skończyliście z Kaffarajem i jestem z tego bardzo zadowolona.
- Dziwne. Skąd mógł o tym wiedzieć? Dopiero wieczorem podpłynęliśmy do wybrzeża.
- Powiedziałam ci przecież –jest magiem. Potrafi robić takie sztuczki, o których prości ludzie mogą tylko marzyć.

- Cóż, mogę tylko potwierdzić to, co opowiedział ci Kielis. Kaffaraj został zabity i jego potwory też. To zasługa Kasty. My, tylko jej pomogliśmy. Niewiele.

- Skromność jest chwalebną cechą, Wisławie. Nie doceniasz siebie. Wypijemy?

Upił łyk i bardzo się zdziwił. Mógł przysiąc, że przed chwilą pił miejscowe, białe wino. Teraz w czaszy było różowe niranijskie, bardzo drogi i szlachetny napój. Wyraz jego twarzy zmusił Annikę do wesołego śmiechu.

- Przysięgam na Cwira! - ze strachem popatrzył do swojej czaszy, potem przeniósł spojrzenie na dziewczynę. - Jesteś naprawdę wiedźmą.

- Tylko trochę. Ale wracamy do sprawy. Mam do ciebie jedną prośbę, Wisławie. Jeśli pomożesz mi, hojnie wynagrodzę cię.

- Jaka to prośba?

- Kielis spełnił moją zachciankę. Chcę odwdzińczyć się twojej przyjaciółce Kaście za czyn, jakiego dokonała dla mnie. Tobie także za pomoc, jaką jej okazałeś. Ale jeszcze chciałabym zwrócić dług mojemu przyjacielowi Kielisowi. Oczywiście wiesz, co dzieje się teraz w Fanarze. Tej wojny dawno oczekiwano, ale wszystko zdarzyło się tak nagle, że wielu zostało schwytanych z nienacka. Zwłaszcza Sabejczyków, którzy znajdowali się w mieście. W nocy i rano, darnatcy żołnierze pochwycili w Fanarze wszystkich wychodźców z Sabei i zamknęli w porcie, w zbrojowni. Nie strzegą jej Doryjcy, tylko darnatcy legioniści. Jestem pewna, że wszystkich sabejskich jeńców skazą na śmierć. Na placu przed pałacem już postawili ogromną szubienicę, koła i pale.

- Przykro to słyszeć. Jak mogę pomóc?

- Kielis powiedział mi, że wśród aresztowanych Sabejczyków znajduje się jego bliski przyjaciel, z którym od dawna współpracuje. Nazywa się Ferani War, znany mag, profesor szkoły magii w Gale. Darnatczycy pochwycili go, mimo, że War nie ma z piratami nic wspólnego. Jego wina polega na tym, że jest Sabejczykiem. Kielis szukał sposobu by go uwolnić. Chciał nawet przekupić ochronę, ale nikogo do aresztantów nie dopuszczają. Nowy władca Orgiełły, to po prostu darnacka marionetka i o niczym nie decyduje. Jedyne uratowanie Wara - przedostać się do zbrojowni i uwolnić uwięzionych.

- Jasne. Liczysz na to, że dam radę?

- Nie bądź taki skromny, Wisławie. Taka praca, z pewnością ci odpowiada.

- Z przyjemnością pomógłbym ci, ale w Fanarze mam ważne zadanie do wykonania. Dlatego tu przyszedłem.

- Jakie zadanie?

- Muszę znaleźć w mieście pewnego człowieka. Był ze mną, kiedy zjawiliśmy się tu. To bardzo dziwny chłopak, bez nas będzie mu bardzo ciężko.

- Wiesz, gdzie go szukać?

- Mieszkaliśmy w hotelu niedaleko portu. Taki dwupiętrowy budynek z żółtymi ścianami.

- Hotel „Poroża Akwina”, znam to miejsce. Mogę zaprowadzić.

- Mniej więcej także pamiętam gdzie to jest. Nie chciałbym angażować cię w swoje sprawy.

- Przecież ja także wplątuję cię w swoje. Właściwie, nie odpowiedziałeś mi. Czy pomożesz w sprawie Wara?

- Pomogę. Ale najpierw trzeba znaleźć Leodana.

- W takim razie, musimy się pośpieszyć. Jutro rano zaczną się egzekucje. Musimy uwolnić Wara i pozostałych, jeszcze tej nocy.

Wisław rozłożył ręce. Dziewczyna sama zdecydowała, że mu pomoże, on jej o to nie prosił.

- Wilczyca też pójdzie z nami? - zapytał.

- Oczywiście. Sabra będzie przydatna w poszukiwaniach, sam zobaczysz.

- Więc nie będziemy tracić czasu. Tylko...

- Co?

- Jesteś pewna, że chcesz pójść ze mną? To ryzykowne.

- Mój miły, poprosiłam ciebie, byś wykonał dla mnie bardziej niebezpieczne zadanie i zgodziłeś się. Myślisz, że pozostanę dłużna? Ludzie powinni sobie pomagać.

- Jeszcze wina?

- Można, parę łyków - tym razem nie zdziwił się, stwierdziwszy, że w czaszy, przy pomocy czarów, znalazł się kaestański czerwony szerib. - Ty nie jesteś wiedźmą, ty po prostu jesteś królową wiedźm, przysięgam na Cwira.

- Być może. Ale wolałabym być po prostu szczęśliwą kobietą.

- To, albo zbyt dużo, albo zbyt mało, zależy, co się rozumie pod pojęciem szczęścia.

- Powiedziałam ci, że chcę odwdzińczyć się wam za okazane mi usługi - powiedziała. - Dla Kasty mam prezent. Tobie zaś, mogę zaproponować tylko to.

Podeszła do Wisława, objęła za szyję i przyłgnęła wargami do jego warg. Potem odrzuciła głowę, poczuł wtedy korzenny aromat ciężkich włosów. Pod wpływem jej spojrzenia, zakręciło mu się w głowie.

- Mamy niewiele czasu - szepnęła. - Pozwól mi udowodnić, że nawet dziwki bywają wdzięczne...

Jeszcze przed północą, bez żadnych przeszkód dotarli do hotelu. Gospodarz nie od razu otworzył drzwi, ale poznawszy Wisława, natychmiast uspokoił się. Reszyjec zapytał go o Leodana.

- On tu już nie mieszka, panie - powiedział. - Jeszcze przed zachodem słońca przyszedł jakiś grubas w żeńskiej odzieży i zabrał jego rzeczy.

- Nie powiedział, gdzie można szukać Leodana?

- Niczego nie powiedział, panie.

- Niech to licha! - odwrócił się do Anniki. - Czułem, że się spóźnię. Teraz chłopak wpakuje się w jakąś kabałę.

- Poczekaj, Wisławie - podeszła do gospodarza, który stał w drzwiach. - Wpuść nas do pokoju, w którym mieszkał Leodan.

- Z psem nie wpuszczę - oświadczył, krzywo patrząc na Sabrę.

- Głupcze! Moja Sabra pomoże go znaleźć.

- Puszczę, jeśli zapłacisz.

- Ile? - Wisław sięgnął po swoją chudą portmonetkę.

- Jednego ardżena. A jeśli pies napaskudzi w pokoju, sam będziesz sprzątać jej gówna i zapłacisz jeszcze jednego ardżena za dyskomfort.

- Masz, udław się - wsunął gospodarzowi monetę i wszedł do hotelu. Właściciel obserwował ich, kiedy wchodzili na piętro. Pokój był pusty, księżycowe światło wpadało przez dawno niemyte okna.

- Na którym łóżku spał Leodan? - zapytała, rozglądając się.

- Na tym - pokazał na drewniany leżak w najdalszym kącie pokoju.

- Sabra, szukaj!

Wilczyca podbiegła do leżaka, obwąchała go i zamerdała ogonem, potem rzuciła się do drzwi. Do Wisława wreszcie dotarło w czym rzecz i to go ucieszyło.

- Liczysz na to, że twoja wilczyca go znajdzie? - szepnął dziewczynie, kiedy szybkim krokiem przemierzali nocne ulice tropem, który podjęła Sabra.

- Sabra znajdzie, kogo chcesz. Przecież sam to widzisz.

Na placu targowym zdenerwowali się: zauważył ich wojskowy patrol. Wisław natychmiast rozpoznał darnackie Morskie Lwy, w czarnych, lśniących, skórzanych zbrojach, z długimi mieczami abordażowymi.

- Stać! - rozkazał dowódca patrolu, podszedł do Wisława, poświecił pochodnią w twarz, potem popatrzył na Annikę. – Kim jesteście?

- Czy nie widzisz, oficerze? - odpowiedziała, wsparłszy się ręką na boku. - Spacerujemy. Cudowny wieczór na przechadzkę.

- Nie pytam ciebie, rozpustnico - przerwał oficer, nawet nie zaszczycając jej spojrzeniem. – Kim jesteś?

- Jestem poetą, panie - Wisław uprzejmie uklonił się darnackiemu żołnierzowi.

- Przyjechałem do Fanary z Alorii, żeby popatrzeć na grę tutejszych aktorów.

- Czy chcesz nabawić się rzeźączki od miejscowych dziwek? Głowa siwieje – tyłek szaleje, tak?

- Bez miłości, nie ma wierszy, panie - Wisław przyciągnął Annikę do siebie i dziewczyna roześmiała się wesoło. - Zawsze mam polot w pisaniu, po nocy spędzonej na miłostkach.

- Dobrze mówisz w języku darnackim.

- Wiem o tym, panie i szcycę się tym. Specjalnie nauczyłem się waszego eufonicznego języka, żeby przeczytać poematy wielkiego Tarrika, poświęcone odważnym, darnackim wojownikom. Tarrik, to naprawdę wielki poeta! Jak on opisał bitwę pod Marchambarią, gdzie bohaterska armia rozbiła w proch bezbożnych aglamitów! Miałem łzy w oczach, kiedy czytałem poemat.

- No-no - głos Morskiego Lwa zabrzmiał bardziej przyjaźnie. - Widzę, że nie kłamiesz. Ale czasami, poeto, trzeba czytać nie tylko poematy, ale i rozkazy naszego dowódcy, jego wysokości kapitana Aszejna. A w nich, czarno na białym napisano, że zabrania się wychodzenia z domu po północy. Nawet, jeśli cię przypiliło, by poderwać jakąś dziwkę.

- Hej, pofolguj trochę, marynarzyku! - oburzyła się Annika. – Jestem profesjonalistką i płacę podatki.

- Proszę o wybaczenie, panie, ale nie wiedziałem o tym – pojednawczym tonem powiedział Wisław. - Dopiero dzisiaj przybyłem do miasta i nie czytałem żadnych rozkazów.

- Doskonale. Wobec tego, aresztuję cię.

Wisław zdrętwiał. Darnaczyków było pięciu, on jeden. Nawet, jeśli zdąży rozbić oficerowi głowę Burzową Pięścią, pozostali żołnierze porąbią go mieczami na kawałki. Po chwili usłyszał głos Anniki:

- Jakże to tak, piękniśiu? Poderwałam sobie fantastycznego chłopca, prowadziłam do siebie, a ty chcesz go aresztować? Nie dam! Mam do niego takie same prawo, jak wasz areszt.

- Zamknij się dziwko, z tobą nikt nie rozmawia. A to i ciebie zabiorę do zbrojowni. Tam oczekuje na spotkanie z szubienicą około dwóch setek chłopów, już oni nie zrezygnują z możliwości zabawienia się w ostatnią noc swego życia.

- Zgoda, do ciebie należy władza. Pójdę szukać sobie chłopca w innym miejscu. - Annika dotknęła palcami ręki Wisława. - Przebacz miły. Kiedy wypuszczą,

przychodź w gości. Mieszkam na ulicy Latarników, łatwo mnie tam znaleźć. A tymczasem pospaceruję z psem, może wyniucha mi nowego chłopca!

- Wracaj do domu, dziewucho - krzyknął darnacki żołnierz. - A ty chodź ze mną. Tylko bez kawałów, bo łeb przetrączę.

Wisław odprowadził spojrzeniem oddalającą się figurkę Anniki. Zrozumiał, co chciała powiedzieć dziewczyna - znajdzie Leodana. Zrobiło mu się lżej na duszy. Być może, rano wszystko wróci do normy i go wypuszczą. Czy to możliwe, żeby Wisławowi Fartownemu znów się nie poszczęściło?

Darnaczycy popchnął go w plecy, pięścią obciążoną w rękawiczkę.

- Tuptaj, poeto! - rozkazał. - Zamiast baby, otrzymasz szubienicę.

- To jeszcze się okaże - burknął i pokornie powłókł się za oficerem w stronę portu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Z dołu, z sali „Czułych Syren”, do uszu Leodana dochodziły głośnie, pijane głosy, wzburzone krzyki, śmiech i skoczna muzyka: Ktoś bez ustanku grał na źle nastrojonej fideli. W tym zgiełku odróżniał urywaną, darnacką mowę – dzisiaj, w „Czułych Syrenach”, najlepszym burdelu Fanary, zabawiali się oficerowie eskadry Aszejna. Kilkakrotnie ktoś przechodził korytarzem: Słyszał ich kroki – Darnaczycy, w swoich podkutych sandałach tupali niczym konie - wybuchy pijanego śmiechu i kobiecy pisk. Drzwi do pokoju były zamknięte na klucz, ale on chował głowę w ramiona. Potem, rozpoznał głos Mamuli i natychmiast zrobiło mu się lżej.

Stary aktor wrócił z prowiantem, rzeczami Leodana zabranymi z hotelu i z ważnymi wiadomościami. Po pierwsze, Darnaczycy zdobyli pałac, aresztowali władcę Erkasa i jego dworzan, którzy nie porzucili swojego króla w trudnych chwilach. Teraz Fanarą kieruje namiestnik, wyznaczony przez Aszejna. Chodziły pogłoski, że był jednym z krewnych obalonego króla i złożył przysięgę wierności darnackiemu szofietowi. Ponadto, na głównym placu ukończono budowę ogromnej szubienicy dla piratów i jutro zaczną się pokazowe egzekucje.

- Nie powiedziałeś najważniejszego, Egonie - zauważył, kiedy Mamula zajął się kolacją.

- Nic więcej nie mam ci do przekazania, mój jelonku. Statek nie przyplynał i chyba nie przyplynie do Fanary, bo port jest zamknięty. Darnaczycy, by ich cholera, nikogo nie wypuszczają bez nadzoru, nawet rybackich barkasów. W mieście żołnierze robią obławy. Ale tu, nic nam nie grozi, bądź spokojny. Burdel należy do mojej przyjaciółki Akte i jest najbezpieczniejszym miejscem w całej Fanarze. Nawet nie domyślą się, że ktoś może tu się ukrywać przed nimi. Zapamiętaj, rzadko kto pracuje mózgiem tam, gdzie przychodzi pracować członkiem... Bogowie, dlaczego płaczesz?

- On nie będzie w stanie wrócić po mnie - pochlipywał. - A jeśli wróci, Darnaczycy go pochwycają. Egonie, tak się boję!

- Mój miły, nie trzeba myśleć o najgorszym! Przecież są na „Jerzyku”, a kapitanem tej łajby jest Fasis Aratis, najchytrzejszy i najzwinniejszy sukinsyn, z wyjątkiem mojego przyjaciela Zalmana. Ręczę, że twój Wisław jest teraz bezpieczny. Potem, ci krety, urządzili w królewskim pałacu taki szynkowny pożar, że jego dym był widoczny, prawdopodobnie, w samym Darnacie! Najstraszniejszy sygnał każdej klęski... Nie siedź, w imię Pantara, pokrój szynkę i owoce, zajmij się, cokolwiek!

- Jesteś przekonany, że Wisławowi nic nie grozi?

- Jak tego, że moja matula pewnego razu mnie urodziła.

- Egonie, wytłumacz mi, dlaczego powinienem ukrywać się przed Darnaczykami?

- Jeśli dobrze pamiętam twoją historię, mój przyjacielu, w Darnacie skazali cię na śmierć. A jeśli rozpozna cię jeden z darnackich nikczemników? – Mamula, w teatralnym geście przerażenia, podniósł ręce do sufitu. - Nie przeżyję, jeśli tobie stanie się cokolwiek złego!

- Chyba masz rację. Lepiej uważać na siebie. Wisław - opuścił wzrok - tak troszczył się o mnie, że po prostu nie mam prawa zawieść jego nadziei. Wiem, że wróci po mnie, przysiągł, że wróci. I co będzie, jeśli nie znajdzie mnie? Albo, znajdzie moje rozdziobane przez wrony ciało na szubienicy?

- Ty rzeczywiście mocno go kochasz, mój przyjacielu - popatrzył na młodego człowieka z poważaniem. - Bardzo wielu ludzi potępiłoby taką miłość. Ale ja ciebie rozumiem i podtrzymuję.

- Ja, na dobrą sprawę, sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy nie zwracałem uwagi na mężczyzn. A tu nagle... To wszystko jest bardzo dziwne.

- Nic w tym dziwnego. Pantar czasami jest złośliwy. Rozłożył na deseczce pęczek sałaty, zaczął go kroić w cieniutkie paski. - Powiem ci więcej: jestem pewien, że Wisław też cię pokochał. Po prostu, on o tym jeszcze sam nie wie.

- Czasami omdlewam z radości, kiedy wyobrażam sobie nasze spotkanie. A nieraz, boję się.

- Miłość ma wiele twarzy, mój przyjacielu. W równym stopniu przynosi szczęście i biedę, radość i rozczarowanie - wybacz staremu durniowi banalne słowa. Tam przyniosłem twoje rzeczy, wszystko, co znalazłem w hotelu. Gospodarz, chwała bogom, okazał się mądrym człowiekiem i nie zadawał durnych pytań.

- Dziękuję, Egonie. Jesteś bardzo troskliwy.

- Nie trzeba, mój przyjacielu. Ty też zatroszczyłbyś się o mnie, w razie potrzeby... Co robisz?

- Chcę się przebrać.

- Bardzo mądrze. Chociaż w tej odzieży, podobasz mi się bardziej.

- Egonie, nie zmuszaj mnie abym się czerwienił. Nie jestem taki, za jakiego mnie uważasz.

- Jednak, dopiero co mówiłeś o swojej miłości do Wisława. Dziwna sprzeczność.

- Nie ma żadnej sprzeczności - zaczął się gniewać. - Moja miłość do Wisława jest zupełnie... inna.

- Czyż nie marzysz o jego objęciach, pocałunkach, o bliskości z nim? No, no, przyznaj się. Stary Egon zrozumie.

- Moja dusza chciałaby być z nim. Ale rozumiem, że jestem mężczyzną i dlatego cierpię.

- Powiedziałbym, że masz żeńską duszę w męskim ciele, czy tak?

- Nie wiem. Już nie mówmy o tym, Egonie.

- Jeśli pozwolisz, jeszcze jedna replika, mój przyjacielu. Rozumiem cię i jestem przekonany, że twoja miłość do Wisława – to wcale nie przejaw zepsucia. Cieszę się razem z tobą, i jednocześnie smucę na samą myśl, że to uczucie przynosi ci cierpienia.

- O czym mówisz?

- O niczym, tylko myślę na głos... No, nasza kolacja prawie gotowa. Teraz rozcieńczymy wino i można siadać do stołu.

- Egonie, po co przyniosłeś ten nóż? - wyciągnął z worka z odzieżą sztylet podarowany przez Wassina. – Nie potrzebuję go.

- Był w twoich rzeczach, dlatego zdecydowałem się go zabrać. Rzecz bardzo rzadka, starodawna, cenna, kosztuje masę pieniędzy - warto ją zostawiać w żalonym zajeździe?

- Nie lubię broni.

- Ludzie nie doceniają roli najprostszych rzeczy w ich życiu. Jeden mój przyjaciel, aktor, pewnego razu spacerował brzegiem morza i oddychał świeżym powietrzem. I wyobraź sobie - natrafił na drewnianą skrzynkę, wyrzuconą przez przyływ na brzeg. Nie wzbudziła jego zainteresowania, więc przeszedł obok niej obojętnie. Następnego dnia, spacerując brzegiem, w tym samym miejscu, zauważył, że skrzynki już nie ma. Po paru tygodniach, całe miasto rajcowało o tym, co przydarzyło się jednemu, miejscowemu włóczędze. Znalazł on skrzynkę, obok której przeszedł obojętnie mój przyjaciel. Włóczęga, który był pomocnikiem prostytutki, okazał się mądrzejszy albo miał więcej szczęścia. Przyciągnął ją do swojej chałupy i tam zaczął łamać na opał. Okazało się, że skrzynka kryła niespodziankę: w środku leżał skórzany worek z selekcionowanymi perłami i nikomu niepotrzebny oberwaniec, nagle stał się najbogatszym człowiekiem w mieście. Niestety ludzie polegają na tym, że bardzo lekceważąco podchodzą do drobiazgów i z tego powodu, często rezygnują ze szczęścia, które samo pcha się im do rąk. Albo, co gorsze, łamią wolę bogów. Chyba nie będziesz zaprzeczać, że w życiu nie ma przypadkowych zdarzeń? Wszystko, co z nami się dzieje, zdarza się zgodnie z wolą nieśmiertelnych, a oni już dobrze wiedzą, czego powinieneś w tym życiu dokonać. - wieloznacznie podniósł palec do sufitu i chrząknął. - Bogowie posyłają nam znaki i ostrzeżenia, a my ich nie widzimy i zgodnie ze swoją głupotą, jeszcze śmiejemy się z Opatrzności.

- Interesująca historia, tylko nie rozumiem, co z tym wspólnego ma ten sztylet.

- Pomyślałem, że mógł trafić do ciebie nieprzypadkowo. Zastanawiałeś się nad tym, że wszystko, co działo się z tobą ostatnio, ma swój sens? Bo dlaczego, dostałeś się do więzienia, a potem na statek dla skazańców? Czy zbieg okoliczności postawił na twojej drodze Wisława i Kastę?. I nawet nasze spotkanie w całości mogło być ukartowane przez nieśmiertelnych bogów. We wszystkim jest logika. Zalman wyjaśniłby ci to wszystko lepiej: mędrkowane, filozoficzne rozmowy, to jego hobby. Skosztuj wina - spróbował napój i skrzywił się. - Przeklęci Darnatczycy! Nie zdążyli zjawić się w mieście, a już wyżłopali całe przyzwoite wino, został jeden kwas.

- Nie chce mi się jeść. Jakoś nie mam apetytu.

- To niedobrze, trzeba się posilić - Egon przysunął do siebie talerz z oliwkami, koniuszkami palców uchwycił jedną z nich i włożył do ust. - Wojna wojną, a siły są potrzebne. Kto wie, co niesie nam nadchodząca noc?

- O czym mówisz?

- Nie zwracaj na to uwagi. Lepiej coś zjedz. Udawajmy, że wszystko jest w najlepszym porządku. Nic tak nie psuje trawienia, jak ciężkie myśli.

To nie był zwykły sen. Leodan rzadko miewał kolorowe sny. Ten był nadzwyczaj barwny i zadziwiająco wyrazisty.

Najpierw zobaczył na scenie siebie. Mówił swoją kwestię, a widzowie pokazywali na niego palcami i dziwili się: „Tylko spójrzcie! On nie jest tym, za kogo się podaje!” Z jakiegoś powodu, te słowa obrażały go. Potem długo błądził po jakichś poplątanych korytarzach, a w końcu dostał się do wielkiego, zalanego słońcem pokoju. Światło malowało wszystko w złociste tony i odbijało się w stojącym, pośrodku pokoju, ogromnym, owalnym lustrze, które zdawało się być wypełnione

roztopionym złotem, promieniując oślepiającym blaskiem. Podszedł i zobaczył swoje odbicie. Ale w następnej sekundzie, buszujący w zwierciadle słoneczny promień coś zrobił z jego sobowtorem i odbicie, na oczach zdumionego młodzieńca, przekształciło się w uroczą, młodą kobietę.

- Widzisz? - usłyszał dźwięczny i ciepły głos. - Zawsze chciałeś być kobietą. Teraz wiesz, skąd wzięło się takie dziwne pragnienie.

- Tak, chciałem być kobietą - przyznał, zachwycając się ślicznotką w lustrze. - Właśnie taką, jaką widzę. To ja?

- Tymczasem, nie. Ale pewnego dnia nią zostaniesz.

- To niemożliwe. Bogowie dali mi męskie ciało.

- Dla bogów nie ma rzeczy niemożliwych. Miłość i przeznaczenie zmienia cię. Twoja dusza porzuci obecne ciało i otrzyma nowe.

- Przecież to nierealne, głosie. Kiedy dusza opuszcza ciało, człowiek umiera. Czy nie wiesz o tym?

- Widziałeś kiedy, jak rodzi się motyl? Pierwszą połowę swojego życia, przeżywa jako gąsienica. Potem gąsienica sama buduje sobie grobowiec - albo kolebkę, zależy jak na to patrzeć. Przychodzi czas i odradza się do życia, już jako motyl.

- Nie jestem gąsienicą. Jestem człowiekiem.

- Otrzymałeś dar wielkiej miłości. Ten dar dokona cudu.

- Kim jesteś?

- Jestem Pantar, zapomniany bóg radości i miłości.

- Zapomniany bóg?

- Ludzie zapomnieli o mnie i o moich braciach i siostrach. To zdarzyło się bardzo dawno, tysiące lat temu i utraciłem swoją boską władzę nad porządkiem świata. Ale swojej natury nie utraciłem. Przekazałem ci swój dar, jeden z dziewięciu darów Zapomnianych, jak tego żądają Tabele Losów.

- Nigdy nie słyszałem o nich.

- To nic dziwnego. Śmiertelni nic nie wiedzą o Tabelach, na których zapisane są nawet losy bogów. Tylko wielcy magowie i wielcy prorocy mogą czasami otrzymać objawienia Tabel. Twój los jest wyjątkowy, Leodanie. Na świecie nie ma człowieka o podobnym losie.

- Nie rozumiem cię, Pantarze.

- Pewnego dnia wszystko zrozumiesz. Popatrz w lustro.

Leodan wykonał polecenie, chociaż pomyślał, że głos szczydzi z niego. Miła dziewczyna, którą uważał za swoje odbicie, przekształciła się w Kastę.

- To Kasta, moja pani. Po co mi ją pokazujesz, Pantarze?

- Nie lubisz jej?

- Boję się jej. Jest zła i drapieżna. Zabija ludzi bez litości i nikogo nie kocha. Czuję, że jej serce wypełnia lodowaty chłód. A do tego, Wisław jest zakochany w niej. Jest to dla mnie niemiłe.

- Dlaczego więc służysz jej?

- Wisław mnie o to poprosił. Powiedział, że jesteśmy potrzebni Kaście.

- Wisław jest mądry. Wszystko zrobił poprawnie. Jesteś potrzebny Kaście, a ona - tobie. Wola Zapomnianych Bogów wiąże was w celu wykonania proroctw dotyczących losów świata.

- Potrzebny jest mi Wisław. Chcę być przy nim i nigdy się nie rozstawać. Tylko, że on nie dostrzega mojej miłości i nie traktuje jej poważnie. Myśli, że jestem rozpustnikiem. To mi zadaje ból.

- Zaufaj bogom. Oni widzą to, co dzieje się w sercach ludzi i nigdy nie zapominają o czystych duszach. Otrzymasz to, do czego dążysz. Zyskasz swoje szczęście, szlachetny mężczyzno z żeńską duszą.

- Z żeńską duszą?

- Z tysiącem żeńskich dusz, jelonku! Obudź się, miły!

Otworzył oczy. Nad nim pochylał się Mamula, a obok niego stała jakaś ciemnowłosa dziewczyna. Przy jej nogach ułożyła się wielka wilczyca i szybko oddychała, wysunawszy język.

- Oto nasza zguba - powiedział Mamula. - Pora wstawać, miły. Twój najlepszy przyjaciel czeka na ciebie.

- Wisław? - natychmiast wrócił do realności. - On wrócił! Chwała bogom! Gdzie on jest?

- Spotka się z tobą w umownym miejscu - powiedziała Annika. - Zbieraj się, powinniśmy iść, dopóki nas nikt nie zauważył.

- Dlaczego Wisław sam nie przyszedł po mnie? - zapytał, wkładając sandały. - Nie znam cię.

- Wisław ma pewne sprawy. Obiecuję, że jeszcze przed nadejściem poranka spotkasz się z nim. - Dziewczyna pogłaskała wilczycę i skierowała się do drzwi. - Cicho. Te świny tak się pospijały, że można ich wyróżnić we śnie.

- Bądź ostrożny - poprosił Mamula. - Niepokoję się o ciebie!

- Nie martw się, Egonie, moja Sabra obroni nas... Poczekaj, zapomniałeś o swoich rzeczach.

- Tak, słusznie - Leodan wziął ze stołu swój węzełek. Egon, szlochając, mocno objął i ucałował młodzieńca, który nawet nie protestował.

- Jeszcze spotkamy się, mój przyjacielu - powiedział na pożegnanie Mamula. - Obowiązkowo spotkamy się. Chroń bransoletę, którą ci dałem. Bardzo ci się przyda.

- Dziękuję ci, Egonie. Byłeś dobry do mnie.

- Dostyć rozczulania się! - zasyczała dziewczyna. - Idziemy, jest mało czasu.

- Idź - stary aktor odsunął go od siebie, a potem podniósł koniuszki palców do warg, posyłając pożegnalny całus. - Żegnaj geniuszu, żegnaj utalentowany! Stary Egon będzie się modlić o ciebie do bogów...

Skradając się, przemknął korytarzem za dziewczyną i zszedł po schodach do sali. Było tu cicho i pusto, tylko kilku upitych do nieprzytomności gości, chrapało na kanapach i na podłodze, wśród winnych kałuż i rozsypanych owoców. Annika otworzyła drzwi wejściowe i wybiegli na ulicę.

- Dokąd idziemy? - zapytał, gdy skręcili w ciemny zaułek.

- Do mnie.

- Powiedziałaś, że Wisław...

- Znajdzie cię. Wie, gdzie mieszkam.

- Jesteś jego dobrą znajomą? - nagle poczuł zazdrość.

- Uf, przyjacielu, nie będziemy gadać o drobiazgach! Pst!

Chwyciła go za rękę i wciągnęła do zaułka. W głębi ulicy ukazał się patrol z zapalonymi pochodniami. Leodanowi zdawało się, że durnatcy żołnierze mogą słyszeć bicie jego serca, które waliło jak młotem. Kiedy patrol zniknął w końcu ulicy, dziewczyna powiedziała:

- Trzymaj się bliżej mnie i przestań zadawać głupie pytania.

Biegli ciemnymi, wąskimi i krętymi ulicami, rozchlapując brudne kałuże i strasząc wychodzące na spacer koty. W końcu wepchnęła go w jakieś drzwi, po czym zakomunikowała młodemu człowiekowi, że teraz są bezpieczni.

- Kiedy Wisław wrócił? - zapytał, przypuszczając, że teraz swobodnie można porozmawiać.

- Dzisiaj rano.

- A Kasta?

- Też tu jest.

- W mieście?

- Nie, ale będziesz mógł zobaczyć ją rano.

- Muszę natychmiast widzieć Wisława.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Jest zajęty. Poprosiłam go o pewną przysługę.

- Powiedz mi, gdzie on jest, to sam go znajdę.

- Jeśli spróbujesz wyjść z tego pokoju, poszczuję cię Sabrą - spokojnie powiedziała Annika. - Nie zmuszaj nas do zrobienia ci krzywdy.

- To suczka czy wilczyca?

- Wilczyca. Bardzo nie lubi, jeśli ktoś mnie nie słucha.

- Nie odważysz się!

- Zamknij się i posłuchaj, co ci powiem. Wisław jest teraz w porcie. Powinien uwolnić jednego człowieka. To bardzo ważne. Można powiedzieć, że zależy od tego życie. Jeszcze by brakowało, by rozpraszał się z twego powodu. Tylko przysporzyłbyś mu problemów. Tak więc siedź i bądź cicho. Obiecuję, że twój przyjaciel przyjdzie po ciebie jeszcze przed świtem i opuścicie Fanarę bez żadnego ryzyka. Jeśli lekceważysz swoje życie, to pomyśl chociaż o Wisławie.

- Jesteś jego kochanką?

- Ach, to ty o tym! - roześmiała się - nie bądź idiotą. Jestem wolną kobietą i śpiam, z kim zechcę. Jeśli chcesz, mogę przespać się z tobą. Jednak jestem pewna, że nie poprosisz mnie o to.

- Skąd wiesz?

- Widzę to. Jeśli chcesz, możesz się przespać. Do rana jeszcze daleko, powinienes odpocząć.

- A ty?

- Mam tylko jedno łóżko.

- Wobec tego kładź się, ja posiedzę. Nie chcę spać.

- No-no! - uśmiechnęła się. - Możemy po prostu położyć się razem, bez żadnych uścisków, pocałunków i pozostałych radości. Pasuje ci taki układ?

- Nie chciałbym cię krępować.

- Idź, kładź się mój przyjacielu - pieszczotliwie pogłaskała włosy Leodana. - Dobranoc.

Łóżko było twarde, kołdra cienka i kłująca, ale od poduszki szedł zachwycający, subtelny zapach - pachniało świeżością, leśnymi trawami, miodem i jeszcze czymś delikatnym i uspokajającym. Oczy zamykały się same, lampa oliwna na stole wypuszczała długie, świetlne promienie. Już przez sen usłyszał skrzypnięcie łóżka, poczuł bijące od Anniki żywe ciepło i nagle zrobiło mu się zadziwiająco dobrze. Zdawało się, że znów jest w domu Uzmaja i obok niego nie ta dziwna, wulgarnie ubrana dziewczyna, a jego miła i dobra gospodyni Szemmier-Ta-Nat. Z nastaniem poranka, obudzi się ze śpiewem ptaków w ogrodzie, w swojej czystej i rozkosznej pościeli – to dopiero będzie szczęście!

- Śpij, Leodanie - usłyszał jeszcze szept Anniki. - Dobrych snów.

I niech zobaczę Wisława w chwili przebudzenia, pomyślał młodzieniec, zasypiając.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Prośba Anniki nie będzie łatwa do spełnienia - pomyślał Wisław, rozglądając się na boki. Port Fanary był pełen żołnierzy. Darnatcy wartownicy byli wszędzie - przy magazynach, na pirsie przy unieruchomionych statkach, obok warsztatów. Legioniści i marynarze piechoty morskiej, w grupach trzy – i pięcioosobowych. Wisława przyprowadzili do hotelu dla marynarzy: tam rozlokował się sztab Morskich Lwów. Reszyjca przesłuchiwał krępy oficer z badawczymi, głęboko osadzonymi oczyma. Trwało to krótko: najpierw kazano wyłożyć na stół zawartość torby, następnie go przeszukano, potem oficer zapytał, co robił w mieście.

- Spacerowałem - odpowiedział, decydując się na odgrywanie do końca podstarzałego kobieciarza. - Słowo honoru, nie wiedziałem o zarządzeniu. Ja...

- To nieważne. Ichwarze - oficer zwrócił się do swego pomocnika - odprowadź go do pozostałych psów, do zbrojowni. Rano zdecydujemy, co z nim robić.

Stara zbrojownia, gdzie przetrzymywano jeńców, znajdowała się przy dalekim pirsie, w samym centrum wojskowej przystani. Tu, Wisława przekazali dowódcy oddziału, pilnującego jeńców. Uświadomił sobie, że ochrona jest bardzo liczna - tylko przy wejściu stało dziesięciu marynarzy piechoty morskiej. Dowódca oddziału wydał niezbędne zarządzenie, wartownicy zdjęli ciężką, dębową belkę, zabezpieczającą dwuskrzydłowe drzwi i wepchnęli go do środka.

Reszyjec rozejrzał się. Annika powiedziała prawdę - zbrojownia była po prostu nabita ludźmi. Byli tu nie tylko mężczyźni: dojrzał kobiety, jedna była z niemowlęciem na rękach. Byli tu także staruszkowie i dzieci. Wzdłuż ścian, na parcianych podkładach, a także wprost na gołej ziemi, leżeli ranni. Było bardzo duszno, powietrze ciężkie, zatęchłe, przesycone zapachem moczu i ekskrementów - więźniowie załatwiali tu potrzebę.

Kilku mężczyzn natychmiast podeszło do Wisława. Twarze mieli ponure, spojrzenia czujne.

- S'equé wa es? Kim jesteś? - zapytał jeden z nich, wyglądający jak prawdziwy pirat, opalony na brąz, z siwym warkoczykiem i bliznami na twarzy.

- Wisław - Reszyjec uśmiechnął się przyjaźnie. – Aresztowano mnie, tak samo jak was.

- Nie jesteś Sabejczykiem - powiedział marynarz.

- Nie, mój przyjacielu. Pochodzę z Resza. Te psy oskarżyły mnie o to, że złamałem wyznaczoną przez komendanta godzinę.

- Pomódl się do swoich bogów, varbe. - Ten magazyn – to przedmieście królestwa zmarłych. Czeka nas stryczek, koło albo topór.

- Zamierzają was karać śmiercią? Za co?

- Za to, że jesteśmy Sabejczykami - godnie powiedział marynarz. - Jesteśmy wolnymi ludźmi, nie to, co naród darnacki.

- To chyba niemożliwe, mój przyjacielu. Czyż by oni zamierzali również zabijać kobiety i dzieci?

- Kobiety rodzą Sabejczyków, dzieci rodzą się Sabejczykami. Czy to niewystarczający powód, by zawiesić ich na szubienicy lub odrąbać głowy?

- Okropne. Nigdy nie myślałem, że Darnatczycy są zdolni do takiego okrucieństwa.

- Odczujesz to na własnej skórze, Reszyjcu.

- Myślę, że nie odważą się mnie powiesić.

- Zrobią to, jeśli twoi bogowie cię nie uratują - marynarz wyciągnął rękę do Wisława. - Jestem Porfius Kado, kapitan „Ryby-Miecz”. Ludzie wybrali mnie starszym, więc pilnuję porządku.

- Niech to szlag! - jeden z Sabejczyków przepchał się do Wisława, klepnął go po ramieniu. - Ty! Poznajesz mnie?

- Kapitan Krisk? Jak tu trafiłeś?

- Zatrzymałem się w Fanarze, żeby załoga mogła trochę odpocząć. A teraz, wszyscy siedzimy w tym szmbie - pochylił się do Wisława, zapytał szeptem: - Kasta nadal jest w Fanarze?

- Nie.

- Szkoda. Szukałem jej, chciałem się z nią spotkać... C'ezze en famere varbe, al'ez d'amazzio - dodał, zwracając się do współtowarzyszy. - Ten cudzoziemiec jest moim znajomym, to przyjaciel.

Wisław odetchnął z ulgą. Twarz kapitana Kado od razu złagodniała. Teraz można porozmawiać z Sabejczykami o sprawie.

- Szukam człowieka o imieniu Feranij War - powiedział. - Czy go znacie?

- Uczzonego? Jest tu. Siedzi w najdalszym kącie i cały czas coś mamrocze pod nosem.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Idź.

Skinieniem głowy podziękował kapitanowi Kado i skierował się w głąb zbrowni. Feranij War nie był wcale zgrzybiałym starcem, jak sobie wyobrażał. Był to jeszcze młody, gruby mężczyzna o otwartej i miłej twarzy, bardziej podobny do odnoszącego sukcesy negocjatora handlowego, niż do profesora magii. Siedział na kawałku szerokiej deski w kącie i oddawał się medytacji - oczy miał zamknięte, wargi poruszały się.

- Mój szacunek, profesorze - powiedział z ukłonem. - Mogę porozmawiać z panem?

- Człowiek, oczekujący niechybnej śmierci, potrzebuje pocieszenia i serdecznej rozmowy? - odpowiedział, nie otwierając oczu. - Nie jestem kapłanem, mój przyjacielu. Nie będę w stanie znaleźć potrzebnych słów, żeby pocieszyć cię, abyś ze stoickim spokojem przyjął to, co cię czeka. Najlepiej zostaw mnie z moimi wizjami.

- Nie zamierzam umierać, dlatego słowa pocieszenia nie są mi potrzebne. Nazywam się Wisław i jestem tu na prośbę pana przyjaciela, Kielisa.

- Przysłał cię Kielis? - popatrzył na niego z zainteresowaniem. - Zrobił ci zabawnego psikusa. Jestem gotów uwierzyć, że dobremu Kielisowi mój los nie jest obojętny. Ale to był nie najlepszy pomysł - ryzykować życiem innego człowieka dla mnie. Jak rozumiem, przyszedłeś mnie uratować?

- Właśnie tak.

- Dziwne. Najwyższe siły często dają śmiertelnym nadzieję nawet w beznadziejnych sytuacjach. Twoje pojawienie się tu, dobry przyjacielu Wisławie, powinienem przyjąć jak nadzieję dla siebie i dla tych nieszczęśliwych ludzi. Ale co możesz zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Ale wyjście powinno się znaleźć.

- Twoje słowa, zmuszają mnie do uznania cię za zwolennika nauczania fatarejów, którzy są przekonani o sterowności światowego porządku. Oni uważają, że siła myśli i pragnienie są tak potężne, że mogą zmieniać otaczającą rzeczywistość i nawet przeciwstawiać się woli nieśmiertelnych bogów.

- Drogi profesorze, nie chciałbym wdawać się teraz w naukowe dysputy. To miejsce nie skłania do rozmowy o wysokich ideałach. Najważniejsze, że znalazłem pana i jestem z tego bardzo zadowolony. Teraz powinienem pomyśleć, jak wydostać się z tej szopy.

- Spróbuj szczęścia, mój przyjacielu Wisławie. Prawdopodobnie, wiesz, co robisz.

Zostawił naukowca, który znów pogрузzył się w medytacji i skierował się do kapitana Kado.

- Znalazłeś swego Wara?

- Znalazłem. Boję się, że z niego nie będzie wielkiego pożytku. A ja potrzebuję pomocy.

- Coś wymyśliłeś, varbe?

- Możliwe, kapitanie. Tu jest tylko jedno wyjście?

- Oczywiście. Po co ci to wiedzieć?

- Nie podoba się mi siedzenie tutaj. - Chcę wyjść, pospacerować.

- Stepiddo varbe! - uśmiechnął się Kado. - Czy myślisz, włóczęgo, że nie obłaziliśmy tu każdej stopy w poszukiwaniu wyjścia? Wszystko na próżno. Te szczury wiedziały, gdzie nas wsadzić.

- Naprawdę niczego nie znaleźliście?

- Drzwi do zbrojowni ryglują i strzegą ich - Kado ponurym spojrzeniem popatrzył na Reszyjca. - Jest jeszcze wyjście na dach, ale zamknięte, a kłapa od dawna zardzewiała. Takiego zamknięcia niczym nie otworzysz. Tym bardziej, że nie mamy wytrychów. Darnacka straż odebrała nam wszystko, nawet spinki kobietom.

- Jak mogę dostać się pod dach?

- Właziłeś kiedykolwiek po słupie? - pokazał na jeden z nich, na których wspierał się dach zbrojowni.

- W odległym dzieciństwie. Od tamtej pory znacznie się postarzałem. Zresztą, nigdy nie jest za późno, by powrócić do dzieciństwa.

- Naprawdę myślisz, że uda ci się otworzyć okno na strychu?

- Spróbuję. Pomyślmy teraz o tym, co ty możesz zrobić.

- Ja? Kontynuuj, bo chyba masz jakiś pomysł.

Wisław wyłożył swój plan. Spróbuje otworzyć strychowe okno. Jeśli zamek otworzy się, ludzie Kado wejdą na dach i stamtąd zejść na dół, i niespodziewanie zaatakują straż. Po zlikwidowaniu ochroniarzy, zdejmą zasuwę i wypuszczą uwięzionych. To, oczywiście, nie będzie proste - więźniowie nie mają żadnej broni, a straż jest uzbrojona. Tylko, że nie mają nic do stracenia, a innego planu nie ma i nie będzie.

- Wysyłasz nas na pewną śmierć, varbe – po namyśle odpowiedział Kado - ale lepiej umrzeć w walce, niż wisieć w pętli i śmierdzieć na całą okolicę. Może nam się uda także odbić nasze statki i wtedy pokażemy Darnaczykom, że zbyt wcześnie świętują zwycięstwo.

- Wobec tego, nie traćmy czasu. Zgaście pochodnie i uprzedźcie ludzi.

Słup, o którym mówił Kado, był stary, nadgryziony zębem czasu i chropowaty - po takim, nawet taki niedoświadczony akrobata jak Wisław mógł dostać się na krokwie. Kiedy zgasła ostatnia pochodnia i zbrojownia pogрузzyła się w mrok, Reszyjec położył po słupie, rozpaczliwie myśląc o tym, żeby nie spaść i nie złamać nogi. Czuł, że na niego patrzą, z nadzieją, setki oczu. Z wielką trudnością wdrapał się na górę, chwycił się podłużnej belki i wpełznął na krokwie. Ręce i plecy paliły, pot zalewał twarz. Po pierwszym ruchu na krokwiach, struchlał - belki groźnie trzeszczały, a w dole ciemność. Czołgać się po krokwiach, w całkowitej ciemności,

było samobójstwem. Zakłęcie Nocnego Podróżnika rozwiało mrok i zobaczył przestrzeń pod dachem. Teraz należało szybko działać - straż mogła zauważyć niezwykle światło. Ostrożnie posuwał się po belkach do strychowego okna, dobrze rozróżnialnego w ścianie szczytowej dachu. Kilkakrotnie zatrzymywał się, żeby nabrać tchu i pokonać ogarniający go lęk wysokości. Gęste pajęczyny przylepiały się do spoconej twarzy, kurz wnikał do nosa i ust.

- Nie byłby ze mnie dobry marynarz! - zamruczał i ruszył dalej.

Gdy dotarł do okna, wzbiło się w górę zgodne westchnienie ulgi. Ułożywszy się na wąskim gzymsie pod dachem, obejrzał zamek. Kado powiedział prawdę - przerdzewiał na wskroś i żaden zwykły wytrych mu nie poradzi. Jednak kiedyś dobrze uczynił, że skubnął w Darnacie pazur gura...

Szczelina zamka błysnęła wewnątrz czerwonym płomieniem, kiedy wstawił w nią magiczny wytrych. Rozległo się stuknięcie i zardzewiały zamek otworzył się.

Po dachu hulał lodowaty wiatr znad oceanu, przewiewając na wskroś, ale Reszyjec nie czuł chłodu. Doczekał się, aż w strychowym oknie ukazała się radosna twarz Kado - kapitan, sądząc po jego oczach, nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

- Niech mnie kraken rozerwie, jednak go otworzyłeś! – łapiąc oddech, wypalił sabejczyk.

- Teraz zadanie dla twoich ludzi, kapitanie - szepnął Wisław. – Ja wracam do zbrojowni. Powinienem być razem z Warem.

- Wszystko zrobimy jak należy. Nie musisz się niepokoić!

Schodzić było trudniej, niż włożyć do góry - omal nie spadł i całkowicie opadł ze sił. Powitano go jak bohatera: kobiety płakały z radości, całowały, mężczyźni ściskali ręce. War nadal siedział niewzruszenie w swoim kącie i jego, wydawało się, zupełnie nie interesuje to, co się dzieje.

- Posłaniec bogów wypełnił swoją misję - powiedział, kiedy Reszyjec podszedł bliżej. - Cóż, moje gratulacje. Kielis rzeczywiście wybrał najodpowiedniejszego. I co mam teraz robić, podążać za tobą?

- Wybacz, profesorze, ale podjąłem się tylko uwolnić ciebie. Myślę, że kapitan Kado i jego ludzie zajmą się twoim bezpieczeństwem. Ja powinienem zająć się swoimi sprawami.

- Masz rację, mój przyjacielu. Bohater powinien zdążyć wszędzie, inaczej, nie będzie bohaterem.

Chciał się odciąć, ale dookoła nagle zaczął się ruch - ludzie, zamknięci w zbrojowni, z radosnymi okrzykami rzucili się do wyjścia. Kiedy dotarł do drzwi, zobaczył, że zasuw została zdjęta i wyjście jest wolne. Kapitan Kado stał w drzwiach – jego twarz i ręce były spryskane krwią, w rękach trzymał długi darnacki miecz. Za jego plecami tłoczyli się Sabejczycy - uzbrojeni, zakrwawieni, ogarnięci radosną euforią.

- Jestem twoim dłużnikiem, varbe - powiedział, mocno uściśnawszy Wisławowi nadgarstek. - Uratowałeś nas wszystkich.

- Zaopiekuj się Feranim Warią.

- Możesz uważać, że on już się znajduje w Gale. Bardzo nam się poszczęściło. Darnatczycy byli senni, jak dziwki o świcie. Zaskoczyliśmy psy znienacka i zlikwidowaliśmy bez szumu i strat. Teraz, spróbujemy odbić nasze statki.

- Oczy kapitana błysnęły posępnie. - Poranna zorza nie zobaczy w Fanarze ani jednego żywego Darnatczyka.

- Powodzenia, kapitanie. Na mnie czas.

Wybiegł ze zbrojowni. Omal się nie potknął o trupy darnackich marynarzy piechoty morskiej, który leżeli przy wejściu. Niebo na wschodzie zaczęło różowieć,

trzeba było się śpieszyć. Na pożegnania z Warem nie było czasu, trzeba szybko znaleźć Annikę, zabrać Leodana i wydostawać się z Fanary. Niech Sabejczycy sami rozprawiają się ze swoimi wrogami, on wykonał swoje zadanie. Przypomniat Annikę i westchnął - żal, że nie będzie mieć czasu jeszcze raz doświadczyć jej wdzięczności. Świt nastaje nieubłagane, jak śmierć.

Chowając się w cieniu domów, pobiegł do wyjścia z portu. Za plecami słyszał krzyki, znak zaczynającej się w porcie bitwy.

Mierzeja skończyła się. Przed nimi, za płytką, wąską zatoczką, widniał urwisty brzeg porośnięty trzciną i młodziutkimi wierzbami.

- No, wydostaliśmy się już z miasta - powiedziała Annika. - Powinnam wracać.

- Oczywiście, rozumiem - Wisław bardzo chciał przytulić dziewczynę, ale bał się, że Leodan, który całą drogę, od ulicy Latarników do brzegu, nie spuszczał z nich oka, urządzi scenę zazdrości. - Nawet nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję za wszystko.

- Za wszystko? - oczy dziewczyny zamigotały łobuzerskimi ognikami. - Za wszystko, to ty mi jesteś winien pięćdziesiąt ardżenów.

- Przecież powiedziałaś...

- Wybacz, zażartowałam. Oczywiście, że nic mi nie jesteś winien. Okaż mi jeszcze jedną uprzejmość - zdjęła z piersi prościutką broszkę z kości, której zeszłego wieczoru nie zauważył. - Przekaż to Kaście. To mój prezent, o którym mówiłam.

- Ta broszka? - obejrzał ją. Była starodawna, misternie wykonana, ale nie przedstawiała żadnej wartości. Wewnątrz owalnej, kostnej płytki, był wycięty znak w kształcie słupka z pętelkowym zwieńczeniem, przeciętym krótką poprzeczką. - Gdybyś lepiej знаła Kastę, to nie robiłabyś jej takiego prezentu. Podarowałaśbyś lepiej nóż albo kastet.

- Jednak ona powinna to przyjąć. Ta broszka jest przeznaczona dla niej. Na niej przedstawiono runę Diwini, dawny magiczny znak, dający czystość myśli i uwalniający od grzechów przeszłości. Pomoże jej odnaleźć się na nowo, uwolnić od wszystkich zjaw, które ją prześladowają. Jeśli Kasta nie zechce wziąć mojej broszki, powiedz jej tylko jedno słowo - Dincze. Ona zrozumie.

- Dobrze, oddam jej twój prezent - przypiął broszkę do swojego płaszcza. - Bardzo żałuję, ale nic nie mam, by ci podarować w zamian.

- Już zrobiłeś mi królewski prezent, Wisławie. Podarowałeś mi wspaniały wieczór.

- Chciałbym czegoś większego.

- Nie teraz. Potrzebny jesteś innym ludziom - Kaście i Leodanowi. Zwłaszcza Leodanowi.

- Spotkamy się jeszcze?

- Być może. A teraz już idźcie! - przyłożyła palce do warg i dotknęła nimi policzka Wisława. - Błogosławieństwo Zapomnianych Bogów dla was!

- Ona tak na ciebie patrzyła! - warczał Leodan, kiedy przedostawali się przez zatoczkę do brzegu. - Jest w tobie zakochana, Wisławie. Jest mi bardzo nieprzyjemnie, kiedy kobiety na ciebie tak patrzą.

- Głupstwo, maluchu, to zaledwie profesjonalistka - odpowiedział nierozważnie, walcząc z silnym pragnieniem, by się odwrócić i jeszcze raz spojrzeć na Annikę. - Oni z wszystkimi tak się żegnają.

- Nie, nie z wszystkimi! Ta dziewczyna zakochała się w tobie. Nie sprzeczasz się. Przecież jej nie lubisz, prawda?

- Nie lubię.

- Powiedz prawdę, Wisławie. Czemu skrywasz przede mną oczy?

- Przestań pleść bzdury, maluchu. I patrz pod nogi, tu jest dużo dołów. Jeszcze na płaszczkę nadepniesz!

- Nie odpowiedziałeś.

- Jeśli nie zamilknieś, zostawię cię w Fanarze, a sam pójde, dokąd oczy poniosą! - ryknął, tracąc cierpliwość. - Nienawidzę, kiedy zachowujesz się jak sentymentalna dziecinka!

- Wisławie! - zatrzymał się, zamrugał, w jego oczach błysnęły łzy. - Ty... Ty naprawdę możesz tak postąpić! Przecież lubię cię, Wisławie.

- Zgoda, uspokój się! - Reszyjec westchnął, wyciągnął do młodzieńca rękę. - Nie obrażaj się. Zapędziłem się. Po prostu, jestem bardzo zmęczony. Nie będziemy tracić czasu na pustą rozmowę, powinniśmy się pośpieszyć. Kasta na nas czeka.

- Tak się stęskniłeś za Kastą? A na mnie plujesz - tupnął nogą tak, że bryzgi poleciały na wszystkie strony. - Jeśli bym cię nie lubił tak mocno, ja bym... Ja bym...

Skończyłbyś ze sobą i zrobiłbyś mi wielką przysługę, z tęsknotą pomyślał Wisław. W odległych latach jego dzieciństwa, staruszkowie opowiadali, że bogowie, a najbardziej ze wszystkich mściwy Biełag, czasami karzą grzeszników szczególnie dotkliwie: bogactwem, które nie przynosi szczęścia, nierozgarniętymi dziećmi, albo miłością. Zakocha się w tobie śmiertelnie jakaś brzydula albo obłąkana i nigdzie od niej nie uciekniesz. Za jakie grzechy bogowie pokarali go Leodanem?

- Trzeba kończyć tę grę - zamruczał i pomaszerował po płyciźnie do brzegu. Ponury Leodan dreptał jego śladem. Myślał o tym, że w Chule zmusi Wisława by wyjaśnił, jak i w jaki sposób poznał się z Anniką. I do czego między nimi doszło.

Jasnowłosy młodzieniec, z małą małą na ramieniu, stał na przystani i obserwował, jak w porcie dopala się ogromny darnacki gieptares - flagowiec eskadry, dwa dni temu zdobywający Fanarę. Sabejczycy kapitana Porfiusa Kado, skończywszy z ochroną w porcie, zaatakowali galerę „Miecz Igierabała”. Zdobyli ją nad podziw łatwo i szybko, a potem podeszli do „Gwiazdy Darnatu” czterema statkami, wzięli ją na abordaż, wybili załogę i rozgrabiwszy, podpalili. Teraz, niegdyś majestatyczny statek, przypominał pływającą górę tłących się głowni, powoli dryfującą w stronę horyzontu.

Od strony portowego urzędu celnego, wyszła pełna, jasnowłosa dama, w jaskrawo-purpurowej, szytej złotymi arabeskami chlamidzie i kołyszac biodrami, zbliżyła się do młodego człowieka.

- Zachwycasz się dymem sławy, mój bracie? – zainteresowała się dama o męskim głosie.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie walczą ze sobą, Pantarze - powiedział jasnowłosy młodzieniec. - A potem zrozumiałem. Po prostu boją się starości i zniedołężnienia. Ten strach, zmusza ich, by iść na śmierć w młodym wieku. Młodzi umierają łatwo.

- Nie, mój bracie. Wszystkim umiera się ciężko i młodym, i starym. Na szczęście, nam to nie grozi.

- Tak myślisz? Jeśli Dary Otchłani znajdą się w rękach służących Cieniowi, umrzemy Pantarze. Umrzemy razem ze światem, którego częścią jesteśmy. Znikniemy ostatecznie. Nawet bogowie bywają śmiertelni.

- Masz talent do podnoszenia nastroju, braciszku.

- Mam nadzieję, że nie ujawniłeś chłopakowi przeznaczenia bransolety?

- Nie musisz się martwić. Pamiętam, że śmiertelni nie mogą znać swojej przyszłości.

- Twojej pamięci można pozazdrościć... Mamulo - młodzieniec wesóło się roześmiał. - W żaden sposób nie mogę przyzwyczaić się do twojego wyglądu. Nie zaryzykowałbym w takim stroju spaceru po mieście.

- Każdemu, co się mu należy, braciszku – ze spokojem odpowiedział Pantar. - Jestem zawsze wśród kolorów i okłasków, szczęśliwych ludzi i napełnionych czar, a ty się kręcisz z każdą alchemiczną lichotą w swojej piwnicy, oddychasz śmierzdzącym dymem ze swoich ziół i psujesz oczy, czytając na pół spróchniałe manuskrypty, napisane przez różnych wariatów. Widzę, że nie masz dzisiaj humoru. Coś nie tak?

- Zaczęła się wojna. Mamy Wojownika, Władcę i Świadka Zdarzeń. Proroctwo Ingala spełniło się - powiedział młodzieniec z małpką. – Wykonaliśmy swoje zadanie, Pantarze. Teraz kolej na Łaekę i Najnowę. Wojna jest teraz ich udziałem.

- Czyli, kobiet - powiedział Pantar, poprawiając loki swojej peruki.

Dziewczyna w liliowej tunice, lekkim krokiem wyszła na przystań od strony starej zbrojowni - tej samej, skąd Wisław nocą uwolnił aresztowanych Sabejczyków. Obok dziewczyny biegła chuda, młoda wilczyca.

- Odeszli z miasta? - zapytał dziewczynę jasnowłosa.

- Tak, Anguszu. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

- Więcej niż zadowolony. Jesteś mądrąłą, Diwini. Tylko nie powinnaś była spać z tym śmiertelnym.

- Zabierasz się za pouczanie mnie, braciszku? - Annika-Diwini zrobiła straszną minę. - Nie próbuj. Zawsze biorę to, co mi się podoba. A Wisław mi się spodobał. Właściwie, gdyby nie jego talent, twój przyjaciel Feranij War karmiłby teraz wrony na placu.

- Masz rację, siostró. Jak zawsze. I wcale nie myślałem czegokolwiek ci wypominać.

- A gdzie Dowład? - zapytała.

- Zaraz przyjdzie, ma jak zawsze pełno zajęcia w kuźni - Angusz uśmiechnął się. – Wreszcie całe rodzeństwo raczyło się zebrać razem. Przekazałaś Wisławowi Dar Czystości Myśli?

- Jak widzisz - Diwini pokazała na swoją pierś i zaśmiała się.

- Nierządnicą - wzruszył ramionami Angusz i znów przeniósł spojrzenie na dopalający się statek. Jakiś czas, Zapomniani Bogowie stali milcząc na przystani i świeży wiatr targał ich odzież.

- Co teraz, Anguszu? - zapytała Diwini, przerywając milczenie.

- Od tego dnia, nie mamy wpływu na nic. Wykonaliśmy swoje zadanie. Teraz nastąpi czas ognia i żelaza, nad którym my nie mamy władzy.

- Słowo honoru, nawet mi żal, że dla nas wszystko tak szybko się skończyło - westchnął Pantar. - Przywiązałem się do Leodana. To wspaniały chłopiec.

- To Syn Lwa. Zacieniona Strona wie o tym. Służący Cienia już rozpoczęli na niego polowanie. Zdołali zobaczyć go oczyma Kaffaraja. Teraz nasze losy i losy tego świata zależą od jednej-jedynej, śmiertelnej kobiety. Od Kasty.

- Przypuszczasz Anguszu, że ona da sobie radę?

- Powinna. Tabele Losów nie mogą się mylić.

- Dowład, prawdopodobnie zapomniał o swojej obietnicy - westchnęła Diwini. - Słońce zachodzi i jest mi zimno. A Sabra chce jeść. Chodźmy, odwiedzimy naszego mistrza-domatora. Niech poczęstuje nas swoim bimbrem.

- Jestem za - zadzwieczał Pantar. - Ta kupa drzewa dopali się i bez nas.

- Zgoda - Angusz pogłaskał małpkę, która grzebała w jego śnieżnobiałych kędziorach. – Chodźmy, urządzimy sobie małe święto. Chcę się napić.

- Sława wam, Zapomniani Bogowie! - Proklamował Pantar i roześmiał się tak, że Sabra zaryczała, a małpka z przenikliwym piskiem schowała się za Angusza. Potem wszyscy trzej, niespiesznie, skierowali się do wyjścia z portu i pochłonął ich nadchodzący zmierzch.

* *Czochi - cudzoziemiec, barbarzyńca.*

** *Ajwan (szurrecki) - pan, gospodarz*

KONIEC PIERWSZEGO TOMU

Załączniki

SELTOŃSCY BOGOWIE.

Gawan – seltoński bóg wojny. Miał postać wojownika w hełmie z rogami i toporem. Główna jego świątynia znajdowała się w Ergalocie, dawnej stolicy Seltonii. Święte zwierzę Gawana - czarny koziół.

Beris - bogini miłości, piękna, księżycy i macierzyństwa. Uchodziła za żonę Mannara. Miała postać obnażonej kobiety z kołowrotkiem albo kwiatem magnolii. Święte zwierzę Beris - sarna. Główna świątynia znajdowała się w Cerunii.

Orius - bóg słońca i światła. Początkowo miał postać orła, potem - młodzieńca z pochodnią. Święte zwierzę Oriusa - kogut. Główna świątynia znajdowała się w Eponarze.

Jowannon - bóg ognia i kowalskiego rzemiosła, patron zbrojmistrzów i ogólnie rzemieślników. Pomocnikami Jowannona były demony metali - salwy. Miał postać mężczyzny z młotem. Święte zwierzę - dzięcioł. Główna świątynia znajdowała się w Ergalocie.

Szante - bogini sztuki, muzyki, tańca, żeńskiego uroku, miłosnych gier i magii. Czczona przede wszystkim przez kobiety. Miała postać młodej kobiety wierzchem na byku. Święte zwierzę Szante - ryś. Główna świątynia znajdowała się w Agrianumie.

Kannas - bóg-patron handlarzy, złodziei i podróżników. Miał wygląd skrzydlatego młodzieńca. Święte zwierzę Kannasa - wiewiórka. Główna świątynia znajdowała się w Iłładanie.

Mannar - personifikacja księżycy, bóg nocy, brat Oriusa. Miał postać sowy, następnie młodzieńca z tarczą i krzywym mieczem. Święte zwierzę Mannara - nietoperz. Główna świątynia znajdowała się w Eponarze.

Boz - bóg-patron bydła i dzieci. Miał postać pasterza, albo mężczyzny, trzymającego za rękę dziecko. Święte zwierzę Boza - pies. Świątynia znajdowała się w Cerunii.

Kaja - bogini zemsty i sądownictwa. Miała postać nagiej dziewczyny z mieczem i ludzką głową w rękach. Uważano ją także za boginię chorób i uzdrowienia. Święte zwierzęta Kai - kotka i kozodoj. Główna świątynia znajdowała się w Legałocie.

Nekrian - bóstwo podziemnego świata, personifikacja śmierci i przyszłego zmartwychwstania, opiekunka spokoju zmarłych. Miała postać kobiety z krzywym nożem i czaszką w rękach. Święte zwierzęta Nekrian - wilk i kruk. Świątynia znajdowała się w Gatulonie.

Maranis – gospodarz demonicznego świata Gułchanda, władca potworów i istot wrogich człowiekowi. Uważano, że nie powinno się nawet wymawiać imienia Maranisa. Miał postać istoty bez oblicza; uważano, że twarz Maranisa jest tak okropna, że nie wolno jej przedstawiać. Święte zwierzę Maranisa - gigantyczna stonoga. Świątynia znajdowała się w Gatulonie.

Nataja - bogini myśliwych, opiekunka dzikich zwierząt. Miała postać dziewczyny z jastrzębiem na ramieniu. Święte zwierzęta Natai - skowronek, jastrząb i niedźwiedź. Świątynia znajdowała się w Agrianumie.

BOGOWIE DARNACKIEGO I SZURRECKIEGO PANTEONU

Igierabał (Igieraboal, Weł-Chus) - naczelne bóstwo w Darnacie, uosobienie bezkresnego oceanu, światowego porządku, królewskiej władzy i państwowości. Miał postać byka ze skrzydłami gryfa. W Gielamie, Igierabał był znany pod imieniem Niebłu (Igierabał-Niebłu) i był bratem-bliźniakiem boga wojny Giesztana. Króla nazywano "synem Igierabała". Egzekucja przestępców była uważana za ofiarę składaną Igierabałowi. Największą świątynią Igierabała, była świątynia w Darnacie.

Jonubas (In-Nubas) - bóstwo księżyca w Szurrecie i Gielamie. Uważany był za brata boga słońca Imiesza. Miał postać chłopca z sierpem we włosach. Centrum kultu Jonubasa, była świątynia w Eriwonie.

Imiesz (Szesz) - Bóg słońca w Szurrecie i Gielamie. Czasami identyfikowano go z Igierabałem lub z Bagiem. W epoce Południowego Imperium, kult Imiesza był praktycznie zakazany.

Kzu - bóg magii i okultystyzmu, mądrości, pisma i rachunku. Miał postać ogromnego oka. Kzu patronował astrologom, wróżbitom, czarownikom i uczonym a także aktorom i tancerkom. Główna świątynia Kzu znajdowała się w mieście Szedar.

Kua - w Gielamie i Szurrecie, bogini miłości. W późniejszej epoce, identyfikowała się z Chefteriesz-Szemmier i uważana była za żonę boga Kzu. Opiekunka małżeństwa, domu, obrończyni dzieci i nowożeńców, równocześnie była opiekunką rozpusty, prostytucji i zboczenia płciowego. Były jej poświęcane

szczególnie domy publiczne. Miała postać kobiety z fallusem albo nożem położnej w rękach. Personifikacją Kui była gwiazda Wenus.

Giesztan - bóg wojny w Szurrecie i Darnacie. Miał postać smoka. Główna świątynia znajdowała się w Darnacie.

Szat-Cebu był bóstwem żywiołów, handlu, krasomówstwa i rzemiosł, patron marynarzy, handlarzy, dyplomatów, kapłanów i podróżników. Był jednym z głównych Bogów Darnatu. Miał postać człowieka-ryby lub węża. Świątynia Szat-Cebu znajdowała się w Darnacie.

Mammu-Asztenet - bogini macierzyństwa, karmienia piersią, opiekunka dzieci i biedaków. Kult tej bogini, był popularny zwłaszcza wśród biednej ludności. Miała postać kobiety, karmiącej niemowlę piersią.

ZAPOMNIANI BOGOWIE

Bag (Bagus, Baga, Mechra-Bagim) - bóg porządku, harmonii, słońca i państwa, naczelny bóg Szurów w epoce Nin. Pseudonim Baga - "Obdarowujący życiem". Baga uważano także bogiem sprawiedliwej wojny. Święte zwierzę Baga - gur (gryfon).

Ninawa (Najnawa) - bogini świata i światła, opiekunka małżeństwa i rodziny, z pseudonimem „Obdarowująca płodnością”, żona Baga. Często nazywała się po prostu "Matką" (Aszszai). Była także bóstwem uzdrowienia i białej magii. Święte zwierzę Ninawy - biały baran.

Diwini - bogini zmian pór roku, opiekunka zwierząt, niezamężnych dziewczyn i dzieci. Była także czczona przez myśliwych i hodowców bydła. Pseudonim – „Obdarowująca pięknem”. Święte zwierzę - wilczyca.

Dowlad - bóg ognia, kowalstwa, rzemiosła i budownictwa, patron wszystkich warsztatów i rolników. Pseudonim – „Obdarowujący kunsztem”. Święte zwierzę Dowlada - orzeł.

Ajwari - bogini leczenia i uzdrawiania, opiekunka lekarzy i chorych. Jej pseudonim „Obdarowująca zdrowiem”. Święte zwierzę Ajwari - pszczoła.

Angusz - bóstwo księżyca i gwiazd o pseudonimie „Obdarowujący światłem w ciemności”. Był także patronem białej magii, przeciwnikiem Ciemnego świata. Święte zwierzę Angusza - małpa.

Łaeka - bogini sądownictwa i prawa, sprawiedliwej wojny, uczciwej umowy i handlu. Jej pseudonim „Obdarowująca sprawiedliwością”. Była opiekunką pobożnych sędziów, wojowników, urzędników, kupców i podróżników. Święte zwierzę Łaeki - jastrząb.

Mommek – bóg mądrości, sztuki i pisma, patron uczonych, studentów i kapłanów. Jego pseudonim „Obdarowujący mądrością”. Święte zwierzę Mommeka - lampart.

Pantar – bóg radości, sztuk pięknych, oszustwa, patron aktorów, muzyków i poetów. Był uważany za jednego z głównych bogów. Jego pseudonim „Obdarowujący radością”. Święte zwierzę Pantara - jaskółka.

RESZYJSCY BOGOWIE

Atał - bóg-twórca, władca wszechświata, patron żywiołów i bóstw pór roku. Dni przesilenia i równonocy liczyły się świętymi datami, poświęconymi Atałowi, w ten dzień składano mu ofiary i wznosiło się szczególne modlitwy o protekcję Atała.

Cwir - bóg ognia, podziemnego świata, magii i ochrony przed nią. Był patronem guślarzy i czarodziejów, wynalazcą pisma i rzemiosł, zwłaszcza kowalstwa.

Bieląg - bóg losu, władca czasu i życia, bóstwo, karzące grzeszników. Jemu w szczególności składano prześlągalne ofiary, każdego pierwszego dnia miesiąca. Jego sługami byli sudnicy - demoniczne istoty, główni rejestratorzy dobrych i złych czynów każdego człowieka i wymierzający karę, jeśli złych czynów było znacznie więcej.

Swach - bóg słońca, światła, letniego ciepła, patron roślin i zwierząt. Był uważany za jednego z głównych Bogów.

Inika - bogini nocy, żeńskiej magii, poczęcia i macierzyństwa. Istniał obyczaj, że pierwsza dziewczynka, przychodząca na świat w rodzinie, była poświęcana bogini i stawała się jej kapłanką do momentu zamążpójścia. Narzeczone, powinien był zapłacić wykup kapłanom bogini albo wypełnić, zgodnie z ich wolą, jakiegokolwiek polecenie.

Agana - bogini-matka, opiekunka wszystkich żyjących, bóstwo miłości, rodzinnego szczęścia i domowego ciepła. Żona Atała.

Łurus - bóg wojny. Uważało się, że bogu towarzyszy świta demonicznych istot, które po bitwie pożerają ciała niepogrzebanych wojowników. Święto ku czci Łurusa, obchodzono w trzecią noc po dniu zimowego przesilenia: w ten dzień, było przyjęte, obdarowywanie mężczyzn bronią albo rytualnymi amuletami, chroniącymi właściciela w bitwie.

Chwart - bóg morza, morskich żywiołów, patron żeglarzy i rybaków.

Andriej Astachow. Leodan, syn Lwa.